

Phillip Margolin

Śpiąca Królewna

(Sleeping Beauty)

Przekład Olga Zienkiewicz

WIECZÓR AUTORSKI

Chwila obecna

Parkingowy, którego wypatrywała Claire Rolvag, stał przy szafce z kluczami gości korzystających z hotelowego garażu. Claire skręciła w długi, półkolisty podjazd, omijając taksówkę, i zatrzymała swego nowiutkiego lśniącego lexusa tuż przed nim.

– Carlos? – spytała, gdy parkingowy podszedł od strony kierowcy.

– To ja.

– Jestem Claire. Zastępuję Barbarę Bridger na ten jeden wieczór.

– Mówiła mi, że to pani będzie prowadzić – odparł Carlos, otwierając jej drzwiczki. Claire zgarnęła książkę leżącą na siedzeniu pasażera i wysiadła.

– Będzie tam – wskazał w głąb garażu, gdzie kończył się podjazd.

Claire podziękowała, wręczając mu zwinięty banknot, który Carlos wsunął do kieszeni. Kiedy odprowadzał samochód na wskazane przez siebie miejsce, portier już witał Claire w Newbury jednym z najbardziej luksusowych hoteli Seattle.

W mieście odbywała się jakaś konwencja i hotel pękał w szwach od rozgadanych, roześmianych ludzi. Claire przepchnęła się przez tłum na środek holu. Przystanęła, żeby się rozejrzeć. Nie było go. Dźwięk gongu zasygnalizował przybycie windy. Claire zerknęła niespokojnie na zegarek, po czym nie odrywała już wzroku od wysypujących się z windy uczestników zjazdu. Zauważyła go dopiero po chwili, kiedy Miles Van Meter został sam przed rzędem drzwi do wind. Na kolorowej fotografii z tyłu okładki *Śpiącej królowej* podretuszowano mu trochę te niebieskie oczy i rudoblond włosy, żeby ukryć ślady siwizny, no i był trochę niższy, niż Claire się spodziewała, ale prezentował się równie dobrze jak w telewizji.

Ten czterdziestoparoletni prawnik, chwilowo parający się pisarstwem, miał około stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu i szerokie bary. Wyglądał bardzo elegancko w szytym na miarę szarym, prążkowanym garniturze, białej płóciennej koszuli i gustownym krawacie od Armaniego. Wśród hostess zajmujących się pilotowaniem pisarzy podczas ich autorskich tournée musiał chyba wzbudzać zdziwienie tym szykiem. Mężczyźni zwykle ruszali w trasę objazdową w sportowych marynarkach – o ile w ogóle wkładali marynarki – i naprawdę mało który zawracał sobie głowę krawatami. Minimum bagażu, maksimum wygody, to

bardzo rozsądna maksyma, kiedy się ma w perspektywie kilka tygodni wędrówki z jednego nieznanego miasta do drugiego i zrywania się co noc w obcym hotelu przed świtem, żeby zdążyć na kolejny samolot. Ale Miles Van Meter, radca prawny w dużej kancelarii specjalizującej się w prawie biznesowym, przywykł do podróżowania pierwszą klasą i do wytwornej garderoby.

Van Meter bez trudu rozpoznał Claire, ponieważ trzymała w ręku egzemplarz jego bestsellerowej, opartej na faktach powieści kryminalnej. Przeczuwał, że ta urodziwa brunetka po trzydziestce wykaże się nie mniejszą kompetencją i energią niż większość jego przewodniczek, które podczas tych sześciotygodniowych wyczerpujących występów przed czytelnikami holowały go po nieznanym mu z reguły miastach.

Uniósł ręce w żartobliwym geście skruchy.

– Przepraszam, wiem, że się spóźniłem. Wylot z Cleveland został przesunięty.

– Nic się nie stało – zapewniła go Claire. – Ja sama dopiero co tu dotarłam, a księgarnia jest o dwadzieścia minut stąd.

Miles chciał coś powiedzieć, ale się zawahał i przyjrzał się jej uważnie.

– To nie pani oprowadzała mnie poprzednim razem, prawda?

– Ma pan na myśli Barbarę Bridger. Ona kieruje tą agencją. Ja ją tylko zastępuję. Syn jej zachorował na gripę, a Dave, jej mąż, wyjechał w interesach.

– W porządku. Zauważyłem tylko, że to chyba ktoś inny. Od dawna pani się tym zajmuje?

– Właściwie to mój pierwszy raz – odparła Claire, gdy wychodzili z holu w stronę parkingu. – Przyjaźnimy się z Barbarą i mówiłam jej, że jeśli kiedyś będzie miała problem, to chętnie pomogę. No więc...

Zmierzali na ukos do samochodu i właśnie przy tym zawieszeniu głosu Claire dostrzegł ich Carlos. Pospieszył otworzyć drzwiczki przed Milesem. Znał zasady. Claire należała do obsługi, gwiazdą był Van Meter.

Dochodziła siódma wieczorem, gdy Claire wyjeżdżała na ulicę. Padał deszcz, więc włączyła wycieraczki.

– Nie był pan poprzednio w „Zabawie z Morderstwem”, prawda? – spytała.

– Nie. Wtedy to chyba była jakaś wielka księgarnia, z sieci Barnes i Noble albo Borders. Nie jestem pewien. Po paru dniach wszystkie się zlewają.

– Spodoba się tam panu. Sklep jest mały, ale Jill Lane zawsze dba o to, żeby przyszło wiele osób.

– Świetnie – odrzekł Miles, ale Claire wyczuła, że mówi to z uprzejmości. Po ponad trzech tygodniach w drodze pan pisarz prawdopodobnie cierpiał na poważny

niedosyt snu i ciągnął siłą rozpędu.

– Nie ma pan zastrzeżeń do pokoju?

– Mam apartament z widokiem. Dużo się wprawdzie nie napatrzę, bo jutro rano, o szóstej czterdzieści pięć, lecę do Bostonu. Następnie do Des Moines w Omaha, a potem... już nie pamiętam.

Claire się roześmiała.

– I tak nieźle pan sobie radzi. Barb mówi, że po trzech tygodniach w trasie większość autorów nie pamięta, gdzie byli poprzedniego dnia. – Claire sprawdziła godzinę na zegarku. – Z tyłu jest lodówka z napojami i wodą, gdyby miał pan ochotę.

– Nie, dziękuję, nic mi nie trzeba.

– Zdążył pan coś zjeść?

– W samolocie.

Miles zamknął oczy i oparł głowę o zagłówek. Claire uznała, że przez resztę drogi najlepiej będzie dać mu w ciszy odpocząć.

Księgarnia „Zabawa z Morderstwem”, specjalizująca się we wszelkiego typu sensacji, mieściła się w ciągu sklepów na obrzeżach centrum. Claire zaparkowała od tyłu przy wejściu służbowym. Parę minut przedtem zadzwoniła z samochodu, więc Jill Lane niemal od razu stanęła w drzwiach. Właścicielka księgarni odznaczała się miłym usposobieniem, słuszną tuszą i szpakowatymi włosami. Miała na sobie sukienkę typu chłopka i srebrny indiański naszyjnik z turkusami. Jill przeszła na zasłużoną emeryturę po wielu latach owocnej pracy w handlu nieruchomościami. Od zawsze pasjonowała się literaturą sensacyjną, z radością więc skorzystała z nadarzającej się okazji, żeby kupić tę księgarnię, której poprzedni właściciel musiał się przenieść do Arizony dla poratowania zdrowia.

– Nie wiem, jak mam panu dziękować za tę wizytę, panie Van Meter – powiedziała Jill po wprowadzeniu gości do środka. – I nie zawiedzie się pan na publiczności. Czytelnicy dopisali. Nie ma wolnych miejsc, ludzie stoją nawet między regałami.

Miles nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Bardzo mi to pochlebia.

– O, książka jest znakomita. A przez tę apelację Joshuy Maxfielda sprawa z powrotem trafiła na pierwsze strony gazet. Wie pan, że wznowili obie powieści Maxfielda? Świetnie się sprzedają.

Van Meter spoważniał.

– Przepraszam – zmitygowała się od razu Jill. – Czasem, jak coś palnę...

– Nie, to nie o to chodzi – potrząsnął głową Miles. – Tylko zawsze, jak słyszę nazwisko Maxfielda, staje mi przed oczami Casey.

Przez tylne drzwi weszli do składziku pełniącego również rolę biura. Pod jedną ścianą stało biurko zavalone papierami, a pod drugą kartony z nowościami. Wszędzie leżały stosy książek. Na stojącym pośrodku stole ułożono kilkanaście egzemplarzy *Śpiącej królowny*. Jill wyciągnęła w ich kierunku dłoń.

– Czy mógłby pan je podpisać, zanim przejdziemy dalej? Kilkoro naszych stałych klientów, którzy nie mogli dzisiaj przyjść, i parę osób przez Internet prosiło o autografy.

– Z przyjemnością.

Jill wyjrzała przez drzwi na krótki korytarz prowadzący do głównej części sklepu. Milesa i Claire dobiegł szmer rozmowy.

– Czy potrzeba panu czegoś? – spytała Jill. – Na podium jest butelka wody i mikrofon. Chyba trzeba będzie z niego korzystać.

Miles się uśmiechnął.

– Do roboty.

Jill poszła przodem. W „Zabawie z Morderstwem” było ciemnawo i ciasno od zakurzonych i wypełnionych książkami aż po sufit regałów, między którymi prowadziły dwa wąskie przejścia. Półki opatrzone etykietkami: „Nowości”, „Hardcore”, „Na faktach” i innymi, wypisanymi ręcznie oznaczeniami, które przyczyniały się do utrzymania domowej atmosfery, odzwierciedlającej osobowość Jill. Podium znajdowało się w rogu księgarni, a przed nim stały w kilku rzędach krzesła, w tej chwili wszystkie bez wyjątku zajęte. Wielu czytelników trzymało na kolanach egzemplarz *Śpiącej królowny* w twardej lub miękkiej oprawie w nadziei na otrzymanie autografu Milesa.

Publiczność powitała Jill radosnym pomrukiem. Ta podeszła z Milesem do podium. Claire przemknęła się bokiem i zajęła stanowisko przy sfatygowanym regale przeznaczonym na sensacyjne opowieści z dalekich krajów.

– Dziękuję wam za przybycie w tę mroczną i burzliwą noc – rozpoczęła Jill, wzbudzając tu i ówdzie rozbawienie. – Sądzę, że nikt nie będzie tego żałował. Dziś wieczorem mamy zaszczyt gościć Milesa Van Metera, który jest autorem *Śpiącej królowny*, jednego z najbardziej pasjonujących kryminałów dokumentalnych, jakie zdarzyło mi się przeczytać.

Pan Van Meter urodził się w Portlandzie w Oregonie, a jego ojcem był świętej pamięci Henry Van Meter z rodu potentatów przemysłu drzewnego. Po śmierci

swego ojca Henry przejął rodzinny interes, ale miał też wiele innych zainteresowań, między innymi edukację. Henry ufundował Oregon Academy, elitarną prywatną szkołę średnią, na terenie której rozegrało się wiele przerażających scen ze *Śpiącej królowny*. Do tej szkoły uczęszczali także Miles Van Meter i jego bliźniacza siostra, Casey. Po maturze Miles studiował prawo w Stanford, macierzystej uczelni swego ojca. Nadal zresztą praktykuje prawo w Portlandzie.

Jak państwo zapewne wiedzą, *Śpiącą królowę* opublikowano po raz pierwszy parę lat temu. Obecne wydanie zostało uzupełnione o kilka nowych rozdziałów, w których autor opisał sensacyjne wydarzenia, jakie miały miejsce już po ukazaniu się *Śpiącej królowny* drukiem. Dziś pan Van Meter przeczyta nam fragment swojej książki i chętnie odpowie na państwa pytania. Proszę o gorące powitanie Milesa Van Metera!

Reakcja słuchających była natychmiastowa i bardzo serdeczna. Jill ustąpiła miejsca na podium Milesowi. Ten popił wody i rozkładał swoje papiery, póki brawa nie umilkły.

– Dziękuję. To właśnie taka życzliwość, jaką państwo dziś okazują, pozwoliła mi przetrwać owe ciężkie lata po brutalnej napaści Joshuy Maxfielda na moją ukochaną siostrę, Casey. Jak się zapewne państwo domyślają, niełatwo mi opowiadać o tym, co przydarzyło się Casey. Szczerze mówiąc, niełatwo było napisać tę książkę. Wiedziałem jednak, że muszę się na to zdobyć, żeby pamięć o Casey przetrwała. I chciałem też przez nagłośnienie tych okropności zmusić władze, policję, FBI do wzmożenia wysiłków w celu znalezienia Maxfielda i postawienia go przed sądem, i to nie tylko w imieniu mojej rodziny i rodziny Ashley Spencer, które padły ofiarą potwornych zbrodni, lecz w imieniu wszystkich ludzi, których życie zostało splugawione aktami niehumanitarnego okrucieństwa. Napisałem zatem *Śpiącą królowę* i ruszyłem w trasę objazdową, by zarekomendować ją czytelnikom. Nie ukrywam, że na początku byłem bardzo przygnębiony, bo stan Casey nie rokował żadnej nadziei, a Joshua Maxfield wciąż pozostawał na wolności. Ale gdziekolwiek spotykałem się z ludźmi, podobnie jak dziś z państwem, zawsze mówili mi, że dzięki mojej książce Casey stawała im przed oczami jak żywa i że modlą się w jej intencji. To mnie podniosło na duchu w tej najczarniejszej godzinie i za to chciałbym wszystkim podziękować.

Zerwały się kolejne oklaski. Miles spuścił oczy, żeby zapanować nad wzruszeniem. Po chwili znów zapadła cisza, a Miles podniósł w górę egzemplarz swojej książki ze złotym emblematem głoścącym dużymi literami: WYDANIE

SPECJALNE.

– Przeczytam państwu pierwszy rozdział *Śpiącej królowny*. Potem odpowiem na wszelkie pytania, i wreszcie z przyjemnością podpiszę państwu książki.

Miles otworzył *Śpiącą królownę*, wypił łyk wody i zaczął czytać.

Dlaczego seryjni mordercy wzbudzają w nas znacznie większy lęk niż zwykli zabójcy? Dzieje się tak zapewne dlatego, że nie jesteśmy w stanie pojąć, czemu ktoś torturuje i zabija bezbronnych ludzi, wobec których nie ma powodu żywić jakiegokolwiek uzasadnionej urazy. Rozumiemy, dlaczego rzucają się na siebie rozwścieczeni małżonkowie. Dostrzegamy logiczne powiązanie przyczyny i skutku, gdy jeden gang eliminuje członka rywalizującego gangu. Czujemy się bezpieczni, wiedząc, że nikt nie ma powodu nas skrzywdzić. Poczucie zagrożenia budzi dopiero ktoś taki jak Joshua Maxfield, ponieważ żaden normalnie myślący człowiek nie potrafi pojąć, czym kierują się sprawcy równie upiornych czynów jak ten, który popełniono w pewną chłodną marcową noc w domu zamieszkanym przez państwa Spencerów i ich siedemnastoletnią wówczas córkę, Ashley, uczennicę przedostatniej klasy Liceum im. Eisenhowera w Portlandzie.

Ta ładna, pogodna dziewczyna o błękitnych oczach i prostych blond włosach, związanych zazwyczaj w koński ogon, nie była chucherkiem, bo od lat intensywnie trenowała grę w piłkę nożną. Wysilek się opłacił. Jesienią została gwiazdą drużyny piłkarskiej swego liceum – drużyny, która zdobyła mistrzostwo stanu. Po zakończeniu rozgrywek szkół średnich Ashley zagrała w elitarnym klubie. Tego właśnie dnia, zanim nastął ów fatalny wieczór, F.C. West Hills wygrał trudny mecz z najgroźniejszym rywalem i trener zaprosił całą drużynę na pizzę.

Gdzie Joshua Maxfield ujrzał Ashley po raz pierwszy? W pizzerii? A może czaił się w tłumie kibiców na meczu? Policja przepatrzyła wszystkie amatorskie nagrania z meczu i z przyjęcia w pizzerii, ale Maxfielda na tych filmach nie widać. Może po prostu minęli się gdzieś na ulicy czy w supermarkecie. W końcu nie takie to ważne, jak się na siebie natknęli, ważne tylko, jak straszliwe konsekwencje miało to spotkanie dla rodziny Spencerów i mojej.

Okolo drugiej nad ranem Joshua Maxfield wślizgnął się do domu Spencerów przez rozsuwane drzwi do ogrodu i zakradł się schodami na piętro. Norman Spencer spał w małżeńskiej sypialni sam, bo Terri Spencer, matka Ashley, reporterka portlandzkiej gazety codziennej, była w podróży służbowej we wschodniej części stanu. Norman Spencer miał w chwili śmierci trzydzieści siedem lat. Od kilku lat uczył w gimnazjum i był człowiekiem powszechnie lubianym.

To jego, pogrążonego we śnie, Max field zaatakował najpierw, dźgając kilkakrotnie nożem. Potem wrócił na podest przy schodach. U Ashley spała Tania Jones, smukła Afroamerykanka, która za wybitne osiągnięcia w nauce otrzymała ogólnostanowe wyróżnienie. Tania grata z Ashley w drużynie i była jej najlepszą przyjaciółką. Tego dnia obie strzeliły gole, więc matka Tani pozwoliła jej przenocować u koleżanki. Drzwi do pokoju trochę skrzypiały. Możemy się tylko domyślać, że to właśnie obudziło Tanie. Kiedy Ashley otworzyła oczy, ujrzała siedzącą na łóżku koleżankę i sylwetkę mężczyzny w drzwiach. Potem Tania wyprężyła się nagle i spadła bokiem na podłogę. Ashley nie miała pojęcia, co się stało przyjaciółce, póki sama nie wyskoczyła z łóżka i nie została porażona paralizatorem Maxfielda.

Maxfield dopadł jej błyskawicznie. Nim się obejrzała, miała już skrepowane ręce i nogi, a Maxfield wynosił Tanie Jones do sąsiedniego pokoju. Ashley zaczęła szarpać swoje więzy, ale nie zdołała ich rozerwać. Z pokoju gościnnego dobiegały jęki bólu. Ashley zmartwiała, słysząc je.

Po szczegóły kosmaru, jakiego Tania Jones doświadczyła z rąk Maxfielda, trzeba sięgnąć do raportu z sekcji jej zwłok. Ashley wydawało się, że męka jej przyjaciółki trwa bez końca, ale dziewczyna prawdopodobnie cierpiała najwyżej kwadrans. Patolog orzekł, że Tania została pobita i podduszona, potem zgwałcona, a w końcu ugodzona po wielekroć z dużą siłą ostrym narzędziem. Nóż kilkakrotnie wbijano z furią w martwe już ciało.

Ashley leżała na łóżku, czekając na śmierć. Potem drzwi do pokoju gościnnego się zamknęły, a ubrany na czarno i zamaskowany Maxfield stanął w drzwiach jej sypialni. Dziewczyna była przekonana, że przyszedł ją zgwałcić i zamordować. Tymczasem napastnik wyszeptał tylko: „Na razie”, i zszedł na dół. Po chwili Ashley usłyszała dźwięk otwieranej lodówki.

Musimy przyjąć, że Joshua Maxfield zrobił sobie krótką przerwę, bo dopadło go znużenie i głód po zgwałceniu i zamordowaniu Tani Jones. To by tłumaczyło, czemu zostawił Ashley samą i udał się do kuchni Spencerów, gdzie wypił szklankę mleka i zjadł kawałek tortu czekoladowego. Owo łakomstwo doprowadziło Maxfielda do celi śmierci, a opisanie tego – do jeszcze jednej tragedii.

CZEŚĆ I

NOCNE PODJADANIE

Sześć lat temu

Tej nocy, kiedy zginął ojciec Ashley Spencer, skończyło się dla niej dzieciństwo. Po raz ostatni miała zaznać jego niezmałconej radości na moment przed zaśnięciem. Ashley i jej najlepsza przyjaciółka, Tania Jones, były wypompowane po zwycięstwie dwa do jednego nad F.C. Oswego, wieloletnim mistrzem stanowej ligi piłki nożnej. Obie strzeliły po bramce, a to zwycięstwo dawało im szansę na zakwalifikowanie się do czołówki graczy w skali całego stanu. Poszły do łóżka po obejrzeniu wideo i jakiś czas rozmawiały sobie po ciemku. Gdy tuż po pierwszej Tania zasnęła, Ashley zamknęła oczy, odtwarzając jeszcze raz w pamięci swojego gola, strzelonego główką ponad słynnym bramkarzem Oswego. Z uśmiechem pograżyła się we śnie.

Nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło, kiedy obudził ją nagły ruch po tej stronie łóżka, którą zajmowała Tania. Tania siedziała wyprostowana, wlepiając wzrok w otwarte drzwi. Ashley, zamroczonej i niezupełnie pewnej, czy to sen, czy jawa, zamajaczyła jakaś postać, która podeszła do Tani.

Ashley już miała coś powiedzieć, gdy Tania nagle stęknęła, wygięła się w pałąk i zwała na podłogę. Mężczyzna obrócił się do wyskakującej z łóżka Ashley i gestem szermierza wyciągnął w jej stronę ramię. Porażone prądem mięśnie Ashley przeszły skurcz. Padła bokiem na łóżko, zdezorientowana i pozbawiona kontroli nad swoim ciałem. Cios pięścią w szczękę niemal pozbawił ją przytomności.

Zza łóżka wynurzyła się głowa Tani. Napastnik dopadł jej w mgnieniu oka. Ashley widziała pracę jego nogi pięści. Tania znalazła się z powrotem na podłodze poza zasięgiem wzroku Ashley. W dłoniach mężczyzny pojawiła się rolka szarej taśmy samoprzylepnej. Oderwał kilka kawałków i ukląkł przy Tani. Po chwili obszedł łóżko. Twarz miał zakrytą czarną kominiarką. Był ubrany na ciemno, w rękawicach.

Żelazny uścisk unieruchomił szyję Ashley, a jedno szarpnięcie rozdarło górę od jej pizamy. Usiłowała wykonać jakiś ruch w samoobronie, ale mięśnie odmawiały jej posłuszeństwa. Dłoń w skórzanej rękawicy ścisnęła jej pierś tak mocno, że aż krzyknęła. Jeszcze jeden potężny cios i mężczyzna zakleił jej usta taśmą. Obrócił Ashley na brzuch i skrępował taśmą nogi w kostkach i ręce. Jego twarz znalazła się blisko jej twarzy, czuła jego oddech, woń jego ciała.

Mając już Ashley związaną, wsunął jej rękę w spodnie pizamy, gładził po pośladkach. Dziewczyna wierzgnęła i natychmiast została ukarana ciosem pięści.

Próbowała ścisnąć nogi, ale zrezygnowała, gdy wykręcił jej ucho. Poczowała wsuwający się w nią palec, jego posuwiste, penetrujące ruchy. Dygotała jeszcze chwilę, po czym intruz wycofał się, znikł przygniatający ją ciężar. Ashley odwróciła głowę w samą porę, by zobaczyć, jak ciągnie Tanie do sąsiedniego pokoju, przeznaczonego dla gości.

Wyteżyła słuch. Skrzypnęły sprężyny tapczanu. Tania miała zaklejone usta, mimo to do uszu Ashley dotarł jej stłumiony wrzask. Ashley chwycił za gardło lęk, jakiego jeszcze nie знаła. Jakby pogrzyżyła się w duszącym oparze, który odcinał jej dopływ powietrza i obezwładniał ciało.

Z drugiego pokoju nadal dobiegały jęki i skowyt Tani, ale człowiek, który wtargnął do tego domu, działał w milczeniu. Serce waliło Ashley jak oszalałe i brakowało jej powietrza. Starła się odpędzić myśl o tym, co dzieje się z jej najlepszą przyjaciółką, i skupić na zerwaniu więzów. To jednak okazało się niemożliwe. Przyszło jej do głowy, że ojciec może już nie żyć, i ta myśl wyrwała ją z otępienia. Jeśli Norman nie żyje, nikt nie przyjdzie jej z pomocą. Musi ratować się sama.

W sąsiednim pokoju mężczyzna wydał z głębi trzewi charczenie rozkoszy, a Ashley zadrżała od stóp do głów. Skończył gwałcić Tanie, teraz kolej na nią. Przez moment słyszała tylko zdławione szlochanie Tani, a potem pomruk zwierzęcej furii i głuchy odgłos ostrza wbijanego w ciało. I zduszony krzyk Tani, po którym jej głos ucichł. Ale nie odgłosy dźgania. Ashley nie miała wątpliwości, że Tania nie żyje.

Trzasnęły drzwi od gościnnego i napastnik niczym upiór wyłonił się z mroku. W otworach kominiarki widać było tylko jego oczy i wargi. Ashley zapało dech w piersiach. Mężczyzna napawał się jej przerażeniem. Potem wyszeptał: – Na razie – i zszedł po schodach.

Opadła zwiotczała na łóżko, ale ulga nie trwała długo. Z tego „na razie” wynikało jasno, że wróci, żeby ją zabić. Z wysiłkiem podniosła się do pozycji siedzącej i przebiegła wzrokiem swój pokój w poszukiwaniu narzędzia, którym mogłaby przeciąć więzy. Na dole skrzypnęły drzwi lodówki. Myśl, że on będzie coś jadł, przejęła Ashley zgrozą. Jak można jeść po czymś takim? Co z niego za – przecież nie człowiek? Drzwi lodówki się zamknęły. Ashley ogarnęła panika. Czeka ją gwałt i śmierć, jeśli nie zdoła się uwolnić.

Jej uwagę zwrócił nagle jakiś szmer w progu pokoju. Po podłodze pełzło coś zalanego krwią. Z wielkim trudem uniosło twarz i Ashley omal nie zemdląła.

Norman Spencer podczołgał się do córki. Miał krew na nieogolonych

policzkach i włosy w nieładzie. W prawej dłoni ścisnął swój szwajcarski scyzoryk z wysuniętym długim ostrzem. Ashley przemogła mdłości i przerażenie, które mogły odebrać jej zdolność działania, i sturlała się na podłogę. Obróciła się plecami do ojca, pokazując mu skrępowane w nadgarstkach ręce. Wszystkie siły prawie już z niego uszły, więc Norman nie odezwał się nawet, próbując przepiłować taśmę słabymi dziabnięciami. Ashley płakała. Zdawała sobie sprawę, że nie może ocalić ojca, a on poświęca resztki uchodzącego zeń życia, żeby ratować jej własne.

Taśma się przerwała. Ashley schwyciła scyzoryk i uwolniła nogi. Potem zerwała taśmę z ust, żeby coś powiedzieć, ale Norman pokręcił głową. Ledwie zdołał nią kiwnąć, pokazując korytarz, na znak, że napastnik może usłyszeć. Zamiast z trwogą, która powinna pojawić się w jego oczach w obliczu nieuniknionej śmierci, spojrzał na nią z triumfem. Dotknął leciutko jej policzka. Ashley, wstrząsana bezgłośnym łkaniem, ukłękła przy ojcu. Objęła go. Norman wyszeptał:

– Kocham cię.

Wypowiedzenie tych dwóch słów drogo go kosztowało. Zakrztusił się krwią i zadygotał.

– Tatusiu! – zaszlochała Ashley. Czuła taką bezradność. Na kuchennym stole brzęknął talerz.

– Idź – powiedział Norman, niemal niedosłyszalnie.

Ashley wiedziała, że musi uciekać, jeśli nie chce zginąć. Zalana łzami ucałowała ojca w policzek. Zadrżał cały, zamknął oczy i przestał oddychać.

Kolejny dochodzący z kuchni dźwięk poderwał Ashley na równe nogi. Jeśli sama zginie, to śmierć jej ojca pójdzie na marne. Szarpnęła klamkę okna. Trzeszczenie drewna zabrzmiało w jej uszach jak syrena alarmowa.

Na schodach rozległ się tupot. Musiała skoczyć z pierwszego piętra, nie miała wyboru. Wypełzła na zimno i zawisła, trzymając się parapetu. Bała się upadku. Złamana noga ją unieruchomiła. Rosło napięcie wyciągniętych ramion. Potem usłyszała ryk wściekłości dochodzący z jej pokoju i puściła parapet.

Uderzenie o ziemię ją oszołomiło. Leżała na plecach w mokrej trawie. Widziała zamaskowaną twarz w oknie swego pokoju. Przez moment patrzyli sobie w oczy – ona i zabójca. W następnej sekundzie Ashley była już na nogach, w pędzie, czując wdzierające się do płuc powietrze, pracę sprężonych nóg, niosących ją szybciej niż kiedykolwiek przedtem, w biegu jej życia po życie.

Ashley siedziała w kuchni Barbary McCluskey Mimo dresu, w który ją ubrano, i panującego w domu ciepła, kuliła się jak przemarznięta do szpiku kości. Czerwonymi od płaczu oczami wpatrywała się tępo w obrus. Była tak otumaniona, że nie czuła nawet bólu, mimo licznych siniaków i skaleczeń, które przed chwilą jej opatrywano. Co jakiś czas podnosiła do ust kubek z gorącą herbatą. Resztek sił, które była w stanie z siebie wykrzesać, ledwie starczało na to powolne sączenie herbaty.

Uciekając na oślep, zatrzymała się w końcu w zaroślach za domem McCluskeyów. Chłód i deszcz zmusiły ją po jakimś czasie do wyjścia i załomotania w drzwi sąsiadów. Siedząc w ukryciu, zastanawiała się, czy mogła w jakiś sposób uchronić ojca i najlepszą przyjaciółkę przed makabrycznym losem, który stał się ich udziałem. Za każdym razem dochodziła do tego samego wniosku: gdyby została, spotkałby ją taki sam koniec. Mimo to nie potrafiła uporać się z poczuciem winy za to, że uciekła.

Obok niej siedziała policjantka. W domu McCluskeyów kręciło się teraz wielu funkcjonariuszy. Rozsądek podpowiadał Ashley, że człowiek, który zamordował jej ojca i Tanie, był już daleko stąd. Ale wiedziała też, że nie będzie już dnia, nie będzie minuty, żeby nie bała się jego powrotu, dopóki pozostawał na wolności.

Policja z obu stron zagroziła posesję Spencerów przed ciekawskimi sąsiadami i stojącymi za ich plecami dziennikarzami, którzy nie odrywali wzroku od funkcjonariuszy krążących po ogrodzie Ashley, wchodzących i wychodzących z domu. Co jakiś czas krótkie zawrodo syreny sygnalizowało przeciskanie się przez tłum kolejnego policyjnego wozu. Ashley nie zwracała najmniejszej uwagi na to, co działo się na dworze. Zbyt wiele działo się w jej głowie.

Policjantka wstała. Ashley spostrzegła kątem oka jakiś ruch i odskoczyła gwałtownie. Trzymała w ręku kubek i rozlała herbatę na serwetę. Obok stał obcy mężczyzna. Zaabsorbowana swoimi myślami, nie zauważyła jego wejścia.

– Wszystko w porządku, panno Spencer. Jestem oficerem śledczym – powiedział, pokazując odznakę.

Miał spokojny głos i sympatyczną twarz, a na sobie brązową tweedową marynarkę, szare spodnie i krawat w paski. Ashley widywała inspektorów policji tylko w telewizji, a ten nie bardzo pasował do stereotypu: ani przystojny, ani sterany życiem. Wyglądał po prostu zwyczajnie, jak jej nauczyciele czy znajomi rodziców.

– Mogę usiąść?

Kiwnęła głową, a policjant zajął miejsce zwolnione przez funkcjonariuszkę.

– Nazywam się Larry Birch. Jestem z wydziału zabójstw. Poprowadzę śledztwo w sprawie... tego, co wydarzyło się w twoim domu.

Dziewczynę wzruszyła ta delikatność.

– Zadzwoniliśmy do twojej mamy, jest już w drodze do domu. Dotrze tu pewnie o świcie.

Ashley ogarnęła nowa fala smutku na myśl o tym, jak będzie teraz wyglądało życie matki. Jej rodzice – wciąż w sobie zakochani – zachowywali się czasem jak nastolatki, okazując sobie bliskość przy znajomych córki, czym wprawiali Ashley w zakłopotanie. Co teraz pocznie Terri?

Birch zauważył, jak pierś Ashley wzbiera tłumionym szlochem. Łagodnie położył jej rękę na ramieniu, potem podszedł do zlewu i wrócił ze szklanką wody. Przyjęła ją z wdzięcznością.

– Chciałbym porozmawiać o tym, co się wydarzyło – rzekł po chwili Birch. – Z pewnością trudno ci o tym mówić. Jeśli się nie zgodzisz, zrozumiem. Ale im więcej wiem, tym szybciej zdołamy aresztować człowieka, który to zrobił. Im dłużej będę musiał czekać na informacje, tym on będzie miał większe szanse nam się wymknąć.

Ashley zrobiło się niedobrze. Do tej pory nikt nie domagał się od niej szczegółowej relacji. Nie chciała sobie przypominać zalanego krwią ojca ani krzyków Tani. Pragnęła wymazać z pamięci odgłos wstrząsającego orgazmu zabójcy i spojrzenie, jakim ją zmierzył, stojąc w drzwiach jej pokoju. Musiała jednak pomóc policji, była to winna i Tani, i ojcu. A poza tym pragnęła znów poczuć się bezpiecznie, a to nie będzie możliwe, dopóki inspektor Birch nie złapie potwora, który zniszczył jej rodzinę.

– Co pan chce wiedzieć?

– Wszystko, co pamiętasz. Na przykład, kto był w domu, nim się to wszystko zdarzyło.

– Tata i Tania. Tania Jones. Czy ona...? – spytała Ashley, czepiając się irracjonalnej nadziei, że jej przyjaciółka jakimś cudem przeżyła.

Birch potrząsnął głową. Ashley znów się rozpłakała.

– To moja najlepsza przyjaciółka – powiedziała z taką rozpaczą, że nawet policjantowi niełatwo było powściągnąć własne emocje.

– Grałyśmy w jednej drużynie.

– W jakiej dyscyplinie? – spytał Birch, żeby odwrócić jej uwagę od bolesnego tematu.

– Piłka nożna. Obie występowałyśmy w reprezentacji szkoły Eisenhowera i

przymierzałyśmy się do gry w zespole klubowym. Jest naprawdę niezły. Miałyśmy szansę na rozgrywki okręgowe na Hawajach. Tania tak się na to cieszyła.

– Była dobra?

Ashley kiwnęła głową.

– Strzeliła dzisiaj zwycięskiego gola. I mama pozwoliła jej przemocować u mnie. Przez to... przez to nie żyje.

Ramiona Ashley zadrżały, ale przełknęła łzy.

– Poszłyśmy spać – podjęła po chwili – około pierwszej. A potem się obudziłam i zobaczyłam go w pokoju.

– Jak wyglądał?

– Nie wiem. Było ciemno. Ani razu nie włączył światła. Miał ciemne ubranie, kominiarkę na twarzy, a na rękach rękawice.

– Jesteś w stanie określić kolor jego skóry? Biały, Afroamerykanin, Azjata?

– Nie wiem, naprawdę.

– Dobrze, a wzrost? Ile mógł mieć wzrostu?

Ashley zastanowiła się. Przeważnie patrzyła na niego z pozycji leżącej i wtedy wydawał się ogromny, ale miała świadomość tej zaburzonej perspektywy. Potem przypomniało jej się, że stała, kiedy poraził ją paralizatorem. Zamknęła oczy, żeby przywołać w pamięci tę scenę.

– Chyba nie jest zbyt wysoki, nie taki jak koszykarze. Ja mam metr siedemdziesiąt. On był trochę wyższy.

– Dobrze. Świetnie. To już coś.

Birch zanotował coś w małym obrotowym notesiku.

– Czy możesz określić kolor jego oczu? – spytał teraz.

Ashley wyteżyła pamięć, lecz bez rezultatu.

– Widziałam jego oczy, niestety, było ciemno i... Pokręciła głową. – Nie pamiętam koloru.

– W porządku. Dobrze nam idzie. Opowiedz, co zdarzyło się potem.

Więc opowiedziała Birchowi, jak zostały z Tanią ogłuszone paralizatorem, jak zabójca pobił je i związał, po czym zabrał Tanie do sąsiedniego pokoju. Następnie Ashley opisała dźwięki, jakie dobiegły jej uszu, a z których wynikało, że Tania została zgwałcona i zamordowana.

– Czy zrobił coś potem? – spytał cicho Birch.

– Nie. Byłam pewna, że moja kolej, ale nie. Nie wtedy. Zrobiłby to, wiem, że tak. Ale on... on...

Ashley zadygotała.

– Co, Ashley? Co on zrobił?

– Zszedł na dół do kuchni. Nie mogłam tego pojąć. Właśnie zgwałcił i zabił. Przecież to słyszałam. I jakby nigdy nic poszedł wziąć sobie coś do jedzenia. Jak on mógł?

– Skąd wiesz, że coś jadł? – spytał Birch, usiłując z trudem ukryć podekscytowanie.

– Słyszałam, jak otwierał lodówkę, a po chwili brzdęknął talerzem o stół.

– Okay, Ashley. To może być bardzo ważne. Wiesz, co to DNA, prawda?

Ashley przytaknęła. Oglądała filmy i czytała kryminały. A podstawy genetyki przerabiali na biologii.

– Jesteśmy w stanie uzyskać ludzkie DNA z takich wydzielin jak ślina. Jeśli coś zjadł w twojej kuchni, to może zostawił jakiś ślad na widelcu lub szklance. Pozwól, że zapytam, czy wczoraj wieczorem był u was w domu ktoś oprócz ciebie, twojego ojca i Tani.

– Nie.

– Jedliście kolację w domu?

– Nie. Świątowaliśmy wygraną w pizzerii. Tata był na meczu i na przyjęciu, a później zabrał nas do domu.

– Czy ty, Tania lub twój ojciec jedliście coś po powrocie do domu?

– Tata chyba nie. Odchudza się. Mama by się wkurzyła, że zjadł trzy kawałki...

Ashley urwała. Tego już było za wiele. Mama się zawsze denerwowała, gdy tata podkradał ciasteczko albo porcję lodów. A teraz on nie żyje i koniec z docinkami na temat jego odchudzania.

– Wiem, że to dla ciebie bardzo trudne, Ashley – odezwał się Birch po stosownej pauzie – ale chciałbym cię teraz zabrać do domu...

Dziewczyna podniosła głowę, wystraszona.

– Nie pójdziemy na górę, tylko do kuchni. Może rozpoznasz, co ten człowiek jadł, albo wskażesz szklankę, z której mógł pić, sztućce, których mógł użyć. Jeśli się uda, będziemy go mieli. Dasz radę?

Ashley kiwnęła głową. Oto trafiła się okazja zrobić coś konkretnego. Policjantka była wzrostu Ashley. Birch poprosił ją o pożyczenie ciepłego płaszcza i podprowadzenie samochodu pod same drzwi McCluskeyów. Nie chciał wystawiać Ashley na łaskę żywiołów i prasy.

Kiedy samochód podjechał najbliżej, jak się dało, Birch wyprowadził Ashley bocznym wyjściem. Paru reporterów ich przyuważyło, ale dziewczyna znalazła się w środku wozu, za nim któryś zdołał ją zaczepić. Policjantka włączyła mrugające

światła, syrenę i nie żałując klaksonu, pokonała krótki odcinek do domu Spencerów.

Nadal padało i Birch otworzył nad Ashley parasol.

– Nie będę musiała patrzeć na ciała, prawda?

– Idziemy tylko do kuchni – zapewnił ją.

Birch już wcześniej obejrzał dom i wiedział, jak trafić do kuchni, która przylegała do schodów prowadzących na górę. Fotograf właśnie robił przy nich zdjęcia. Birch go przegonił.

– Nie spiesz się, Ashley – rzekł. – Rozglądaj się, jak długo chcesz.

Stojąc pośrodku kuchni, Ashley odwróciła się z wolna, by spojrzeć na stół. Obok dwóch złożonych papierowych serwetek widniała na nim odrobina rozlanego mleka. Ashley podeszła do zlewu. Potem otworzyła zmywarę.

– To się nie zgadza – powiedziała.

– Co się nie zgadza?

– Gdy przyjechaliśmy do domu, tata opróżnił zmywarę. Mamy nie było, a chciał, żeby zastała porządek, jak wróci, więc nastawił zmywanie jeszcze przed wyjściem na mecz. Potem włożył talerze i szklanki do szafki.

– W porządku.

– Podczas oglądania wideo z wypożyczalni zjadłyśmy z Tanią kawałek tortu czekoladowego i wypiliśmy trochę mleka. To mama zrobiła tort. W zmywarce są wciąż nasze brudne talerze. Włożyłyśmy je tam, gdy tata już spał. Ale w zlewie nie ma nic, a w zmywarce też nie ma żadnych innych naczyń ani szklanek, ani widelców, a wiem, że on coś jadł.

– Może nie brał talerza – zauważył Birch. – Może jadł rękami.

– Nie – zaprzeczyła stanowczo Ashley. – Słyszałam, jak stawiał talerz na stole. To wtedy... wtedy zostawiłam tatę. Wiedziałam, że on skończył jeść i idzie po mnie. Więc gdzie ten talerz?

Birch zlustrował pomieszczenie. Jego uwagę zwróciły lekko uchylone drzwiczki pod zlewem. Inspektor miał na rękach gumowe rękawiczki, mimo to użył ołówka, żeby otworzyć szafkę. Z przewróconego pudełka z workami na śmiecie wystawał brzeg nowego worka. Birch przykucnął zamyślony. Po chwili podniósł się z powrotem.

– Jesteś pewna, że słyszałaś drzwi lodówki?

Ashley znów kiwnęła głową. Birch otworzył lodówkę.

– Sprawdź – polecił. – Zobacz, czy widać, co jadł.

Ashley zajrzała do środka. Z przodu stała przezroczysta plastikowa butelka z

mlekiem. Ashley przyjrzała się poziomowi mleka. Potem przebiegła wzrokiem półki.

– Nie ma tortu. Zabrał cały tort z talerzem. I na pewno nalał sobie mleka. Myśmy niewiele upiły i butelka była prawie pełna. I niech pan spojrzy na to mleko na stole. Ja po nas wytarłam.

– Dzielna z ciebie dziewczyna. Znakomicie sobie radzisz jako detektyw.

Ashley uśmiechnęła się po raz pierwszy od momentu, gdy zaczął się ten cały koszmar.

– Założę się, że on wepchnął tort, talerz i wszystko, z czego można by pobrać ślady DNA, do worka na śmieci i zabrał go ze sobą.

Uśmiech zniknął z twarzy Ashley.

– Czy to znaczy, że go nie znajdziecie?

– Znajdziemy, Ashley. Tylko będzie to trochę trudniejsze.

Marzec upłynął pod znakiem wyjątkowych, jak na tę porę roku, chłódów. Kwiecień jakby starał się nadrobić szare deszczowe dni mnogością wielobarwnych kwiatów i pulsującej życiem zieleni, których jaskrawość wydawała się aż nienaturalna w ostrym blasku słońca. Zmiana pór roku nie zrobiła na Ashley żadnego wrażenia. Kochała swego ojca, a z faktem, że uratował jej życie za cenę swojego, nie mogła się w żaden sposób pogodzić. Straszliwe okoliczności śmierci Tani Jones potęgowały jej ból.

Początkowo, po tych tragicznych wydarzeniach, zdarzało się, że do Ashley wpadali lub telefonowali trenerzy, niektóre koleżanki z drużyny i znajomi, jednak rozmowy z nimi sprawiały jej przykrość. Oni zaś, choć chcieli dobrze, nie bardzo wiedzieli, co powiedzieć, kiedy już padły zwyczajowe formułki: „Tak bardzo ci współczujemy”, „Jak się czujesz?” i „Myślmy o tobie”. Po paru takich wizytach i telefonach Ashley przestała się z kimkolwiek widywać czy rozmawiać. Kilku przyjaciół dobijało się do niej przez jakiś czas, lecz i oni wkrótce zrezygnowali.

Najtrudniejsza do zniesienia okazała się reakcja jej chłopaka, Todda Franklina. Todd stał na czele męskiej drużyny piłki nożnej, której szło znacznie gorzej niż dziewczętom. Czasami Ashley wydawało się, że Todd zazdrości jej uznania, jakim się cieszyła. Zaczęli ze sobą chodzić na początku roku, ale Ashley miała wątpliwości, czy rzeczywiście chce się z nim spotykać.

Wychodzili na ogół razem z grupą znajomych, lecz parę razy byli sami na imprezie lub u niej w domu, kiedy rodzice poszli już spać. Lubiła obściskiwać się z Toddem. Pieścił ją delikatnie i rozśmieszał, ale też potrafił się złościć, gdy nie chciała pójść na całość. Ona zaś zwyczajnie nie była jeszcze gotowa, żeby się z kimś kochać. Zamierzała to zrobić tylko z tym właściwym facetem. A Todd nim po prostu nie był.

Todd przyszedł do niej parę dni po napaści. Atmosfera już na początku stała się niezręczna. Wszyscy wiedzieli, że Tania została przed śmiercią zgwałcona, ale media milczały na temat tego, co przytrafiło się Ashley.

Terri zostawiła ich samych w pokoju wypoczynkowym. Siedzieli na tej samej kanapie, na której kilka razy zdarzyło im się migdalić. Zwykle Ashley nie mogła się od Todda opędnąć, ledwie się drzwi zamknęły. Tym razem nawet jej nie dotknął ani nie przysunął się bliżej. Cały czas uciekał wzrokiem, a odzywał się głównie monosylabami. Dziewczyna poczuła się jak trędowata. Przyszło jej do głowy, że

Todd zjawił się tylko z obowiązku, chociaż nie miał na to najmniejszej ochoty. Zresztą Ashley też nie pragnęła dotyku. Jakakolwiek wzmianka o seksie wywoływała wspomnienie grzebiącego w niej palca i kwaśnego oddechu mordercy. Mimo wszystko Todd mógłby jej okazać trochę uczucia zamiast siedzieć sztywno, jak na szpilkach. Po tej wizycie już się nie pojawił i nie zadzwonił.

Ashley nie zgodziła się wrócić do szkoły. Siedziała w swoim pokoju albo w salonie przed telewizorem, gapiąc się bezmyślnie na różne wyglupy. Terri Spencer tłumaczyła córce, że nikt jej nie wini za śmierć Tani Jones, ale Ashley wiedziała, że koleżanki i kolegów interesuje, dlaczego ona przeżyła, a Tania – nie.

W drugi piątek kwietnia Terri wróciła o czwartej ze spotkania z dyrektorem Liceum Eisenhowera. Matka Ashley miała sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, duże brązowe oczy, ciemną cerę i proste, czarne włosy, obcięte na krótko. Na studiach trenowała biegi przełajowe i zachowała szczupłą, prężną sylwetkę długodystansowca. Na kilka sekund przystanąła w drzwiach, obserwując córkę, która oglądała jakiś talk-show. Terri była pewna, że Ashley odurza się telewizją jak narkotykiem, i nic sensownego by z niej nie wydusiła na temat oglądanego programu.

Dobrowolne wygnanie Ashley przygnębiało i martwiło Terri, która wychowała samodzielną i pewną siebie młodą kobietę, a teraz miała w domu zastraszoną dziewczynkę tak udręczoną i wyczerpaną nocnymi koszmarami, że przesyiała większą część dnia. Zaproponowała psychoterapię, lecz Ashley odmówiła. O morderstwach nie chciała rozmawiać z nikim. Terri ciężko było uporać się z własnym żalem, ale nie mogła sobie pozwolić na luksus ucieczki od świata. Musiała opiekować się córką i zarabiać na życie.

Ashley siedziała w dresie, nieuczesana. Terri z trudem się hamowała, żeby zaraz nie wrzucić córki pod zimny prysznic. Modliła się, by nowiny, jakie dla niej miała, wytrąciły wreszcie Ashley z otępienia. Przyciągnęła uwagę córki, wyłączając telewizor.

– Mam dwie dobre wiadomości – powiedziała.

Ashley zmierzyła ją nieufnym spojrzeniem.

– Rozmawiałam właśnie z panem Paggettem. Pozwoli ci skończyć klasę bez chodzenia do szkoły. Nawet nie będziesz musiała nic zaliczać. Wystawi ci stopnie na podstawie ocen, jakie otrzymałaś do tej pory. Są dość wysokie, więc wypadniesz całkiem nieźle.

Na twarzy Ashley pojawiła się ulga, ale Terri tego nie skomentowała. Ashley zawsze mierzyła się ze swymi lękami, miała silną osobowość przywódcy, więc to,

że teraz wolała się ukrywać w domu, zasmucało Terri.

– Jest coś jeszcze. W zeszłym tygodniu dostałam list z Oregon Academy. Nie chciałam ci nic mówić, dopóki nie porozmawiam w obu szkołach. Dzisiaj to zrobiłam.

Ashley wyprostowała się. Oregon Academy od wielu lat przodowała w licealnej lidze żeńskiej piłki nożnej. Ta prywatna szkoła po raz kolejny zdobyła w tym roku mistrzostwo i znalazła się na ogólnokrajowej liście rankingowej. Liceum Eisenhowera przegrało z nimi w stanowych ćwierćfinałach, ale Ashley strzeliła wtedy dwie bramki.

– Chcą, żebyś u nich zrobiła klasę maturalną – oznajmiła Terri, starając się tonem głosu nie zdradzić przed Ashley, jak strasznie jej zależy na tym, żeby córka skorzystała z tej okazji. – Proponują pełne stypendium. Nie... nie mamy dosyć pieniędzy. Powiedziałam im, że nie byłoby mnie stać na posłanie ciebie tam, gdybym miała sama płacić. Ale oni naprawdę chcą cię mieć u siebie. Zrobiłaś na nich wrażenie podczas rozgrywek stanowych. Będąc w ich drużynie, zwiększysz swoje szanse na renomowany college. Są w czołówce, jeśli chodzi o wyniki nauczania, no i gracze zespołu rozstawianego w rankingu ogólnokrajowym na pewno dostają znacznie więcej ofert rozmaitych sportowych stypendiów.

Po raz pierwszy od ich rodzinnej tragedii coś wzbudziło zainteresowanie Ashley. Terri kuła żelazo, póki gorące.

– No i mogłabyś się oderwać od tego wszystkiego, zacząć coś w nowym otoczeniu, a także zamieszkać w internacie, gdybyś chciała. Miałybyś niezależność, trochę jak na studiach.

Terri skończyła i wstrzymała oddech. Wiedziała, że w domu zrobi się straszliwie pusto, jeśli Ashley się przeniesie, była jednak gotowa na każde poświęcenie, żeby tylko córka doszła do siebie.

– Kiedy... kiedy bym miała zacząć? – spytała Ashley.

– Rok szkolny zaczyna się we wrześniu, ale w lecie urządzają dla dzieci szkółkę piłkarską. Część uczennic i uczniów uczestniczy w tym w charakterze wychowawców instruktorów. Zdaniem osoby, z którą tam rozmawiałam, mogłabyś się w to włączyć. Podobno będzie tam paru członków reprezentacji olimpijskiej.

Ashley zmieniła pozycję. Widać było, że myśli intensywnie.

– Nie musisz się od razu decydować. Możesz tam pojechać, zobaczyć, czy to miejsce ci się spodoba, spotkać się z jakimiś ich zawodniczkami. To tylko pół godziny drogi stąd – ciągnęła Terri z desperacją, żeby za wszelką cenę podtrzymać rozmowę. – Co ty na to? Wybierzemy się tam jutro. Pogoda się utrzyma. Szkoła

jest poza miastem. Zrobimy sobie fajną wycieczkę.

– Okay – odpowiedziała Ashley tak cicho, że Terri nie była pewna, czy dobrze słyszała.

– Świetnie. Zadzwoń do nich i uprzedzę o naszym przyjeździe.

– W porządku.

Terri kiwnęła głową, choć właściwie miała ochotę rozplakać się ze szczęścia. Ashley weźmie prysznic, ubierze się i wyjdzie z domu. Po tym wszystkim Terri nie liczyła na tak wiele.

Van Meterowie zbudowali Glen Oaks, swoją wiejską posiadłość, pod koniec XIX wieku, wykarczowując w tym celu kilkanaście akrów ziemi porośniętej dębami, klonami i zieloną daglezią nad brzegami rzeki Willamette. Granice swego terenu oznaczyli kamiennym murem. Po jego drugiej stronie biegła droga wiodąca przez ochronną warstwę pozostałego lasu, który zresztą szybko musiał ustąpić miejsca zadbanym trawnikom i kwietnikom okolonym przyszczyżonymi żywopłotami. Dalej droga rozwidła się. Lewa odnoga prowadziła do wytwornej rezydencji z kamienia, oddzielonej od drogi rozległym trawnikiem.

– To dom Henry'ego Van Metera – powiedziała Terri, skręcając na rozwidleniu w prawo – założyciela Oregon Academy. Mamy spotkanie z jego córką, Casey. Ona kieruje tą szkołą.

Minęło ich dwoje rowerzystów, a nieopodal na trawie rozsiadła się grupka roześmianych dziewcząt. Ten idylliczny krajobraz kojarzył się Ashley z jej wyobrażeniem o angielskich uczelniach, takich jak Oxford czy Cambridge.

Teraz przejeżdżały obok kortów tenisowych, za którymi widać było duży odkryty basen, a w głębi nowoczesną salę gimnastyczną ze szkła i stali. Jeszcze dalej boisko do piłki nożnej. Odbywał się trening. Ashley powiodła tęsknym wzrokiem za biegającymi, pokrzykującymi dziewczynami.

Po przeciwnej stronie porośniętego murawą prostokątnego dziedzińca, ocienionego rosnącymi swobodnie platanami, znajdował się dwupiętrowy budynek z czerwonej cegły z białymi kolumnkami i szpiczastymi daszkami, mieszczący szkolne pracownie. Uczniowie przystawali na trawniku, żeby porozmawiać, lub wędrowali między budynkami. Wszyscy wyglądali na zadowolonych i zaabsorbowanych swoimi zajęciami.

Pomieszczenia biurowe znajdowały się w drugim ceglany domu na przeciwległym krańcu dziedzińca. Terri zaparkowała na małym parkingu. Biuro zajmowało cały parter, a piętro – gabinet dyrektorki. Terri podała nazwisko sekretarce, a Ashley zaczęła oglądać fotografie zdobiące ściany poczekalni. Jej uwagę przykuło czarno-białe zdjęcie mężczyzny z surową miną i w garniturze, tkwiącego pośrodku placu budowy.

– To mój ojciec, Henry Van Meter.

Ashley się odwróciła. W drzwiach gabinetu dyrektorki stała wysoka, szczupła kobieta. Miała przejrzyste błękitne oczy i szerokie czoło, a na sobie białą jedwabną

bluzkę i niebieski kostium w prążki. Proste blond włosy opadały jej na ramiona, a smukłą szyję zdobił sznur pereł.

– Tym budynkiem zapoczątkował budowę Oregon Academy – wskazała zdjęcie, na które patrzyła Ashley. – Tak to wyglądało w pierwszym tygodniu budowy. – Kobieta wyciągnęła rękę. – Jestem Casey Van Meter. A ty to na pewno Ashley Spencer.

Ashley zawahała się, ale ujęła podaną dłoń. Casey się uśmiechnęła.

– W zasadzie to nie musiałam zgadywać. Widziałam przecież, jak strzeliłaś nam te dwa gole w ćwierćfinałach mistrzostw stanu. Chodzę na wszystkie mecze naszych dziewcząt. Byłaś bardzo dobra... no, ale to sama wiesz.

Ashley zaczerwieniła się i spuściła oczy, speszona. Casey się roześmiała.

– I w dodatku skromna. To mi się podoba. Nie przepadamy tu, w Akademii, za primadonnami.

Casey zwróciła się teraz do matki Ashley.

– Dzień dobry raz jeszcze, Terri. Cieszę się, że obie postanowiłyście nas odwiedzić.

– To decyzja Ashley.

Casey kiwnęła głową, potem wbiła w Ashley przenikliwy wzrok, przed którym nie było ucieczki.

– Gdzie siebie widzisz za pięć lat, po ukończeniu college[^]? – spytała.

– Lubię nauki przyrodnicze. Myślałam o medycynie, ale jeszcze nie wiem na pewno.

Ten przejaw zainteresowania córki swoją przyszłością zelektryzował Terri. Nie mogła wyjść z podziwu, z jaką łatwością Casey Van Meter udało się skierować uwagę Ashley na te tory.

– Świetnie się składa, bo mamy znakomicie wyposażone pracownie naukowe. Mieszczą się w pierwszym budynku, który widziałyście, jadąc przeciwległą stroną dziedzińca. Z zewnątrz zaprojektowaliśmy go w stylu starszych zabudowań, ale w środku to istne dzieło nowoczesnej sztuki laboratoryjnej. Chciałabyś rzucić okiem?

– Okay.

– Dobrze. Mam dosyć siedzenia w biurze przy takiej pogodzie. Możemy przejść się po terenie aż do sali gimnastycznej. Jeśli zechcesz, przedstawię cię kilku dziewczynom z drużyny piłkarskiej.

– Chętnie – odrzekła z pewną nonszalancją Ashley, chociaż, sądząc z mowy jej ciała, możliwość poznania zawodniczek z drużyny tej szkoły bardzo ją podekscytowała.

Casey przytrzymała dla nich drzwi.

– To co, idziemy?

Dyrektorka zeszła po schodach ramię w ramię z Ashley, a podążająca o krok za nimi Terri słuchała krótkiego wykładu na temat historii szkoły i jej zadań. Przecięły na ukos dziedziniec. Casey kontynuowała swój monolog, przerywając niekiedy, by odpowiedzieć na powitania uczniów. Tuż przed alejką biegnącą między murawą a kolejnymi zabudowaniami natknęły się na mężczyznę w tweedowej sportowej marynarce i szarych spodniach.

Joshua Maxfield miał stylowo zapuszczone rudobrązowe włosy i oczy zielone jak szmaragdy. Przy wzroście metr osiemdziesiąt był typem kościstego chudzielca, ale zadbanego i chyba sprawnego. Ashley wcale by się nie zdziwiła, gdyby ktoś jej powiedział, że na studiach grywał w tenisa albo że uprawia biegi dla zdrowia.

– Joshua! – zawołała Casey, uśmiechając się radośnie. – Chciałabym ci przedstawić Terri i Ashley Spencer. Ashley chodzi do drugiej klasy u Eisenhowera i jest tam czołową zawodniczką żeńskiej drużyny piłki nożnej. Staramy się ją ściągnąć do nas na ostatnią klasę. Terri, Ashley, to Joshua Maxfield, pisarz, który zgodził się dołączyć do naszego grona pedagogicznego i uczy sztuki pisania. Będiesz z nim miała lekcje, jeśli wybierzesz ten przedmiot.

– Joshua Maxfield – powtórzyła Terri półgłosem. A potem spytała: – Czy to pan napisał *Turystę w Babilonie*?

Maxfield się rozpromienił.

– Cała wina po mojej stronie.

– Ogromnie mi się to podobało. Jestem pana wielbicielką.

– No cóż, dziękuję.

– Tak dobrze pamiętam tę książkę. Kiedy Marion umierała z przedawkowania, po prostu się rozplakałam. Przejmująca scena. Nie mogłam się powstrzymać.

– Leje pani miód na moją duszę, pani Spencer. Każdy pisarz stara się wywołać u swoich czytelników autentyczne emocje, lecz rzadko się dowiadujemy, czy się nam udało.

– No, ja płakałam i nie wstydzę się do tego przyznać. To bardzo wzruszająca książka. Pracuje pan teraz nad czymś?

Ashley się wydało, że Maxfieldowi to pytanie nie sprawiło przyjemności, choć wrażenie trwało najwyżej ułamek sekundy.

– Oczywiście – odparł ze skromnym uśmiechem.

– O czym będzie nowa książka?

– Wolałbym nie mówić na tym etapie. Dopiero zacząłem. Powiem tylko, że

niewiele ma wspólnego z poprzednimi.

– Nie będę naciskać. Sama piszę powieść i też nie lubię o tym mówić.

Ashley przysłuchiwała się tej rozmowie ze skrywanym zdumieniem. Jej matka, zazwyczaj rzeczowa do szpiku kości, piała z zachwytu, podobnie jak niektóre koleżanki Ashley nad swoimi idolami z telewizji.

– Jak pani idzie? – spytał Maxfield.

– Jestem gdzieś w połowie. Pracuję jako reporterka dla „Oregonian” i nie mam dużo wolnego czasu. Udaje mi się niekiedy wyrwać parę godzin. Zwykle w weekendy. Jakże to wspaniałe móc pisać cały czas!

– Mam szczęście. Wie pani co, jeśli pani uzna, że rzecz jest wystarczająco zaawansowana, może mi ją pani podesłać. Recenzuję teksty za niewielką opłatą. – Przerwał i wycelował w Terri palec. – Albo jeszcze lepiej, latem będę tu prowadził warsztaty pisarskie. Dla poważnych ludzi, którzy jeszcze nie publikowali, ale próbują swoich sił. – Wyjął portfel i wręczył Terri swoją wizytówkę. – To mój numer, jeśli będzie pani zainteresowana. Nie chcę robić dużej grupy. Dwie osoby już się zapisały, więc proszę się zbyt długo nie zastanawiać. Za nic nie chciałbym, żeby zabrakło dla pani miejsca.

– Dzięki – odparła Terri, chowając wizytówkę do torebki.

– Joshua, o co chciałeś mnie zapytać? – odezwała się Casey.

Ashley wyczuła w jej głosie rozdrażnienie.

Maxfield uśmiechnął się do dyrektorki.

– Nic pilnego. Znajdę cię później – rzeki i obrócił się w kierunku Terri: – Miło było panią poznać.

Potem zmierzył uważnym spojrzeniem Ashley.

– Mam nadzieję, że poważnie myślisz o przyjeździe do nas. To znakomita szkoła.

– Urwał, by dokończyć z jeszcze szerszym uśmiechem: – Może trafisz na moje zajęcia.

Po jego odejściu Casey poprowadziła Terri i Ashley do budynku z pracowniami.

– Joshua Maxfield – powiedziała Terri z mimowolnym uśmiechem. – Czytała pani jego książki?

– Naturalnie – odparła Casey Van Meter.

– *Turysta w Babilonie* był znakomity. – Terri zamyśliła się na chwilę. – Jak dawno to wyszło?

– Jakies dziesięć lat temu – odrzekła Casey.

– Tak mi się wydawało. A *Studnię życzeń* wydał w rok później. Ciekawe,

czemu tak długo pisze tę trzecią.

– Może go pani zapytać, jeśli zapisze się pani na ten kurs. To chyba wspaniała okazja, móc skorzystać z rady zawodowego pisarza, jeśli się samemu pracuje nad książką. – A zwracając się do Ashley, dodała: – Dlatego zaprosiliśmy go do grona naszych wykładowców. Chcemy dać naszym uczniom możliwości, jakich by nie mieli w szkole państwowej. Maxfield mieszka na terenie. Jeśli pisanie cię zainteresuje, jak swoją mamę, będziesz mogła w każdej chwili zwrócić się do niego z prośbą o pomoc. Joshua jest bardzo życzliwy. Uwielbia pracę z uczniami.

Terri Spencer zaparkowała na miejscu przeznaczonym dla gości Oregon Academy. Był drugi tydzień czerwca, równie pogodny i słoneczny, jak jej obecny nastrój. Ashley postanowiła, że od września zacznie chodzić tu do szkoły, a podjęcie tej decyzji zapoczątkowało proces gojenia ran. Już teraz zamieszkała w internacie, żeby pracować jako instruktorka w tutejszej, słynnej na cały kraj letniej szkółce piłkarskiej. Terri umówiła się z córką w południe na lunch, ale najpierw musiała załatwić inną ważną sprawę.

Za dwa tygodnie ruszały pisarskie warsztaty Joshuy Maxfielda, na które Terri się zapisała. Kursanci mieli przedłożyć próbki swojej twórczości, żeby można je było potem omówić z Maxfieldem na zajęciach. Terri właśnie przywiozła mu do przeczytania swój niedokończony tekst. Wciąż nie mogła uwierzyć, że autor jednej z jej ulubionych książek jest gotów pomóc jej w pisaniu.

W skład Oregon Academy wchodziły – mieszczące się w osobnych budynkach – szkoła podstawowa, gimnazjum oraz liceum, które dysponowało dwoma gmachami: blokiem nauk ścisłych i humanistycznych. Gabinet Joshuy Maxfielda znajdował się pośrodku drugiego piętra bloku humanistycznego. Terri zapukała do drzwi.

– Proszę – powiedział Maxfield.

Terri ogarnęło nietypowe dla niej zdenerwowanie, bo nigdy jeszcze nie gościła w pracowni prawdziwego pisarza. Otworzyła drzwi i omiotła wzrokiem wewnątrz. Zaskoczyło ją. Oprócz kubka z kawą, nadjedzonego pączka i równo ułożonych kartek maszynopisu na biurku nie było absolutnie nic. Żadnych rodzinnych zdjęć, czasopism, nawet popielniczki.

Poza tym pokój nosił wyraźne piętno lokum tymczasowego. W kącie stał goły wieszak, a obok szklana, prawie pusta biblioteczka. Na ścianach wisały jedynie oprawione okładki dwóch powieści Joshuy, pochlebna recenzja *Turysty w Babilonie* z „New York Timesa” oraz dyplomy z okazji przyznanych tej książce nagród. Jedynym meblem, nie licząc biurka, biblioteczki i kilku krzeseł, był mały stolczyk na dzbanek do kawy. Dotrzymywało mu towarzystwa parę kubków, pączka cukru, opakowanie śmietanki w proszku oraz otwarte pudełko ciastek.

Maxfield miał na sobie dżinsy, tenisówki i obcisły czarny podkoszulek, który uwydatniał muskulaturę klatki piersiowej i bicepsy. Przyglądał się Terri z rozbawieniem.

– Jeśli szuka pani atrybutów mego fachu: gęsiego pióra, pergaminu i bonzurki, to trzymam je w domku. Bo tam powstają moje arcydzieła. Tu bym raczej niczego nie spłodził. Za duży ruch i za wiele spraw.

Terri wyglądała na skonsternowaną.

– Proszę się nie przejmować. Nie pani pierwsza tak reaguje. Ja się nigdy nie czułem dobrze w żadnym biurze. To dobre dla księgowego. Spodobałby się pani mój domek. Jest na terenie szkoły, nad brzegiem rzeki. Nie ma ścian obwieszonych trofeami myśliwskimi a la papa Hemingway, ale bardziej przypomina kwatery pisarza, zagraconą i nieposprzątaną. Może kiedyś ją pani pokażę.

To zabrzmiało jak przymiarka do podrywu i Terri starała się ukryć zdziwienie. Maxfield nie zauważył jej skrępowania, a w każdym razie tego nie okazał. Wskazał grubą kopertę, którą Terri ścisnęła w dłoniach.

– Czy to pani *magnum opus*?

Terri się zarumieniła.

– Tak.

Maxfield pstryknął palcami, wyciągając rękę.

– No to proszę.

Terri wręczyła mu kopertę.

– Trudno się z tym rozstać – powiedziała. – Zwłaszcza gdy się wydaje obcym na pożarcie.

– Nikt pani dziecięcia nie będzie pożerał. Moje grupy recenzenckie bardzo się ucywilizowały. I powinna się pani cieszyć z każdej oceny, nawet jeśli będzie negatywna. Jedną z zasad obowiązujących w dobrym pisarstwie zakłada, że nie ma ludzi doskonałych. Każdemu się zdarza naknocić. Ale są przecież redaktorzy. Ci dobrzy wyłapują nasze potknięcia, zanim teksty trafią do druku. – Urwał na chwilę. – No i nie będą to przecież sami obcy.

Terri spojrzała zaskoczona.

– Znam kogoś z tej grupy?

– Miałem na myśli siebie. Zostaliśmy sobie formalnie przedstawieni. Mam nadzieję, że już mnie pani nie uważa za nieznajomego. Proszę usiąść. Napije się pani kawy?

– Dzięki – bąknęła Terri, zajmując jedno z dwóch krzeseł stojących przed biurkiem Joshuy.

Maxfield podszedł do dzbanka i nalał jej kubek kawy.

– Śmietanki, cukru?

– Czarną poproszę.

– Skuszę panią pączkiem? Jestem uzależniony od słodczy.

– Tym razem zrezygnuję, dzięki.

Stawiając przed nią kubek, Maxfield spojrzął z góry na Terri i uśmiechnął się. To był zyczliwy uśmiech, lecz właśnie owa bliskość wytrąciła ją jakoś z równowagi. Wielu mężczyzn się do niej serdecznie uśmiechało, kiedy jeszcze była mężatką. Od śmierci Normana żadnemu wolnemu mężczyźnie to się nie zdarzyło. Terri miała wątpliwości, jak powinna zareagować. Też chciała być miła, jednakże okazanie zainteresowania jakimkolwiek mężczyźnie wydawało jej się zdradą wobec męża. I choć nie miało to sensu, tak właśnie czuła. Naprawdę kochała Normana, nadal go kochała. Nie przestaje się kogoś kochać tylko dlatego, że umarł.

– Pani córka... Alice? – spytał Joshua, wracając na swoją stronę biurka.

– Ashley.

– No właśnie. Już się zdecydowała przenieść do nas?

– Tak – odparła Terri, z ulgą witając zmianę tematu na bezpieczniejszy. – Już tu właściwie jest. Pracuje z dziećmi w ramach szkółki.

– Tak mi się wydawało, że ją widuję.

– Mieszka w internacie. Brakuje mi jej w domu, naturalnie, za to dużo rozmawiamy przez telefon. Ciągłe opowiada o poznanych tu olimpijczykach, o innych instruktorkach i o dzieciach, którymi się zajmuje. Praca z małymi dziećmi bardzo dobrze jej robi.

– Cieszę się z tego. Wygląda na bardzo miłą młodą osobę.

– Bo nią jest. Tuż po śmierci jej ojca... to było potworne.

Głos Terri załamał się na moment. Maxfield spoważniał, zaskoczony.

– Czy to zdarzyło się niedawno? – spytał.

Terri przytaknęła, nie mogąc wydobyć głosu.

– Dobrze się pani czuje?

– Przepraszam, ja wciąż... – urwała, potrząsając głową.

– Mam nadzieję, że nie podejrzewa mnie pani o grubiaństwo, ale ja naprawdę nie wiedziałem.

Maxfield sięgnął do szuflady po chusteczki.

– Wszystko w porządku – zapewniła go Terri.

– Cieszę się, że praca w tej szkółce pomogła Ashley uporać się z jej smutkiem – powiedział Maxfield. – Może wybierze moje zajęcia ze sztuki pisania, wtedy będę miał okazję lepiej ją poznać.

Lunch z matką sprawił Ashley dużą przyjemność. Terri – podekscytowana

perspektywą pisarskich zajęć z panem Maxfieldem – wreszcie robiła wrażenie rozradowanej. Od czasu śmierci Normana chodziła taka smutna. Ashley miała wyrzuty sumienia, że do smutków matki dokłada jeszcze własną depresję. Terri bowiem wciąż ją pytała, jak się czuje, sprawdzając, czy córka nie pogrąży się znowu w rozpacz. Niekiedy było to trochę irytujące, ale Ashley wiedziała, że matka po prostu się o nią troszczy.

Po lunchu Ashley uczyła podstawowych umiejętności grupkę dziewczynek w wieku od ośmiu do dziesięciu lat. Naprawdę lubiła pracować z dziećmi. Palily się do nauki i były takie urocze. Kiedy skończyły się zajęcia, Ashley wraz ze swoją współlokatorką Sally Castle – również debiutującą w tej szkole – wskoczyły w kostiumy kąpielowe i ruszyły na odkryty basen olimpijskich rozmiarów.

Sally, krępej brunetce, nieustannie dopisywał dobry humor. Na etapie gimnazjum grała z Ashley w tym samym klubie, a teraz obydwie dostały kilka ofert z tych samych college'ów. Mogło się zdarzyć, że na studiach spotkają się w tej samej drużynie.

Rodzice Sally zaprosili Ashley na kolację do swego wielkiego domu w West Hills wkrótce po tym, jak wprowadziły się z Sally do jednego pokoju w internacie. Ashley tłumaczyła się potem koleżance, dlaczego była taka milcząca podczas kolacji. Powiedziała Sally, jak boleśnie przeżywała radosną atmosferę w ich szczęśliwym domu. Te śmiechy i pogodny nastrój przypomniały jej chwile spędzone przy rodzinnym stole Spencerów za życia jej ojca. Sally okazała pełne zrozumienie i od tej pory ich przyjaźń jeszcze się zacieśniła.

Połowę basenu zajmowały wyznaczone tory do pływania wyczynowego. W drugiej połowie panowała pełna swoboda. Ashley i Sally zanurkowały w nieoznakowanej części i z rozkoszą chlapały się w wodzie dla ochłody. Przez całe popołudnie było bardzo gorąco. Pojawili się chłopcy ze szkoły piłkarskiej i zaczęli trochę rozrabiać. Ashley i Sally nie miały ochoty na przepychanki, więc podплыnęły bliżej pływaków trenujących między linkami. Wtedy Ashley zauważyła mężczyznę przykucniętego nad brzegiem basenu i płynnie sunącą w jego stronę Casey Van Meter. Mężczyzna, opalony na ciemny brąz, miał kucyk z długich czarnych włosów. Czarny, obcisły podkoszulek z jedwabiu i dopasowane dzinsy jakoś raziły wśród typowych tutejszych ciuchów, czyli tanich T-shirtów, workowatych szortów i kostiumów kąpielowych.

- Uhu – odezwała się Sally.
- Co się stało?
- Widzisz tego koleś na brzegu basenu?

Ashley kiwnęła głową.

– Nazywa się Randy Coleman. Jest mężem dyrektorki.

– Żartujesz?

– Tylko posłuchaj – Sally ściszyła głos. – Słyszałam, że poznali się w zeszłym roku w Las Vegas na konwencji instytucji oświatowych. Podobno w szale namiętności pobrali się w jakiejś preslejowskiej kaplicy.

– Pani Van Meter! Rany, z niej taka... światowa dama. A to chyba strasznie obślizgły typ.

– No, podobno rzuciła go po miesiącu, ale pojechał za nią do Portlandu. Należymy do tego samego klubu, w którym bywają Van Meterowie, więc mama jest na bieżąco ze wszystkimi plotkami. Mówi, że Coleman mendzi, żeby Casey do niego wróciła, bo Henry Van Meter miał poważny wylew i jeszcze nie wyzdrowiał. Jakby umarł, dyrektorka i jej brat dostaliby straszną forszę, a Coleman chciałby się do tego podczepić. A żeby było jeszcze fajniej, mówią, że Coleman to zawodowy szuler i ma powiązania z mafią.

Casey dotarła do końca basenu. Coleman dotknął jej ramienia. Zamarła w pół obrotu i podniosła wzrok.

– A co ty tu robisz? – w głosie pani Van Meter brzmiała irytacja z powodu przerwane go treningu.

– Musimy porozmawiać – rzekł Coleman.

Głos Colemana wydał się Ashley znajomy, choć była pewna, że nie zna tego człowieka.

– Jeżeli dostałeś papiery, to wiesz, że nie ma już o czym rozmawiać – odparła chłodno Casey.

– Taa, dostałem, ale to wszystko nie tak. Należymy do siebie, maleńka.

Casey rozejrzała się szybko wokół. Kilkoro uczniów ich obserwowało.

– Nie zamierzam o tym tutaj dyskutować, Randy. W zasadzie to w ogóle nie zamierzam o tym dyskutować. Niech twój prawnik skontaktuje się z moim, jeśli masz jakieś pytania.

Odwróciła się do niego plecami, szykując się do popłynięcia z powrotem. Kiedy uniosła ramię, Coleman uwięził jej nadgarstek w uścisku. Casey Van Meter spiorunowała męża wzrokiem.

– Puść mnie natychmiast!

– Powiedziałem, że musimy porozmawiać.

Uwagę Ashley odwrócił jakiś ruch z prawej. Spokojnym krokiem nadciągał Joshua Maxfield.

– Hej, Randy, puść ją – odezwał się tonem dość przyjacielskim, bez cienia pogrożki.

– Odpierdol się, Maxfield. To sprawy między mną i moją żoną.

– Zabierz ode mnie te ręce! – rozkazała ze złością dyrektorka.

Coleman spojrzał w twarz Casey Van Meter i wycedził:

– Słuchaj, suko... – ale nie skończył zdania, bo Casey wolną ręką walnęła go z całej siły w policzek. Coleman zerwał się, by oddać cios, lecz Maxfield dopadł go, nim zdążył się zamachnąć. Potem akcja potoczyła się bardzo szybko i w rezultacie Coleman znalazł się na ziemi z ręką wykręconą za plecami pod dziwnym kątem.

– To się na nic nie zda – ostrzegł go Maxfield, zachowując całkowity spokój i panowanie nad sytuacją. Podniósł się, zmuszając do tego samego Randy'ego.

– Dorwę cię, kutasie – sapnął Coleman, skręcając się z bólu.

– No, no. Na twoim miejscu dobrze bym się zastanowił z tymi pogrozkami, Randy. Ja akurat przeszedłem szkolenie saperskie w Rangersach. Jak mnie zdenerwujesz, to będziesz się jeszcze bardziej denerwował za każdym razem, gdy przyjdzie ci przekręcać kluczyk w stacyjce albo otwierać drzwi do mieszkania. Chcesz tego? Nie sądzę. Więc może lepiej się uspokój i wyjdź, póki nie masz poważniejszych obrażeń niż nadszarpnięty nadgarstek i urażona duma.

Coleman wyglądał na zbitego z tropu. Pod wpływem nacisku Maxfielda na wygięte ramię musiał się wręcz wspiąć na palce.

– No i co ty na to, stary? – spytał Maxfield. – Nie mam nic przeciwko tobie, ale tu jest pełno dzieciaków. Nie powinny na to patrzeć.

Coleman wykrzywił się z bólu i kiwnął głową.

– No to cię puszczę. Okay? Żadnego odgrywania się na odlew, dobrze?

– Puszczaj wreszcie, do cholery! – warknął Coleman.

Maxfield uwolnił mu rękę. Randy obrzucił Casey wściekłym spojrzeniem.

– To jeszcze nie koniec – pogroził, kulejąc, na odchodnym.

– Dzięki, Joshua – powiedziała Casey, śledząc wzrokiem swego prześladowcę zmierzającego w stronę parkingu.

– Nie ma sprawy. Od tych małżeńskich historii ludzie dostają wariacji.

Casey przyjrzała się Joshui uważnie. Złość jej minęła, była wyraźnie zaciekawiona.

– Naprawdę wiesz, jak podłożyć bombę?

Joshua parsknął śmiechem, odchylając głowę do tyłu.

– Do diabła, skądże. Nie zapominaj, że jestem pisarzem. Zarabiam na życie kłamaniami.

Nagle oboje zauważyli zagapione nastolatki. Maxfield uniósł ręce.

– Wszystko pod kontrolą – zapewnił. – Możecie wracać do przewidzianych w programie zajęć. – Chodźmy – rzekł, zwracając się do Casey.

– Widziałaś? – Sally Castle niemal zamurowało z podziwu. – Nie miałam pojęcia, że z pana Maxfielda taki Jackie Chan. To było cool.

Nagle zauważyła pobladłą jak ściana twarz przyjaciółki.

– Nic ci nie jest?

– Nie, nic – skłamała Ashley. Na widok przemocy od razu przemknęły jej przed oczami sceny z napadu na jej dom. I jeszcze coś, ale nie mogła tego wyłapać. Czy chodziło o głos Colemana? Za pierwszym razem wydawało się jej, że brzmi znajomo – teraz miała wątpliwości, czy go kiedykolwiek słyszała. A Coleman był mniej więcej tego wzrostu, co morderca jej ojca. Nie, to przecież śmieszne. Wielu ludzi było tego samego wzrostu. Pan Maxfield też, a wcale się przez niego nie denerwowała.

Terri Spencer wbiegła schodami na piętro gmachu nauk humanistycznych, po czym zwolniła, idąc korytarzem, żeby złapać oddech. Pierwsze zajęcia z warsztatów pisarskich, a ona się spóźniła. Kiedy otworzyła drzwi do klasy, Joshua Maxfield skinieniem dłoni wskazał jej krzesło obok potężnie zbudowanego brodacza, który siedział przy stole konferencyjnym najbliżej wejścia. Miejsce obok zajmowała starsza pani z długimi siwymi włosami. Po przeciwnej stronie stołu siedziały dwie kobiety w średnim wieku i jeden młodzieniec.

– Przepraszam za spóźnienie – usprawiedliwiała się Terri. – Korki są dziś koszmarnie.

– Nic się nie stało – zapewnił ją Maxfield ze swego miejsca u szczytu stołu. – Dopiero się rozgościliśmy. Ominęła cię najwyżej kawa i pączki, ale chyba i tak ci pozwolimy się poczęstować. Co grupa na to?

Wszyscy się roześmiali, łącznie z Terri.

– Nic mi nie trzeba, dzięki – odpowiedziała Maxfieldowi.

– No to zaczniemy od przedstawienia się. Na wstępie powiem coś o sobie. Chodziłem do college'u przygotowawczego w Bostonie po tym, jak mnie wyrzucili z liceum. Zacząłem pisać *Turystę w Babilonie* jako wypracowanie na lekcję angielskiego. Nauczyciel namawiał mnie, żebym zrobił z tego powieść. Pomyślałem, że zwariował. Naprawdę nie wierzyłem, że mam jakiś talent, ale postanowiłem spróbować. Przeniosłem się na Uniwersytet Massachusetts i skończyłem książkę, zdobywając licencjat.

Turystę odrzuciło po kolei kilka wydawnictw, póki go nie docenił jakiś mądry redaktor z „Pegasus Press”. Reszta, jak mówię, to już historia. Moja pierwsza powieść była nominowana do wszystkich poważniejszych nagród literackich i znakomicie się sprzedawała. Stąd znam się też trochę na literaturze od tej prostackiej strony jej komercyjnego funkcjonowania.

Studnia życzeń została opublikowana mniej więcej w rok później. Przez jakiś czas uczyłem pisarstwa w college'u w Nowej Anglii, ale kilka lat temu postanowiłem przenieść się bardziej na zachód i poświęcić pracy z młodszą młodzieżą. Dwa lata spędzone w Oregon Academy dały mi ogromną satysfakcję, lecz dla równowagi lubię też popracować ze starszymi twórcami, dlatego podjąłem się prowadzenia tego seminarium.

Może już dość na mój temat. Terri, zechciej powiedzieć nam wszystkim, kim

jesteś, gdzie pracujesz i czemu się tu znalazłaś.

– Nazywam się Terri Spencer, jestem reporterką „Oregonian”. Wiem, że każdy dziennikarz z zasady powinien w wolnych chwilach tworzyć Wielką Amerykańską Powieść. Straszny banał, prawda? Ale tak to rzeczywiście jest w moim przypadku. Dla porządku: nic mi nie wiadomo na temat owej wielkości, natomiast faktycznie napisałam już pół książki i uznałam, że czas zasięgnąć fachowej porady.

– Harvey – Maxfield skinął głową brodaczowi siedzącemu na lewo od Terri.

Harvey Cox poinformował grupę, że pracuje naukowo jako biotechnolog, opublikował już jedno opowiadanie science fiction i potrzebuje pomocy przy pisaniu powieści s.f. Lois Dean, starsza pani, natrafiła na dziewiętnastowieczne pamiętniki kogoś z jej przodków, powstałe w czasach wielkiej wędrówki na Dzikim Zachód Szlakiem Oregońskim, i chciała na ich podstawie stworzyć powieść historyczną. Mindy Krauss i Lori Ryan zajmowały się domem i grywały razem w brydża, a teraz postanowiły spróbować swoich sił jako autorki kryminału. Brad Dorrigan był programistą komputerowym, ale studiował także literaturę angielską i teraz z przejęciem relacjonował swoje zmagania z powieścią o trudnym dojrzewaniu, nad którą pracował od kilku lat.

– Dobrze, świetnie – podsumował Maxfield. – Widzę, że mamy bardzo ciekawy rozrzut. Znakomicie. Dzięki temu nie zabraknie różnorodnych opinii przy omawianiu waszych tekstów. A to między innymi jest naszym zadaniem.

Teraz powiem krótko, na czym będzie polegało recenzowanie. Co tydzień przeczytam wam fragment którejś ze złożonych u mnie prac, a wy wyrażicie swoje aż do bólu szczere zdanie na ten temat. Co nie oznacza, że możecie być złośliwi czy nieprzyjemni. Oczekuję wyłącznie konstruktywnej krytyki. Każdy ma absolutne prawo powiedzieć, że to, co ktoś napisał, mu się nie podoba, jednakże musi wyjaśnić, dlaczego. Spodziewam się również sugestii, co i jak należałoby zmienić na lepsze. Proszę więc o przemyślane wypowiedzi.

Moja rola to przede wszystkim ukierunkowywanie tych debat, poza tym udzielanie wskazówek, które powinny wam pomóc w opanowaniu technik pisarskich. Pierwszą połowę zajęć przeznaczam na omówienie pewnych aspektów pisarskiego rzemiosła, jak nakreślenie postaci, zarysowanie akcji i tym podobne. No, ale nie lubię mówić dla samego mówienia. Zakładam, że przyszliscie tutaj, ponieważ zależy wam na doskonaleniu warsztatu. Czyli musicie zadawać pytania. Pamiętajcie, w tym gronie nie ma czegoś takiego jak głupie pytania.

Po tym wstępie, o ile nie macie na razie żadnych pytań, zacznę nasze pierwsze zajęcia od krótkiego zaprezentowania metod, jakie stosuję, by rozwinąć wątki

fabuły.

W czasie przerwy po pierwszej godzinie Terri pogawędziła sobie z innymi uczestnikami kursu. Oprócz Brada Dorrigana, który traktował własną osobę chyba zbyt poważnie, inni pisarze *in spe* okazali się miłymi rozmówcami.

– No dobra, wracamy do roboty – powiedział Joshua Maxfield po upływie ustalonego kwadransa. Terri przyniosła sobie kubek kawy. Czekając, aż inni się usadowią, przeglądała swoje notatki z wykładu o rozwijaniu wątków.

– Mówiłem, że część każdego spotkania poświęcimy na krytyczną analizę napisanych przez nas tekstów – przypomniał Maxfield. – Dzisiaj przeczytam wam jeden rozdział z powstającej dopiero książki, a potem każdy z was wyrazi swoją opinię.

Terri złękła się, że to jej maszynopis pójdzie na pierwszy ogień. Podobne obawy dręczyły zapewne i innych kursantów. Maxfield wyrównał niewielki stosik leżących przed nim kartek. Podniósł pierwszą z nich.

Jestem bogiem. Nie Bogiem jedynym. Należę do jednego z pomniejszych panteonów, ale jednak boskiego. Nie mam w zwyczaju chełpić się tym faktem, a ci, którym ukazałem swoją moc, milczą. Pewnego upojnego, majowego wieczoru objawiłem się Reardonom z Sheldon w stanie Massachusetts.

Wybrałem Reardonów, bo byli tacy zwyczajni, z gatunku ludzi, którzy wypełniają sobą jakąś przestrzeń, póki żyją, ale nie zostawiają po sobie żadnej pustki, gdy umrą. W ich nudnym życiu z pewnością nie zaszło nic, co dałoby się choćby porównać z tym, czego wspólnie doświadczyliśmy.

Bob, niewysoki, łysiejący jegomość z nadwagą, pracował jako księgowy. Margaret sprzedawała kosmetyki w domu towarowym przy ulicy Głównej. W młodości była chyba dość atrakcyjna. Nadal bardzo dbała o figurę, lecz na skórze pojawiły się już zmarszczki, a cellulitis popsuł linię nóg. Ich jedyna córka, siedemnastoletnia Desiree, chodziła do drugiej klasy liceum. Nie wyróżniała się nadzwyczajną inteligencją ani urodą, za to była bardzo rozwinięta fizycznie. Zauważyłem ją, kiedy wpadła odwiedzić matkę w pracy. Dopasowane szorty podkreślały jej jędrne pośladki i długie, prężne nogi. Miała rozcięty podkoszulek, żeby wyeksponować płaski, opalony brzusek i zmysłowy pępek. Jakże pragnąłem go polizać.

Z wyostrzonym apetytem na Desiree przystąpiłem do opracowania planu. Sforsowanie drzwi do domu nie przedstawiało większych trudności. Reardonowie

żyli od pierwszego do pierwszego i nie mogli sobie pozwolić na system alarmowy.

Do sypialni Reardonów przechodziło się korytarzem koło pokoju Desiree. Z łatwością uciszyłem jej rodziców, bez zabijania. Bob mnie nie interesował, ale chciałem, żeby wiedział, kto go pozbawił życiowej mocy. Bogowie nie powinni działać anonimowo. Zakleitem mu usta, unieruchomiłem taśmą ręce i nogi w kostkach, po czym ułożyłem go na boku, żeby widział, jak sobie poczynam z jego żoną. Po związaniu i zakneblowaniu Margaret zdarłem z niej ubranie. Potem zostawiłem ich swemu losowi, albo raczej dałem czas na refleksję nad nim, i poszedłem do pokoju Desiree.

Obiekt mego pożądania spoczywał pod cienkim prześcieradłem, które zakrywało go ledwie do pasa. Ze względu na upał dziewczyna miała na sobie tylko majteczki i cienki bawełniany top, odsłaniający częściowo jej jędrne piersi i uwydatniający napięte sutki. Chciałem, żeby doświadczyła czystej grozy, jedynej stosownej reakcji śmiertelnika w obliczu boga. Zbliżyłem się do niej niepostrzeżenie. Potem zapieczętowałem jej usta dłonią w rękawicy. Raptownie otworzyła oczy i wbiła we mnie pełen przerażenia wzrok. Reakcja bardzo mnie usatysfakcjonowała. Ciało Desiree wygięło się w łuk, jak porażone prądem elektrycznym. Szybko ją skrępowalem. Nie była duża i nie mogła się mierzyć z moją nadprzyrodzoną siłą. Powściągnąłem natychmiastowe pobudzenie, rezygnując z bezzwłocznego zaspokojenia, by zbytym pośpiechem nie pomniejszyć intensywności doznań, jakie nas czekały.

Obdarzywszy pieczyotami wiele części ciała nagiej Desiree, opuściłem ją, by wrócić do jej rodziców. Na oczach Boba niespiesznie rozczłonkowałem jego żonę. Szarpał się i łkał cały czas. Ona krzyczała, w miarę jak ból rósł. To było cudowne przeżycie, w pełni satysfakcjonujące jako preludium do głównego dania. Utrzymując Margaret na krawędzi życia i śmierci, lecz wciąż przytomną, skierowałem uwagę na jej męża. Rozwierając szeroko oczy, słuchał mojej opowieści o podróży, czekającej go na następnym poziomie istnienia. Tłumaczyłem mu, że każdym narodzinom towarzyszy ból, i dlatego ból stanowi nieodzowny element fazy przekroczenia, którego właśnie teraz dokona.

Mój nóż odznaczał się nienaganną ostrością, a ja posługiwałem się nim z wielką precyzją i bez pośpiechu. Żadnego nacięcia nie powstydziłby się najwprawniejszy chirurg. Bob zachował świadomość nawet po tym, jak otworzyłem mu brzuch. Wciąż krzyczał, gdy zaczęłem usuwać jego organy wewnętrzne. Dopiero gdy ścisnąłem w dłoni jego bijące serce, odszedł z tego życia do innego.

Wróciłem do Margaret. Ona przekroczyła granicę szybciej, nie dając mi tyle

zadowolenia. Wymknęła się, ledwie wyczerpalem może jedną czwartą jej energii mentalnej. W pokoju stał fotel, postanowiłem na nim usiąść, by dojść do siebie. Rozmyślałem o swoim dziele, o tym, jak Bob i Margaret pożegnali się z życiem i powitali śmierć, wkrótce jednak dała o sobie znać moja ziemską powłoka. Po tylu trudach byłem wyczerpany i głodny. Nie chciałem w tym stanie przystępować do najbardziej fascynującej fazy mej przygody. Udałem się korytarzem, by sprawdzić, jak miewa się moja Desiree. Zza drzwi dobiegło mnie bezsilne szlochanie. Prawdopodobnie usiłowała uwolnić się z więzów, co ku jej rozpaczy okazało się niemożliwe. Płacz umilkł gwałtownie w chwili, gdy wszedłem do pokoju. Zesztywniała ze strachu. Od progu poddałem ją starannym oględzinom, prześwietlając moimi wszytkowidzącymi oczami wszelkie wypukłości i zagłębienia jej ciała. Potem pogłaskałem ją po czole i powiedziałem, że wrócę niebawem. Ucałowawszy ją w policzek, wyszedłem, by udać się do kuchni. Umierałem z głodu i modliłem się w duchu, by Reardonowie lubili sobie podjadać. Szczęście mi dopisywało. W głębi lodówki odkryłem karton mleka i kawałek szarlotki.

Maxfield czytał, nie odrywając wzroku od kartek, ale co jakiś czas podnosił oczy, by ocenić reakcję kogoś z kursantów. Na ich twarzach malowały się różne emocje, oscylujące między fascynacją i grozą. Terri podczas lektury pobladła, a kiedy Maxfield doszedł do przekąski, jaką zabójca się poczęstował w kuchni ofiar, omal nie zwymiotowała.

– Jakież uwagi? – zwrócił się do grupy, doczytawszy do końca.

Struchlała Terri starała się zapanować nad sobą, byle tylko nie zdradzić, co czuje.

– To było bardzo... odrażające – pierwszy odważył się Harvey Cox. – Znaczy, jeśli autorowi chodziło o to, żeby mnie przyprawić o mdłości, no to mu się udało.

– Dlaczego jemu? – spytał Maxfield.

– Autor musi być mężczyzną – odparł Cox, zerkając spod oka na siedzącego naprzeciw Brada Dorrigana. – Kobiety tak nie piszą.

– To nieprawda – zaprotestowała Lori Ryan. – U niektórych współczesnych pisarek można znaleźć równie makabryczne sceny.

– Wróćmy do twego komentarza, Harvey – powiedział Maxfield. – Czy to naprawdę było odrażające? Czy autor opisuje mordy z detalami, czy pozostawia szczegóły wyobraźni czytelnika?

Lois Dean podniosła rękę.

– Lois?

– Zanim coś powiem, chciałabym zaznaczyć, że nie lubię takich książek. Nie czytam ich, więc nie będę obiektywna. Ale rozumiem, o co ci chodzi. Jest tu kilka plastycznych obrazów, lecz większości trzeba się domyślać.

– Czy to dobrze, czy źle? – spytał Maxfield.

– Chyba dobrze – odezwała się Mindy Krauss. – Jak w *Psychozie*. Tak naprawdę nie widzimy Normana Batesa, jak zabija tę kobietę pod prysznicem, jednak mamy wrażenie, że to właśnie było widać. Hitchcock odwołuje się do naszej wyobraźni.

Maxfield przytaknął i skierował wzrok na Terri Spencer.

– A co ty o tym sądzisz, Terri? Więcej szczegółów czy mniej szczegółów? Wolisz, jak pisarz dopowiada wszystko do końca czy jak zmusza cię do współuczestnictwa w swoim zmyślonym świecie?

Terri musiała zmobilizować wszystkie siły, żeby nie wybiec z pokoju z krzykiem, ale udało jej się dotrzeć do końca zajęć, a nawet odpowiedzieć w miarę sensownie na jedno lub dwa zadane jej pytania.

W monotonnym gwarze nieco wymuszonej dyskusji Terri starała się ogarnąć sytuację. Próbowwała sobie wmówić, że zbieżność opisu była przypadkowa, choć wiedziała, że to niemożliwe. Mleko i tort, mleko i szarlotka. To nie zbieg okoliczności. Istniało jedno logiczne wytłumaczenie. Niektórzy pisarze sięgali po rzeczywiste fakty, żeby przydać tworzony na ich podstawie fikcji więcej autentyczności. Może autor opisu przeczytał gdzieś w prasie o zabójcy podjadającym w jej kuchni i wykorzystał ten wątek właśnie ze względu na jego okropność. Na moment Terri poczuła ulgę. Zaraz jednak ożyły w pamięci prasowe relacje z tragedii w ich domu. Nie przypominała sobie żadnej wzmianki o podjadaniu. Czy policja zataiła tę informację? Musi to sprawdzić.

I kto to napisał? Była prawie pewna, że nie Lois Dean. Ta pracowała nad historyczną powieścią opartą na zapiskach z epoki, oznajmiła zresztą, że nie lubi epatujących dosłownością historii o seryjnych mordercach. Mindy Krauss i Lori Ryan tworzyły razem kryminał, a koszmarna scena nie wytrąciła Lori Ryan z równowagi. Znała nawet pisarki specjalizujące się w tego typu makabrze. Terri widziałyby raczej w roli autora któregoś z mężczyzn. Harvey Cox twierdził, że pisze science fiction. Pozostawał Brad Dorrigan.

Po zajęciach Terri zaczęła na programistę. Miał druciane okulary i dość niechlujnie rozczochrane włosy. Był też chudy i niewysoki, jak się Terri wydawało, znacznie niższy i mniej umięśniony niż zabójca, którego opisała Ashley.

– Ciekawe zajęcia – zagaiła Terri.

– Spodziewałem się czegoś więcej – prychnął pogardliwie Dorrigan. – Zakładałem, że będziemy omawiać teorię na o wiele wyższym poziomie. Źródła naszych pomysłów... brednie! Może i Maxfield wyprztykał się na tym jednym dziele, jak mówią krytycy.

Terri zdawała sobie sprawę, że druga powieść Joshuy zebrała kiepskie recenzje i poniosła całkowitą klępkę w sprzedaży. Sama nie oceniała jej aż tak źle, choć na pewno *Studni życzeń* daleko było do *Turysty w Babilonie*. Po opublikowaniu debiutu Joshua Maxfield został okrzyknięty nowym głosem swego pokolenia. W rok po ukazaniu się jego drugiej książki mało kto w ogóle o nim wspominał.

– A co myślisz o tym fragmencie, który czytał Maxfield? – spytała Terri.

– No i mówić tu o zalewie totalnego gówna. Przez takie śmiecie ginie literatura. Wydawcy nie chcą już czytać niczego z jakimiś ambicjami, głębią czy charakterystyką postaci. Wszyscy równają do dna. Jak poćwiartujesz nagą kobietę, dadzą ci milion dolarów, ale napisz tylko coś o ludzkiej duszy, o sensie człowieczeństwa... zapomnij o tym. Pokażę ci parę listów od tych kretynów z Nowego Jorku. Myślisz, że Camus, Sartre czy Stendhal znaleźliby dzisiaj jakiegoś wydawcę?

Terri zdobyła się na wymuszony śmiech.

– Czyli, że ta krwawa jatka to nie twoje dzieło?

– Nie użyłbym tego paskudztwa do podcierania tyłka – oświadczył Dorrigan z odrazą.

Terri dogoniła Lori Ryan i Mindy Krauss na parkingu.

– Jak wam się podobały pierwsze zajęcia? – spytała.

– Wspaniale – odparła Mindy. – Porobiłam tyle notatek, że aż mnie ręka rozboleła.

– Niesamowity z niego nauczyciel – nie posiadała się z zachwytu Lori.

– Czy przypadkiem to nie waszą powieść czytał Maxfield?

Kobiety się roześmiały.

– Nasza dzieje się w kółku brydżowym – poinformowała ją Mindy.

– Ktoś morduje członków i przypina karty do zwłok – uzupełniła Lori.

– Intryga jest sprytnie skonstruowana – dodała Mindy. – Jeśli ktoś ma w ręku...

– Nie mów zakończenia – przerwała jej Lori. – Popsujesz jej całą przyjemność.

– Masz rację – westchnęła Mindy z żalem, że nie może ujawnić finezyjnego zakończenia.

Terri się z nimi pożegnała i wsiadła do samochodu. W momencie gdy

uruchamiała silnik, dojrzała wychodzącego Maxfielda. Z teczką w ręku beztrąsko zmierzał swobodnym krokiem w stronę swego domku. Terri znów zrobiło się niedobrze. Miała już prawie pewność, że żaden z członków grupy nie jest autorem cytowanego fragmentu. Maxfield jej mówił, że za opłatą pisze recenzje niewydanych książek. Ten rozdział mógł pochodzić z takiej nadesłanej mu do oceny pracy. Maxfield powiedział też, że sam pracuje nad nową książką. No i mieszkał na terenie szkoły. Terri spojrzała w stronę internatu Ashley. Najchętniej z miejsca zabrałaby córkę daleko stąd, ale Ashley tak dobrze się tu czuła. Jeśli ją zabierze, będzie musiała tłumaczyć, dlaczego, a to może przekreślić wszelkie postępy w procesie zdrowienia córki. Nie, uznała Terri, trzeba najpierw dokładniej zbadać sprawę. Jako dziennikarka wiedziała, jak się idzie za tropem, żeby odtworzyć jakąś historię. Umiała zbierać fakty do kupy.

Wydział Śledczy Komendy Policji w Portlandzie mieścił się na trzynastym piętrze nowoczesnego szesnastopiętrowego wieżowca Urzędu Sprawiedliwości położonego po drugiej stronie parku, naprzeciw gmachu sądów Multnomah County Courthouse. Każdy inspektor dysponował własnym boksem do pracy oddzielonym od reszty biura przepierzeniami nieprzekraczającymi półtora metra wysokości. Larry Birch, zawiadomiony przez recepcjonistkę o pojawieniu się Terri Spencer, wyszedł jej na spotkanie i poprowadził do swojej dziupli.

– Proszę usiąść – rzekł, wskazując krzesło obok biurka, zavalonego raportami, korespondencją i wewnętrznymi rozporządzeniami. W rogu stała fotografia Bircha z żoną i dwójką dzieci.

– Jak się pani czuje, pani Spencer? – spytał, kiedy Terri zajęła już miejsce.

– W porządku – odpowiedziała, ale Birch jej nie uwierzył. Wydało mu się, że wygląda blado i mizernie, a zachowuje bardzo nerwowo.

– Jak się miewa Ashley?

– Świetnie. Chodzi do nowej szkoły, Oregon Academy. Uznałam, że zmiana, nowy początek w nowym miejscu, dobrze jej zrobi.

– To chyba niezły pomysł. I co, podziałało?

– Rok szkolny zaczyna się dopiero jesienią, a teraz Ashley pracuje jako instruktorka w szkółce piłkarskiej tam, na miejscu, uczy małe dzieci. Sądzę, że sprawia jej to przyjemność.

– Jest, o ile pamiętam, w czołówce zawodniczek?

– W czołówce stanowej. Już kilka college'ów jest nią zainteresowanych.

– No to znakomicie.

Podczas tej wymiany zdań Terri nie przestawała kręcić się nerwowo na krześle. Birch czekał cierpliwie, aż powie, z czym do niego przysła.

– Zastanawiałam się, czy są jakieś postępy w śledztwie. Czy macie już jakieś pojęcie, kto... – głos uwiązł jej w gardle. Wciąż zbyt trudno było jej myśleć o tym, co stało się z jej mężem.

– Będę z panią szczery, pani Spencer, poczyniliśmy pewne postępy, ale nadal nie zanoszą się na żadne aresztowanie.

– Czyli?

– Poprosiliśmy FBI o pomoc, i to rzeczywiście coś dało.

– Co?

Birch się zawahał. Potem spojrział Terri prosto w oczy.

– Pani jest dziennikarką, prawda?

– Nie wtedy, gdy chodzi o morderstwo mojego męża.

Birch kiwnął głową.

– No dobrze. Tylko proszę mi obiecać, że zachowa pani to, co jej powiem, wyłącznie dla siebie.

– Oczywiście.

– FBI uważa, że zabójca pani męża i Tani Jones w ciągu kilku ostatnich lat popełnił zbrodnie w innych stanach.

– Seryjny morderca?

– Ich zdaniem tak, choć nie mają pojęcia, kim jest.

– Na jakiej podstawie twierdzą, że to seryjny morderca? Co na to wskazuje?

– Zabójca użył taśmy samoprzylepnej zamiast sznurka do krępowania ofiar. FBI ustaliło, że taśma wykorzystana we wszystkich przypadkach pochodzi od tego samego producenta, a próbki z miejsc zbrodni w Michigan i Arizonie idealnie do siebie pasują. Z oczywistych powodów nie informujemy o czymś takim opinii publicznej.

– Jest jeszcze coś, czego nie ujawniacie? – spytała Terri. Zachowanie w miarę obojętnego tonu kosztowało ją sporo wysiłku.

– Czemu pani o to pyta?

– Nie chciałabym się z czymś nieumyślnie wygadać.

– Wie pani, że zabójca zjadł u pani w domu kawałek tortu czekoladowego?

Terri przytaknęła.

– Zjadł też kawałek placka podczas mordu w Connecticut.

Terri czuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Odwróciła wzrok.

– Czyli nikt oprócz prowadzących śledztwo nie wie o tym podjadaniu u nas w domu? Nie ujawniliście tej informacji?

– Zgadza się.

– A w Connecticut też trzymają to w sekrecie?

Birch kiwnął głową.

– Gdzie doszło do tych morderstw?

– Zaczęły się w Nowej Anglii pięć lat temu. Potem było jeszcze kilka w innych częściach kraju – Birch wymienił miasta.

– Jak... jak on to robi?

– Tak jak w pani domu, pani Spencer. Zawsze wchodzi w grę nastoletnia córka. Morduje dorosłych i gwałci córkę, po czym ją też zabija. Ashley miała ogromne

szczęście. Jest jedyną osobą, która przeżyła taką napaść.

Ashley została dłużej po zajęciach z uczestniczkami obozu, żeby poćwiczyć z jedną z siódmoklasistek manewrowanie. Dziewczynka była dobra, a miała szansę stać się jeszcze lepsza, bo nie zaniedbywała techniki. Matka podopiecznej Ashley czekała cierpliwie przez dodatkowe dwadzieścia minut. Kiedy trening dobiegł końca, podziękowała Ashley za to, że zechciała poświęcić jej córce swój czas. Miło było słyszeć takie ciepłe słowa. Wychodząc z sali, Ashley zastanawiała się, czy woli zawodowo trenować zawodniczki, czy uczyć dzieci podstaw, dopóki męski głos nie wyrwał jej z zamyślenia.

– Jesteś Ashley, prawda?

Podniosła wzrok. Przed nią stał Joshua Maxfield. Miał na sobie podkoszulek i sportowe spodenki i ociekał potem jak po treningu.

– Mam nadzieję, że nie przerwałem jakichś istotnych rozważań – rzekł. – Wyglądałaś na pogrążoną w transie.

Ashley się zarumieniła.

– Nic się nie stało – mruknęła.

– Jestem Joshua Maxfield. Uczę sztuki pisania. Poznaliśmy się, kiedy dyrektorka oprowadzała cię z matką po terenie szkoły.

– Pamiętam.

Maxfield obdarzył ją serdecznym uśmiechem.

– Twoja mama zapisała się na moje warsztaty. Powiedziała, że przechodzisz do naszej szkoły.

Ashley przytaknęła.

– Znakomicie. Mam nadzieję, że pomyślisz o moich lekcjach. Praca twojej matki jest bardzo dobra. A ty też próbujesz swoich sił w pisaniu?

– Niezupełnie. Znaczący, piszę wypracowania w szkole, ale tak na własną rękę to nie. Piłka zajmuje mi mnóstwo czasu przez cały rok.

– Rzeczywiście. Przecież pracujesz jako instruktorka z dziećmi. Musisz być niezła. Nasze dziewczęta mają dobrą drużynę, prawda?

– O tak. Dwa razy z rzędu zdobyły mistrzostwo stanu.

– Dołączysz do nich?

– Nie wiem. Mam nadzieję.

– Na pewno – powiedział Maxfield z uśmiechem. – No, biegnę pod prysznic. Miło było znowu cię zobaczyć.

Terri została wprowadzona do gabinetu Casey Van Meter tuż po czwartej. Dyrektorka miała na sobie szyty na miarę czarny kostium z jedwabiu, a nieskazitelny makijaż i fryzura dopełniały wrażenia elegancji doskonałej.

– Usiądź, proszę, Terri. Tak się cieszę, że wpadłaś. Dochodzą mnie same słowa uznania na temat Ashley.

– Dziękuję. Świetnie się tu czuje. Mieszkanie w internacie z dziewczętami i praca z dziećmi zdziałały cuda.

– Miło mi to słyszeć. A zatem, co cię do mnie sprowadza?

– Chciałam porozmawiać o jednym z nauczycieli, ale wolałabym, żeby on się nie dowiedział o moim śledztwie.

– Śledztwie? To chyba poważna sprawa.

– Tak, poważna. Zanim jednak przystąpię do rzeczy, chciałabym wiedzieć, czy mogę liczyć na twoją pełną dyskrecję.

– Nie jestem pewna, czy mogę ci to w ciemno obiecać. Dobro naszych uczniów musi stać na pierwszym miejscu.

Terri stała przed dylematem: przyrzekła inspektorowi Birchowi, że zachowa dla siebie jego rewelacje, ale potrzebowała informacji o Joshui Maxfieldzie, których, być może, udzieliłaby jej dyrektorka.

– Jestem w głupiej sytuacji – powiedziała tonem usprawiedliwienia. – Ktoś należący do waszego grona pedagogicznego wzbudził moje podejrzenia, wolałabym jednak nie mówić od razu, o co chodzi, żeby ta osoba nie ucierpiała, gdybym się myliła.

– O kim mówimy?

– O Joshui Maxfieldzie. Muszę się dowiedzieć, czy w jego przeszłości nie ma jakichś... ciemnych kart.

Dyrektorka westchnęła, chyba nawet z pewną ulgą.

– No tak, sama byś to pewnie odkryła przy odrobinie trudu, ale nie chcę, żebyś doszła do wniosku, że próbujemy coś ukryć. Joshua nie odszedł z poprzedniej pracy na własną prośbę. Został do tego zmuszony.

– Co zaszło?

– Jego pierwsza książka odniosła niebywały sukces, za to druga zrobiła klapę, i to zarówno w ocenie krytyków, jak i finansową. No i Joshuę dopadł wyjątkowo paskudny przypadek twórczej niemocy. Dostał zaliczkę na następną powieść, ale

tak się zablokował, że nie był w stanie pisać. Jakiś koncertem wykupił jego wydawcę. Nowi właściciele zażądali od Joshuy wywiązania się z umowy albo zwrotu pieniędzy. On, niestety, już je wydał. Rozpaczliwie potrzebował posady. W Eton College szukali nauczyciela sztuki pisania. Złożył podanie. Jego nazwisko wciąż się bardzo liczyło w środowisku akademickim, lecz Joshua o tym nie wiedział i wpadł na bardzo niefortunny pomysł.

– Co zrobił?

– Podrasował swój życiorys. Zupełnie niepotrzebnie, ale on wtedy nie rozumował jasno. Napisał, że uzyskał tytuł magistra sztuk pięknych na uczelni w Iowa, mimo że naprawdę spędził tam tylko semestr.

– Jak się szkoła o tym dowiedziała?

– Joshua żył w strasznym napięciu z powodu tej zaliczki. Wydawca groził mu wystąpieniem na drogę sądową. Joshua zaczął pić i nawalać. Miał depresję, nie pisał, wszystko naraz. Opuszczał zajęcia. Potem ten incydent ze studentką...

– Jaki incydent?

– Twierdziła, że zaproponował jej dobrą ocenę na egzaminie za przespanie się z nim. W trakcie dochodzenia wyszły na jaw nieścistości z życiorysu. Postawiono go przed alternatywą: albo sam się zwolni, albo zostanie wyrzucony.

– Czemu go zatrudniliście, skoro wiedzieliście o tym wszystkim?

– Joshua zjawił się u nas w rok czy coś koło tego po odejściu z tej uczelni w Nowej Anglii. Otwarcie opowiedział o wszystkich swoich problemach w Eton. Przyznał się do próby uwiedzenia owej studentki. Tłumaczył, że zrobił to pod wpływem alkoholu i przygnębienia, bo był załamany kolejnym listem od prawnika na temat zaliczki. Uznaliśmy, że z pisarzem tej miary co Maxfield warto zaryzykować. O ile mi wiadomo, jak dotąd nie zawiódł naszego zaufania.

– Ja się martwię o coś znacznie poważniejszego niż naciągany życiorys.

– A dokładnie? – dociekała wyraźnie zbita z tropu Casey.

Terri się zawahała. Wiedziała, że nie dysponuje niepodważalnymi dowodami.

– Czy to, co powiem, zostanie między nami?

– Zgoda, ale tylko dlatego, że muszę wiedzieć, czy nie istnieje jakieś zagrożenie dla naszych uczniów.

– Chodzę na warsztaty dla pisarzy amatorów prowadzone przez Joshuę Maxfielda. Każde z nas ma przedłożyć próbkę swojej pracy. On co tydzień czyta fragment takiego utworu, żebyśmy go potem wspólnie omawiali.

– No i? – niecierpliwiła się Casey.

– Na pierwszych zajęciach Maxfield przeczytał nam coś wstrząsającego. Tekst

był napisany w pierwszej osobie. Szczegółowa relacja seryjnego mordercy, jak gwałci i ćwiartuje dziewczynę, rówieśnicę Ashley, i jej rodziców. To było potworne i bardzo realistyczne.

– Rozumiem, że to cię poruszyło, ale...

– To mógł napisać tylko ktoś chory.

– Joshua jest pisarzem, Terri. Na każdej liście bestsellerów znajdziesz książkę o jakimś seryjnym zabójcy. Uważasz, że ci autorzy są mordercami?

– Nie rozumiesz. Maxfield opisał pewne rzeczy, które miały miejsce w moim domu, a których policja nigdy nie podała do publicznej wiadomości.

Na twarzy Casey malowało się coś pośredniego między wzburzeniem a rozbawieniem, jakby nie była pewna, czy nie padła właśnie ofiarą jakiegoś psikusa. Terri spoglądała na nią pośpiesznie.

Opowiedziała dyrektorze o podjadaniu w kuchni. Casey słuchała z uwagą, a na koniec pokręciła głową.

– To mnie nie przekonuje. Skąd wiesz, że Joshua czytał coś, co sam napisał?

– Wiem, że nie napisał tego nikt z kursantów. Rozmawiałam ze wszystkimi. No i mówił mi, że pracuje nad nową książką.

– Tak, ale... – Casey urwała. Znów potrząsnęła głową. – Bardzo trudno mi w to uwierzyć. Znam Joshuę...

– Tak ci się wydaje. Czytałam o psychopatologii seryjnych zabójców. Ludzie sądzą, że łatwo rozpoznać kogoś, kto byłby zdolny do... kto zabił mego męża i napadł na dwie bezbronne nastolatki. A przecież nikt nie ma tego wypisanego na twarzy. Ann Rule pracowała razem z Tedem Bundym w gorącej linii dla ofiar gwałtu w Seattle, mając w kieszeni umowę na napisanie książki po wykryciu sprawcy mordów, które on właśnie popełniał. Nawet nie podejrzewała, że przyjaźni się z człowiekiem, który będzie bohaterem jej pierwszego bestsellera. A pomyśl, jak zazwyczaj reagują sąsiedzi na wieść o tym, że mieszkali obok kogoś takiego, jak John Wayne Gacy. W głowie im się nie mieści, że ten miły facet, z którym ucinali sobie banalne pogawędki o pielęgnacji trawnika albo o ulubionych programach telewizyjnych, okazał się potworem.

– Może i masz rację, lecz jestem pewna, że mylisz się co do Joshuy.

– A ta sprawa ze studentką w Eton?

– On jej nie zamordował, Terri. Zrobił jej nieprzyzwoitą propozycję. To nie ma nic wspólnego z seryjnym zabijaniem.

– Więc skąd wiedział o tym podjadaniu?

Casey przypomniała sobie, co Maxfield odpowiedział na jej pytanie o

podkładanie bomby w samochodzie.

– On pisze powieści. Zmyśla. Tworzy. Zarabia na życie, wymyślając rzeczy, na które my byśmy nigdy nie wpadły, bo brak nam jego wyobraźni.

– Nie, nie dam sobie tego wmówić. Zbyt wielki zbieg okoliczności.

Casey zamilkła. Wyglądała na zmartwioną.

– Czemu przyszedł z tym do mnie, Terri? Załóżmy, że masz rację, że Joshua zabija. Czego oczekujesz ode mnie?

– Masz dostęp do teczek osobowej Maxfielda. Były inne, podobne morderstwa w Nowej Anglii, na Midweście, w Montanie i Idaho. Może w tych papierach coś jest.

Casey spojrzała na Terri z troską.

– Przeżywasz to tak bardzo, że chyba nie przemyślałaś tego do końca. Czy mówiłaś policji o swoich podejrzeniach?

– Nie.

Casey zaczerpnęła powietrza.

– Dzięki Bogu. Wyobraź sobie, jak by to zaszkodziło naszej szkole, gdyby jeden z nauczycieli został niesłusznie posądzony o jakiekolwiek przestępstwo, nie mówiąc już o mordowaniu dzieci w wieku naszych uczennic.

– Nie mam zamiaru z nikim o tym rozmawiać, dopóki nie będę miała pewności. Dlatego przyszedłam z tym do ciebie. Daj mi zajrzeć do jego teczek...

– To wykluczone.

– Więc sama ją przejrzyj. Skoro wiesz, czego szukamy, może natrafisz na coś, co przedtem wydawało ci się nieistotne, a teraz nabierze całkiem innego znaczenia.

Po chwili wahania Casey podjęła decyzję.

– Dobrze. Widzę, jak bardzo się tym przejmujesz. Przejrzę jeszcze raz jego dane. Powiem ci, jeśli coś znajdę. Ale musisz mi obiecać, że nie posuniesz się dalej bez niezbitych dowodów. Jeśli chodzi o szkołę i Joshuę, to straty byłyby niepowetowane.

– Nie chcę nikomu niewinnemu wyrządzić krzywdy, ale jeżeli to Joshua Maxfield zabił mego męża, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby trafił do więzienia.

*

Po drodze do domu Terri co chwila opadały fale zwątpienia. Czy nie wyciągała zbyt pochopnych wniosków wyłącznie na podstawie utworu literackiego? Czy miała prawo złamać obietnicę daną Larry'emu Birchowi? Czy to, że zdradziła Casey Van Meter tajemnicę podjadającego mordercy, odbije się na policyjnym

dochodzeniu? Czy nie należałoby natychmiast zabrać Ashley z tej szkoły? Jeśli Joshua Maxfield jest seryjnym zabójcą, jej córce grozi straszliwe niebezpieczeństwo.

Telefon rozdzwijał się zaraz po otwarciu drzwi do domu. Terri pobiegła do kuchni i podniosła słuchawkę przy piątym sygnale.

– Terri, dzięki Bogu, że cię złapałam – powiedziała Casey Van Meter. W jej urywanym głosie słychać było napięcie.

– Co się stało?

– Muszę z tobą porozmawiać. Przejrzałam teczkę Joshuy. Coś znalazłam.

– Co?

– Nie mogę teraz mówić. Czy możesz dziś wieczorem przyjechać do szkoły?

– Oczywiście.

– Nie chcę, żeby nas widziano w moim biurze. Czy wiesz, jak dojść do przystani?

– Nie.

– Jak miniesz główną bramę, to czterysta metrów dalej odchodzi w bok taki dojazd wysypany żwirem. Na końcu jest przystań i szopa na łodzie. Bądź tam o ósmej.

Terri miała już na ustach kolejne pytanie, lecz dyrektorka powtórzyła, że nie może teraz rozmawiać, i odłożyła słuchawkę. Terri opadła na krzesło przy kuchennym stole. Rozsadzała ją energia. Jeżeli Casey Van Meter odkryła coś, co ma ręce i nogi, pójdzie z tym do Bircha. Aresztowanie Maxfielda nie przywróci Normanowi życia, ale Ashley będzie bezpieczna, gdy morderca jej ojca znajdzie się w więzieniu. Terri spojrzała na zegarek. Dochodziła szósta. Za dwie godziny dowie się, czy udało jej się do tego przyczynić.

Ashley traktowała piłkę nożną poważnie już od podstawówki i nigdy nie szczędziła wysiłków, żeby osiągać najlepsze wyniki. Oprócz codziennych treningów w ramach szkoły piłkarskiej koło ósmej wieczorem zawsze biegała po terenach należących do szkoły. Zwykle towarzyszyła jej Sally Castle, lecz tego wieczoru zrezygnowała, tłumacząc się kłopotami z żołądkiem.

Ashley lubiła biegać krętymi leśnymi dróżkami w cieniu drzew, bo ich gęste korony zapewniały chłód nawet w upalne dni. Tym razem coś jeszcze dodawało sprężystości jej krokom. Po porannych zajęciach szkolny trener odciągnął Ashley na bok, żeby jej powiedzieć, że ma duże szanse na rozpoczęcie sezonu jesienno na pozycji środkowego napastnika. Ashley wiedziała, że jest lepsza od innych zawodniczek tej szkoły, ale miło było usłyszeć od trenera, że zostanie obsadzona w drużynie, jeśli tylko na to zasłuży.

W momencie największej euforii przypominała sobie, że ojciec już jej nie obejrzy w akcji na boisku. Od czasu pierwszej wizyty w Oregon Academy Ashley zaczęła z trudem wychodzić z depresji. Po wprowadzeniu się do internatu i rozpoczęciu pracy z dziećmi często czuła się wręcz szczęśliwa przez sporą część dnia. Miewała też i czarniejsze chwile, kiedy przypominały jej się stłumione krzyki Tani lub śmierć ojca. Niekiedy przeżywała te sceny nie jak wspomnienia, ale jakby się właśnie rozgrywały. Kręciło się jej w głowie, serce biło szybciej i oblewała się potem. Tylko siłą woli wyrывała się z otępiającej rozpacz.

Na myśl o ojcu od razu osłabła fizycznie, a oczy napełniły się łzami, a tego nie chciała. Mówiła sobie, że wiadomość o jej wejściu do zespołu zaliczanego do krajowej czołówki bardzo by ucieszyła Normana Spencera. Ślubowała poświęcić swój ostatni rok w szkole pamięci ojca.

Norman starał się chodzić na wszystkie mecze córki, ale miał kilka nieobecności. Zdarzyło się to po raz pierwszy, gdy Ashley była w drugiej klasie. Bardzo się wówczas denerwowała, dopóki Terri jej nie zapewniła, że ojciec zawsze jest z nią duchem, nawet jeśli nie dopinguje jej z trybun. Przez cały mecz Ashley czuła w sobie jego obecność, mobilizującą ją do maksymalnego wysiłku, który zaowocował trzema strzelonymi przez nią bramkami. Teraz znów wywołała z niebytu ducha Normana. Odetchnęła kilka razy głęboko, w miarę jak rosło w niej to ciepłe uczucie. Uśmiechnęła się, bo lęk ustąpił, a ojciec znów był z nią.

Dziewczyna przecięła dziedziniec i skierowała się w stronę dużego parkingu,

skąd brała początek jedna z tras. Przygasające słońce pstrzyło cieniami poszycie lasu, ramiona biegnącej muskał wietrzyk. Pachniało sosną i polnymi kwiatami. W ciągu paru minut Ashley złapała swój zwykły rytm, który niósł ją naprzód swobodnym i wyćwiczonymi krokiem.

Po chwili ścieżka skręciła równolegle do rzeki, tak że w prześwitach między drzewami widać było wodę. W otulającej to miejsce ciszy tylko sporadycznie rozbrzmiewały ptasie głosy. Kątem oka Ashley zauważyła jakiś ruch. Spojrzała w bok i zobaczyła Joshuę Maxfielda zmierzającego w kierunku przystani. Potem straciła go z oczu, bo las zgęstniał. Widok pana Maxfielda jej nie zaskoczył. Wszystkie dziewczyny wiedziały, że on mieszka w domku nad rzeką. Wiele z nich podkochało się w przystojnym pisarzu. Krążyły plotki o uwiedzionych przez niego panienkach, choć Ashley akurat powątpiewała w ich prawdziwość.

Przypomniała sobie teraz zachowanie matki, kiedy spotkały Maxfielda podczas oglądania kampusu. Jej reakcja zdumiała i zdenerwowała Ashley. Nie mogła znieść, że Terri okazuje zainteresowanie innemu mężczyźnie tak szybko po śmierci Normana, ale ludziom czasami odbijało w obecności sław, a pan Maxfield był sławnym pisarzem.

Przeraźliwy krzyk rozdarł nagle ciszę. Ashley zamarła w pół kroku. Kolejny krzyk zmusił ją do zawrócenia. Te dźwięki były niczym mgnienie ostatnich promieni słońca tuż przed zachodem, szkarłatnych i przejmujących, lecz gasnących w ułamku sekundy bez śladu. Las znowu pogrążył się w całkowitym milczeniu. Krzyki dobiegły zza pleców Ashley, od strony przystani. Wytężyła słuch w nadziei, że nastąpi jakiś ciąg dalszy, wyjaśnienie tego, co zaszło. Nie ruszała się z miejsca, walcząc z własnym przerażeniem, bo sumienie nie pozwalało jej zostawić tego, kto krzyczał, na łasce losu.

Wreszcie zdobyła się na to, by ruszyć w stronę przystani. Biegła czujnie, rozglądając się i nadśluchując. Kiedy między pniami drzew dostrzegła zarys drewnianego budynku, zrezygnowała ze ścieżki, by podkraść się bliżej na przełaj, przez las. Wzdłuż brzegu rzeki ciągnęła się wąska, zwirowana dróżka, która kończyła się przy wschodniej ścianie szopy. Południowa wychodziła na rzekę, zachodnia przylegała do lasu. W oknie od północy błyskało słabe światło.

Dziewczyna usłyszała wysoki ton przytłumionego przez ściany głosu. Skulona przemknęła do najbliższego okna i dopiero tu wyprostowała się na tyle, by zaryzykować zajrzenie do środka. Parapet pokrywała warstwa kurzu, a wewnątrz było ciemno. Światło latarki przesunęło się tam i z powrotem po podłodze obok jednego z trzymadeł na łodzi. Nikły blask wychwycił nogi i tułów kobiety opartej

bezwładnie o jedną z grubych dębowych belek podpierających strop. Kobieta się nie ruszała. Nad nią stał Joshua Maxfield.

Ashley wyrwał się zduszony okrzyk. Mężczyzna obrócił się w stronę okna. Trzymał w ręku duży myśliwski nóż z ząbkowanym ostrzem, ociekającym krwią. Wbił wzrok w szybę, w Ashley. Wyprostowała się. Maxfield zrobił krok do przodu. Jedna z podwieszonych na uchwytych motorówek zakołysała się.

Obok niej leżało drugie ciało.

Ashley rzuciła się do ucieczki. Słyszała łomot otwartych z impetem drzwi, które uderzyły o ścianę. Maxfield był szybki, ale nie dość szybki, by jej sprostać. Nie na darmo cały czas trenowała.

Ścigał ją świst odginanych i trzask łamanych gałęzi, towarzyszący przedzierającemu się przez las Maxfieldowi. Ashley uznała, że jedyny jej ratunek to dotrzeć do internatu. Tam był zawsze strażnik i inni ludzie. Zapadał zmrok, lada chwila zrobi się całkiem ciemno. Wyteżyła wzrok, udało jej się odnaleźć ścieżkę prowadzącą do głównej części kampusu. Wypadła z lasu i w szalonym pędzie pognąła drogą. Za zakrętem widać było parking. Zacisnęła zęby. Miała już naprawdę niedaleko do internatu. Jej adidasy głośno zabębniły o asfalt. Przecięła na ukos dziedziniec, wypatrując jakiejś ludzkiej istoty, ale na terenie przebywali przecież tylko instruktorzy i uczniowie ze szkoły piłkarskiej.

Gdy wyłoniła się zza rogu budynku z pracownikami przyrodniczymi, od internatu dzielił ją już tylko wąski parking. W chwilę potem wpadła w drzwi, wzywając pomocy. Strażnik zerwał się z miejsca i podbiegł do niej.

– Goni mnie. Ma nóż.

Strażnik chwycił Ashley za ramiona i spojrzał ponad jej ramieniem.

– Kto cię goni? – spytał.

Ashley odwróciła się. Za nią nie było nikogo.

Załamana się zaraz po tym, jak dotarło do niej, że już uciekła Maxfieldowi. Strażnik wezwał Laurę Rice, absolwentkę szkoły, zatrudnioną na lato w charakterze dyżurnej wychowawczynie. Krzyk Ashley ściągnął na dół Sally Castle i inne mieszkanki internatu. Dyżurna je wyprosiła, lecz Sally nie chciała opuścić swej współlokatorki. Rice uznała, że Ashley przyda się w takiej chwili przyjazna dusza, i zaprowadziła obie do swego pokoju.

– Powiedz, co się stało – zwróciła się do Ashley, gdy ta nieco się uspokoiła.

Dziewczyna opowiedziała o krzykach i o tym, co zobaczyła przez okno w szopie na łodzie.

– Jesteś pewna, że to Joshua Maxfield cię ścigał? – spytała Rice, starając się ukryć niedowierzanie, ze względu na przerażenie swej podopiecznej.

– Spojrzał mi w twarz przez szybę.

– Przecież było ciemno – powątpiewała Rice, wciąż nie bardzo widząc uroczego nauczyciela w roli mordercy.

– Pani Rice, Joshua Maxfield zabił tam dwie kobiety.

– No dobrze, nie mówię, że go tam nie było, ale...

– Widziałam go, jak szedł w stronę przystani, a po paru sekundach usłyszałam te krzyki. I trzymał w ręku nóż. Zakrwawiony. I gonił mnie.

Ashley znów wpadała w histerię. Rice uniosła rękę.

– Dobrze. Wierzę ci. Czy rozpoznałaś te kobiety?

– Nie. W środku panował mrok. Widziałam je zaledwie przez moment. Światło latarki nie doszło wyżej niż do pasa tej jednej kobiety, więc zobaczyłam tylko dół jej bluzki. Ta druga leżała na boku twarzą w przeciwnym kierunku. Tam już było całkiem ciemno. Rozróżniałam jedynie kształt ciała.

– Daj mi swój telefon do domu, Ashley.

Rice spojrzała na strażnika.

– Arthur, wezwij policję. Ja zadzwonię po panią Van Meter i matkę Ashley.

Rice wykręciła numer dyrektorki, ale jej nie zastała. Dyżurna zostawiła wiadomość na sekretarce i zadzwoniła z kolei do Terri Spencer. Ona też nie odbierała. Ashley słyszała, jak dyżurna zostawia kolejną wiadomość. Gdzie może być matka? Pewnie pracuje, pomyślała Ashley.

– Pójdę do wejścia poczekać na policję, chyba że wolisz, żebym z tobą została – odezwała się Rice.

– Nie, w porządku. Jest Sally.

Drzwi się zamknęły. Na chwilę zapadło niezręczne milczenie. Sally czuła się w obowiązku dotrzymać przyjaciółce towarzystwa, choć relacje z mordy w domu Spencerów, oglądane w telewizji, napełniły ją lękiem. Wpatrzyła się w ciemność za oknem pokoju dyżurnej.

Pierwszy wóz patrolowy dotarł po paru minutach. Po krótkiej rozmowie z Ashley umundurowany funkcjonariusz zorientował się, o co chodzi. Niedługo potem do Ashley zajrzał Larry Birch, który zatrzymał się tylko na chwilę w drodze do przystani.

Dziewczyny nadal czekały w pokoju dyżurnej, podczas gdy policja zabezpieczała ślady w szopie na łodzie i przeczesywała teren w poszukiwaniu

Joshuy Maxfielda. Po półgodzinie od wizyty Bircha drzwi do pokoju znów się otworzyły. Ashley podniosła wzrok z nadzieją, że ujrzy w nich matkę, ale ponownie wszedł inspektor. Postawił sobie krzesło obok Ashley. Wyglądał jak człowiek przytłoczony strasznym ciężarem.

– Muszę ci zadać pewne pytanie – rzekł.

– W porządku.

– Była wczoraj u mnie twoja matka. Bardzo podenerwowana. Czy wiesz, dlaczego do mnie przyjechała?

– Nie, nie wiedziałam nawet, że się widzieliście.

– W porządku – Birch zaczerpnął tchu. – Obawiam się, że mam dla ciebie bardzo złą wiadomość.

– Czy pan Maxfield uciekł? – spytała Ashley, nie godząc się na wzięcie pod uwagę drugiej możliwości, która jej przyszła na myśl i którą natychmiast odrzuciła, żeby nie popaść w obłąd.

– Nie znaleźliśmy go na terenie szkoły i brakuje też jego samochodu. Rozesłaliśmy za nim listy gończe. Daleko nie ucieknie.

– To dobrze.

Birch ujął dłonie Ashley w swoje i spojrzał jej w oczy. Ashley usiłowała powstrzymać wszystkie swoje myśli w biegu.

– Wiemy, kim były te kobiety na przystani.

Ashley stężała.

– Jedna z nich to Casey Van Meter.

– Czy ona... czy...?

– Żyje, ale jest nieprzytomna. Zawieźliśmy ją do szpitala.

– A ta druga? – spytała Ashley. Słyszała swój własny głos z oddali, jakby ktoś zadał to pytanie z innego pokoju.

– Ona nie żyje, Ashley.

Ashley nie zrozumiała już ani słowa z tego, co mówił Birch. Pokój zawirował wokół niej i straciła przytomność.

Birch przewidział, że dziewczyna może zemdleć, i zawczasu sprowadził lekarza, który się nią zajął. Wszyscy pozostali czekali pod drzwiami. Po odzyskaniu przytomności Ashley nie mogła przestać płakać. Doktor dał jej środek uspokajający i odprowadził do pokoju. Inspektor poszedł z nimi na piętro. Zaczekał, aż dziewczyna się położy. Biedny dzieciak, myślał. Jak można zgotować komuś taki los.

Zostawił Ashley pod opieką lekarza, gdy tylko pod jej drzwiami zjawiała się ochrona. Terri Spencer zadźgano nożem, tak jak ofiary zbrodni w domu Spencerów. Birch umiarkowanie wierzył w zbiegi okoliczności. Jeśli to Maxfield wdarł się wtedy do domu Spencerów, to znaczy, że udało mu się już zabić wszystkich członków rodziny oprócz Ashley. Birch nie miał pojęcia, co go mogło pchnąć do tak potwornego czynu – w końcu nikt nie mógł zagwarantować, że w ogóle istniał jakiś racjonalny powód – ale postawił policjanta na straży, w razie gdyby Maxfield ponowił próbę zamachu na życie dziewczyny.

W holu czekał policjant przysłany przez Tony'ego Marksa, partnera Bircha. Poprowadził inspektora ścieżką wiodącą w dół rzeki. Dzięki rozstawionym wokół halogenom było jasno jak w dzień. Birch widział już przedtem makabryczny widok w szopie na łodzie. Matka Ashley padła ofiarą krwiożerczej furii. Dopiero po sekcji zwłok będzie wiadomo, ile ran odniosła Terri, bo nie dało się ich zliczyć na oko.

Casey Van Meter nie miała żadnych ran kłutych. Otrzymała potężny cios w szczękę, który rzucił ją na słup podpierający strop. Uderzyła weń tyłem głowy, i dlatego leżała nieprzytomna, gdy Ashley odwróciła uwagę Maxfielda i zmusiła go do ucieczki. Próby ocucenia Casey nie przyniosły rezultatu, więc odwieziono ją do szpitala.

Towarzysz Bircha powiódł go teraz dalej. Po minucie doszli do kamiennego domku. Ścieżka biegnąca tuż nad wodą zaprowadziła ich na tyły domku, gdzie znajdował się drewniany taras. Inspektor wyobraził sobie, jak w tej sielankowej scenerii kontempluje piękny zachód słońca ze szklaneczką szkockiej w rękę. Maxfield już może się z tym pożegnać, kiedy go wreszcie przydybią.

Wnętrze okazało się całkiem schludne, choć widać było, że domek jest zamieszkały. W głównym pokoju brakowało telewizora, za to wszędzie walały się porozrzucane książki. Birch zerknął na parę tytułów. Rozpoznał kilka z czasów swoich zajęć z literatury na studiach. Zauważył też parę podręczników sztuki pisania. Nagle jakiś okrzyk oderwał go od lektury.

To Tony Marx dał znać o sobie. Ten pyzaty Afroamerykanin o włosach przyprószonych siwizną był starszy od Bircha o dziesięć lat. Od dawna pracował w policji i trudno go było czymś zaskoczyć, więc jego podekscytowanie wzbudziło tym większe zdziwienie Bircha.

– Larry, musisz na to popatrzeć – powiedział Marx, łapiąc partnera za ramię i ciągnąc go do pokoju przylegającego do małego korytarzyka. Wszystko wskazywało, że tu właśnie Maxfield pisał. W kącie pokoju tkwił wygodny fotel. Za nim stała lampa przy niskim stoliczku. Na stole leżało pióro, trochę kartek do

notatek i sterta papieru wyglądająca na maszynopis.

Okno wychodziło na rzekę. Pod nim znajdowało się biurko, na którym królował monitor komputera. Obok monitora leżał inny plik zadrukowanych kartek. Marx uśmiechnął się, widząc, dokąd pobiegło spojrzenie Bircha. Wręczył partnerowi takie same lateksowe rękawiczki jak te, które miał na rękach. Birch sięgnął po kartkę leżącą na wierzchu i zaczął czytać.

Z uśmiechem powitałem krzyk Marty. Beethovenowi nigdy nie udało się skomponować symfonii równie pięknych dźwięków. Ująłem krawędź jej ucha i ciąłem powoli, by przedłużyć jej mękę...

Birch podniósł oczy.

– Co to ma być, Tony?

Marx promieniał.

– Powieść Maxfielda. Nie omieszkał opatrzyć każdej strony swoim nazwiskiem, żebyśmy przypadkiem nie pomyśleli, że to dzieło jakiegoś innego psychologa. Doszedł dopiero do sto siedemdziesiątej strony, ale starczy tego, żeby go powiesić.

Marx wskazał kciukiem stos kartek na stoliku za jego plecami.

– Też w tym stylu. Pewnie to wcześniejsza wersja, bo jeszcze bez nazwiska. Rozpoznałem już kilka podobnych scen.

– Powiedziałeś przecież, że to powieść?

– No tak.

– Prokuratura nie może tego wykorzystać. obrońcy Maxfielda będą twierdzić, że to czysta fikcja.

Marx uśmiechnął się od ucha do ucha. Przypominał dziecko, które dostało właśnie od Mikołaja naprawdę znakomity prezent.

– Jeszcze nie usłyszałeś najlepszego. Rzuć no okiem na tę scenę.

Birch wziął kilka kartek. Na początku nic mu to nie mówiło. Dostyć odrażający opis, jedna z wielu powieściowych makabr. Kiedy morderca związał rodziców i ich nastoletnią córkę taśmą samoprzylepną, Birch poczuł mrowienie w żołądku. Wkrótce seryjny zabójca zszedł do kuchni. Birch doczytał do momentu, gdy tamten zaspokoił głód kawałkiem ciasta, które popił mlekiem.

– Mamy go – powiedział. Usta mimowolnie rozciągnął mu taki sam radosny uśmiech, jaki widniał na twarzy Tony'ego.

Potem przypomniał sobie Ashley Spencer i twarz mu zastygła w grymasie

ponurej zaciętości.

Ashley już nie spała, choć jeszcze jej nie minęło lekkie odurzenie po lekach. Inspektor Birch przepuścił w otwartych drzwiach starca wspartego na masywnej lasce, który podszedł, utykając, do łóżka Ashley. Miał ponad metr osiemdziesiąt i szerokie, spadziste ramiona. Za nim wyłoniła się męska wersja Casey Van Meter w wymiętoszonym garniturze i z przekrzywionym krawatem.

– Ashley – odezwał się inspektor. – To Henry Van Meter, ojciec pani dyrektor.

Henry Van Meter pokazywał się już wyłącznie na oficjalnych uroczystościach lub na przechadzkach po terenie szkoły, jeśli pogoda dopisywała. Przed wylewem, który omal nie skończył się dla niego tragicznie, miał jeszcze mnóstwo energii. Ashley widziała go parę razy z oddali, jak sunął z wolna alejkami kampusu, ciężko opierając się na lasce.

Objął ją teraz smutnym spojrzeniem błękitnych oczu zza grubych szkieł w staromodnych stalowych oprawkach. Miał śnieżnobiałe włosy i ziemistą skórę, obwisłą na linii szczęk. Ubrany był w brązowe sztruksowe spodnie i obszerny wełniany sweter, mimo że temperatura na zewnątrz dochodziła do trzydziestu stopni.

– A to – inspektor wskazał młodszego gościa – Miles Van Meter, brat pani dyrektor. Właśnie przyleciał z Nowego Jorku.

Miles skinął głową. Wyglądał okropnie.

– Panowie przyszli tu prosto ze szpitala, byli u pani dyrektor – dodał Birch. – Bardzo chcieli cię zobaczyć.

Żadnej reakcji ze strony Ashley. Birch czuł się paskudnie. Według relacji lekarza Ashley mówiła, że chce umrzeć. Birch zanosił modły, żeby pozbyła się tych myśli, i wściekał się, że ten miły dzieciak musi tak cierpieć.

– Chcieliśmy ci powiedzieć, jak bardzo przeżywamy twoją tragedię – rzekł Henry Van Meter. Mówił niewyraźnie, pozostałość wylewu.

Ashley odwróciła głowę, żeby nie widzieli jej łez.

– Jestem ogromnie zżyty z siostrą, podobnie jak ty byłaś zżyta ze swoimi rodzicami. Casey wprawdzie nie umarła, lecz równie dobrze mogłaby nie żyć. – Głos Milesa brzmiał ochryple, na granicy szlochu. – Lekarze mówią, że może się nigdy nie obudzić z tej śpiączki. Więc i ty, i ja straciliśmy najbliższe osoby w tym samym obłąkańczym akcie zbrodni.

Miles urwał, jakby słowa stanęły mu w gardle.

– Zrobimy dla ciebie wszystko, co w naszej mocy – włączył się Henry. – Musisz nam koniecznie powiedzieć, jeśli trzeba ci czegoś, co pomogłoby ci przetrwać ten koszmar.

– Dziękuję – mruknęła Ashley. Wierzyła w ich dobre intencje, ale chciała tylko, żeby ci ludzie wyszli już z jej pokoju.

Nie uszło to uwagi Bircha, więc dotknął ramienia Henry'ego.

– Lekarz mówił, że nie można jej przemęczać.

– Tak – zgodził się Henry. – Pójdziemy już. Ale uwierz w naszą szczerłość. Chcemy ci pomóc.

– Niech cię Bóg błogosławi – rzekł Miles, wychodząc.

Birch poczekał, aż drzwi się za nimi zamkną, po czym przysunął sobie krzesło do łóżka Ashley.

– Słyszałem od doktora Bostona, że mówiłaś o samobójstwie.

Ashley odwróciła wzrok i milczała.

– Pracuję w wydziale zabójstw, Ashley. Wiesz, co jest najgorsze w mojej pracy? – Birch zawiesił na moment głos, żeby dać Ashley czas na jakąś reakcję.

– Nie ciała ofiar ani nie ci złoczyńcy. Najgorsze są spotkania z ludźmi, którym kogoś zabito. Większość z nich odczuwa to samo co ty: że nie ma po co dalej żyć. Rozmawiałem z wieloma takimi osobami, i choć sam niczego podobnego nie doświadczyłem, to chyba już rozumiem, co czujesz. Oni opowiadali mi, że to jest jak śmierć za życia: człowiek się rusza, coś robi, ale jakby bez żadnego uczucia, bo w środku jest pusty, a tej pustki już nigdy nie da się zappełnić.

Ashley obróciła się twarzą do Bircha, który mówił dalej:

– Przed morderstwem nie brakowało im tych dobrych uczuć. Kochali i byli kochani. A potem ukochana osoba znika, a jej śmierć jakby wysysa z nich wszelkie uczucia i nie mogą już odzyskać ani tej ukochanej osoby, ani tych uczuć. Jeśli poddasz się rozpacz, to Maxfield będzie triumfował. To cel jego życia, zadawać ludziom cierpienie, on się napawa tym cierpieniem.

– Joshua Maxfield nic mnie nie obchodzi – wyszeptała Ashley.

– Trzeba, żeby cię obchodził, Ashley. Trzeba go nienawidzić za to, co zrobił. Trzeba się zmusić do uczucia, do uczucia czegokolwiek. Nie wolno ci się całkowicie pograżyć w smutku. Jesteś zbyt dobrym człowiekiem. Bez takich ludzi świat jest gorszy. Spójrz, ile już dokonałaś. Jak świetnie ci idzie na boisku i w szkole.

– To już nie ma najmniejszego znaczenia.

Ashley zaczęła płakać. Szloch wstrząsał jej ciałem. Birch położył rękę na ramieniu dziewczyny.

– Jesteś kimś wyjątkowym, Ashley. Niezwykłym. Twoi rodzice byli z ciebie tacy dumni. Nie rób im tego. Nie zawieź ich.

Patrzył, jak płacze, i nie wiedział, co jeszcze mógłby zrobić. Próbował ją z tego wyrwać, ale się nie udało. Wstał z poczuciem totalnej klęski.

– Złapiemy go – szepnął. – Postawię go przed sądem.

Ashley podniosła ku niemu zalaną łzami twarz.

– I co z tego? Moi rodzice nie żyją. To im nie przywróci życia.

Po wyjściu od Ashley Larry Birch poczuł się okropnie. Sam miał córkę. Choć była znacznie młodsza od Ashley Spencer, mógł sobie wyobrazić, jak by się czuła, gdyby to jej odebrano rodziców w tak straszliwy sposób. Gniewem zdusił w sobie owe przerażające myśli. Wiedział, że jako profesjonalista nie powinien angażować się emocjonalnie, mimo to nienawidził Maxfielda i pragnął jego śmierci. Inspektor polubił Ashley. Taka porządna, taka niewinna dziewczyna. Ją też Maxfield miał na sumieniu, w równym stopniu co Terri i Normana Spencerów. Wyrwał Ashley serce i stał na progu jej ducha, a Birch poprzysiągł sobie, że każe mu za to zapłacić.

Dlaczego Maxfield zamordował Tanie Jones i Spencerów i pobił niemal na śmierć Casey Van Meter? Partner Bircha, Tony Marx, miał na to najprostszą odpowiedź. Jego zdaniem nie było żadnego racjonalnego wytłumaczenia tych zbrodni. Uważał Maxfielda za psychopatę, działającego z pobudek zrozumiałych jedynie dla posiadacza zaburzonego umysłu.

Birch początkowo przyznawał Tony'emu rację, ale wkrótce po powrocie do biura odebrał telefon, z którego wynikało, że istniały racjonalne motywy zbrodni popełnionej przez Maxfielda nad rzeką.

– Mówi inspektor Birch.

– Czy to pan prowadzi dochodzenie w sprawie napaści na panią dyrektor Van Meter i Terri Spencer? – spytał kobiecy głos.

– Tak, proszę pani.

– Nazywam się Cora Young, jestem sekretarką pani Van Meter.

– Czym mogę pani służyć?

– Dopiero dzisiaj rano dowiedziałam się, co się wczoraj zdarzyło. Nie zadzwoniłam wcześniej, bo to był taki wstrząs. Nie mogłam pozbierać myśli.

– Ma pani jakieś informacje istotne dla śledztwa?

– Nie jestem pewna... chodzi oto, że wczoraj po południu, około czwartej, pani Spencer była w szkole, u pani dyrektor.

– Czy wie pani, po co przyszła?

– Nie, ale wydawało mi się, że czekała na panią dyrektor w napięciu. Pomyślałam, że powinniście o tym wiedzieć.

– Dziękuję pani. To może się okazać ważne.

– Jeszcze coś. Pani dyrektor pozwoliła Joshui Maxfieldowi prowadzić warsztaty dla pisarzy amatorów na terenie szkoły. Korzystał z jednej z klas, chociaż kurs był dla dorosłych i nie miał nic wspólnego ze szkołą. Terri Spencer też się zapisała. Pierwsze zajęcia odbyły się w przeddzień wizyty pani Spencer u dyrektorki.

Bingo! – pomyślał Birch. Dzięki sekretarce znalazło się brakujące ogniwo między Maxfieldem a Terri Spencer oraz Terri Spencer a dyrektorką.

– Czy mówię z Lori Ryan? – zapytał Birch po wykręceniu numeru do pierwszego nazwiska na liście kursantów, którą dostarczyła mu Cora Young.

– Tak?

– Tu Larry Birch, jestem inspektorem policji z Portlandu. Chciałbym z panią porozmawiać o Terri Spencer.

– Tak się cieszę, że pan zadzwonił. W zasadzie to sama miałam zamiar zatelefonować. Czytałam o tym morderstwie w dzisiejszej gazecie. Sądzi pan, że to Joshua Maxfield ją zabił?

– Jest o to podejrzany.

– Czy naprawdę uciekł?

– Tak, proszę pani.

– To coś... no, nie do wiary. Znałam ich oboje. Siedzieliśmy obok siebie dzień wcześniej.

– Właśnie dlatego dzwonię. Chciałbym się czegoś dowiedzieć o tych warsztatach. Jaki właściwie był ich cel?

– Porady dla pisarzy amatorów.

– Jak rozumiałem, uczestników było sześcioro?

– Tak. Każde z nas pisało jakąś książkę. Poszliśmy na ten kurs z Mindy Krauss, bo razem pracujemy nad kryminałem. Nie wiem, o czym pisała Terri.

– I Maxfield miał wam w tym pomóc?

– Tak. Daliśmy mu nasze maszynopisy, a on miał czytać fragmenty na zajęciach. Potem omawialiśmy dany tekst. Dlatego zamierzałam do pana dzwonić. Pomyślałam, że powinien pan wiedzieć, iż na pierwszych zajęciach wydarzyło się coś, co niektórych wytrąciło z równowagi, Terri też.

Ryan opowiedziała Birchowi o przeczytanym przez Maxfielda rozdziale książki. Inspektor rozpoznał fragment tekstu z maszynopisu znalezionej w domku

pisarza.

– Siedziałam naprzeciw niej, kiedy Maxfield czytał, jak zabójca torturuje tych ludzi. Terri wyglądała okropnie. Myślałam, że zemdleje. Teraz wiem, o co chodziło. Ta scena bardzo przypominała to, co się zdarzyło w jej domu. Terri przez cały czas bardzo dziwnie patrzyła na pana Maxfielda. Po zajęciach wypytywała mnie i Mindy, czy to myśmy napisały, i chyba pytała również jednego z mężczyzn. Zapewne przypuszczała, że to tekst Maxfielda, i chciała nas wyeliminować jako potencjalnych autorów. Prawdopodobnie podejrzewała, że Maxfield opisał coś, co sam zrobił.

Rozmowa z Lori Ryan zajęła Birchowi jeszcze chwilę, po czym zatelefonował do kolejnej osoby na liście. Dodzwonił się do jeszcze dwojga uczestników kursu. Nie dodali nic nowego do relacji Lori Ryan, ale potwierdzili jej spostrzeżenie, że Terri Spencer była wzburzona lekturą tekstu.

Birch nie miał już wątpliwości, co wydarzyło się między zajęciami a napaścią w szopie na łodzie. Odczytany przez Maxfielda opis zaalarmował Terri. Przyszła do niego, Bircha, żeby się dowiedzieć, czy ujawniono informację o podjadaniu przez zabójcę. Mając potwierdzenie, że jej nie opublikowano, kontynuowała śledztwo przeciw Maxfieldowi. Terri była z zawodu reporterką. Rozmowa z przełożoną Maxfielda nasuwała się sama przez się jako kolejny krok. Z bilingów Casey Van Meter wynikało, że dyrektorka telefonowała do pani Spencer już po spotkaniu w jej gabinecie. Pewnie wtedy umówiły się na przystani. Maxfield musiał się jakoś dowiedzieć o tym spotkaniu i zaatakował obie, żeby nie poszły na policję.

– Larry.

Birch podniósł wzrok. Tony Marx wkroczył do jego boksu i usiadł na wolnym krześle.

– Przez całe rano czytałem książkę Maxfielda, robiąc notatki na temat mordów, które on opisuje. Potem przekręciłem do FBI i przeczytałem im te wyciągi. Pamiętasz, że między powieściowym opisem a morderstwem w domu Spencerów są różnice, ale jest też ta wzmianka o podjadaniu w kuchni i taśmie samoprzylepnej?

– Mów dalej.

– No więc te opisy nie pasują idealnie do prawdziwych zbrodni, które FBI przypisuje temu facetowi, lecz są w nich prawdziwe szczegóły, których nigdy nie ujawniano publicznie.

Marx pochylił się do przodu. Birch widział po jego oczach, jak jest

podekscytowany.

– Spróbuje dowodzić, że te detale to zbieg okoliczności, że wszystko zmyślił. Jego adwokat może by go z tego wyciągnął, gdyby chodziło o jedną rzecz, ale my mamy trzy takie perełki, Larry. Przygwoździmy go. Joshua Maxfield będzie wisiał.

Na trzeci dzień po śmierci matki Ashley obudziły promienie słońca wdzierającego się przez okno do jej pokoju w internacie. Leżała, nadsluchując. Coś się zmieniło. Było cicho, żadnych porannych hałasów, zamieszania towarzyszącego zajęciom w ramach szkółki piłkarskiej. Wszyscy wyjechali. Ashley została w internacie, bo nikt nie miał pomysłu, gdzie mogłaby się przenieść. Dom nie wchodził w rachubę, skoro Joshua Maxfield pozostawał na wolności. Zresztą i tak nie chciała tam pójść. Sama czułaby się potwornie. Tyle duchów, tyle pustych pokoi.

Inspektor Birch pytał o krewnych, którzy mogliby ją do siebie zabrać, ale i Terri, i Norman byli jedynakami, a ich rodzice nie żyli. Birch wspomniał o rodzinie zastępczej. Ashley zareagowała histerycznie. Wtedy wkroczył Henry Van Meter. Powiedział, że Ashley może zostać w internacie albo przenieść się do jego posiadłości. Tak czy inaczej ma się czuć w Oregon Academy jak we własnym domu, dopóki nie podejmie decyzji, co dalej.

Ashley usiadła i przetarła oczy ze snu. Przed sobą miała plakat z Brandi Chastain zrywającą z siebie koszulkę po strzeleniu zwycięskiego gola w meczu o mistrzostwo świata z Chinami. To Sally go przykleiła na ścianie obok drugiego, z Mią Hamm, ulubioną piłkarką Ashley. Sally chciała zostać z Ashley w internacie, ale rodzice ją zabrali. Dzwoniła codziennie, lecz to nie mogło zastąpić jej obecności.

Ashley przyjrzała się plakatowi z Brandi Chastain. Tyle w niej było mocy, wydawała się nie do pokonania. Dawniej Ashley też się tak czasami czuła. Stała jej w pamięci zeszłoroczny mecz z Wilson o mistrzostwo w szkolnej lidze Portlandu. W ostatniej minucie przed gwizdkiem pędziła z piłką do bramki przeciwnika, składając się do zwycięskiego gola. Poślizgnęła się tuż przed strzałem. Widząc, jak pada, bramkarka Wilson uspokoiła się i wyprostowała, sądząc, że nic już jej nie grozi.

Tracąc równowagę Ashley kopnęła piłkę do góry. Walnęła plecami o ziemię, ale wysunęła podbródek. Nie odrywała oczu od spadającej piłki. Do dziś dnia Ashley nie wiedziała, jakim cudem zachowała tyle przytomności umysłu, by się obrócić na biodrze i w tej niewygodnej pozycji kopnąć piłkę do bramki ku osłupieniu bramkarki Wilson. Teraz w internatowym pokoiku wróciło do niej to uczucie czystej radości, i Ashley się uśmiechnęła, po raz pierwszy od śmierci

matki. Po sekundzie wróciła do rzeczywistości, lecz coś się w niej przełamało. Nie przestała być smutna, ale wiedziała już, że nie chce umierać. Znużyło ją rozczulanie się nad sobą, a poza tym musiała zająć się różnymi sprawami, na przykład pogrzebem matki. Na tę myśl zerwała się z łóżka. Czowała, że grozi jej załamanie, jeśli nie zmobilizuje wszystkich sił, więc wzięła głęboki oddech. W nozdrza uderzył ją zapach niemytego od paru dni ciała.

Zmarszczyła nos. Przedtem odór jej nie przeszkadzał. Zresztą i tak nie miała energii ani ochoty się kąpać. Jednak tego ranka wzdrygnęła się z obrzydzenia. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze nad toaletką. Wyglądała strasznie. Wyraźnie schudła, miała potargane, przetłuszczone włosy i cienie pod oczami.

Wspólne prysznice mieściły się w pobliżu schodów. Ashley przypomniała sobie o policjancie pod drzwiami. Wciągnęła dres, zgarnęła przybory toaletowe, przywitała się z wartownikiem i poczłapała korytarzem w stronę łazienki.

Gorący prysznic dobrze jej zrobił. Zabawiła pod nim krótko, bo czuła, że to nie w porządku rozkoszować się kąpielą teraz, gdy rodzice nie żyją. Poczucie winy jeszcze długo nie pozwoli jej cieszyć się różnymi rzeczami. Ale mimo wszystko przyjemnie jej było z tą świeżością i czystymi, rozczesanymi włosami.

Wróciła do pokoju. Kiedy ubrała się w świeży podkoszulek z emblematem Liceum Eisenhowera i szorty, strażnik zapukał nieśmiało do drzwi. Wszyscy nadal obchodzili się z nią jak z jajkiem.

– Panno Spencer?

– Tak?

W drzwiach pojawiła się szpara na tyle szeroka, żeby policjant mógł wsadzić głowę.

– Przyszedł jakiś pan Philips. Mówi, że jest pani radcą prawnym.

Ashley nie знаła nikogo takiego ani nie miała nigdy radcy prawnego. Gość stanowił jednak miłe urozmaicenie. Policjant cofnął się trochę, a młody mężczyzna precyzyjnie przesunął się przez uchylone drzwi. Był szczupły, wzrostu Ashley, miał jasnoniebieskie oczy i szarobrązowe włosy, a na sobie garnitur, białą koszulę i krawat, ale Ashley uznała, że łatwo można by go jeszcze wziąć za licealistę.

– Nazywam się Jerry Philips. Jestem prawnikiem.

Wyciągnął wizytówkę. Ashley zawahała się, ale podeszła, żeby ją od niego przyjąć. Prawnik wskazał krzesło.

– Mogę?

– Jasne, proszę.

Ashley przysiadła na łóżku i przyjrzała się wizytówce. Jerry Philips usiadł i

ustawił sobie na kolanach aktówkę.

– Chciałbym móc wyrazić, jak bardzo mi przykro z powodu twoich rodziców.

Ashley spostrzegła, że spuścił wzrok i przełknął ślinę.

– Moja matka zmarła kilka lat temu, a ojciec na krótko przed twoim... Więc mam pojęcie, co teraz przeżywasz.

Teraz to Ashley z kolei ogarnęło skrępowanie.

– Przykro mi – mruknęła pod nosem.

Philips uśmiechnął się melancholijnie.

– Ciągle to słyszę od nowo poznanych ludzi od czasu, gdy mój ojciec nie żyje. Ty też się pewnie tego nasłuchiłaś – zaśmiał się z zażenowaniem. – Sam przed chwilą to powiedziałem, prawda?

Ashley zaczęła się niecierpliwić. Choć prawnik robił miłe wrażenie, nie miała ochoty na rozmowę ani o śmierci swoich rodziców, ani jego.

– Panie Philips, czemu pan do mnie przyszedł?

– Słusznie. Do rzeczy. Czy matka albo ojciec wspominali ci kiedyś o moim ojcu, Kenie Philipsie?

– Chyba nie.

– Też był prawnikiem. Częściowo na emeryturze, mieszkał w Boulder Creek w środkowym Oregonie. Między innymi prowadził nadal sprawy twoich rodziców. Spisał ich testamenty.

– O.

– Pomyślałem, że chciałabyś się dowiedzieć, jak wygląda twoja sytuacja finansowa.

Ashley uświadomiła sobie nagle, że nie ma pojęcia, czy zdoła się sama wyżywić albo wynająć mieszkanie, jak już skończy szkołę. Póki rodzice żyli, była w tej komfortowej sytuacji, że mogła chodzić do szkoły, grać w piłkę i cieszyć się życiem, nie troszcząc się o pieniądze. Teraz wyglądało to zupełnie inaczej.

– Jeszcze jedno – Philips znów się zmieszał. – Rozmawiałem z inspektorem Birchem. Powiedział, że można już pochować twoją matkę.

Nie mówił Ashley, że przeprowadzono sekcję zwłok. Nie chciał wywoływać przed oczami dziewczyny obrazu matki na zimnym stalowym blacie, krojonej przez jakiegoś obcego człowieka, który beznamiętnym tonem dyktuje do protokołu stwierdzone przyczyny śmierci.

– Mogę się zająć pogrzebem, jeśli chcesz.

– Tak, gdyby pan mógł – odparła Ashley z ulgą, że ktoś ją uwolni od ciężaru urządzania tej uroczystości.

– W porządku. – Philips wyjął żółte memo i coś zanotował. Potem sięgnął po jakieś papiery. – Nie musimy dzisiaj omawiać szczegółów. To zależy od ciebie. Powiem tylko, że powinnaś dać sobie radę finansowo, jeśli będziesz w miarę ostrożna. Dziedziczysz trochę pieniędzy, a rodzice mieli oboje dobre polisy ubezpieczeniowe. Powinno wystarczyć na jakiś czas. Mogę ci polecić jakiegoś doradcę finansowego.

Ashley była ciekawa, ile dostanie pieniędzy, lecz pytanie nie przeszło jej przez gardło. Nie chciała wobec Philipsa wyjść na pazerną i wzdrygała się na samą myśl o korzyściach ze śmierci rodziców.

– Powinnaś też pomyśleć o sprzedaży domu – ciągnął Philips.

Dziewczyna mimowolnie złapała oddech.

– To trudne, wiem. Serce mi pękało, gdy sprzedawałem dom taty. Mój rodzinny dom.

– Wiem, że muszę się go pozbyć.

– Rynek nieruchomości stoi dobrze. Z pieniędzmi z ubezpieczenia i za dom i resztą powinnaś spokojnie dać sobie radę.

Ashley otarła łzę. Philips wstał i podał jej chusteczkę. Zauważył szklankę na szafce nocnej.

– Chcesz trochę wody?

– Nic mi nie będzie. Tylko ciężko...

Zagryzła usta. Philips spuścił oczy.

– W każdym razie – ciągnął zaambarasowany – zajmę się przygotowaniem do pogrzebu. Czy umówimy się teraz na jakieś spotkanie, żeby omówić sprawy finansowe?

– Wszystko mi jedno kiedy – odparła smutno Ashley. – Nie mam żadnych zajęć z wyjątkiem pogrzebu.

– Czy chciałabyś o coś zapytać?

– Nie teraz. Zadzwoń, żeby się umówić. I dziękuję, że pan przyszedł.

– To moja praca – odpowiedział Philips z łagodnym uśmiechem. Podniósł się z krzesła. – To nara.

– Nara – odpowiedziała Ashley.

Zaraz po wyjściu Philipsa Ashley zdała sobie sprawę, że jest wygłodzona. Od paru dni prawie nic nie jadła. Ktoś jej przynosił do pokoju posiłki ze szkolnego bufetu, póki działała szkołka, ale i tak ledwie coś z nich skubnęła. Kiedy zajęcia w ramach szkoły dobiegły końca, Laura Rice także zakończyła swoją pracę dyżurnej

w internacie. Przed wyjazdem odwiedziła Ashley, żeby się pożegnać i przekazać jej wiadomość od Henry'ego Van Metera, który zapraszał ją na posiłki do swego domu.

Ashley założyła więc adidasy i ruszyła przez campus w kierunku rezydencji Van Meterów. Ochroniarz szedł za nią w dyskretnej odległości. Nastął zachwycający dzień. Na intensywnie błękitnym niebie puszyły się drobne białe chmurki, a w powietrzu unosił się ożywczy zapach sosen i róż. Rozbrzmiewał śpiew ptaków. Doskonałe piękno tego poranka przyprawiało Ashley o istne męki. Każdy ptasi świergot, każdy aromat, każdy wielobarwny kwietnik przypominał jej od nowa, co właśnie straciła.

Dobiegł ją odgłos kosiarki do trawy, a przed oczami wyłoniła się rezydencja. Cała brygada ogrodników zajmowała się strzyżeniem trawników, przycinaniem krzewów i pieleniem kwietników. W drodze do kuchni Ashley musiała przejść między basenem a dużym kamiennym patio, na którym nie brakowało wygodnych ogrodowych foteli i szklanych stolików pod rozłożystymi parasolami. Przez witrażowe okienko rzuciła okiem na główną jadalnię z ciemną boazerią i kryształowym żyrandolem. Przy dębowym stole na wysoki połysk zmieściłaby się chyba cała drużyna piłkarska.

Ashley zapukała do kuchennych drzwi. Otworzyła je czterdziestoparoletnia kobieta w fartuszkach, szortach i bluzce w kratkę z krótkimi rękawami. W jej brązowe włosy zaczęła się wkradać siwizna.

– Jestem Mandy O'Connor. Gotuję dla pana Van Metera. A ty musisz być Ashley. Wejdz, proszę.

– Dziękuję.

W ogromnym pomieszczeniu dominowała ulokowana pośrodku kuchnia, nad którą wisiały miedziane rondle, patelnie i inne kuchenne akcesoria. Z boku stał stół, nakryty dla dwóch osób.

– Usiądź, a ja ci coś przygotuję. Mogę zrobić owsiankę, naleśniki albo jajka na bekonie z grzankami. Co byś chciała?

Na samą wzmiankę o jedzeniu ślina napłynęła Ashley do ust.

– Bardzo chętnie zjem jajka z bekonem i grzanki.

– Mleko, kawę, sok czy herbatę?

– Sok pomarańczowy i mleko poproszę.

Ashley zajęła miejsce przy stole, na którym leżała świeża gazeta. Największy nagłówek dotyczył konfliktu bliskowschodniego, ale poniżej znalazła się informacja o poszukiwaniu Joshuy Maxfielda. Ashley odwróciła gazetę, żeby tego

nie czytać, i poszukała działu sportowego. Natrafiła na artykuł o letnich futbolowych rozgrywkach play-off. W zeszłym roku grała w zwycięskiej drużynie. Nie dała rady przeczytać tego do końca.

W drzwiach prowadzących z kuchni do reszty domu pojawił się Henry Van Meter. Szedł bez pomocy laski, szurając nogami, jakby każdy krok kosztował go katusze. Na widok dziewczyny uśmiechnął się.

– Panna Spencer, jak miło – odezwał się trochę niewyraźnie. – Dotrzymasz mi towarzystwa przy śniadaniu?

Ashley się podniosła.

– To bardzo uprzejmie z pana strony, panie Van Meter. Dziękuję, że pan o mnie pomyślał.

– Nie przestaję o tobie myśleć od kilku dni.

Wydawało się, że nigdy nie zdoła dotrzeć do stołu. Wreszcie Ashley podsunęła mu krzesło. Opadł na nie powoli i z wielkim trudem.

– To co zwykle, Mandy – powiedział. Potem spojrzał na gazetę otwartą na wiadomościach sportowych. – Grałabyś tam dzisiaj, co? – zwrócił się do Ashley.

Zaskoczył ją tym, że wie. Przytaknęła. Henry poklepał ją po dłoni. Miał zimną skórę.

– Będiesz znowu grała. Jesteś młoda, więc ta tragedia cię zżera, sądzisz, że smutek cię nie opuści do końca życia, z czasem jednak ból ustąpi. Wierz mi. Przeżyłem dramaty i przeżyłem swój ból. Nietzsche powiada, że co nas nie zabije, to nas wzmocni. Przekonałem się na własnej skórze o prawdziwości tego powiedzenia. Silni przetrwają, a ty jesteś silna.

– Skąd pan wie? – spytała Ashley.

– Jeden fakt pozostaje zawsze faktem. Życie toczy się dalej, czy tego chcemy, czy nie. Na wojnie byłem ranny w nogę. Poważnie ranny. Amputowali mi ją.

Ashley rozchyliła usta, otworzyła szeroko oczy. Henry się zaśmiał.

– Jesteś zdumiona. To prawa noga, poniżej kolana. Potrafią teraz zdziałać cuda, jeśli chodzi o protezy. Wtedy zaś... – Henry pokręcił głową. – Wyobrażasz sobie, co to znaczy, mieć dwadzieścia dwa lata i przed sobą życie w roli jednonogiego kaleki? Jaka dziewczyna takiego zechce? Będę wzbudzał wyłącznie litość. Ale pewnego ranka obudziłem się z myślą, że muszę się pogodzić z faktem, iż nie mam jednej nogi. Niektórzy mają słaby wzrok, inni są niezdarni albo głupi, a ja mam jedną nogę. Trudno. Nigdy więcej nie dałem się ponieść rozpacz. Skończyłem z uzalaniem się nad sobą. Po powrocie do domu stanąłem w konkury i zdobyłem rękę najpiękniejszej i najbardziej utalentowanej kobiety w Portlandzie,

doprowadziłem interes ojca do rozkwitu, podróżowałem po całym świecie zamiast chować się w ciemnej dziurze.

Henry dotknął swojej skroni.

– To kwestia siły woli. Musisz zahartować swoją wolę, żeby stała się twarda jak stal. Tylko tak można dać sobie radę z życiem, które czasami nie ustaje w swym okrucieństwie.

Słowa Henry'ego poruszyły Ashley. Pomyślała, jak zmieniło się jej samopoczucie dziś rano dzięki temu, że zdecydowała się na coś tak zwyczajnego jak pójście pod prysznic.

Pani O'Connor postawiła przed nią talerz z chrupiącym boczkiem, gorącą jajecznicą i posmarowaną masłem grzanką. Zapach unoszący się znad talerza odpędził wszystkie myśli z wyjątkiem tych dotyczących jedzenia. Henry jadł owsiankę. Ashley napiła się soku i rzuciła na jajecznicę. Henry przyglądał się jej z uśmiechem.

– Zastanawiałaś się już, co chcesz robić w życiu? – spytał.

– Myślałam o studiach, jeśli będzie mnie na nie stać – odpowiedziała. Mimo zapewnień Jerry'ego Philipa nadal miała wątpliwości co do swoich możliwości finansowych.

– Ach, studia. O to nie musisz się martwić. Widziałem twoje stopnie, młoda damo. Wiem o perspektywach stypendium za osiągnięcia sportowe.

Ashley wyglądała na zaskoczoną.

– To moja szkoła. Moja córka ją prowadzi – powiedział, jakby Casey nadal urzędowała w swoim dyrektorskim gabinecie – ale wiem o wszystkim, co się tu dzieje. Więc jeśli chodzi o college, to nie masz się czym martwić. Mówię o tym, co będzie po studiach. Co zrobisz ze swoim życiem?

Ostatnie przeżycia sprawiły, że Ashley trudno było wybiegać myślą poza dzień dzisiejszy. Reszta jej życia wydawała się równie odległa, jak afrykańska dżungla.

– Nie wiem. Interesuję się medycyną. I chciałabym podróżować – odparła wymijająco.

– Podróże! To ważne. Oglądać, zbierać doświadczenia. Najlepsze wspomnienia mam właśnie z podróży.

– Gdzie pan był?

Zanim Henry zdążył odpowiedzieć, rozległo się pukanie. Do kuchni wkroczył inspektor Birch ze stanowczą miną.

– Panie Van Meter, Ashley, przynoszę dobre wieści. Złapaliśmy go.

– Joshuę Maxfielda? – spytał Van Meter.

Birch przytaknął.

– Puścili materiał o sprawie w ogólnokrajowych wiadomościach. Ktoś zadzwonił na policję w Omaha i zdjęli go w motelu. Maxfield musi stanąć najpierw przed sędzią w Nebrasce, jutro. Jeśli zrezygnuje z ekstradycji, to przed końcem tygodnia trafi do aresztu w Oregonie.

Ashley bardzo się bała, dopóki Joshua Maxfield był na wolności. Przyjęła wiadomość o jego zatrzymaniu z ulgą. Ale bez radości. Matka i ojciec zginęli, i cokolwiek sąd zrobi z Joshua Maxfieldem, życia im nie przywróci.

Przed wejściem na teren aresztu Barry Weller udał się do toalety, żeby trochę ochłonić. Myjąc ręce, przyglądał się swemu odbiciu w lustrze. Schludnie ostrzyżone przed dwoma dniami kasztanowe włosy trzymały sprężystość, luźny garnitur układał się jak należy na jego kościstej sylwetce. Zza szkieł kontaktowych oczy lśniły przenikliwie wyraźną zielenią. Wychodząc z łazienki, Barry miał poczucie, że wygląda jak uosobienie energicznego, odnoszącego same sukcesy prawnika.

Z trudem hamował podniecenie już w drodze ze swojej kancelarii do aresztu śledczego w Urzędzie Sprawiedliwości, szesnastopiętrowym gmachu z betonu i szklą. Areszt mieści! się na piętrach od czwartego do dziesiątego, poza tym w budynku znajdowały się: Komenda Policji w Portlandzie, oddział prokuratury okręgu Multnomah, kilka sal sądowych, a także – od niedawna – Joshua Maxfield, seryjny zabójca słynny na cały kraj.

Przed dwoma laty Weller porzucił posadę obrońcy z urzędu po pięciu latach nienagannej pracy, żeby założyć prywatną kancelarię adwokacką. Przez pierwszy rok było mocno pod górkę, ale interes zaczął się wreszcie rozkręcać. W dniu zatrzymania Maxfielda Weller właśnie prowadził w sądzie sprawę jednego ze swoich klientów. Adwokat był przekonany, że tak sławny oskarżony wynajmie którąś z miejscowych adwokackich sław, specjalistów od prawa karnego. Kiedy sekretarka odebrała telefon Joshuy Maxfielda z aresztu, Weller od razu ujrzał się oczami duszy za kierownicą mercedesa.

Okazał swoją adwokacką legitymację funkcjonariuszowi dyżurującemu przy wejściu do aresztu, potem przeszedł przez wykrywacz metali. Z wewnętrznej windy wysiadł w korytarzu, którego betonowe ściany pociągnięto bladożółtą farbą. Zadzwoił po strażnika. Chwilę czekał na niego w napięciu pod grubymi stalowymi drzwiami. Strażnik wpuścił go do kolejnego wąskiego korytarza i otworzył drzwi do jednego z pokoi widzeń, gdzie obrońcy mogli się spotykać ze swoimi uwięzionymi klientami.

– Proszę zadzwonić, jak pan skończy – strażnik wskazał palcem czarny guzik przy wbudowanym w ścianę domofonie. Potem zamknął za sobą drzwi na klucz.

Weller usiadł na jednym z dwóch plastikowych krzeseł, rozdzielonych małym okrągłym stolikiem przyśrubowanym do podłogi, i przeglądał notes, zbierając myśli. W pewnej chwili ktoś otworzył stalowe drzwi prowadzące do cel i ukazał się

w nich Joshua Maxfield.

Obaj byli mniej więcej tej samej postury. Maxfield miał na sobie pomarańczowy kombinezon i skute ręce, ale chyba mu to specjalnie nie przeszkadzało. Dyżurny funkcjonariusz odpiął kajdanki i wskazał mu puste krzesło.

– Dziękuję, że pan przyszedł, panie Weller – odezwał się Maxfield, gdy tylko drzwi zamknęły się za strażnikiem.

– Mam na imię Barry – odparł Weller z uśmiechem.

– Muszę ci powiedzieć, Barry – rzekł Maxfield, odwzajemniając uśmiech – że bardzo mi pochwiliłeś, przyjmując moje wezwanie. W areszcie wszyscy mówią o tobie w takich superlatywach, że sądziłem, iż możesz być zbyt zajęty.

Weller starał się ukryć zaskoczenie i zadowolenie. Miał na koncie parę skromnych sukcesów, ale nawet nie przypuszczał, że wyrobił sobie już taką markę.

– Zawsze odbieram telefony z więzienia. Wiem, co to poczucie osamotnienia, kiedy człowiek tu trafia.

– To prawda. Nigdy nie byłem w podobnej sytuacji. To bardzo deprymujące znaleźć się nagle całkowicie na łasce innych.

Weller pomyślał, że Maxfield ani trochę nie wyglądał na zdeprymowanego. Wykazywał wręcz zadziwiająco zimną krew jak na człowieka, nad którym wisi groźba kary śmierci.

– Czy dobrze cię traktują?

– Nic mi nie jest. Właściwie – dodał z uśmiechem – to jako wielbiciel filmów sensacyjnych poczułem się nieco rozczarowany, że nikt nie wyciągnął gumowego węża.

Weller się roześmiał. Dobrze, pomyślał. Klient z poczuciem humoru.

– A podczas aresztowania?

– Trzymali mnie wszyscy na muszce i bardzo się darli, ale się uspokoili, kiedy ich zapewniłem, że nie zamierzam stawiać oporu. Od tego momentu pełen wersal.

– Policja cię przesłuchiwała?

– Trochę.

Weller stracił już rachubę klientów, którzy sami postarali się o wyrok skazujący, rozpuszczając język przed policją. Miał tylko nadzieję, że da się to jeszcze naprawić.

– Gdzie to miało miejsce? – spytał.

– W Nebrasce, po moim aresztowaniu.

– Kto cię przesłuchiwał?

– Dwóch inspektorów. Ci sami eskortowali mnie potem do Portlandu.

– Co im powiedziałaś?

– Niewiele. Pytali, co się wydarzyło w szopie na łodzie. Powiedziałem im, że tego nie zrobiłem.

– Jak długo trwała ta rozmowa?

– Niedługo. Taka krótka pogawędka. Potem nabrałem podejrzeń, że próbują wmanewrować mnie w powiedzenie czegoś, co będzie można wykorzystać przeciwko mnie, więc poprosiłem o adwokata i na tym przesłuchanie się skończyło.

– Od tej chwili nie poruszasz tego tematu z nikim, czy to jasne?

– Naturalnie. Nie jestem idiotą.

– Nie trzeba być idiotą, żeby palnąć coś, za co można wisieć. Nawet najniewinniejsze stwierdzenia można przeinaczyć.

– To wykluczone w moim przypadku, Barry. Jestem całkowicie niewinny.

Weller uśmiechnął się, lecz niezbyt szczerze. Przed przyjściem do aresztu zażądał okazania dokumentacji aktu oskarżenia od prokuratora, który prowadził sprawę Maxfielda. To nie była budująca lektura. Ale omówienie sprawy musiało jeszcze poczekać, bo należało ustalić najpierw inną kwestię.

– Chciałbym już przystąpić do rzeczy, panie Maxfield...

– Skoro mamy sobie mówić po imieniu, to jestem Joshua.

– Joshua. Na ty lepiej się pracuje. Zanim jednak podejmiesz decyzję, czy chcesz, żebym cię reprezentował w sądzie, musisz wiedzieć, ile cię to będzie kosztowało.

– A, interesy. No tak, załatwmy je, i miejmy to z głowy.

– Zawsze tak robię, żeby móc się potem skoncentrować na sprawie i nie zawracać sobie już głowy pieniędzmi.

– Świetnie.

– Bądźmy szczerzy, Joshua. Oskarżenie wystąpi o karę śmierci. A nie mówimy przy tym o zarzucie pojedynczego morderstwa ani nawet pojedynczego aktu zbrodni.

Maxfield wyglądał na zaskoczonego.

– Wtedy w sądzie była mowa wyłącznie o zabójstwie Terri Spencer i napaści na Casey Van Meter. O co jeszcze może chodzić?

– Oskarżenie uważa cię za seryjnego zabójcę.

– To absurd.

– Na podstawie zwierzeń znalezionych w twoim bungalowie.

– Jakich zwierzeń?

Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy Maxfield zdradził się z jakimiś

emocjami. Ten nagły wybuch utwierdził Wellera w przekonaniu, że w sumie sznurek, którym Maxfield trzyma się do kupy, może puścić w każdej chwili.

– Po kolei, Joshua – powiedział. – Najpierw ustalmy moje honorarium. Potem omówimy akt oskarżenia i naszą taktykę.

Maxfield wyraźnie chciał wiedzieć więcej o swoich zwierzeniach, ale opanował się.

– Ile zatem wynosi twoje honorarium?

– Postępowanie w sprawie zagrożonej karą śmierci wygląda inaczej niż w zwykłych sprawach karnych. Dzieli się na dwie części. W każdej innej sprawie o morderstwo toczy się tylko jeden proces, który ma rozstrzygnąć o winie lub niewinności oskarżonych. Gdy w grę wchodzi kara śmierci, w razie orzeczenia winy oskarżonego odbywa się drugi proces, na którym zapada wyrok co do kary. To drugie postępowanie sądowe zostaje wszczęte zaraz po orzeczeniu winy, więc ja nie mogę czekać z przygotowaniem obrony na proces orzekający wysokość kary, aż zostaniesz skazany. Muszę natychmiast przystąpić do działania, nawet jeśli mamy silne argumenty w twojej obronie. Więc tak naprawdę mówimy o dwóch skomplikowanych dochodzeniach zamiast jednego, a w tym wypadku muszę zbadać szereg zarzutów o morderstwo i w Oregonie, i w innych stanach.

– Czyli konkretnie, Barry. Ile mnie to będzie kosztować?

Z żołądkiem w gardle Weller zbierał się do wyartykułowania kwoty grubo przekraczającej sumę wszystkich honorariów z dwóch lat prywatnej praktyki.

– Potrzebuję wstępnie dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Ostateczna kwota może jednak okazać się znacznie wyższa.

– Z tym nie powinno być problemu.

– Znakomicie – odparł Weller, starając się nie okazywać zdumienia.

– Właściwie – ciągnął Maxfield – to możesz liczyć na grubo więcej niż te ćwierć miliona dolarów.

Weller nie krył już zaskoczenia. Maxfield uśmiechnął się z satysfakcją.

– Koniec końców powinieneś, moim zdaniem, wylądować z okrągłym milionem, tak czy siak. Ale czeka cię w związku z tym trochę dodatkowej roboty.

– Nie bardzo wiem, o czym mówisz.

– Słyszałem, że czołowi obrońcy w sprawach karnych mają dryg do ubijania dobrych interesów z prokuratorami. Jesteś dobrym negocjatorem?

– Sądzę, że tak.

– Doskonale. Przydadzą ci się te umiejętności, żeby uzyskać maksymalne honorarium.

– Chcesz się przyznać do winy?

– Absolutnie nie. – Maxfield splótł dłonie i wychylił się do przodu oparty o stół. Spoglądał bardzo serio. – Z czego ja żyję, Barry?

– Z pisania.

– Pisania bestsellerów. Jak sądzisz, ile mój wydawca zapłaci za naoczną relację z procesu stulecia, spisana przez znanego autora uznanego za seryjnego mordercę?

– Napiszesz książkę ze swojego procesu?

– Słyszałem, że jesteś szybki – Maxfield uśmiechnął się od ucha do ucha. – Powiem ci, jak się płaci pisarzom. Po podpisaniu umowy z wydawcą autor dostaje niezły szmal zwany zaliczką. Załatwienie ćwierć miliona za taką rzecz nie powinno być trudne. Jako dobry negocjator możesz nawet wydebić z milion albo i więcej. Ale to nie wszystko. Ta zaliczka jest formalnie na poczet przyszłych tantiem. W umowie będę miał zagwarantowany procent od zysków ze sprzedaży. Powiedzmy, że będzie to dziesięć procent, cena książki wyniesie dwadzieścia pięć dolarów, a pójdzie w milionie egzemplarzy. Porachuj sobie, Barry.

– To jakieś dwa i pół miliona dolarów.

– Na pierwszym wydaniu w twardych okładkach. Dojdzie wydanie kieszonkowe i sprzedaż praw za granicę, i prawa do sfilmowania i wydania dźwiękowego, a tobie przypadnie połowa wszystkich moich dochodów, niezależnie od tego, czy wygrasz sprawę czy nie. Jak ci się to podoba?

Barry miał kłopoty z oddychaniem.

– Podzielisz wszystko po równo? – wyjąkał wreszcie.

– A jaki mam wybór? Potrzebuję twojej pomocy, a tylko w ten sposób mogę zdobyć pieniądze, żeby ciebie wynająć. To co, umowa stoi?

– Muszę się nad tym chwilę zastanowić – odrzekł Weller, przytomniejąc z lekka. – Nigdy nie robiłem takich interesów.

– To tak jak ja. Zanim wyjdiesz, podam ci nazwisko mego wydawcy i powiem, jak sformułować z nim umowę. On jest z Nowego Jorku. Niewykluczone, że przy całej tej wrzawie medialnej sam się do ciebie odezwie na wieść o tym, że mnie reprezentujesz. A teraz, czy możesz mi już ze spokojnym sumieniem powiedzieć, czego się dowiedziałeś w prokuraturze, nawet jeśli formalnie nie przyjąłeś jeszcze mojej oferty?

– Jasne. Zresztą i tak większość z tego trafiła już do prasy. Akt oskarżenia dotyczy głównie zamordowania Terri Spencer i napaści na Casey Van Meter. O ile się mogłem zorientować, Ashley Spencer, córka Terri, jest kluczowym świadkiem oskarżenia. Twierdzi, że biegła po terenie Oregon Academy i widziała cię w lesie

w pobliżu przystani. W chwilę potem usłyszała dobiegający stamtąd dwukrotnie krzyk. Zajrzała przez okno i zobaczyła cię nad Casey Van Meter, leżącą na podłodze z głową opartą o belkę. Trzymałeś w ręku zakrwawiony nóż. Dostrzegła też na podłodze swoją matkę. Dziewczyna twierdzi, że kiedy ją zauważyłeś, rzuciłeś się za nią w pogoń.

– Biedne dziecko – Maxfield pokręcił głową. – Mówi prawdę.

– Zabiłeś jej matkę? – zdumiał się Weller.

– Nie. Nikomu nie zrobiłem nic złego – odparł Maxfield. – Byłem w szopie na łodzie, ale gdy wszedłem do środka, Terri już nie żyła, a Casey leżała nieprzytomna. Jestem niewinny. Ale mogę zrozumieć, dlaczego Ashley pomyślała, że zabiłem Terri i ogłuszyłem dyrektorkę.

– Opowiedz mi, co się stało.

– Często spaceruję po lesie wieczorem. Dlatego znalazłem się w pobliżu przystani. To niedaleko mego domku. Usłyszałem te same krzyki, które wystraszyły Ashley. Jak powiedziałem, te kobiety ktoś napadł, zanim tam dotarłem.

– A co z nożem?

– Leżał na ziemi obok Terri. Podniosłem go, bo sądziłem, że zabójca może się gdzieś czaić w kącie, i bałem się o swoje życie. Ashley zajrzała do środka w sekundę później. W pierwszej chwili pomyślałem, że to morderca. Chyba wykonałem jakiś gwałtowny ruch, bo mnie zaskoczyła. Potem ją poznałem. Była pewnie tak samo przerażona jak ja i rzuciła się do ucieczki. Goniłem ją, żeby wyjaśnić, że nic nikomu nie zrobiłem, ale biegła za szybko. Kiedy zdałem sobie sprawę, jak to wszystko wygląda, spanikowałem.

Weller robił notatki. Maxfield czekał cierpliwie.

– Powiedz, o co chodzi z tymi zwierzeniami – poprosił, kiedy Weller podniósł wzrok.

– Trudno to nazwać wyznaniem winy. Niestety, tak to traktuje policja. Chodzi o twoją powieść na temat seryjnego zabójcy. Czytałeś fragment na zajęciach dla pisarzy amatorów.

– No i?

– W kilku częściach kraju doszło do morderstw popełnionych, zdaniem policji, przez seryjnego zabójcę. Parę razy policja nie ujawniła prasie wszystkich szczegółów. W twojej książce znalazły się sceny zawierające owe szczegóły. Dla przykładu, po zamordowaniu ojca Ashley i jej przyjaciółki zabójca poszedł do kuchni i zjadł kawałek tortu czekoladowego. Przy innym morderstwie kawałek

placka. W tej scenie, którą czytałeś na zajęciach, morderca częstuje się deserem przed zgwałceniem i zabiciem swej ofiary.

Maxfield patrzył z niedowierzaniem. Roześmiał się:

– Nie mówisz tego poważnie?

– Prokuratura traktuje to bardzo poważnie.

– Ależ to fikcja literacka. Wszystko wymyśliłem.

– Zdaniem oskarżenia pomysł z podjadaniem jest zbyt kuriozalny, by mógł być przypadkowy.

– Mylą się. Życie przez cały czas naśladuje sztukę. Jules Verne przewidział zbudowanie łodzi podwodnych. Tom Clancy opisał, jak terroryści uderzają samolotem w Biały Dom.

– To prawda, tyle że w tych przypadkach zmyślane wydarzenia poprzedzały faktyczne.

– A co za różnica? – Maxfield bardzo się zdenerwował. – Nie mogą mnie powiesić za bujną wyobraźnię.

– Mają zamiar dowieść, że niczego sobie nie wyobraziłeś, tylko pisałeś z doświadczenia. Czyż nie to samo zalecałeś swoim kursantom?

Maxfield robił wrażenie, jakby miał dostać apopleksji. Potem odzyskał spokój równie nagle, jak go przedtem stracił.

– Pisać z doświadczenia – powtórzył. Potem się roześmiał. – Pisać z doświadczenia. Czyż nie będzie można skonać ze śmiechu, jeśli przez ten stary banał wpakuję się w śmiertelną awanturę?

Na moment zapatrzył się nieruchomym wzrokiem w dal. Potem znowu zwrócił się do Barry'ego z uśmiechem.

– Nie można powiedzieć, żeby to była bułka z masłem. Jesteś gotów się z tym zmierzyć?

– Zdecydowanie – odparł Weller.

– Pieniądze są dobrą motywacją do wytężonej pracy. Pozwól, że cię zapoznam z tajnikami sporządzania umów z wydawcami.

Barry miał zamiar spytać o coś, co go niepokoiło w policyjnych raportach, ale zapomniał o sprawie, ucząc się od Maxfielda fachu agenta literackiego. Milion dolarów, dwa miliony, trzy miliony. Myśl o takich sumach skutecznie odciągała uwagę od rzeczy tak przyziemnych jak morderstwo.

Zastępczyni prokuratora okręgowego Delilah Wallace wychowała się w najbiedniejszej dzielnicy Portlandu i dorabiała sprzątaniami, żeby skończyć studia. Hol rezydencji Van Meterów wprowadził ją w lekkie osłupienie. Zmieściłby się w nim cały jej rodzinny dom. Ciemna boazeria stanowiła tło dla przeróżnych tarcz, mieczy, buław, toporów oraz ciężkiego gobelinu przedstawiającego harce jednorożców i średniowiecznych dam w leśnym gaju. Pod sufitem wisiał ogromny żelazny świecznik przerobiony na elektryczny żyrandol. Majestatycznych schodów wiodących na piętro strzegły z dwóch stron zabytkowe zbroje.

Po drodze do biblioteki, w której czekali Henry i Miles Van Meterowie, za plecami prowadzącego ich pełnym przeciągów korytarzem kamerdynera, Delilah szepnęła do Jacka Stamma, prokuratora okręgowego Multnomah:

– Wygląda jak oregońska filia pałacu hrabstwa Buckingham.

Stamm się roześmiał, bo odniósł dokładnie takie samo wrażenie, kiedy po raz pierwszy zawitał w te progi.

– Van Meterowie zaczęli jako przeraźliwie biedni drwale, a wyrosli w przemyśle drzewnym na potęgę, więc chyba uważają, że mają prawo mieszkać po królewsku – wyszeptał w odpowiedzi.

Prokurator okręgowy hrabstwa Multnomah był kawalerem chudym jak tyczka, miał niebieskie oczy i przeredzające się brązowe włosy. Niknął w cieniu swej zastępczyni, grubokościstej, biuściastej Afroamerykanki, która mogłaby konkurować obwodem bicepsów z tragarzem. Krucho wyglądał przy niej i wytworny sześćdziesięcioparolatek, doktor Ralph Karpiński, zamykający pochód. Delilah podziwiała zdobiące korytarz dzieła sztuki i antyki muzealnej wartości. Zgodnie z jej przewidywaniami biblioteka okazała się kolejnym przestronnym pomieszczeniem z ciemną boazerią na ścianach, ogromnym kamiennym kominkiem i sięgającymi sufitu regałami na książki. Henry Van Meter siedział w fotelu z wysokim oparciem przy buzującym, mimo panującego na dworze upału, kominku. Miles Van Meter podszedł do nich, gdy tylko stanęli w drzwiach. Miał na sobie granatowy garnitur w prążki, kasztanowy krawat i białą jedwabną koszulę ze złotymi spinkami w mankietach. Przywitał się ze Stammem uściskiem dłoni.

– Dziękuję, że zechciałeś przyjść, Jack – powiedział.

Van Meterowie od dawna hojnie wspierali polityczną karierę Stamma, więc mogli być zupełnie spokojni, że spełni ich prośbę o prywatne sprawozdanie z

postępów toczącej się przeciw Maxfieldowi sprawy.

– To żaden kłopot, Miles. Wyobrażam sobie, co przeżywacie.

Stamm obrócił się ku swoim towarzyszom.

– To doktor Ralph Karpiński, specjalizujący się w śpiączkach. Konsultowaliśmy z nim tryb formułowania aktu oskarżenia. A to Delilah Wallace. Będzie oskarżała Joshuę Maxfielda.

– Ma pani jakieś doświadczenie w sprawach o morderstwo? – spytał Henry Van Meter, przyglądając się nieufnie czarnej kobiecie. Pytanie było niemal obraźliwe, ale Delilah uśmiechnęła się tylko.

– Tak, proszę pana. Mego brata zastrzelono z samochodu, kiedy byłam w liceum, i dlatego zawsze biorę sobie sprawy o morderstwo bardzo do serca. To moja specjalność i żadnej jeszcze nie przegrałam. A już z pewnością nie odznaczam się pobłażliwością. Prowadziłam pięć spraw o morderstwo i pięciu ludzi wylądowało w celach śmierci, bo o to właśnie prosiłam ławę przysięgłych. Zgodnie z moim planem pan Maxfield będzie szósty na tej liście.

– Możesz liczyć na Delilah, Henry – zapewnił Stamm. – Jest najlepsza i poświęciła już tej sprawie mnóstwo czasu.

Gdy wszyscy zasiedli, Stamm ciągnął dalej.

– Chciałbym, żeby doktor Karpiński zapoznał was ze swoją oceną stanu Casey, gwoli wyjaśnienia, dlaczego występujemy z oskarżeniem o napaść, nie czekając na jej ewentualne zejście, w którym to przypadku można by oskarżyć Maxfielda o kolejne morderstwo. Delilah chciałaby z kolei zadać wam kilka pytań.

Karpiński ze swoją grzywą siwych włosów epatował patrycjuszowskim szykiem. Ubierał się równie elegancko jak Miles Van Meter. Zabierając głos, wyprostował najpierw mankiety.

– Panie Van Meter, pańska córka jest pogrążona w śpiączce. Oznacza to, że żyje, ale pozbawiona świadomości. Mówiąc bez ogródek, śpiączka to rodzaj śmierci za życia.

Henry zaczerpnął głęboko powietrza, zamykając na moment oczy.

– Żeby wytłumaczyć, co Casey dolega, pozwolę sobie zacząć od przyczyn zapadania w śpiączkę. Kora mózgowa to część mózgu odpowiedzialna za przetwarzanie wszystkich dostarczanych przez zmysły impulsów. Odpowiada za wydolność motoryczną oraz pełni funkcje integracyjne systemu nerwowego. Twór siatkowaty stanowi neuronowy układ w pniu mózgu wysyłający sygnały do kory, żeby zinterpretowała docierające do niej informacje i zareagowała w odpowiedni sposób. Innymi słowy, twór siatkowaty działa jak budzik. Jeśli się nie włączy, kora

mózgowa pozostaje w uspieniu i nie pełni swoich zadań, a człowiek nie odzyskuje przytomności.

– Czy Casey wyjdzie ze śpiączki? – spytał Miles.

– Trudno powiedzieć. Istnieje nikła szansa, że tak. Co bardziej prawdopodobne, jej stan może przez lata nie ulegać zmianie. Pańska siostra może nigdy nie odzyskać świadomości.

– Ale jest nadzieja, że kiedyś do nas wróci? – spytał Henry.

– Bardzo wątpliwa. Wyjaśnię to, jeśli można. Istnieją trzy rodzaje śpiączki. Przy śpiączkach pierwszego typu rozległe obszary kory ulegają uszkodzeniu wskutek poważnych urazów, zahamowania dopływu krwi przez siedem do dziesięciu minut lub ciężkiego zapalenia opon mózgowych. W drugim typie zaburzenia funkcjonowania tkanki mózgu występują w wyniku długotrwałych ataków padaczkowych, zatrucia alkoholem lub głodu alkoholowego, zatrzymania funkcji wątroby lub nerek. W trzecim typie uszkodzenie tworzy siatkowatego spowodowane bywa guzami, wylewami albo uciskiem na pień mózgu. W wypadku śpiączki należącej do jednej z dwóch pierwszych kategorii nie ma możliwości znaczącego powrotu do zdrowia w sensie neurologicznym. W tej pierwszej kategorii nawet jeśli pacjent odzyskuje przytomność, to i tak jest poważnie upośledzony w wyniku rozległych uszkodzeń mózgu. W drugiej, w przypadku zatrzymania funkcji wątroby lub długotrwałych napadów padaczki, pacjent umiera, o ile metaboliczna przyczyna śpiączki nie zostanie szybko usunięta.

Na szczęście śpiączkę Casey wywołał uraz pnia mózgu, do którego doszło, kiedy z dużą siłą uderzyła głową o jedną z belek podtrzymujących strop szopy na łodzie. Nastąpił uraz dolnej tylnej części czaszki tuż nad karkiem. Czyli okolic pnia mózgu i mózdzku. Uszkodzeniu uległa część zwana *locus ceruieus*, fragment układu siatkowatego. Pocieszające jest to, że u ludzi pogrążonych w stanie długotrwałej śpiączki wywołanej urazem tworzy siatkowatego niekiedy następuje samorzutne odzyskanie przytomności. Teoretycznie można by im przywrócić świadomość farmaceutykami, lecz nikomu się to jeszcze nie udało.

– Chce pan powiedzieć, że istnieje lek, którym można by moją siostrę obudzić? – spytał Miles.

– Nie, ale naukowcy nad nim pracują. Teoretycznie powinna spełnić tę rolę johimbina, znana od lat. Problem polega na tym, że nawet podawana we względnie małych dawkach powoduje niebotyczny wzrost ciśnienia. Prowadzone są próby uzyskania leku, który by blokował te uboczne skutki działania johimbiny na serce i naczynia krwionośne. To by umożliwiło podanie dużych dawek johimbiny do *locus*

ceruieus i zniesienie śpiączki. Najlepsze wyniki osiągnięto jak dotychczas z lekiem podobnym do kardidopy stosowanej w leczeniu choroby Parkinsona, niestety, przed firmami farmaceutycznymi jeszcze daleka droga do uzyskania od Federalnego Urzędu Żywności i Leków atestu na stosowanie tego specyfiku u pacjentów.

Miles z trudem hamował wzburzenie.

– Jeśli dobrze pana rozumiem, doktorze, Casey może się obudzić samodzielnie albo też dzięki cudownemu lekarstwu, którego jeszcze nie ma. W innym przypadku czekają roślinna wegetacja do końca życia. Nie ma trzeciego wyjścia.

Karpiński przytaknął.

– Niestety, przy obecnym stanie wiedzy medycznej taką mamy alternatywę.

– Dlatego właśnie zamierzamy oskarżyć Maxfielda o napaść na Casey, Miles – wtrącił się Stamm. – A ponieważ i tak stanie przed sądem pod zarzutem zamordowania Terri Spencer, więc czeka go najsurowszy wymiar kary.

Dłonie Milesa zacisnęły się w pięści. Wbił w Jacka Stamma wzrok.

– Chcę jego śmierci, Jack. Ten drań musi umrzeć.

– Skażemy go, Miles. Nie wywinie się od stryczka – zapewnił go Stamm.

– Panie Van Meter – odezwała się Delilah spokojnym tonem, żeby rozładować atmosferę ciężką od nienawiści Milesa – czy ma pan jakieś informacje na temat swojej siostry lub Joshuy Maxfielda, które mogłyby się okazać przydatne w pracy nad aktem oskarżenia?

Miles odetchnął głęboko i odzyskał panowanie nad sobą.

– Obawiam się, że nie. Tego wieczoru byłem w Nowym Jorku. Razem z dwiema innymi osobami z naszej firmy negocjowaliśmy umowę dla jednego z klientów.

– Jak dobrze znał pan Joshuę Maxfielda?

– Prawie wcale. Pracuję w kancelarii Brucher, Platt i Heinecken. Mało się zajmuję szkołą. Poznałem Maxfielda na imprezie zorganizowanej dla darczyńców szkoły i byłem z nim na kolacji, kiedy został u nas zatrudniony. Casey na tym zależało, żebym go poznał. Sądziła, że powinniśmy się dobrze dogadać, ale tak naprawdę niewiele mieliśmy wspólnych tematów.

Prokurator zwróciła się do Henry'ego Van Metera.

– Sir, czy zetknął się pan kiedykolwiek z Joshua Maxfieldem?

Henry wyglądał na bardzo zmęczonego. Pokręcił ze znużeniem głową.

– Prawie wcale. Podobnie jak syn zamieniłem z nim przelotnie parę słów na różnych oficjalnych uroczystościach, ale nigdy nie rozmawiałem z nim dłużej. Od

kilku lat nie czuję się zbyt dobrze. Córka zajmowała się wszystkimi sprawami szkoły na bieżąco.

– Nie będę panom zabierać dziś więcej czasu – stwierdziła Delilah – ale mogę potrzebować zeznań jednego lub obu panów na procesie Maxfielda. Trzeba przysięgłym przybliżyć Casey jako człowieka, a nikt nie zrobi tego lepiej niż członkowie rodziny, kochający członkowie. Jeśli panowie pozwolą, chciałabym tu wrócić, żeby porozmawiać o Casey.

– Naturalnie – odrzekł Miles. Wręczył Delilah swoją wizytówkę. – Proszę dzwonić do biura, kiedy tylko będzie trzeba. Jeśli to wszystko, odprowadzę państwa do drzwi.

Gdy znaleźli się na tyle daleko od biblioteki, by Henry Van Meter nie mógł ich usłyszeć, Miles zwrócił się do Stamma i Karpińskiego.

– Dziękuję, że przyszli panowie do nas do domu. Wiem, że takie wizyty w terenie to spory kłopot, ale ojciec nie czuje się najlepiej.

– Cieszę się, że mogliśmy pomóc – odparł Stamm. – Szkoda, że nie mamy lepszych wieści o stanie Casey.

– To już w rękach Boga i nauki, Jack. My z ojcem możemy się tylko modlić.

Miles spojrzał na Delilah.

– Ma pani moją wizytówkę, pani Wallace. Jeśli w jakikolwiek sposób mogę być pomocny przy posyłaniu Maxfielda na krzesło elektryczne, wystarczy tylko poprosić.

Rozprawę wstępną z oskarżenia publicznego przeciw Joshui Maxfieldowi wyznaczono na trzynastą, ale Delilah Wallace pracowała nad swoim wystąpieniem od siódmej rano. Jak zwykle pierwsza stawiała się na posterunku, otworzyła biura prokuratury okręgowej własnym kluczem i pozapalała światła w pustych pomieszczeniach.

Prokurator w ogóle zawsze była pierwsza we wszystkim, co robiła; najlepsza w klasie w liceum, najlepsza w grupie w college'u i najlepsza na studiach prawniczych. Była zdolna, ale też dawała z siebie wszystko i w nauce, i w pracy; nie umiała inaczej. Zapewne z trudem przyszłoby jej przypomnieć sobie czasy, gdy jeszcze nie pracowała. Ojciec porzucił rodzinę wkrótce po narodzinach córki, a matka, żeby utrzymać ją i jej brata, chwytając się najgorzej płatnych zajęć, bo nie miała wykształcenia ani jakichkolwiek umiejętności, a jedynie gotowość do zaharowywania się do granic wytrzymałości albo i dalej. Żeby starczyło na czynsz i jedzenie, Delilah musiała pracować, od kiedy tylko pracować mogła. Osiągnęła dorosłość na długo przed przekroczeniem urzędowo ustalonego wieku.

Wiara i muzyka stały się jej ratunkiem. Posturą przypominała baseballistę grającego w środkowym ataku, ale miała boski głos. Występy w kościelnym chórze dawały jej siłę w dążeniu do celu i napawały dumą z wyjątkowej muzykalności. Dzięki swemu głosowi utrzymała się w liceum, choć jej znajomi odpadali jedno po drugim. Śpiewając partie solowe, ściągnęła na siebie niejako światło reflektorów i nauczyła się cenić, co później pchnęło ją na specjalizację z prawa procesowego, które umożliwiło jej utrzymanie się w centrum uwagi. Na mało kogo media i opinia publiczna kierują silniejsze reflektory niż na prawnika domagającego się podczas publicznej rozprawy kary śmierci.

O ósmej ktoś zastukał we framugę jej drzwi. Gdy Delilah podniosła wzrok nad sterty policyjnych raportów, jej oczom ukazał się Tony Mara z uśmiechem od ucha do ucha i notesikiem w dłoni.

– I co się tak szczerzysz, jakby ci kto w kieszeń napluł, inspektorku?

– Bo mam się czym pochwalić. Znajdziesz trochę czasu, żeby posłuchać, co wykryłem na temat Joshuy Maxfielda?

Delilah zerknęła na zegarek.

– Przygotowaniem Ashley Spencer zajmę się dopiero o jedenastej, więc mam chwilę. Co znalazłeś?

Mara zajął krzesło naprzeciw biurka Wallace, całkowicie zawałonego kodeksami, policyjnymi meldunkami, zgniecionymi kartkami i prawniczymi notatkami.

– Jak ty się w tym wszystkim, do diabła, orientujesz? – spytał, otwierając swój notes.

Delilah popukała się w skroń.

– Wszystko jest tutaj. No więc, co tam masz?

– Masę rzeczy, których raczej nikt by się po naszym chłoptasiu nie spodziewał. Po pierwsze, jego prawdziwe nazwisko nie brzmi Maxfield, tylko Joshua Peltz. Państwo Peltz należeli do jakiejś skrajnej chrześcijańskiej sekty w Massachusetts, wyznawców zasady „nie łań pasy, bo się dziecko rozhasa”, czyli zwolenników kar cielesnych jako głównego środka wychowawczego. W wieku jedenastu lat Joshua zniknął na tydzień ze szkoły. Kuratorka znalazła go przykutego łańcuchem w szafie, zagłodzonego, odwodnionego, z licznymi oparzeniami od gaszonych na skórze papierosów. Zdaje się, że tym rodzicom naprawdę cholernie odbijało. Sąd rodzinny był tego samego zdania, bo odebrał im prawa rodzicielskie i umieścił naszego delikwenta w rodzinie zastępczej.

– Właśnie przeczytałam pierwszą książkę Maxfielda, *Turysta w Babilonie* – wtrąciła Delilah. – Teraz wiem, skąd te realistyczne opisy klasycznego maltretowania w dzieciństwie.

– Z przestępczością też jest całkiem dobrze obeznany – ciągnął Marx. – Ma niezłą kartotekę w wydziale ścigania nieletnich. Podpalił swój pierwszy zastępczy dom, za co odesłano go na jakiś czas do poprawczaka. Ma na koncie sporo bójek w szkole podstawowej i gimnazjum, a z tych szkół też parę razy wylatywał. Jedyne, czego się w życiu konsekwentnie trzymał, to judo. Któryś z jego zastępczych ojców uznał, że to mu dobrze robi, niestety, Maxfield wykorzystywał swoje umiejętności wyłącznie do poniewierania dzieciaków. Wyrzucili go z ostatniej klasy liceum za złamanie jakiemuś chłopcu ręki. Obijał się przez rok, potem wrócił do szkoły.

– Kiedy zmienił nazwisko na Maxfield? – spytała Delilah.

– Tak się nazywała ostatnia rodzina zastępcza, w której wylądował. Zalegalizował zmianę nazwiska po tym, jak się dostał do college'u na Uniwersytecie Massachusetts. Maxfield brzmi chyba znacznie lepiej niż Peltz. Opowiadał ludziom, że pochodzi z zamożnej kalifornijskiej rodziny.

– Ten swój bestseller napisał na studiach, prawda?

– Taaa, zaczął w szkole przygotowawczej, a skończył na ostatnim roku studiów.

– Marx podniósł wzrok znad notatek. – Większość tej jego pisarskiej biografii pochodzi z recenzji i wywiadów, których udzielał po sukcesie *Turysty*. Według oficjalnej wersji napisał na lekcji angielskiego wypracowanie o swoim dzieciństwie, a nauczyciel namówił go, by rzecz rozwinął. No i poszło, gruby szmal w charakterze zaliczki, literackie nagrody, listy bestsellerów, cały ten kram. Maxfield zakosił wszystko, prawdziwe cudowne dziecko. Problem polegał na tym, że w tej pierwszej powieści zużył cały zapas materiału ze swego dotychczasowego nieszczęśliwego życia i nie umiał wymyślić porządnego dalszego ciągu. Jego druga książka padła i od tego czasu nic nie napisał.

– Nie licząc epopei seryjnego mordercy.

– Celna uwaga – Marx zawahał się. – Chyba nie sądzisz, że zabijał, żeby mieć o czym pisać, co?

– To jest jakiś pomysł. – Delilah zapatrzyła się na chwilę w przestrzeń. – Muszę się nad tym zastanowić.

Z powrotem skierowała wzrok na detektywa.

– Masz dla mnie coś jeszcze, Tony?

Marx opowiedział jej, z jakiego powodu Maxfield opuścił Eton.

– Możesz zdobyć nazwisko tej kobiety, do której startował? – spytała Delilah.

– Pracuję nad tym.

– Da się go jakoś powiązać z którymś z morderstw poza granicami stanu?

– Tym się zajmuje FBI, ale nie miałem jeszcze od nich żadnych sygnałów.

– W porządku, dobra robota. A teraz ja muszę się zająć swoją, żeby nie dać plamy po południu.

Po aresztowaniu Joshuy Maxfielda zelżały trochę dręczące Ashley koszmary senne. Zamiast strachu dokuczała jej teraz przede wszystkim nuda. Zaczęła znów trenować, żeby się czymś zająć. Pewnego popołudnia pokopała trochę piłkę i postrzelała do bramki. Następnego dnia znów ruszyła na boisko. Jak dobrze było mieć przez chwilę tylko takie zmartwienia, jak umieścić piłkę w siatce. W sobotę Sally Castle zabrała ją do kina i na pizzę w centrum handlowym. Dzięki wyjściu poza teren szkoły Ashley poczuła się jak więzień wypuszczony z izolatki.

Z przyjemnością chodziła na posiłki z Henrym Van Meterem. Lubiła jego opowieści o podróżach, dziejach Oregonu i ciekawych rzeczach, jakich dokonał. Przez porównanie jej własne życie wydawało się mało interesujące. Ze świata widziała wszystkiego Meksyk i Arubę, dokąd rodzice zabrali ją na wakacje. Niestety, mieszkali w typowych miejscowościach wypoczynkowych z tłumem

innych Amerykanów, więc wszystko wyglądało mniej egzotycznie, niż się spodziewała.

Czasami jadał z nimi Miles. Odnosił się do niej równie miło, jak jego ojciec, i Ashley nie czuła się skępowana w ich towarzystwie. Zachęcali ją do planowania swojej przyszłości. Początkowo stawiała opór, ale zapewniali, że od jesieni może się uczyć w ich szkole za darmo, a także wspominali kilkakrotnie o drużynie piłkarskiej. Planowano kilka wyjazdów do innych stanów, żeby dziewczęta mogły się sprawdzić w starciu z różnymi uznanymi piłkarskimi potęgami.

W dniu rozprawy wstępnej proces rekonwalescencji Ashley znów się cofnął. Obudziła się wystraszona, miała mdłości i zrezygnowała z porannej przebieżki, bo lęk i nerwy podkopały jej siły. Poszła do rezydencji na śniadanie, ale nie była w stanie nic przełknąć oprócz tostu i herbaty. Henry Van Meter jak zwykle starał się odwrócić jej uwagę od spraw przykrych opowieściami o dalekich krajach, lecz tym razem niewiele do niej docierało. Nie mogła przestać myśleć o chwili, gdy stanie twarzą w twarz z Joshua Maxfieldem.

O dziewiątej inspektor Birch podjechał po Ashley, żeby zawieźć ją do gmachu sądu. Zapytał, jak się czuje, na co odparła, że się denerwuje. Nie miała odwagi przyznać się, z jakim przerażeniem myśli o przebywaniu w tej samej sali z człowiekiem, który zabił jej rodziców i o mały włos – ją samą. Birch orzekł, że to zupełnie normalne zdenerwowanie, i zapewnił ją, że Delilah Wallace jest miłą kobietą i będzie się starała poprowadzić wszystko w miarę bezboleśnie. Ashley skuliła się w sobie i milczała przez resztę drogi.

Kiedy wkraczała do poczekalni prokuratury, Jerry Philips siedział tam już z nosem w książce. Uśmiechnął się na jej widok i wstał. Birch zagroził mu drogę.

– Znasz tego pana? – spytał Ashley, nie spuszczając wzroku z Philipsa.

– Tak. To radca prawny moich rodziców. – Ashley spojrzała na Jerry'ego. – Co pan tu robi?

– Jestem także twoim prawnikiem, Ashley. Przyjechałem, bo uznałem, że może ci się przyda trochę moralnego wsparcia. Rozmawiałem już z panią Wallace. Robi miłe wrażenie i choć wolałaby rozmawiać z tobą w cztery oczy, to nie ma nic przeciwko mojej obecności, jeśli to poprawi twoje samopoczucie.

– Chyba dam sobie radę sama, dziękuję.

– W porządku. Zaczekam tu, aż wyjdiesz.

Początkowe napięcie Ashley ustąpiło po niespełna pięciu minutach. Delilah obiecała nie trzymać jej długo na miejscu dla świadków. Zamierzała ograniczyć się

tylko do tego, co Ashley widziała w szopie na łodzie. obrońca Maxfielda też miał prawo ją przesłuchać, ale prokurator nie spodziewała się z jego strony żadnych kłopotliwych pytań. A poza tym zapewniła, że pozostanie na sali sądowej, by zaprotestować, gdyby adwokata Maxfielda poniosło.

– Będę musiała patrzeć na pana Maxfielda? – spytała Ashley.

– Zaczekasz w moim biurze, dopóki nie zostaniesz wezwana. Zobaczysz go dopiero podczas składania zeznań. Będzie siedział przy stole obrony, ale podjęto dodatkowe środki bezpieczeństwa, więc nie masz się czym martwić. Na twoich ochroniarzy wybrałam spośród moich funkcjonariuszy prawdziwe bestie. Zrobią z Maxfielda miazgę, jeśli tylko kiwnie palcem w twoim kierunku – oświadczyła twardo Delilah. Potem uśmiech rozjaśnił jej twarz. – A jak z nim skończą, to ja sobie siądę na gadzie, tak że święty Boże nie pomoże.

Wizja Maxfielda rozplaszczono pod ciężarem tej potężnej kobiety autentycznie rozbawiła Ashley. Speszona, zasłoniła usta, ale Delilah też wybuchnęła śmiechem i przez chwilę chichotały jak dwie obgadujące kogoś dziewczynki.

Resztę spotkania prokurator poświęciła na pytania, które miała zamiar zadać Ashley, oraz na jej odpowiedzi. Do tych ostatnich niekiedy wtrącała jakieś uwagi, sugerując pewne sformułowania, lecz ani razu nie próbowała nakłonić Ashley do mówienia czegoś niezgodnego z prawdą. Wreszcie pod koniec wzięła ją na próbę w niby-krzyżowy ogień pytań. Powiedziała Ashley, że najlepszą obroną jest mówić prawdę. Radziła się nie spieszyć, uważnie słuchać każdego pytania przed udzieleniem możliwie najzwięźlejszej i najbardziej rzeczowej odpowiedzi.

– Nie bój się przyznać, że czegoś nie wiesz, jeśli tak rzeczywiście jest, albo że nie jesteś pewna – pouczyła ją jeszcze Delilah.

Po tym niby-krzyżowym ogniu pytań Delilah była całkiem zadowolona z Ashley, której strach trochę minął, bo uwierzyła, że wyjdzie z tej próby obronną ręką.

Gdy odprowadziła Ashley do poczekalni, prawnik Spencerów wciąż tam siedział.

– Panie Philips – odezwała się prokurator. – Ashley jest moim drugim świadkiem, więc chciałabym, żeby była gotowa w sądzie o pierwszej trzydzieści.

– Oczywiście. Wezmę ją na jakiś lunch i dostarczę tutaj na czas.

– Dziękuję. – Delilah położyła Ashley rękę na ramieniu. – Idź, kochana, musisz się odżywiać. Skóra i kości z ciebie.

Dziewczyna uśmiechnęła się. Czuła się bezpiecznie przy Delilah. Prokuratorka

odwzajemniła jej uśmiech i zawróciła do swego biura.

– Jesteś głodna? Zjemy coś? – spytał Philips.

Ashley ledwie skubnęła śniadania, i teraz burczało jej w brzuchu, ale znając różne historie o prawnikach, uznała, że najpierw musi zapytać o coś Philipsa.

– Zostaniesz ze mną po południu?

– A chciałabyś, żebym został?

– Tak, ale wiem, że prawnicy bardzo drogo kosztują, a ja nie mogę ci zapłacić. Nie mam pieniędzy.

– Przecież masz. Mówiłem ci o ubezpieczeniu, no i jest chętny do kupna domu. Omówimy wszystko przy lunchu. A moim dzisiejszym honorarium się nie przejmuj. To na koszt firmy.

– Czemu jesteś dla mnie taki miły?

– Jedziemy na tym samym wozie, pamiętaj. Wiem, co to samotność po stracie rodziców, dlatego nie chcę, żebyś musiała sama przez to przechodzić.

Strażnik wpuścił Barry'ego Wellera do pokoju odwiedzin w areszcie śledczym, ciasnej pakamery wielkości komórki przedzielonej kratą, przez którą więzień mógł rozmawiać z obrońcą. Weller chciał, żeby Maxfield wystąpił na rozprawie wstępnej w garniturze, ale naczelnik aresztu uznał, że to zbędne, skoro na sali nie będzie przysięgłych. Wobec czego Joshua miał na sobie pomarańczowy więzienny kombinezon. Weller spodziewał się pretensji. Jego klientom zależało zwykle na dobrym wyglądzie w trakcie otwartej rozprawy, w obecności telewizji i reporterów. Natomiast Maxfield chyba nie przywiązywał do stroju żadnej wagi. Domagał się tylko fryzjera, co Wellerowi udało się załatwić. Maxfield kazał się krótko ostrzyć. Wellerowi zaświtało, że wyglądają teraz trochę podobnie, on i jego klient.

– Gotów na pierwsze starcie, Joshua?

– Bardziej gotów już pewnie nie będę. Co mam robić?

– Nic. Na rozprawie wstępnej głównie oskarżenie wzywa swoich świadków.

– Dlaczego?

– Formalne postawienie w stan oskarżenia polega na odczytaniu ci przez sędziego zarzutów i odbywa się w sądzie okręgowym, zarezerwowanym zwykle dla wykroczeń i mniej poważnych przestępstw. W przypadku ciężkich przestępstw, na przykład morderstwa, takie rozprawy toczą się w sądzie hrabstwa. Na rozprawie wstępnej prokurator okręgowy ma sposobność przekonać sędziego, że sprawa jest na tyle poważna, by toczyć się w sądzie hrabstwa.

– A kiedy dojdzie do procesu?

– Za parę miesięcy.

– Czemu nie spróbujesz dzisiaj zawalczyć? Uniknęlibyśmy procesu.

– Tak się nie da. Na rozprawie wstępnej oskarżyciel nie musi dowieść, że jesteś winny ponad wszelką wątpliwość, jak to się dzieje na procesie. Prokurator wykaże tylko, że dla każdego myślącego człowieka z zebranych dowodów wynika jasno, iż została popełniona zbrodnia oraz istnieją uzasadnione podstawy, by przypuszczać, że to tyją popełniłeś. Nie musi się specjalnie wysilać. Ma więcej niż pięćdziesiąt procent szans na wygraną.

Rozprawa wstępna daje nam jednak wspaniałą okazję, żeby jeszcze przed procesem przesłuchać świadków oskarżenia pod przysięgą. My też moglibyśmy wezwać naszych świadków, ale to nie miałyby sensu, bo prokurator postąpiłby wtedy tak samo.

– Więc zapewne przegramy – powiedział Maxfield. – I będę musiał przesiedzieć w więzieniu kilka miesięcy w oczekiwaniu na proces?

– Tak.

Weller spodziewał się pytania o wyjście za kaucją, lecz Maxfield go nie zadał. Zamiast tego zainteresował się umową, którą Weller miał negocjować z wydawnictwem.

– Zadzwoił do mnie wczoraj Howard Martin – ożywił się Weller, mając na myśli redaktora, który współpracował z Maxfieldem nad jego poprzednimi powieściami. – Nie pracuje już w waszym starym wydawnictwie. Jest naczelnym redaktorem w Scribe.

– Chyba coś o tym czytałem w „Publishers Weekly”.

– Bardzo chce wziąć twoją książkę. Rozmawialiśmy wstępnie, ale już padły siedmiocyfrowe kwoty.

Maxfield się uśmiechnął.

– Tak się zapewne czuli ludzie wyjęci spod prawa na Dzikim Zachodzie, widząc list gończy z wysoką nagrodą za swoją głowę.

Weller się roześmiał.

– Wysoką to za mało powiedziane. Dzwonili już do mnie producenci filmowi, a kilka stacji telewizyjnych dobija się o wywiad.

– Dobra robota, Barry. Wiedziałem, że się na tobie nie zawiodę.

Weller zbierał się już do wyjścia, gdy strażnik zawiadomił ich, że nadeszła pora, by Maxfield udał się do sądu. Adwokat zaczekał przy windach, aż dwaj strażnicy doprowadzą jego klienta. We czwórkę zjechali w milczeniu na trzecie piętro. Natychmiast po otwarciu drzwi znaleźli się w oślepiającym blasku telewizyjnych reflektorów. Osłaniając oczy, Weller starał się nadażyć za dwoma strażnikami, którzy popędzali Maxfielda zasypywanego gradem pytań w ogniu błyskających fleszy. Hałas zagłuszyły dopiero zamykające się za nimi drzwi sali sądowej. Weller szedł za strażnikami i Maxfieldem przez wypełnioną do ostatniego miejsca salę, do stolika obrońców. Henry i Miles Van Meterowie zasiedli w pierwszym rzędzie dla publiczności. Z wyrazu twarzy Henry'ego trudno było odgadnąć, o czym myśli, ale Miles nie ukrywał nienawiści do oskarżonego.

Delilah Wallace przeglądała już swoje notatki przy stole oskarżenia. Nie zareagowała na poruszenie wywołane wkroczeniem na salę Wellera i jego osławionego klienta.

– Witaj, Delilah – odezwał się Weller.

Prokurator podniosła wzrok z radosnym uśmiechem.

– Barry Weller jak żywy! A niech mnie! A co ty tutaj robisz?

Barry się roześmiał. Przepadał za Delilah.

– Chciałem pójść na ugodę w sprawie tego mandatu wlepionego mojemu klientowi, ale byłaś taka zajęta, że odłożyłem to na później.

Delilah ryknęła śmiechem, który wstrząsnął całym jej zwalistym ciałem.

– Zawsze lubiłam kruszyć kopie z tobą, Barry. obrońcy z urzędu przeważnie nie mają za grosz poczucia humoru.

Weller zajął miejsce obok Maxfielda. Woźny zastukał, nawołując do zachowania ciszy, a na salę wkroczyła o lasce sędzia Nancy Stillman. Ta siwowłosa, pulchna kobietka o matczynym wyglądzie dostała sędziowską nominację przed dwoma laty, wcześniej przez dwadzieścia lat pracowała jako przedstawiciel procesowy firmy ubezpieczeniowej.

– Rozprawa wstępna w sprawie z oskarżenia publicznego przeciw Joshui Maxfieldowi – wyrecytował śpiewnie woźny.

– Czy strony są gotowe? – spytała sędzia Stillman.

Powstanie z miejsca w wypadku Delilah przypominało formowanie górotworu.

– Jak zawsze, Wysoki Sądzie, oskarżenie gotowe do dzieła.

Stillman nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Panie Weller?

Weller także się podniósł.

– Jesteśmy gotowi.

– Proszę wezwać swojego pierwszego świadka, pani Wallace.

– Zanim to zrobię, Wysoki Sądzie, chciałabym jeszcze podać do protokołu, że na potrzeby wyłącznie tego posiedzenia uzgodniliśmy z panem Wellerem przedłożenie raportu patologa na temat przyczyny śmierci Terri Spencer bez konieczności wzywania pani patolog osobiście.

– Czy to prawda, panie Weller? – spytała sędzia.

– Tak, Wysoki Sądzie.

– Proponujemy także, również wyłącznie na potrzeby tego posiedzenia, przyjęcie za pewnik, że w wypadku śmierci Terri Spencer narzędziem zbrodni był nóż myśliwski o ostrzu podobnym do dowodu rzeczowego numer trzy, który został odnaleziony na terenach należących do szkoły Oregon Academy, oraz że ekspert kryminalistyczny potwierdzi w swoich zeznaniach identyczność krwi odkrytej na ostrzu z krwią Terri Spencer.

– Do tego też się pan przychyła, panie Weller, czy tak?

– Tak, Wysoki Sądzie.

– I wreszcie, Wysoki Sądzie – ciągnęła Delilah – również wyłącznie na potrzeby tego posiedzenia, strony uzgodniły, że doktor Ralph Karpiński jest gotów potwierdzić przed sądem, że Casey Van Meter znajduje się w stanie śpiączki wskutek uszkodzenia mózgu w następstwie uderzenia o belkę w szopie na łodzie na terenie szkoły Oregon Academy, natomiast siniaki na jej twarzy powstały zapewne od ciosu w twarz.

Weller znów potwierdził to założenie, a sędzina notowała chwilę w żółtym bloczku. Uporawszy się z tym, dała Delilah skinieniem znak, że może wezwać pierwszego świadka.

– Oskarżenie wzywa Lawrence'a Bircha.

Godzinę później sekretarka Delilah zajrzała do jej biura i powiedziała Ashley, że nadeszła pora na jej zeznanie. Ashley zbladła. Jerry Philips ścisnął jej dłoń.

– Hej, radziłaś sobie z większymi ciśnieniami. Jesteś przecież sportsmenką – rzekł, próbując złagodzić jej napięcie uśmiechem, ale dziewczynę porażała myśl o wejściu do pomieszczenia, w którym znajdował się Joshua Maxfield. Przypomniała sobie ciepło i zapach jego ciała, kiedy się do niej przyciskał i ocierał genitaliami o jej pośladki. Omal nie zwymiotowała.

Jerry ujął ją pod ramię i pomógł wstać. Nogi się pod nią trzęsły. Miała trudności z oddychaniem. Kręciło się jej w głowie.

– Nie wiem, czy dam radę – wyszeptała niemal przez łzy.

Philips stanął przed nią. Złapał ją za ramiona i zmusił do spojrzenia sobie w oczy.

– Musisz, Ashley. Dla taty i mamy. Maxfield to straszny człowiek.

Ashley zapłakała, ale Philips jej nie puszczał. Sekretarce też już się zbierało na płacz.

– Można prosić o szklankę wody dla panny Spencer? – zwrócił się do niej Jerry.

Kiedy sekretarka wróciła, Ashley wciąż drżała, ale dochodziła do siebie. Jerry cofnął się i podał jej chusteczkę. Poczekał, aż wytrze oczy i upije łyk wody. Ashley wiedziała, że Jerry Philips ma rację. Musiała to zrobić dla Terri i Normana. Tylko ona mogła powstrzymać Joshuę Maxfielda i zamierzała to zrobić.

– Nie ma co czekać – powiedziała.

Philips ścisnął jej ramię i ruszyli do sali sądu.

Ashley miała wrażenie, że droga od drzwi do miejsca dla świadków trwa całą wieczność. Patrzyła prosto przed siebie, więc nie widziała, jak Jerry Philips

wślizgnął się na wolne krzesło w ostatnim rzędzie. Trzymała się sztywno, z głową odwróconą w stronę Delilah Wallace, a nie stołu obrony i Joshuy Maxfielda. Drewniana barierka dzieliła salę na część właściwą i tę dla publiczności. Prokurator z ciepłym uśmiechem wskazała Ashley przejście. W momencie, gdy sięgała, by pchnąć bramkę, dostrzegła Henry'ego Van Metera, który także się do niej uśmiechnął. Ten uśmiech pomógł jej zmobilizować siły, by sprostać swemu zadaniu.

Mijając Wellera, miała nogi jak z ołowiu. Przysięgę składała odwrócona do niego i jego klienta plecami, ale po zajęciu miejsca w boksie dla świadków nie mogła się już powstrzymać, by nie zerknąć na Maxfielda. Najtrudniej było jej pogodzić się z tym, że nie zamienił się w potwora. Nadal wyglądał jak ów sympatyczny nauczyciel spotkany na dziedzińcu szkoły, gawędzący przyjaźnie z dziewczyną, którą próbował zgwałcić i zabić, oraz z kobietą, którą miał wkrótce zadźgać nożem. Gdy ich oczy się spotkały, Maxfield się uśmiechnął. Równie ciepłym uśmiechem, co Delilah. Jak to możliwe, że zło aż tak się umie zamaskować?

– Panno Spencer – odezwała się prokurator – na potrzeby tej rozprawy zamierzam ograniczyć większość swoich pytań do zdarzeń, które miały miejsce dwudziestego czwartego czerwca wieczorem tego roku. Ale zapytam też o kilka innych spraw, żeby dać Wysokiemu Sądowi pełniejszy obraz.

Ashley z ulgą powitała początek przesłuchania, dzięki czemu mogła oderwać wzrok od Joshuy Maxfielda.

– Ukończyłaś przedostatnią klasę liceum, prawda?

– Tak – odparła Ashley, pomna rady Delilah, by odpowiadać zwięźle.

– I do tej pory chodziłaś do Liceum Eisenhowera?

– Tak.

– Uprawiałaś tam jakieś sporty?

– Piłkę nożną.

– Czy grałaś także w elitarniej drużynie klubowej po zakończeniu sezonu rozgrywek szkolnych?

– Tak.

– Odnosiłaś w sporcie sukcesy?

– Tak.

– Proszę podać sądowi kilka przykładów swoich osiągnięć w tej dziedzinie.

Ashley zaczęła wyliczanie od ogólnostanowego rankingu graczy, w którym umieszczono jej nazwisko jako wybitnej juniorki, a potem przeszła do innych

swoich wyróżnień.

– Czy Oregon Academy to szkoła prywatna?

– Tak.

– Czy jej kobieca drużyna piłki nożnej należy do ogólnokrajowej czołówki?

– Tak.

– Czy otrzymałaś stamtąd ofertę stypendium pokrywającego pełne koszty nauki w ostatniej klasie liceum?

– Tak.

– Zamierzałaś skorzystać z tej propozycji?

– Tak. Powiedziałam im, że chcę się tam uczyć od jesieni.

– Dobrze, Ashley, powiedz teraz Wysokiemu Sądowi, co robiłaś na terenie szkoły dwudziestego czwartego czerwca.

– Ta szkoła urządziła w lecie szkółkę piłkarską. Przyjeżdżają dzieci z całego kraju. Wśród instruktorów są członkowie kadry olimpijskiej i ludzie z wyższych uczelni. Mnie zatrudnili jako wychowawczynię.

– Gdzie mieszkałaś przez te dwa tygodnie?

– W internacie z dziećmiakami i innymi wychowawczyniami.

– I dlatego byłaś na terenie szkoły dwudziestego czwartego czerwca?

– Tak.

– Opowiedz, co się wydarzyło po kolacji.

To już przyszło Ashley ze znacznie większym trudem. Wypierała do tej pory wszelkie myśli o matce, a teraz musiała je dopuścić. Popiła wody, żeby zyskać na czasie i zebrać się w sobie. Sędzia Stillman wiedziała, co spotkało Ashley, jej ojca i Tanie Jones z zeznań Larry'ego Bircha. Dodała jej otuchy uśmiechem.

– Lubię sobie pobiegać wieczorem – powiedziała Ashley. – Zwykle biegamy z Sally Castle, moją koleżanką z pokoju, ale wtedy źle się czuła, więc poszłam sama.

– Gdzie biegałaś? – spytała Delilah.

– Na terenie należącym do szkoły jest dużo leśnych ścieżek. Biegałam po lesie.

– Czy skrajem tego terenu płynie rzeka?

– Tak.

– Czy jest nad nią przystań z szopą na łodzie?

– Tak.

– Czy twoja trasa prowadziła w pobliżu przystani?

– Tak.

– Czy było jeszcze jasno?

– Całkiem jasno.

– Kiedy ścieżka zaprowadziła cię w pobliże rzeki i przystani, czy zobaczyłaś kogoś znajomego?

Ashley zawahała się. Zaczerpnęła tchu.

– Widziałam pana Maxfielda.

– Ashley, wiem, że to dla ciebie trudne...

– Sprzeciw – odezwał się Weller. – To nie pytanie.

– Podtrzymany – zgodziła się sędzia Stillman. – Pani prokurator, proszę zadać pytanie bez wstępów.

– Tak, Wysoki Sądzie. Ashley, spójrz na oskarżonego.

Delilah uprzedzała Ashley, że ten moment nadejdzie, ale to niewiele zmieniło. Dziewczyna nadal nie była na to gotowa. Obracając głowę w stronę Maxfielda, ścisnęła trzymane na kolanach ręce aż do bólu.

– Czy to tego człowieka widziałaś w lesie w pobliżu rzeki i przystani wieczorem dwudziestego czwartego czerwca?

Ashley znów napotkała wzrok Maxfielda. Uśmiechał się łagodnie, bez cienia groźby. Jakby jej chciał ułatwić zadanie. Ashley kiwnęła głową i spojrzała w bok.

– Musimy to usłyszeć, panno Spencer – powiedziała sędzia.

Dziewczyna odetchnęła głęboko. Delilah mówiła jej, jakie znaczenie ma pewność w rozpoznaniu Maxfielda. Jeśli ma ponieść karę za to, co zrobił jej, jej rodzicom i jej przyjaciółce, trzeba sędzi powiezieć, że to jego widziała na przystani.

– Tego wieczoru widziałam Joshuę Maxfielda – wskazała go za stołem obrony.

– To ten pan, który tam siedzi ze swoim adwokatem.

– Proszę odnotować w protokole, że świadek Spencer rozpoznała oskarżonego, Joshuę Maxfielda – zarządziła sędzia.

– Co robił oskarżony, kiedy widziałaś go tego wieczoru po raz pierwszy? – spytała Delilah.

– Szedł przez las w stronę przystani.

Delilah zamilkła na chwilę, żeby sprawdzić coś w notatkach. Ashley wolałaby, żeby to się już skończyło, ale wiedziała, że to niemożliwe.

– Ashley – podjęła prokurator – czy po tym, jak zobaczyłaś oskarżonego idącego w stronę przystani, wydarzyło się coś niezwykłego?

– Tak.

– Opowiedz sądowi, co to było i co zrobiłaś.

– Usłyszałam krzyk. Właściwie to niejeden.

– Ile razy ktoś krzyknął?

- Dwa.
- Czy między jednym krzykiem a drugim była jakaś przerwa?
- Tak, ale niedługa.
- Czy jesteś w stanie określić, kto krzyczał?
- Kobieta. To był krzyk kobiety.
- Co zrobiłaś, kiedy go usłyszałaś?

Ashley spuściła oczy.

- Przestraszyłam się – odparła cicho. – Zamarłam. Chciałam się schować.
- I schowałaś się?
- Nie.

Głos uwiązał jej w gardle. Znow sięgnęła po szklankę z wodą.

- Co zrobiłaś po tym drugim krzyku?
- Poszłam przez las w stronę przystani.
- Dlaczego akurat tam?
- Bo krzyki stamtąd dobiegały.
- Czy jeszcze coś widziałaś lub słyszałaś przed dotarciem na przystań? – spytała Delilah.

- Nie.
- Jak blisko podeszłaś do szopy na łodzie?
- Bardzo blisko. Podeszłam do jednego z bocznych okien i zajrzałam do środka.
- Słyszałaś coś z tego miejsca?
- Zanim zajrzałam, usłyszałam jeszcze, jak jakaś kobieta coś woła.
- Co powiedziała?
- Nie wiem.
- Skąd pewność, że krzyczała kobieta?
- To był wysoki głos.
- Ile czasu upłynęło między tym krzykiem a twoim podejściem do okna?
- Kilka sekund.
- Co zobaczyłaś przez okno?

Wszystko ożyło w jej pamięci: ciało oparte o belkę podtrzymującą strop, ciało skulone w pozycji embrionalnej na podłodze. Ashley poruszyła się niespokojnie i zacisnęła powieki.

– Czy wolałabyś chwilę przerwy? – spytała Delilah, zaalarmowana jej bladością.

– Nie – odparła Ashley głosem człowieka opadłego z sił. – Chcę to już mieć za sobą.

– Na pewno, panno Spencer? – wtrąciła się sędzina. – Możemy zarządzić przerwę.

– Nie – odparła Ashley z większym zdecydowaniem. – Mogę odpowiedzieć na to pytanie.

Obróciła się znów twarzą do Maxfielda. Uniosła rękę w jego kierunku.

– Stał nad panią dyrektor Van Meter. Trzymał nóż. Na nożu była krew. Chyba wydałam jakiś odgłos, bo spojrzał w okno i popatrzył na mnie. Potem się poruszył i zobaczyłam... zobaczyłam moją... matkę.

– Wyjašnjmy jedno, Ashley. Czy rozpoznałaś już wtedy te dwie kobiety?

– Nie. Nie widziałam ich twarzy. W środku było ciemno.

– Ale widziałaś oskarżonego?

Ashley poczuła przypływ sił. Nie spuszczała rozpalonego wzroku z Maxfielda.

– Z całą pewnością. To był on. Stał tuż przy oknie. W ręku miał nóż, cały zakrwawiony.

– Co było potem?

– Uciekłam, a on biegł za mną. Dotarłam do internatu i powiedziałam wszystko strażnikowi. On wezwał policję.

Delilah znów zajrzała do notatek. Nie pominęła żadnego tematu, na który potrzebowała zeznań Ashley na tym etapie sprawy. Z raportu z sekcji zwłok i innych przedłożonych materiałów wynikało, że Terri Spencer została zamordowana, a Casey Van Meter znajduje się w stanie śpiączki wskutek ogłuszenia. Ashley wprowadziła osobę Joshuy Maxfielda na miejsce zbrodni wkrótce po tym, jak w lesie rozbrzmiały krzyki. Ponadto słyszała kobietę, która coś krzyknęła wewnątrz szopy na łodzie na moment przed tym, jak Ashley ujrzała Maxfielda z zakrwawionym nożem, którym została zamordowana Terri.

– Nie mam więcej pytań – oświadczyła Delilah, żałując, że wydaje teraz dziewczynę na pastwę obrońcy Maxfielda. Widziała, ile ją kosztowały odpowiedzi nawet na te życzliwe pytania. Miała tylko nadzieję, że, jako przyzwoity facet, Barry Weller nie będzie dla świadka zbyt nieprzyjemny.

– Obrona ma jakieś pytania? – spytała sędzina.

Zanim Weller zdążył odpowiedzieć, Joshua Maxfield dotknął jego przedramienia i szepnął mu coś do ucha.

– Czy mogę prosić o chwilę na konsultację z moim klientem, Wysoki Sądzie?

– Naturalnie – odparła sędzia Stillman.

Weller nachylił się do Maxfielda.

– Musimy pomówić – powiedział Maxfield.

– Poproszę o przerwę po przesłuchaniu świadka.

– Nie, teraz. Musimy pomówić natychmiast – upierał się Maxfield.

– Joshua, Spencer jest roztrzęsiona. Nie chcę dawać jej czasu na pozbieranie się do kupy.

– Nie ma potrzeby jej przesłuchiwać, Barry. Chcę się przyznać do winy.

– Co?! – wyrwało się Wellerowi na tyle głośno, żeby zwrócić powszechną uwagę. Rozejrzył się szybko wokół. Cała sala wlepiła w niego oczy. Ściszył głos.

– Mówisz poważnie?

– Bardzo.

– Przyznanie się nie gwarantuje ci uniknięcia śmierci. Zdajesz sobie sprawę, że oskarżenie może zażądać rozprawy skazującej, jeśli nie zrezygnuje z domagania się kary śmierci?

Maxfield zerknął przez ramię na publiczność. Napotkał spojrzenie Milesa Van Meta, ale zaraz odwrócił wzrok.

– Ludzie się przysłuchują – rzucił nerwowo. – Czy nie moglibyśmy porozmawiać gdzieś w cztery oczy? – Wskazał drzwi do pokoju przysięgłych. – Może tam?

– Zapytam sędzinę.

Weller wstał.

– Czy mogę podejść, Wysoki Sądzie?

Sędzina przywołała gestem obie strony do swojego podium. Gdy tylko Delilah podeszła, Weller wyciągnął szyję w stronę sędziny.

– Wysoki Sądzie, muszę omówić z klientem ważną sprawę na osobności. Czy mogę prosić o małą przerwę? Może skorzystalibyśmy z pokoju przysięgłych?

– Ta młoda kobieta jest u kresu wytrzymałości, Barry – stwierdziła sędzina. – Chciałabym to zakończyć jak najszybciej.

– Bez wchodzenia na razie w szczegóły, Wysoki Sądzie, uważam, że wynik tej rozmowy może okazać się korzystny dla panny Spencer.

Sędzia Stillman spojrzała ze zdziwieniem.

– Nie mam nic przeciwko temu, Wysoki Sądzie – odezwała się Delilah. Uznała, że Ashley przyda się przerwa.

– Zatem dobrze. Możecie skorzystać z pokoju przysięgłych.

Sędzina wezwała strażników sądowych i poinformowała ich, że pozwala Wellerowi naradzić się z klientem podczas przerwy. Dwóch funkcjonariuszy odprowadziło Maxfielda z adwokatem do pokoju przysięgłych, podczas gdy trzeci zajął miejsce przy drugich drzwiach prowadzących na korytarz.

Sędzia zarządziła przerwę i wyszła. Część widzów rządками opuszczała salę, inni stali przy swoich miejscach zagadani. Delilah podeszła do boksu dla świadków.

– Jak się czujesz, Ashley – spytała?

– Chciałabym, żeby to się już skończyło.

– Ja też, ale dobrze się spisałaś i poradzisz sobie także z pytaniami Wellera, jeśli będziesz się trzymać moich prostych zasad.

– Mam pomyśleć, zanim odpowiem, zawsze mówić prawdę, nie bać się przyznać, że czegoś nie wiem, i zawsze prosić pana Wellera o wyjaśnienie, jeśli nie rozumiem pytania.

Delilah się rozpromieniła.

– Zaliczone, młoda damo. Mogłabyś z miejsca iść na prawo. Wstań z tego krzesła i chodź rozprostować trochę nogi.

Podeszły z Ashley do stołu oskarżycieli. Dołączyli do nich zaraz Larry Birch, Tony Marx i Jerry Philips. Van Meterowie pytali prokuratorkę, czy jest zadowolona z przebiegu rozprawy. Delilah odrzekła, że nie ma żadnych wątpliwości co do postawienia Maxfielda w stan oskarżenia i wyznaczenia daty procesu. Pochwaliła Ashley za udany występ w roli naocznego świadka.

– Co oni tam robią w tej drugiej sali? – spytała Ashley.

– Nie wiem.

Wallace miała pewne przeczucie, ale nie chciała robić Ashley przedwczesnej nadziei. Może wobec zeznań Ashley Maxfield doszedł do wniosku, że przegra proces i teraz prosi obrońcę, żeby spróbował wytargować ugodę?

– Sądziś, że...?

Philips nie zdążył skończyć pytania, bo w tym momencie człowiek w pomarańczowym kombinezonie wytoczył się chwiejnie z pokoju przysięgłych. Zaskoczony strażnik najpierw zrobił krok do tyłu, dopiero potem złapał go za ramiona. Delilah wlepiła wzrok w twarz więźnia.

– To Weller, jego adwokat! – krzyknęła do strażnika, ruszając w jego stronę. – Gdzie Maxfield?

Strażnik miał zdetonowaną minę.

– To adwokat. – Prokurator pokazała palcem na Wellera. Wasz więzień zamienił się z nim na ubrania. Uciekł.

Strażnik spojrział raz jeszcze na człowieka, którego trzymał w uścisku, i wreszcie pojął, w czym rzecz.

– Pilnuj Ashley – rozkazał partnerowi Larry Birch, rzucając się w stronę pokoju

przysięgłych. Delilah już była w środku. Długi, wąski stół na dwanaście osób zajmował większą część pomieszczenia. Na podłodze między stołem a drzwiami na korytarz leżał strażnik, który miał ich strzec z drugiej strony. Larry Birch minął w pędzie prokuratorkę, żeby sprawdzić jego tętno. Strażnik oddychał.

– Wezwij lekarza – rzekł do Delilah, wyciągając broń i kierując się do drzwi na korytarz. Dwie kobiety odskoczyły, przerażone, pod ścianę. Muskularny budowlaniec dla odmiany zareagował, jakby miał ochotę rozbroić policjanta. Birch machnął mu odznaką przed oczami.

– Jestem oficerem policji – wyjaśnił. – Widzieliście, jak z tego pokoju wychodził mężczyzna w garniturze?

Robotnik pokręcił głową, nie spuszczać oczu z rewolweru Bircha. Inspektor pognał w stronę szerokich marmurowych schodów prowadzących do holu. Starał się nie wymachiwać bronią, żeby nie wywołać paniki. Ludzie przeważnie korzystali z wind. Inspektor sądził, że Maxfield wybrał schody, jako mniej uczęszczane. Minął po drodze tylko parę osób, zaabsorbowanych swoimi lub sądowymi sprawami. Ci ludzie nie zwracali na niego żadnej uwagi. Na Maxfielda też by nie zwrócili.

Przy wejściu do sądu stały bramki z wykrywaczem metali. Kilku strażników sprawdzało wchodzących prawników, pracowników i petentów. Nikt się nie przyglądał wychodzącym. Bircha powitał na dworze rześki chłód. Niedawno przeszła letnia ulewa, ale teraz słońce znów świeciło, a w powietrzu czuć było ozon. Birch spojrział w jedną i drugą stronę ulicy, popatrzył na park. Ani śladu Joshuy Maxfielda.

Po powrocie do sali sądu Larry Birch zastał Barry'ego Wellera na krześle za stołem obrony w otoczeniu sędzi Stillman, Van Meterów, Delilah Wallace, Tony'ego Marksa, Jerry'ego Philipa i Ashley Spencer.

– Wszedłem do pokoju przysięgłych i położyłem teczkę na stole – mówił Weller. – Maxfield szedł za mną. Zanim się odwróciłem, założył mi nelsona. Przydusił mnie tak, że nie mogłem ani wydać głosu, ani złapać tchu. Obalił mnie na podłogę i ścisnął nogami. To był jakiś zapaśniczy chwyt. Przez parę sekund walczyłem, potem straciłem przytomność. Kiedy doszedłem do siebie, miałem już na sobie kombinezon Maxfielda, a mojego garnituru i teczki nie było.

– Masz pojęcie, gdzie mógł pójść? – spytał Tony Marx.

– Nie. Nigdy nie wysnęło mu się nic, co by mi dało do myślenia, że może szykuje coś takiego. Mówił o pisaniu książki na temat tej sprawy. Robił wrażenie,

jakby się pogodził z perspektywą procesu.

Marx zauważył partnera.

– No i co?

Birch potrząsnął głową.

– Tony, zaalarmowałeś wszystkich?

– Tak. Maxfield chyba to planował od jakiegoś czasu. Weller podejrzewa, że w ogóle go wynajął, bo są dosyć podobni.

Birch przyjrzał się prawnikowi.

– Cholera. Nigdy mi to nie przyszło do głowy.

– Ani mnie – mruknął Weller z zażenowaniem.

Z pokoju przysięgłych wyłonił się doktor ze strażnikiem, którego Maxfield ogłuszył. Strażnik wyglądał na lekko oszołomionego, ale szedł o własnych siłach. Lekarz skierował się do Wellera.

– Niech no zobaczę, czy na pewno nie trzeba pana zawieźć do szpitala.

Wszyscy się cofnęli, żeby zrobić mu miejsce. Delilah zauważyła bladość Ashley.

– Wszystko w porządku – zapewniła swego przerażonego świadka.

Ashley opadła na krzesło. Oddychała płytko i z trudem.

– On ucieka, Ashley – ciągnęła prokuratorka. – Poprzednim razem złapali go w Nebrasce. Maxfieldowi absolutnie nie zależy, żeby być blisko ciebie. Chce znaleźć się jak najdalej od Oregon u.

Ashley miała śmierć w oczach.

– Może i teraz ucieka – z jej głosu uszły resztki energii – ale wróci po mnie. Zabił wszystkich, których kochałam, i próbował zabić mnie. Nie wiem, czemu chce mojej śmierci, ale jej chce i nie przestanie.

Larry Birch zatrzymał się w McDonalddie, żeby Ashley coś zjadła przed powrotem do internatu. Na miejscu pod drzwiami pokoju Ashley czekał już policjant. Inny funkcjonariusz – wedle zapewnień Bircha – patrolował teren szkoły.

Ashley wolałaby nie mieszkać sama w internacie. Po aresztowaniu Maxfielda dokuczala jej samotność i nuda. Teraz, po jego ucieczce, powiało tu grozą. Przez nadmiar ciemnych boazerii i niedostatek dziennego światła stary budynek pachniał stęchlizną. W ciszy niezakłóconej głosami uczennic Ashley słyszała niesamowite pojękiwanie wiatru wciskającego się w szpary. Ciągle coś skrzypiało lub szurało w ścianach.

Przed pójściem spać pogasiła światła w pokoju i wyjrzała przez okno. Obok internatu znajdował się budynek nauk ścisłych, a naprzeciwko trawiasty dziedziniec. Ashley miała pokój w rogu z oknami wychodzącymi na las. Latarnie nieźle oświetlały teren kampusu, ale w gęstwinie drzew panowała całkowita ciemność. Kiedy internat nie był wyludniony, światło z sąsiednich okien padało na korony drzew. Teraz pozostała tylko mglista poświata księżycy w kwadrze.

Dziewczyna utkwiała wzrok w rozhuśtanych wiatrem gałęziach. Potem spojrzała w górę, na gwiazdy. Gdzie byli matka i ojciec? Miała nadzieję, że istnieje jakieś niebo lub inna forma życia po śmierci, w której są razem, szczęśliwi. Chciała uwierzyć, że nie czeka ich tylko rozkład, że znakiem ich pobytu na Ziemi nie będą wyłącznie gnijące ciała i nagie kości. Jedną z jej koleżanek ciągnęło do New Age. Opowiadała o aurach i duchowej energii, pozostającej po zmarłych. Ashley pamiętała, jak zdarzało jej się w dzieciństwie czuć duchową obecność ojca podczas meczu, na który nie udało mu się przyjść, ale brutalne mordy, których ofiarą padli jej rodzice, zabiły w niej także wiarę w magię. Ashley wypatrywała jakiegoś śladu rodziców – ich ducha, duszy wciąż żywej mimo śmierci ciała – ale znalazła tylko nicość, przepastną pustkę, która była przeciwieństwem życia.

Zasunęła zasłony i weszła do łóżka. Zapłakała cicho, podciągając koc. Kiedyś odmawiała przed snem modlitwę, lecz od śmierci ojca nie była do tego zdolna. Teraz marzyła jedynie, żeby spać bez żadnych snów.

Obudziła się o drugiej pięćdziesiąt osiem, przynajmniej tak pokazywał budzik. W MacDonalddie wypila dużą colę i musiała teraz iść do łazienki. Było tak gorąco, że spała tylko w majteczkach i podkoszulku. Przypomniała sobie o policjancie pod

drzwiami i założyła spodnie od dresu.

Policjant podniósł się na dźwięk klamki. Miał dwadzieścia parę lat i ostrzyżone na jeża blond włosy. Robił wrażenie silnego faceta. Czytał „Sport Illustrated”, który na widok Ashley próbował ukryć.

– Idę tylko do łazienki – powiedziała, trochę speszona koniecznością tłumaczenia się ze swoich potrzeb fizjologicznych.

– W porządku – odparł. – Będę tu przez całą noc – dodał z uśmiechem.

Ashley zamknęła za sobą drzwi. Z powodu słabej mocy żarówek na podłodze tworzyły się wzory z cieni i jaśniejszych plam. Zaspana dowlokła się do schodów, za którymi znajdowały się łazienki. Wciąż nie całkiem obudzona weszła do kabinki i wysiusiała się. Usłyszała coś w momencie, gdy się wycierała. W internacie panowała taka cisza, że żaden odgłos z tego piętra nie mógłby jej umknąć. Nie miała pojęcia, skąd dokładnie dobiegł ten dźwięk, ale wystraszyła się, bo przypominał jęk bólu.

Próbowała wmówić sobie, że popada w paranoję, choć wiedziała, że to nieprawda. Miała bardzo uzasadnione powody, by się bać. Postanowiła zaczekać ze spuszczeniem wody. Lepiej nie zdradzać swego miejsca pobytu, jeśli ktoś tam jest. Uchyliła drzwi łazienki, żeby wyjrzeć przez szparę. Widziała korytarz przed swoim pokojem. Wartownik nadal siedział na krześle, lecz przechylony w bok pod dziwnym kątem, jakby spał, co zupełnie nie miało sensu. Przed chwilą z nim rozmawiała. Wiedział, że wyszła tylko na parę minut.

Jej uwagę przykuł czerwonawy poblask z lewej strony policjanta. Potrzebowała chwili, by zrozumieć, że patrzy na cyfrowy budzik na swojej szafce nocnej. To znaczyło, że drzwi pokoju są otwarte. Ashley była pewna, że je zamknęła. Poświata mignęła. Coś ją musiało na chwilę przesłonić. Serce dziewczyny waliło jak oszalałe. Joshua Maxfield zabił policjanta i chodzi teraz po jej pokoju.

Z trudem się opanowała, by nie pognać biegiem po schodach. Gdy zaciskając zęby, zdołała cicho i ostrożnie zejść pół piętra w dół, usłyszała, jak drzwi jej szafy walnęły o ścianę. Przyspieszyła. Moment później na podeście drugiego piętra zadudniły kroki kierujące się w stronę łazienek.

Ashley przystanęła w mroku holu wejściowego. Maxfield zaraz się zorientuje, że nie ma jej na drugim piętrze, i ruszy na poszukiwania. Mogła się chować w opustoszałym internacie, ale w zamkniętej przestrzeni stałaby się dla mordercy łatwiejszym celem. Na dworze było znacznie więcej kryjówek. I był policjant, który miał patrolować teren! Znajdzie go, żeby wezwał pomoc.

Ktoś z łomotem zbiegał po schodach. Ashley wypadła w noc i popędziła za róg

budynku. Zaczepiła o coś stopą i runęła na ziemię. Przekręciła się na bok, żeby wstać, i napotkała martwe spojrzenie drugiego policjanta. Leżał z głową przechyloną na bok. Miał rozdartą z przodu wieloma ciosami noża koszulę i czerwoną ranę biegnącą od jednej strony szyi do drugiej.

Ashley powstrzymała odruch wymiotny i zdołała się podnieść. Maxfield zaraz tu będzie. Trzeba uciekać. Pobiegła w stronę lasu, ciemnego i dającego schronienie. Kiedy jej ochrona nie zamelduje się o odpowiedniej porze, ktoś przyjdzie sprawdzić, co się stało. Maxfield nie będzie ryzykować ścigania jej przez całą noc. Jeśli uda jej się przetrwać w ukryciu do rana, będzie bezpieczna.

W las prowadziła ścieżka. Dziewczyna ją minęła i po kilkunastu krokach wzdłuż linii drzew zanurkowała w głąb. W samą porę. Ktoś wybiegł na trawnik przed internatem i zatrzymał się na dziedzińcu. Ashley miała okazję dobrze mu się przyjrzeć w świetle co najmniej dwóch latarni. Był w kominiarce i rękawicach. Twarzy nie było widać, ale wzrostem i posturą przypominał Joshuę Maxfielda i wyglądał zupełnie tak samo jak człowiek, który zabił jej ojca.

Zatoczył z wolna koło. Zatrzymał się twarzą do lasu. Ashley zdawało się, że patrzy wprost na nią. Wstrzymała oddech. Modliła się, żeby zrezygnował z szukania. Jej modlitwy zostały wysłuchane. Napastnik zniknął w mroku.

Przypomniała sobie nagle o Henrym Van Meterze i innych mieszkańcach rezydencji. Trzeba ich ostrzec. Ashley była boso i już odczuwała w podeszwach stóp skutki zetknięcia z leśnym poszyciem. Na szczęście nigdzie na terenie szkoły nie brakowało zieleni i trawników. Kuląc się pod ścianami, podkrađła się do ciała policjanta.

Zemdliło ją, zacisnęła powieki i wzięła głęboki wdech. Nie mogła sobie pozwolić na panikę. Uklękła, żeby poszukać radiotelefonu. Nie było go. Jeśli ma ostrzec Henry'ego Van Metera, musi iść do jego domu.

Przyczaiła się w cieniu internatu, ale zaledwie parę kroków dalej wszystko było widać w jasnym świetle latarni. Nie mogła ryzykować pokazania się na dziedzińcu, więc przebiegła skulona za internatem i innymi budynkami. W ten sposób dotarła na drugi koniec dziedzińca i wyjrzała zza rogu najdalej wysuniętego budynku. Ani śladu Maxfielda.

Znowu zaczerpnęła dużo powietrza i pomknęła przez otwartą przestrzeń do budynku administracji. Teraz była po tej samej stronie dziedzińca co sala gimnastyczna i mogła się znowu kryć pod ścianami. Jeśli Maxfield nie zauważył jej sprintu przez trawnik, to nic jej nie grozi.

Kiedy znalazła się na tyłach sali gimnastycznej, jej uszu dobiegł jakiś dźwięk.

Między budynkiem a położonym dalej boiskiem było niewielkie wzniesienie. Ashley dała za nie nura i przywarła do zimnej trawy. Usłyszała szuranie adidasów po betonowym chodniku biegnącym wokół sali gimnastycznej. Wyjrzała zza pagórka. Ktoś otworzył drzwi i wślizgnął się do środka.

Miała właśnie rzucić się biegiem w stronę rezydencji, gdy w alejce przed salą rozblęły światła reflektorów i pojawił się wóz policyjny. Ashley wyskoczyła ze swojej kryjówki i popędziła przed siebie, wymachując rękami i krzycząc. Samochód stanął.

– Maxfield tu jest! – wrzasnęła. – Zabił ochroniarzy. Obaj nie żyją.

Atletyczny czarny policjant wysiadł z wozu z rewolwerem w dłoni, podczas gdy jego partner wzywał pomoc.

– Jest w sali gimnastycznej. Widziałam, jak wchodził. Ma nóż. Poderżnął im gardła.

Kierowca zawahał się, patrząc na wejście do sali. Dołączył do niego drugi funkcjonariusz, krępy Latynos, który właśnie skończył meldować przez radiotelefon.

– Ona mówi, że wszedł do sali, Bob.

Bob kiwnął głową w stronę Ashley.

– A co z nią zrobimy?

– Nie wchodźcie tam sami. On już zabił dwóch policjantów! – zawołała Ashley.

– Ile tu jest wyjść?

Dźwięk syren przerwał Ashley, nim zdążyła odpowiedzieć. Policjanci odetchnęli. Po sekundzie w ich polu widzenia pojawił się drugi wóz patrolowy, a za nim kilka innych.

– Trzeba posłać kogoś do rezydencji – odezwała się Ashley. – Tam jest pan Van Meter.

Policjanci zostawili ją przy samochodzie i poszli naradzić się z przybyłymi posiłkami. Po paru chwilach Ashley została odwieziona do rezydencji. Patrzyła przez tylne okienko, jak kilkunastu uzbrojonych ludzi okrąża budynek sali gimnastycznej.

Henry Van Meter stał w progu swego domu, jakby czekał na przybycie Ashley. Słyszał syreny i zdążył się już ubrać. Dowiedziawszy się od niej, co zaszło w internacie, poprosił, by poczekała w pokoju wypoczynkowym, kiedy będzie rozmawiał z policją, i posłał panią O'Connor po herbatę i coś do jedzenia dla Ashley.

Upłynęła jeszcze godzina, nim Larry Birch powiedział Ashley, że Joshuy Maxfielda nie znaleziono ani w sali, ani nigdzie indziej. To wystarczyło Ashley, żeby podjąć decyzję. Natychmiast po wyjściu Bircha sięgnęła po telefon. Jerry Philips zostawił jej swój domowy numer i już raz z niego skorzystała, żeby omówić sprawę sprzedaży domu. Teraz odebrał telefon mocno zaspanym głosem.

– Ashley, która to godzina?

– Piąta dwadzieścia osiem.

– Coś się stało?

– Maxfield próbował mnie zabić.

– Nic ci nie jest?

– Nie, ale muszę z tobą pomówić.

– Gdzie jesteś?

– W domu Van Meterów.

– Będę tam za pół godziny.

Odłożyła słuchawkę. Usiadła w fotelu przy kominku i zamknęła oczy. Domyśliła się, że zasnęła, bo gdy je otworzyła, Jerry Philips siedział naprzeciw niej.

– Od jak dawna tu jesteś? – spytała.

Uśmiechnął się.

– Od jakiejś godziny.

– Czemu mnie nie obudziłeś?

– Uznaliśmy wszyscy, że przyda ci się trochę snu – odpowiedział Philips. – Chcesz coś zjeść albo kawy?

Ashley pokręciła głową. Przypomniała sobie, czemu wezwała Philipsa, i nagle dopadł ją przeraźliwy strach.

– Jesteś moim prawnikiem, prawda?

– No pewnie.

– W telewizji mówią, że prawnika obowiązuje tajemnica lekarska...

– Zawodowa.

– Zawodowa. Co to tak naprawdę znaczy?

– Że prawo chroni osobę rozmawiającą ze swoim prawnikiem, by mogła mówić o własnych problemach bez obawy, że dowie się o nich ktoś inny. Prawnikiem nie wolno bez jej zgody komukolwiek o tym opowiadać, dzięki czemu może być z nim całkowicie szczerą, a on może jej dobrze doradzić.

– Czyli wszystko, co ci powiem, zachowasz w tajemnicy?

Philips przytaknął.

– No więc o co chodzi?

– Ile mam pieniędzy?

– Nie dysponuję dokładnymi wyliczeniami, ale po sprzedaży domu, z ubezpieczenia... chyba około pięciuset tysięcy dolarów.

– Czy możesz założyć mi taki rachunek w banku, żebym mogła z niego pobierać pieniądze za granicą?

– Tak.

– Może być na inne nazwisko?

– Ashley, co ty chcesz zrobić?

Dziewczyna wyprostowała się w fotelu z rękami na kolanach.

– Wyjeżdżam.

– Dokąd?

– Z kraju.

– Ale dokąd?

– Nie chcę ci mówić. Nie chcę nikomu mówić, dokąd.

– Wszystko, co powiesz, zachowam dla siebie. To nie znaczy, że nie mogę ci doradzić. Po to się ma radcę prawnego. No więc, dokąd zamierzasz jechać?

Ashley spuściła wzrok, ale nie odpowiedziała.

– Czy znasz tam kogoś?

– Nie.

– Znasz jakieś języki obce?

– Hiszpański. Miałam przez trzy lata hiszpański.

– Co tam będziesz robić, jak już tam dotrzesz?

– Nie wiem.

Ashley patrzyła na swoje dłonie na kolanach.

– Wiem tylko, że nie mogę tu zostać. Oni nie potrafią mnie ochronić, a ja nie mogę tak żyć, w zamknięciu, cały czas pod strażą. – Podniosła oczy. – Maxfield nie będzie mnie szukał tam, gdzie jadę, bo nawet ja jeszcze nie wiem, gdzie jadę. Zmienię nazwisko. Będę mało wydawać. Skontaktuję się z tobą mailem. Jeśli go złapią, wrócę.

– To wariactwo. Rozumiem, że się boisz. Przeżyłaś piekło. Ale to nie ma sensu. Pozwól mi sprawdzić, czy nie mogliby cię objąć programem ochrony świadków. Maxfield zabijał w różnych stanach. Może federalni ci pomogą.

– Nie ufam im.

– Jesteś wystraszona. Trudno mi sobie nawet wyobrazić, co przeszłaś dzisiaj i poprzednio. Ale teraz nie myślisz jasno.

Ashley zacisnęła splecione ręce.

– Tak chcę zrobić. Jeśli mi nie pomożesz, znajdę innego prawnika.

– Ashley...

– Nie, już postanowiłam. Mam paszport. Zamówię bilet przez Internet. Potrzebuję tylko, żebyś mi założył konto, bym miała z czego żyć.

– To obłąd.

– Moje życie to obłąd. Maxfield chce mnie zabić. Wymordował mi rodzinę. Jeśli tu zostanę, nigdy nie będę mogła żyć normalnie. Będę jak przestępca, zamknięta, pod strażą. Nie będę mogła chodzić do szkoły. Nie będę miała przyjaciół. I będę się bez przerwy bać. Nie rozumiesz? Muszę przed nim uciekać.

Ashley Spencer zniknęła – oznajmił Larry Birch, wchodząc do biura Delilah Wallace.

– Co takiego?!

– Mieszkała u Van Meterów. Henry Van Meter przeniósł ją z internatu i wynajął prywatnych ochroniarzy. Wymknęła się dziś rano po śniadaniu. Nikt jej od tego czasu nie widział. Pan Van Meter zadzwonił do mnie, jak tylko się upewnił, że naprawdę nigdzie jej nie ma.

– Czy Maxfield...?

– Nie sądzę. Van Meter przekształcił swoją posiadłość w obóz warowny. Wątpię, żeby Maxfield usiłował się tam do niej przedrzeć.

– Więc uważasz, że uciekła?

– Chyba tak. Na pewno się starała, żeby strażnicy jej nie zauważyli. Lecz jej ubrania, szczoteczka do zębów, szczotka do włosów i takie tam zostały w pokoju.

Delilah odchyliła się na oparcie fotela, kręcąc ze smutkiem głową.

– Biedne, samotne dziecko. Ależ ona musi się bać. W głowie się nie mieści.

Na biurku zahuczał interkom.

– Jest tu Jerry Philips – odezwała się recepcjonistka. – Chce z panią rozmawiać o Ashley Spencer.

– Proszę go wpuścić.

Dwie minuty później sekretarka wprowadziła Jerry'ego Philipsa do pokoju Delilah. Miał zażenowaną minę i unikał jej wzroku.

– Gdzie ona jest, panie Philips?! – zagrzmiała prokurator.

Jerry zauważył, że przeszła nagle na pan, choć zwykle zwracała się do niego po imieniu.

– Nie mogę powiedzieć.

– Jerry, słuchaj no – wtrącił się inspektor. – Ashley jest istotnym świadkiem w sprawie o morderstwo i grozi jej poważne niebezpieczeństwo...

– Nie rozumiecie – przerwał mu Philips. – Nie mogę wam powiedzieć, bo sam nie wiem. Uwierzcie mi, próbowałem to od niej wyciągnąć, niestety, bez rezultatu. Nie zdradziła, dokąd się wybiera.

– Więc po co przyszedłeś? – spytała Delilah.

– Ashley mi kazała. Nie chciała, żebyście się martwili, że wpadła w łapy Maxfielda. Chciała was zawiadomić, że jest w bezpiecznym miejscu.

– Pomogłeś jej w tym?

Jerry zapatrzył się na swoje buty.

– Moje rozmowy z Ashley chroni tajemnica zawodowa. Nie mogę wam powiedzieć, o czym rozmawialiśmy.

Larry'emu Birchowi nieczęsto zdarzało się widzieć rozgniewaną Delilah, ale teraz na pewno była wściekła. Podźwignęła swoje sto dwadzieścia kilo żywej wagi z fotela, piorunując prawnika Ashley wzrokiem. Jerry nadal odwracał oczy.

– Mówimy o przerażonej młodej dziewczynie, panie Philips. To dziecko nie powinno samo tłuc się po świecie.

– Naprawdę nie mogę wam nic powiedzieć – wymamrotał Jerry. – Wiecie, że prawo zabrania mi zdradzać tajemnice klientki.

– Jej los nic cię nie obchodzi? – spytała Delilah.

Philips wyglądał żałośnie.

– Oczywiście, że mnie obchodzi. Myślicie, że nie próbowałem jej tego wyperswadować? Ale ona się potwornie boi.

Jerry zebrał się na odwagę i spojrzał wpięrk na prokuratorkę, a potem na policjanta.

– A wyście nie potrafili jej ustrzec.

Teraz to Birch i Delilah mieli się z pyszna.

– Dlatego uciekła. Jej zdaniem nie zdołacie powstrzymać Maxfielda. Jest przekonana, że zginie z jego ręki, jeśli zostanie w Oregonie.

Delilah usiadła z powrotem.

– Czy możesz się z nią jakoś kontaktować?

– Nie mogę o tym mówić.

Prokuratorkę znów ogarnęła złość, ale zapanowała nad sobą.

– Jeśli się z tobą skontaktuje, poproś ją, żeby do mnie zadzwoniła lub napisała, dobrze? Musimy ściągnąć ją z powrotem, Jerry. Jej się może wydawać, że schowa się przed Maxfieldem, ale on ją znajdzie, jeśli będzie chciał.

Ashley patrzyła przez okno samolotu i miała wrażenie, że unosi się w otaczających go chmurach. Była wolna, po raz pierwszy od tej nocy, gdy Maxfield wtargnął do jej domu. Rozpierała ją radość, aż w głowie jej się kręciło z ulgi. Z każdym kilometrem oddalała się od swego dotychczasowego życia. Ulatniał się strach, rosła nadzieja. Czekala ją przyszłość pełna egzotycznych przygód i widoków, dźwięków i przeżyć, przyszłość bez lęku i rozpacz.

Jerry Philips próbował nakłonić ją do zmiany decyzji. Czynił to od momentu,

gdy wsiadła do samochodu, w którym czekał na nią na drodze dojazdowej do przystani, aż do przyjazdu na lotnisko. Dał za wygraną, dopiero gdy odebrała od niego marynarski worek z ubraniami i przyborami toaletowymi, które kazała mu kupić, oraz pięć tysięcy dolarów. Bilet wykupiła elektronicznie, a paszport miała przy sobie.

Samolot leciał do Frankfurtu. Stamtąd zamierzała pojechać pociągiem w miejsce, które wybierze na lotnisku. Zdając się na takie impulsywne wybory pod wpływem chwili, miała nadzieję zmylić tropy, na które ktoś mógłby wpaść w jej przeszłości. Zresztą i tak nie miała jakichś ulubionych miejsc. Wszędzie będzie fascynująco, bo nigdzie jeszcze nie była. I nigdzie nie będzie Joshuy Maxfielda.

WIECZÓR AUTORSKI

Chwila obecna

Miles Van Meter zamknął egzemplarz *Śpiącej królowny*, z którego czytał fragmenty. Przy akompaniamencie oklasków popił wody z butelki, zostawionej przez Jill Lane na podium.

– Wtargnięcie Joshuy Maxfielda do jej domu i życia było dla Ashley strasznym ciosem – podjął, gdy brawa umilkły – ale dobiła ją całkowicie utrata matki w kilka miesięcy później. Potem Maxfield zdołał dokonać spektakularnej ucieczki z sądu i pojawić się tej samej nocy na terenie Oregon Academy, żeby podjąć jeszcze jedną próbę zamordowania Ashley. Władze twierdziły, że ją ochronią, lecz ona przestała w to wierzyć po zamachu, z którego ledwo uszła z życiem. Uciekła do Europy i pozostała tam dopóty, dopóki zupełnie nieprzewidziane okoliczności nie zmusiły jej do powrotu.

W okresie między swoją ucieczką a ponownym pojmaniem Joshua Maxfield jakby zapadł się pod ziemię. Na nic się zdały wszelkie wysiłki FBI i międzynarodowych organów ścigania. Kiedy zainteresowanie poszukiwaniami zbrodniarza przygasło, napisałem *Śpiącą królowną*, żeby los mojej siostry i konieczność ujęcia zabójcy nie poszły w niepamięć. Nie mogłem przewidzieć, czy ów hołd złożony Casey okaże się sukcesem.

Tymczasem Ashley prowadziła wędrowne życie pod przybranymi nazwiskami. Podróżowała po całej Europie, zatrzymując się na krótko w różnych małych miasteczkach, chwytając się dorywczych zajęć, kiedy tylko mogła, lub podejmując pieniądze z konta, kiedy musiała. Ale tego, oczywiście, jeszcze nie wiedziałem, pisząc *Śpiącą królowną*, więc pierwotnie książka kończyła się ucieczką Maxfielda, zniknięciem Ashley i krótkim podsumowaniem prób wytropienia przez policję jednego z najbardziej diabolicznych seryjnych morderców w historii.

A teraz z przyjemnością odpowiem na państwa pytania.

W tylnych rzędach podniósł rękę młody, dobrze zbudowany mężczyzna w bojówkach i kraciastej koszuli. Miles zachęcił go gestem.

– Myślałem o napisaniu opartej na faktach powieści o prawdziwym morderstwie, w które był zamieszany mój kuzyn, ale nie wiem, od czego zacząć. W tej sprawie pewne rzeczy miały miejsce w innych stanach. Czy może mi pan powiedzieć, jak zbierał pan materiały ze śledztw prowadzonych w sprawie

morderstw popełnionych przez Maxfielda w różnych częściach kraju?

– Naturalnie. Zbieranie materiału do *Śpiącej królowny* nie różniło się specjalnie od przygotowań do procesu. Kiedy mam wystąpić w sądzie, muszę przesłuchać świadków, przeczytać dokumentację i zapoznać się z wszelkimi faktami związanymi ze sprawą. Do pisania książki zabrałem się tak, jakbym się szykował do udziału w rozprawie przeciw Maxfieldowi.

Kiedy zaczynałem pisać *Śpiącą królowną*, FBI zdążyło rozpracować już analogie między fikcyjnymi mordami z powieści Maxfielda a rzeczywistymi zbrodniami w Connecticut, Montanie i innych stanach. Wiele zawdzięczam Larry'emu Birchowi i Delilah Wallace. Udostępnili mi raporty policji z Oregonu oraz materiały FBI. Przeczytałem też doniesienia lokalnej prasy na temat tych zabójstw. Potem pozostawało już tylko skontaktować się z osobami prowadzącymi dochodzenie w każdej poszczególnej sprawie. Inspektor Birch dzwonił do nich wszystkich, żeby za mnie poręczyć. Dzięki temu wszędzie się wcisnąłem.

Wybierając się do każdego z tych stanów, kontaktowałem się najpierw z inspektorem zajmującym się śledztwem, czytałem raporty i rozmawiałem ze świadkami. Odwiedzałem także miejsca zbrodni, czytałem wyniki sekcji zwłok, oglądałem zdjęcia ofiar. W niektórych miejscach władze dysponowały nawet nagraniami wideo z miejsc zbrodni, dzięki czemu mogłem je opisać naprawdę dokładnie.

– Nie pracował pan w tym czasie jako prawnik? – spytał starszy mężczyzna w bluzie i dzinsach.

– Pracowałem, ale moja firma szła mi bardzo na rękę. Kilkakrotnie dostałem wolne, gdy moje śledztwo tego wymagało. Na szczęście dla mnie Maxfield popełnił parę zbrodni w dużych miastach, jak Boston, dokąd często po prostu podróżowałem służbowo.

Młody człowiek w dzinsach i koszulce z logo miejscowej uczelni podniósł rękę.

– Panie Van Meter, właśnie skończyłem *Śpiącą królowną*. Uważam, że jest świetna. Ale jedno mnie niepokoi. Wszyscy cały czas zakładają, że to Joshua Maxfield zamordował rodziców Ashley, lecz w świetle tego, co zaszło po jej powrocie do Portlandu, zastanawiam się, czy ktokolwiek wziął pod uwagę Randy'ego Colemana jako podejrzanego. Ashley nigdy nie widziała twarzy mężczyzny, który zabił jej ojca i próbował zabić ją po ucieczce Maxfielda. Coleman z wyglądu odpowiada opisowi tego napastnika.

– To prawda – zgodził się Miles – ale zapomina pan o jednym: Coleman miał motyw, by zamordować Ashley, dopiero wtedy, gdy wyszło na jaw, kim naprawdę

jest.

CZEŚĆ II

ŚPIĄCA KRÓLEWNA

Dwa lata wcześniej

Ashley wybrała San Giorgio na spotkanie z Jerrym Philipsem, ponieważ turyści rzadko zaglądali do tego małego podgórskiego miasteczka w Toskanii. Wąskie, zakurzone uliczki w żaden sposób nie zasługiwały na miano malowniczych, a sklepiki nie oferowały żadnych towarów mogących przyciągnąć urlopowiczów z Wisconsin czy Osaki. Jedyne zabytek, trzynastowieczny zameczek, popadał w całkowitą ruinę z braku pieniędzy na jego utrzymanie. Chwasty zmoły warowne mury, które przez stulecia skutecznie odpierały ataki najeźdźców należących do gatunku ludzkiego.

Ryneczek, *piazza*, drzemał w cieniu kasztanów. Z jednej strony zamykał go kamienny kościółek bez jakichkolwiek słynnych fresków czy relikwii, a z drugiej restauracja. Pośrodku postawiono nieciekawą fontannę, obecnie suchuteńką. Ashley dotarła tu godzinę wcześniej, żeby z piętra kościoła obserwować, czy adwokata nikt nie śledzi.

Jerry Philips wysłał jej maila z prośbą o spotkanie w bardzo pilnej sprawie kilka tygodni temu, ale Ashley dopiero przed dwoma dniami zajrzała do kafejki internetowej w Sienie, żeby sprawdzić pocztę. Nerwowo przerzucali się listami. Ashley pytała, czemu Jerry chce ją widzieć. Jerry przysięgał, że musi jej osobiście wyjaśnić pewną sprawę niezwyklej wagi. Upierał się, że czas bardzo nagli, i na dowód wyleciał z Portlandu pierwszym możliwym samolotem, gdy tylko Ashley wyraziła zgodę na spotkanie.

Ledwie na kościele oddzwoniono szóstą, z jednej z wybrukowanych kocimi łbami uliczek dochodzących do rynku wyłonił się Philips. Zatrzymał się w cieniu kasztanów, żeby odsapnąć. Słoneczny żar wciąż lał się z czystego włoskiego nieba, utrzymując temperaturę powyżej trzydziestu stopni. Jerry spocił się jak mysz. Musiał zostawić samochód na parkingu u stóp wzgórza, bo wąskie i kręte uliczki wykluczały normalny ruch. Kursowały tu jedynie małe furgonetki dowożące towar do sklepów. Gdy Jerry natknął się na jedną z nich po drodze, musiał się niemal wcisnąć w ścianę domu, żeby uniknąć rozjechania.

Nieświadom obserwującej go Ashley, powlókł się do restauracji. Ashley lubiła swojego prawnika. Pamiętała, jaki jej się wydał młody, kiedy się poznali. Może to dlatego. Nigdy nie miała wrażenia, że jest dużo starszy od niej, chociaż był dorosłym człowiekiem. Przyjrzała mu się, gdy lustrował wzrokiem placyk. Lepiej się teraz ubierał, przerzucił się na soczewki kontaktowe i krócej się strzygł.

Wyprzystojniał. Ashley się uśmiechnęła. Pomimo wszystkich obaw, by ktoś nie naprowadził Joshuy Maxfielda na jej ślad, ucieszył ją widok znajomej twarzy.

Przed restauracją dwóch starszych panów w znoszonych brązowych garniturach i rozpiętych pod szyją białych koszulach sączyło przy stoliku espresso, debatując nad szansami miejscowej drużyny piłkarskiej. Jakiś inny, pokryty pyłem mężczyzna – robotnik, może murarz – jadł kanapkę, czytając gazetę. Jerry wybrał mały stolik z dala od nich. Przesunął krzesło, żeby schować się całkowicie w cieniu parasola. Dziewczyna dostrzegła, że spojrzął na zegarek. Po chwili zdjął marynarkę i rozluźnił krawat. Ashley wyszła z kościoła.

Po trudach wędrówki z parkingu Jerry'emu zaschło w gardle, ale kelner się nie pojawiał. Wykręcił więc szyję, żeby widzieć drzwi do restauracji. Kiedy się odwrócił, naprzeciw niego siedziała kobieta z krótkimi, kruczoczarnymi włosami. Miała na sobie jasnoniebieską koszulę i beżowe spodnie. Oczu nie było widać spod okularów słonecznych. Twarz Jerry'ego rozjaśniła się w uśmiechu.

– W pierwszej chwili cię nie poznałem – powiedział. – Świetnie wyglądasz. Dobrze ci w ciemnych włosach.

Ashley, zakłopotana, uniosła do nich rękę.

– Blondynkę to tu widać na milę – odparła, nie przestając wypatrywać oznak zagrożenia.

– Jestem w zasadzie pewien, że nikt mnie nie śledził – odezwał się Jerry, żeby rozproszyć jej obawy. – Zaraz po rozmowie z tobą zadzwoniłem po bilet i w dwie godziny później pojechałem na lotnisko. Nikt nawet nie wie, że się z tobą spotykam. Z lotniska we Florencji też ruszyłem prosto tutaj.

W drzwiach kafejki stanął kelner.

– Jak dobrze znasz to miejsce? – zainteresował się Jerry.

– Czemu pytasz? – Ashley nerwowo obejrzała się przez ramię.

Jerry się roześmiał.

– Uspokoisz się wreszcie? Pytam, bo zdycham z głodu. Od dwudziestu godzin jestem w podróży i jadłem tylko te świństwa w samolocie. Co tu dają dobrego? Przecież to Włochy. Muszą mieć makaron.

Po rozluźnieniu ramion Ashley można było poznać, że napięcie ustąpiło. Zawtórowała Jerry'emu śmiechem.

– Wybacz. Ja po prostu...

– Nie musisz tłumaczyć. Załatw mi tylko coś do picia i jedzenia.

Ashley nadal się uśmiechała.

– Tu jest całkiem znośnie, jeśli wystarczy ci coś zwyczajnego.

– Wystarczy mi coś jadalnego.

Ashley przywołała gestem ręki kelnera i wdała się z nim w rozmowę po włosku.

– Mówisz, jakbyś tu się urodziła – skomentował Jerry, gdy kelner odszedł.

Ashley wzruszyła ramionami.

– Jeśli się zna hiszpański, to włoski łatwo wpada w ucho.

Jerry rozparł się w krzesło, nie odrywając od niej oczu. Ciągle nie mógł się jeszcze oswoić ze zmianą, jaka w niej zaszła. Nie chodziło tylko o kolor włosów. Raczej o dojrzałość, widoczną w twarzy i ruchach. Uświadomił sobie nagle, że kiedy ostatni raz się z nią widział, Ashley była nastolatką. Teraz miał przed sobą kobietę.

– Naprawdę się o ciebie martwiłem – odezwał się. – Jak sobie dajesz radę?

– W porządku. Uwielbiam Włochy. Ten spokój – znów wzruszyła ramionami. – Czuję się tu bezpiecznie.

Jerry westchnął. Odchylił się do tyłu.

– Musisz wrócić.

– Nie mogę – odparła Ashley ze strachem.

– Musisz. Coś się wydarzyło. Coś, co zmienia całą sytuację.

– Co takiego?

– Henry Van Meter umarł. Tydzień temu.

– Przykro mi. – Ashley wyraźnie się zasmuciła. – Lubiłam go. Był bardzo dobry. Ale co jego śmierć ma wspólnego ze mną?

– To on mi zlecił odszukanie ciebie, żeby ci o wszystkim opowiedzieć.

– O czym opowiedzieć?

Jerry zawahał się, szukając właściwych słów.

– Casey jest nadal w śpiączce.

Ashley kiwnęła głową. Wolałaby, żeby Jerry przeszedł wreszcie do rzeczy, czyli prawdziwego powodu swojej wizyty.

– Dopóki Henry żył, spierali się z Milesem, co z nią zrobić. Henry pragnął ją utrzymać przy życiu w nadziei na cud. Miles chciał ją odłączyć od aparatury podtrzymującej życie. Henry się obawiał, że po jego śmierci syn zostanie prawnym opiekunem Casey, i rzeczywiście Miles się o to stara. Złożył do sądu wniosek o przyznanie prawnej kurateli nad siostrą. Posiedzenie sądu wyznaczono na przyszły tydzień.

– Ale co to ma wspólnego ze mną? – Mina Ashley wyrażała zakłopotanie.

– Bardzo wiele. – Jerry znów przerwał. Widać było, że się męczy. – Jak się

dowiesz, co mam ci do powiedzenia, to zrozumiesz, czemu uznałem, że powinnaś w takim momencie mieć kogoś przy sobie.

– Jerry, proszę. O co chodzi?

Philips sięgnął przez stolik i ujął dłonie Ashley w swoje. Patrzy! jej głęboko w oczy.

– Musisz wrócić do Portlandu i poprosić sąd, by tobie przyznał kuratelę nad Casey.

– A dlaczego miałabym to robić? I dlaczego sąd miałby mnie w ogóle brać pod uwagę?

Jerry ścisnął jej ręce jeszcze mocniej.

– Bo Casey jest twoją matką.

Oślupiała Ashley, mimo otwartych ust, nie była w stanie nic wykrztusić. Wyrwała ręce i spojrzała na Philipsa, jakby oszalała.

– Wiem, że trudno ci w to uwierzyć...

– Matką?! – Ashley zaśmiała się ochryple. – Moja matka nie żyje, Jerry Joshua Maxfield ją zabił.

– Nie, twoja matka żyje. Casey Van Meter jest twoją biologiczną matką. Widziałem dowody.

Ashley kręciła głową.

– Moją matką jest Terri Spencer. Ledwie znam Casey Van Meter – upierała się.

Jerry sapnął, wypuszczając powietrze.

– Wiedziałem, że nie będzie ci łatwo. Pozwól mi to wszystko wyjaśnić, dobrze? Potem podejmiesz decyzję. Pamiętasz, jak ci mówiłem, że mój ojciec umarł niedługo przed twoim?

Ashley przytaknęła.

– Za to nie powiedziałem ci, że został zamordowany.

– Och, Jerry!

– Włamywacz dostał się do jego domu w Boulder Creek i... zatłukł ojca na śmierć. Teraz rozumiesz, czemu tak bardzo mi zależało, żeby ci pomóc? Obaj nasi ojcowie zginęli straszną śmiercią w odstępie kilku tygodni. Wiedziałem aż za dobrze, co przeżywasz.

Ashley trudno było coś powiedzieć.

– Włamywacz podłożył ogień, żeby zatrzeć ślady zbrodni. Pożar pochłonął wszystkie akta, które ojciec zabrał ze sobą do Boulder Creek. Myślałem, że akta twojego ojca też spłonęły. Dlatego w czasie, gdy zacząłem cię reprezentować, nie wiedziałem, co w nich było.

– Kilka tygodni temu Henry Van Meter wezwał mnie do siebie do domu. Pokazał mi twoje świadectwo urodzenia i dokumenty adopcyjne, które trzymał w sejfie. Potwierdzają, że zostałam adoptowana przez Normana Spencera zaraz po urodzeniu.

– Chcesz powiedzieć, że Norman nie był moim prawdziwym ojcem?

– Nie. Norman był twoim biologicznym ojcem. – Jerry znów urwał. – Słuchaj, to jest zawiłane. Henry też musiał mi to dość długo tłumaczyć.

– Skąd wiesz, że cię nie okłamał?

– Wiem, że mówił prawdę, bo znalazłem akta twego ojca. Mój tata musiał je przywieźć z powrotem do Portlandu, kiedy spotkał się z twoją matką. Stały w szafce z kartotekami, tylko teczka była źle oznakowana.

– I tak ci nie wierzę. To nie może być prawda.

W jej głosie słyhać było konsternację. Jerry sięgnął ponownie po jej dłoń.

– To prawda, Ashley. Uwierzysz, jak poznasz szczegóły. Opowiem ci wszystko, co wiem, od początku.

1.

Ojciec Normana Spencera pracował w tartaku, dopóki nie przeszedł na rentę inwalidzką z powodu urazu kręgosłupa. Matka była kasjerką w supermarkecie. Norman chciał rzucić liceum, żeby pomagać rodzicom, ale oni wiedzieli, że bez wykształcenia ich jedyne dziecko nie ma szans się wybić. Normanowi nauka nie przychodziła zbyt łatwo, dlatego bardzo się starał wyciągnąć niezłą średnią. Lepiej mu szło w sporcie, a dzięki stypendium, które mu przyznano za osiągnięcia w zapasach, mógł studiować na uniwersytecie stanowym. Tu znowu zmagął się z wiedzą książkową na zajęciach, a z kolegami na matach, choć zwycięstwa nie przychodziły mu już tak łatwo i często. Mimo to na drugim roku nadal jechał na piątkach i czwórkach, pozostając niewyróżniającym się, ale solidnym członkiem studenckiej braci.

W czasie sezonu zapaśniczego Norm strzygł się krótko, bo trener żądał od zawodników fryzury na jeża. Na drugim roku, po zakończeniu rozgrywek, postanowił zapuścić włosy. Do swojej wakacyjnej pracy na stacji Texaco jechał już z lokami do ramion. Mimo finansowego wsparcia i zapaśniczego stypendium rodziców Normana nie stać było na jego studia, więc musiał ciągle dorabiać. Już od trzech lat pompował w lecie benzynę na stacji wuja Vernona.

Vernon Hock walczył w Korei i uważał się za stuprocentowego amerykańskiego patriotę, dlatego zaczął trochę przysrywać Normanowi z powodu jego pedalskich włosów. Z drugiej strony był facetem na tyle wyluzowanym, że nie przysrywał za bardzo. W pracy Norman związywał włosy w kucyk, który chował pod czapkę, żeby nie drażnić klientów wuja. Zresztą dzięki temu mniej się brudziły.

– Mam dla ciebie holowanko – oznajmił pewnego wieczoru Vernon.

Był czwartek. Norm tkwił pod maską jakiegoś buicka, któremu wysiadł karburator. Wyciągnął spod niej głowę i wytarł ręce w szmatę.

– Jakaś kobitka utknęła przy zjeździe na Slocum Creek Road. Dzwoniła z jakiegoś domu. – Vernon podał mu adres. – Możesz ją stamtąd odebrać, a ona ci pokaże, gdzie jest samochód.

Norman bardzo chętnie wyrwał się z warsztatu. Na dworze było ciepło, a w warsztacie duszno i śmierdziało spalinami. Wziął samochód z lawetą i z opuszczonymi do dołu oknami i radiem nastawionym na cały regulator ruszył za miasto.

Slocum Creek Road przecinała się z Blair Road o kilka kilometrów od nowego centrum handlowego zbudowanego w szczerym polu. Centrum tonęło w blasku lamp, ale już półtora kilometra dalej, na Blair Road, było ciemno choć oko wykol. Norman włączył wszystkie światła, a i tak musiał mocno wyęźać wzrok, żeby dojrzeć adres na skrzynce pocztowej. Do domu prowadził zwykły, zakurzony podjazd. Zaparkował i zapukał do drzwi. Otworzył mu mężczyzna w drelichowych spodniach i roboczej koszuli.

– To facet z warsztatu! – zawołał, widząc poplamiony smarami kombinezon Normana.

Potem zaprosił go do środka.

– Dziękuję – odparł Spencer – zaczekam tutaj, żeby nie nabrudzić.

Facet kiwnął głową i popatrzył w stronę wysokiej blondynki w zielonej koszuli i białych bawełnianych spodniach. Była bardzo opalona, miała na oko tyle lat co Norman, i proste, długie włosy związane w kucyk.

– Jestem z Hock's Texaco. Podobno jest jakiś problem.

– Mój wóz jest niecały kilometr stąd. Nie chciał zapalić – odpowiedziała urażonym tonem, jakby nie mieściło się jej w głowie, że coś stanowiącego jej własność może odmówić posłuszeństwa.

Norm otworzył drzwiczki swego wozu od strony pasażera. Przerzucił napoczętą torebkę chipsów na tył i strzepnął siedzenie.

– Proszę wskakiwać. Zobaczymy.

Spodobało mu się, że zrobiła to bez wahania.

Dojechali do jej samochodu w milczeniu, choć Norman swoje o dziewczynie już wiedział. Doszedł do wniosku, że jest wysportowana, bystra i pewna siebie, a w ogóle stanowczo za wysokie progi. Okazała się posiadaczką czerwonego kabrioletu Thunderbird, klasyka gatunku, który, chwilowo unieruchomiony, stał na trawiastym poboczu. Bogata, uzupełnił w myślach charakterystykę swojej pasażerki. Zaparkował przed kabrioletem i ruszył na stronę dziewczyny, żeby otworzyć jej drzwiczki. Nim obszedł samochód, już je zatrzasowała.

– Ładny wózek – powiedział.

Potem zauważył nalepkę ze Stanford.

– Studiujesz tam? – spytał.

W pierwszej chwili nie załapała.

– Tak – odpowiedziała.

– Na którym roku?

– Zaczynam trzeci.

– To tak jak ja. Ja jestem na stanowym.

Dziewczyna uśmiechnęła się pobłaźliwie, a temperatura spadła o dobre pięć stopni. Norm zorientował się, że powinien zająć się swoją robotą, a pogaduszki zostawić jej kolegom z klubu golfowego.

– Czy mogę prosić o odhaczenie maski?

Dziewczyna zanurkowała do samochodu i zwolniła blokadę.

– Dzięki.

Norman wziął się do pracy, ale już po minucie wynurzył się spod maski.

– Mam złe wieści, panno...

– Van Meter. O co chodzi?

– Pasek klinowy dmuchawy. Naprawa nie potrwa długo, ale trzeba go odholować do warsztatu.

– Cholera.

– Załaduję go na lawetę i wstawię do warsztatu. Jest spora szansa, że mamy taki pasek na składzie. Jeśli tak, to zajmie mi to z pół godziny.

Dziewczyna zaczęła, aż Norman podciągnie thunderbirda na lawetę. Po paru minutach jazdy w milczeniu Normanowi przyszło coś do głowy.

– Mówiłaś, że nazywasz się Van Meter, prawda?

– Tak.

– Czy masz brata imieniem Miles?

Przytaknęła.

– Jest w zapaśniczej reprezentacji Stanford – powiedział Norm z uśmiechem. – Starliśmy się dwa razy.

To zniecka wzbudziło zainteresowanie dziewczyny.

– Jak ci poszło?

Norman się roześmiał.

– Przegrałem obydwie spotkania, ale trochę się musiał namęczyć.

– Nie przejmujesz się, że przegrałeś.

– To tylko zapasy. Raz się wygrywa, raz się przegrywa.

– No, Miles na pewno tak do tego nie podchodzi.

Norm wzruszył ramionami.

– To tylko sport. Żeby się wyszaleć. Nie ma większego znaczenia... Zaraz, nie wiem, jak masz na imię.

– Casey.

– Ja jestem Norm.

Zapadło milczenie i Norman skoncentrował się na prowadzeniu, choć zerkał ukradkiem na towarzyszkę podróży. Trudno było zachować spokój, siedząc blisko niej. Miała taką gładką i opaloną skórę. Zastanawiał się, jaka by była w dotyku. No i piersi, rozpychające bluzkę.

– A zatem – przełamał onieśmielenie – co tam robiłaś na tym pustkowiu?

– Jechałam do domu.

– To mieszkasz gdzie?

– W Glen Oaks.

– Czy to tam jest ta szkoła, Oregon Academy? – spytał, bo kiedyś brał udział w zawodach zapaśniczych na jej terenie.

Dziewczyna przytaknęła. Normanowi nic więcej nie przychodziło do głowy, więc ujechali znów kawałek w milczeniu. W końcu zdecydował postawić wszystko na jedną kartę.

– Wracałaś z randki? – spytał, usilnie starając się, żeby zabrzmiało to jak pytanie rzucone całkiem mimochodem.

Casey zmierzyła go wzrokiem.

– A czemu cię to interesuje, Norman?

Odwrócił w jej stronę głowę, szczerząc zęby.

– Usiłuję wybadać, czy masz chłopaka.

– A jeśli nie mam?

– To może zbiorę się na odwagę i spróbuję się z tobą umówić.

Casey się uśmiechnęła.

– Masz jaja, tego nie można ci odmówić.

Zaskoczyła go wulgarnym wyrażeniem, ale ucieszył się, że nie odgrywa mimozowatej panienki.

– A jeśli się poskarżę twojemu szefowi, że dostawiałeś się do klientki?

– Właścicielem warsztatu jest mój wuj. Uważa, że za mało się spotykam z dziewczynami. No, to co ty na to? Mam wolne czwartki. Przyrzekam oskrobać się ze smaru i wyglądać przyzwoicie.

2.

Umówili się na ósmą przed kinem Fox, okazałym zabytkiem w stylu art deco na Broadwayu, ale filmu nie obejrzeli. Casey nadciągnęła w swoim thunderbirdzie kwadrans przed ósmą. Stała przy krawężniku i rzuciła kluczyki Normanowi.

– Prowadź – powiedziała.

– Myślałem, że idziemy do kina.

– Nie jestem w nastroju.

Normanowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Wsunął się za kierownicę, bo, szczerze mówiąc, marzył o tym, żeby poprobować jazdy takim cudem, a bez kina mógł się spokojnie obejść. I tak miało posłużyć tylko do tego, żeby się zbliżyć do Casey.

– Dokąd pani każe? – spytał naciągany brytyjskim akcentem.

Casey przymknęła oczy i oparła głowę o zagłówek.

– Jedź Banfield do Osiemdziesiątej Drugiej.

Normana kusiło, żeby zapytać, gdzie jadą, ale uznał, że najlepiej dać się ponieść. Na Banfield, międzystanowej autostradzie prowadzącej na wschód, może uda się otworzyć dach, jeśli nie będzie dużego ruchu.

Po zjechaniu z autostrady Casey jeszcze parę razy nim pokierowała.

– Tam – powiedziała po paru minutach.

Oczom Normana ukazał się tandetny neon „Hotel Karawana”. Ścisnęło go w żołądku, ale posłusznie wjechał na parking.

– Postaw go tam – Casey wskazała mu miejsce piętnaście metrów od recepcji.

Ledwie wyłączył silnik, wyciągnęła dwudziestodolarowy banknot. Norm się zawahał. Wykrzywiła usta w kpiącym uśmiechu.

– Tylko mi nie mów, że to twój pierwszy raz, Norman.

– Nie – odparł, starając się, żeby to nie zabrzmiało jak wypieranie się.

– Duma ci nie pozwala brać pieniędzy od kobiety?

Norm zgarnął dwudziestaka.

– Grzeczny chłopiec – uśmiechnęła się jeszcze szerzej Casey. – Zamelduj nas jako panią i pana Smith, klasycznie. Nie sądzę, żeby zapytali, dlaczego nie masz obrączki, jeśli zapłacisz gotówką.

Norman schował banknot do kieszeni i otworzył drzwiczki. Zawahał się.

– Nie mam gumek.

– O to się nie martw.

Poczuł rumieniec na twarzy, kiedy Casey wyjęła z torebki kilka kondomów w aluminiowych opakowaniach. Zaśmiała się.

– Nie liczyłeś, że uda ci się podupczyć na pierwszej randce, co? No, załatw nam szybko ten pokój, Norman. Już mam mokro.

Nim zdążył zapalić światło, Casey jedną ręką pieściła mu krocze, a drugą odpinała koszulę. W ciągu paru chwil kotłowali się nago po przykrytym kapą łóżku. Casey pchnęła go na plecy i przyssała się tak, że omal nie eksplodował.

Cofnęła usta w ostatniej chwili. Gdy otworzył oczy, miał już nad sobą jej krocze, a Casey domagała się, żeby zrobił jej to językiem. W swoim dotychczasowym, niezbyt rozpasanym życiu erotycznym Norman jeszcze nigdy nie lizał kobiety, ale tak pragnął, żeby Casey znowu go dotknęła, że posłuchał natychmiast. Kiedy tylko ustawał nieco w swych wysiłkach, zachęcała go do ich wzmożenia pieścizotą, ale przerywała ją, zanim osiągnął szczyt.

Łatwo było doprowadzić Casey do orgazmu. Dokonawszy tego, chciał się dostać do środka, ale ona zmusiła go, by powtórzył swój wyczyn, nim go znowu dotknęła. Gdy go wreszcie wpuściła w siebie, był tak podniecony, że spuścił się prawie natychmiast i padł obok niej jak kłoda.

– Jezu – wysapał.

Casey się nie odezwała. Po paru sekundach wstała, złapała torebkę i poszła do łazienki. Zapaliła światło i przez chwilę widział ją w żółtawym prostokącie drzwi. Stała odwrócona plecami. Norman chłonał jej idealne kształty, długie, opalone nogi, zarys pleców, linię kręgosłupa, długie złociste włosy. Potem zamknęła drzwi, pogrążając go w ciemności. Norman był zlany potem. Czuł się jak po maratonie. W życiu nie miał seksu, który choćby umywał się do tego.

Casey spuściła wodę i wyszła z łazienki. Przez moment Normanowi się wydawało, że widzi smużkę białego proszku na jej górnej wardze. Potem światło zgasło, a ona znów się na niego rzuciła.

3.

Następne dwa miesiące zwały się Normanowi w jeden ciąg ostrego seksu i jeszcze ostrzejszych pragnień. Spędzał z Casey wszystkie czwartkowe i sobotnie wieczory, a dni mu upływały na snuciu fantazji na temat tego, jak będzie wyglądać ich następne spotkanie. Kochali się w motelach, leśnych wąwozach, w alejce za barem, na tylnym siedzeniu samochodu Normana i we wszystkich innych miejscach, w których ogarniała ich nieodparta chęć. Przez cały ten czas Casey nie zaprosiła go do Glen Oaks ani nie pozwoliła mu tam po nią przyjeżdżać. Nie wolno mu było nawet tam dzwonić. Zresztą nie dostał od Casey jej zastrzeżonego domowego numeru. To ona zawsze dzwoniła do niego do warsztatu, żeby ustalić miejsce schadzki. Norman przypuszczał, że Casey nie chce, by rodzice się dowiedzieli, że ona szlaja się z byle kim. Czuł się obrażony, gdy o tym myślał, lecz i tak myślał głównie o Casey – nagiej i spoconej – w łóżku z nim.

A potem telefon przestał dzwonić. Minęły czwartek i sobota bez spotkania z Casey. Norman był tak roztrzęsiony, że o mało nie obciął sobie dwóch palców

elektryczną szlifierką, a później upuścił kubek z gorącą kawą. Vernon zauważył, że siostrzeńca nosi, jednak nie komentował tego. Wiedział, że Norman się zakochał, a zakochani tak się właśnie zachowują.

Norman próbował zdobyć numer do rezydencji, ale udało mu się jedynie z numerem do szkoły Van Meterów. Sekretarka dwukrotnie obiecywała przekazać Casey prośbę o telefon. Za trzecim razem poinformowała go, że panna Van Meter nie życzy sobie z nim rozmawiać. Zrozpaczony pojechał do Glen Oaks. Kamerdyner kazał mu czekać pod drzwiami. Po paru chwilach wrócił z wiadomością, że Casey zakazuje Normanowi wszelkich prób kontaktowania się z nią, a w razie dalszego nękania bezzwłocznie złoży skargę na policji.

Choć Norman od początku wiedział, że wpakował się w coś, co go przerasta, miał złudną nadzieję, że ten romans będzie trwać wiecznie. Roił sobie nawet czasami, że się pobierają, on zamieszkuje w jej posiadłości, jeździ codziennie thunderbirdem i pławi się w luksusie. Groźba policyjnej interwencji przekonała go ostatecznie, że musi się pożegnać z marzeniami o małżeńskim szczęściu. To była gorzka pigułka. A zaniechanie seksu z kimś takim jak Casey okazało się równie trudne jak odstawienie heroiny. Norman napisał pełen udręki list, który pozostał bez odpowiedzi, i zaczął powoli godzić się z faktem, że prawdopodobnie nigdy już Casey nie zobaczy.

Na swoim rozpaczliwym liście podał adres nadawcy. W następną środę Vern zawołał go do telefonu. Normanowi serce skoczyło do gardła. Wytrzeł wilgotne ręce w szmatę i pognął do biura.

– Norman Spencer? – spytał męski głos.

– No, tak.

– Jeśli chcesz się dowiedzieć, dlaczego Casey cię rzuciła, przyjdź dzisiaj o dziesiątej wieczorem do parku Tryon Creek, sam.

– Kto...? – zaczął Norman, lecz facet już się rozłączył.

Chłopak wrócił do warsztatu jak w transie. To nie było przyjazne zaproszenie, ale nie ulegało kwestii, że do parku i tak pójdzie.

Park Krajobrazowy Tryon Creek przylegał do kampusu Akademii Prawnej Lewisa i Clarka w południowo-zachodniej części Portlandu. Zalesiony teren przecinało wiele pieszych szlaków turystycznych. Za dnia do parku ściągali amatorzy joggingu i romantycznych spacerów we dwoje. O dziesiątej było tu ciemno, a na parkingu, niedaleko początku jednej ze ścieżek przyrodniczych stała tylko poobijana półciężarówka.

Norman zaparkował o kilka miejsc dalej i podszedł sprawdzić. Miał na sobie tylko podkoszulek i dżinsy. Pochylił się i zajrzał przez szybkę. Nie dostrzegł nikogo.

– Spencer – odezwał się ktoś od strony szlaku.

Norman odwrócił się i kilka metrów dalej na zacięnionej ścieżce ujrzął mężczyznę. Kiedy ruszył w jego stronę, facet zniknął w mroku. Obudziło to czujność Normana, lecz tak bardzo chciał się dowiedzieć, co stało się z Casey, że pozostał głuchy na głos rozsądku. Poszedł szlakiem, ale nikogo już nie widział. Zatrzymał się i rozejrzał. Dobiegło go wołanie z głębi lasu. Norman na próżno wycęzał wzrok.

– Zaczynam mieć dosyć tej zabawy w chowanego. Jeśli chcesz mi coś powiedzieć, to wyjdź i mi to powiedz.

Żadnej odpowiedzi. Chłopak się rozżłościł. Wiedział, że powinien wsiąść do samochodu i odjechać, jednak nie chciał dać po sobie poznać, że się boi. Popędził naprzód szlakiem, licząc na to, że dopadnie swego dręczyciela z zaskoczenia. Uderzenie kija baseballowego poniżej kolan ścięło go z nóg. Poczł rozdierający ból. Runął ciężko na głowę i leżał na ziemi oszołomiony. Teraz go zdiełili przez plecy.

Usiłował stanąć na nogi, ale zasypał go grad ciosów. Widział napastników jak przez krwawą mgiełkę. Było ich trzech, z tego dwóch operowało kijami. Trzeci zrobił krok do tyłu i wymierzył Normanowi brutalnego kopniaka w żebra. Rozległ się trzask. Poraził go tak przeszywający ból, że stracił na chwilę przytomność. Kiedy zamazany obraz przed jego oczyma znów nabrał ostrości, okazało się, że obok niego ukucnął Miles Van Meter, trzymając w garści pęk włosów Normana. Użył ich, żeby unieść mu głowę. Twarz Milesa wykrzywił grymas wściekłości.

– Puknąłeś moją siostrę, gnoju, ale nigdy już jej nie zobaczysz ani tego swojego bękarta. Jeśli jeszcze raz spróbujesz się z nią skontaktować, to będziesz wspominać ten dzisiejszy łomot z łezką w oku.

Wpakował pięść w twarz Normana, miażdżąc mu nos. Potem wstał i skinął głową. Dwaj pozostali podjęli bicie, póki Norm nie zemdłał.

4.

Zdołał się na tyle zmobilizować, żeby dojechać do najbliższego szpitala, gdzie mu powiedziano, że ma dwa złamane żebra, pękniętą goleń i wstrząśnienie mózgu. Rodzice zabrali go do domu z nogą w gipsie, złamanym nosem, w gorsecie z bandaży i twarzą w fioletowo-żółtych sińcach. Czaszka nadal pękała mu z bólu.

Przez kolejny tydzień nie mógł się ruszyć z łóżka, miał więc mnóstwo czasu na myślenie. Strasznie przeżywał wiadomość o ciąży Casey. Przeważnie się zabezpieczali, lecz raz czy dwa tak ich poniosło, że o tym zapomnieli. A teraz Casey miała płacić swoją młodością za ich błąd. W pierwszym odruchu chciał postąpić honorowo i ożenić się z nią. Szybko jednak zdał sobie sprawę, że ślub nie wchodzi w rachubę. Jak miałyby się oświadczyć, skoro ona nie chce z nim nawet rozmawiać? Wolałby wierzyć, że to jej rodzina ich rozdzieliła, niestety, wyglądało raczej na to, że dla Casey był tylko wakacyjną przygodą. Nigdy nie doczekał się z jej strony żadnych przejawów uczucia. Patrząc wstecz, widział już, że prócz pieprzenia nic ich właściwie nie łączyło. Parę razy próbował jej powiedzieć, że ją kocha, lecz go wyśmiała. A sama nigdy nic takiego nie mówiła.

To podczas lektury jakiegoś numeru „Oregonian” po raz pierwszy pomyślał o dziecku jako takim, a nie jak o abstrakcyjnym problemie. Wertując gazetę w poszukiwaniu komiksów, zamarł nagle na widok nazwiska Casey Van Meter. Natrafił na wzmiankę w kolumnie towarzyskiej o tym, że Casey wybiera się na semestr jesienny do Europy. W pierwszej chwili uznał, że dziewczyna jedzie na aborcję. Zrobiło mu się zimno i smutno. Nagle uprzytomnił sobie, że to dziecko będzie miało coś z niego samego. Norm był młody i nigdy nie lubił wybiegać myślą w przyszłość, ale nasunęło mu się skojarzenie z pojęciem nieśmiertelności. Dziecko to nasza nieśmiertelność. W dziecku żyją nasze geny, nawet po naszej śmierci. Jeśli Casey usunie ciążę, jakaś część Normana zginie.

Po dłuższym namyśle Norman uznał jednak, że Henry Van Meter, gorliwy katolik, nigdy by się nie zgodził na aborcję. Z drugiej strony, znając Casey, nie mógł sobie wyobrazić, że ona wyrzeknie się swoich marzeń i pragnień, by wychowywać dziecko. Raczej wszystko wskazywało na to, że Casey urodzi dziecko w Europie, by nikt się o tym nie dowiedział, a potem oddaje do adopcji. To chyba nie było w porządku. Norman nie chciał, żeby trafiło do obcych ludzi. Skoro chodziło o jego dziecko, chciał mieć w tej sprawie coś do powiedzenia.

Sądząc na oko, Kena Philipsa należałoby przy wyborze adwokata omijać szerokim łukiem. W tym niskim, łysawym grubasku z niechlujną, siwiejącą brodą, w dodatku fatalnie ubranym, trudno się było dopatrzeć błyskotliwości czy zewnętrznych oznak sukcesu. Urzędował w małej kancelarii zastawionej sfatygowanymi meblami, które kupił na wyprzedży, rozpoczynając samodzielną praktykę przed czternastoma laty. Na ścianach nie porozwieszał wycinków prasowych upamiętniających jego sądowe triumfy, a zamiast dyplomów oprawił w

ramki przedszkolne prace swoich dzieci oraz serię zdjęć oregońskiego wybrzeża autorstwa żony.

Pasjonowały go sprawy niewdzięczne. Zaraz po zrobieniu dyplomu z prawa pojechał na głębokie Południe w najmroczniejszym okresie walki o prawa człowieka, żeby reprezentować czarnych narażonych na brutalne napaści podczas przeprowadzania spisów wyborców. Podczas wojny w Wietnamie stanowił dla protestujących pierwszą linię prawnej obrony. W chwilach wolnych od polityki Ken Philips nieźle zarabiał na pozwach o naruszenie dóbr osobistych.

– A jak wygląda ten drugi gość? – spytał Philips, gdy tylko sekretarka zamknęła za sobą drzwi.

– Znacznie lepiej ode mnie.

Philips podrygiwał ze śmiechu jak święty Mikołaj.

– Więc chcesz pozwać sukinsynów?

– Chciałbym się tylko czegoś dowiedzieć, jeśli można. Ale nie mam dużo pieniędzy.

– Najpierw pytania, o pieniądzach porozmawiamy później.

Norm wbił wzrok w swoje buty. Nie zastanawiał się, co powie Kenowi Philipsowi, jeśli uda mu się do niego dostać. Zużył cały zapas odwagi na samo wybranie się do prawnika.

– Czy masz jakieś kłopoty z prawem? – podpytywał go Ken.

– Nie, chyba nie. Chodzi raczej o osobistą historię z dziewczyną. – Norman zaczerpnął tchu. – Panie Philips, powiedzmy, że dziewczyna zachodzi w ciążę i chce oddać dziecko. Co z facetem, z ojcem?

– Mógłbyś jaśniej?

– No, jest dziewczyna. Sypialiśmy ze sobą. Uprawialiśmy seks. Wydaje mi się, że ona chce oddać nasze dziecko. Chyba nie chodzi o aborcję. Jej tata jest katolikiem. Wysłał ją do Europy, żeby tam urodziła, a ja chcę znać swoje prawa.

– Jak długo znasz tę dziewczynę?

– Od lata. Pracuję na stacji benzynowej przy warsztacie, wuj mnie posłał, żebym przyholował jej samochód. Zgadało się i umówiłem się z nią.

– Cały czas pracujesz na stacji?

– Tylko latem. Jestem na uniwerku. Trzeci rok.

– Ile ona ma lat?

– Dziewiętnaście. Studiuje w Stanford.

Philips odchylił się na oparcie fotela i złożył palce czubkami na swoim okazałym brzuchu.

– Więc mamy wakacyjną przygodę, która trochę wymknęła się spod kontroli?
Norm się zaróżowił.

– Naprawdę uważaliśmy. Ale parę razy...

Przełknął ślinę.

– Skąd wiesz, że jest w ciąży?

Norm pokazał palcem swoją twarz.

– Jej brat z paroma kolegami zrobili mi to, jak się dowiedzieli. A ona nie chce mnie widzieć. Nie odbiera telefonów. Poszedłem do niej do domu, ale mnie nie wpuściła. Powiedziała, że wezwie gliny, jeśli ją będę nachodził.

– Mówiłeś policji o pobiciu? Że to sprawka jej brata?

Norman potrząsnął głową.

– Pomyślałem, że byłoby głupio. Gdyby chodziło o moją siostrę i ktoś jej to zrobił... – Spuścił oczy. – Chyba mi się należało.

Philips kiwnął głową ze zrozumieniem.

– Więc czemu przyszedłeś do mnie?

– Jak mówiłem, rodzice Casey wysłali ją do Europy. Jeśli chodzi o aborcję, to pewnie już za późno, ale jeśli Casey urodzi to dziecko z zamiarem oddania go, to ja tego nie chcę.

– Ożeniłbyś się z nią?

– Gdyby ona się zgodziła, to tak, ale nie sądzę, żeby chciała wyjść za mnie. Ojciec zresztą i tak by jej nie pozwolił.

– Czemuż to?

– Oni są naprawdę bogaci. Poza tym ona mnie chyba nie kocha.

– A ty ją kochasz?

– Podoba mi się. Dobrze nam było... Nie wiem.

– Jeśli nie chcesz się z nią ożenić ani ona nie chce wychodzić za ciebie, a dziecko prawdopodobnie trafi do adopcji, to nie bardzo rozumiem, czego oczekujesz ode mnie.

Norman spojrzał nad biurkiem na Kena Philipsa i splótłszy nerwowo ręce, wychylił się przygarbiony do przodu.

– Panie Philips, czy mężczyzna może wychowywać dziecko? Czy mam jakieś prawo do swojego dzieciaka?

– Chcesz wychować to dziecko?

– Myślałem o tym. To przecież także moje dziecko, prawda? Nie chcę, żeby trafiło do obcych. To mi się nie podoba.

– Ile masz lat?

– Dziewiętnaście. Za parę miesięcy skończę dwadzieścia.

– Czy masz jakieś wyobrażenie o tym, jak trudno wychować dziecko? To zajęcie na pełny etat. Czy będziesz mógł wówczas studiować? Z czego je utrzymasz? Jak się nim będziesz opiekować?

– Mogę iść do pracy. Mogę wziąć posadę i iść na studia wieczorowe.

– A kto zaopiekuje się dzieckiem, gdy ty będziesz w pracy lub na uczelni?

Norman o tym nie pomyślał.

– Mój ojciec jest na rencie. Siedzi cały dzień w domu.

– I ma ochotę zajmować się niemowlakiem? Rozmawiałeś z nim o tym? A ze swoją matką?

– Nie, lecz oni zawsze stoją za mną murem – upierał się Norman.

– Skąd wiesz, że ta dziewczyna nie zechce zatrzymać dziecka?

– Nie wiem na sto procent. Już mówiłem, że ona w ogóle nie chce ze mną gadać, więc nie mogę jej o nic zapytać. Ale znam Casey. To nie w jej stylu. Ona lubi szaleć i jest ambitna.

– Możesz się mylić co do niej. Może chce tego dziecka.

– Więc dlaczego jest w Europie? A nawet jeśli zechce Je zachować, to co, ja już nie mam żadnych praw? Jestem ojcem.

Philips przez chwilę rozważał sprawę w milczeniu. Podobał mu się ten przejęty młodzieniec. Rzadko się widuje nastolatka gotowego wszystko poświęcić, żeby wychować dziecko.

– Kim jest jej ojciec? Może mógłbym z nimi porozmawiać w twoim imieniu.

– Henry Van Meter.

Ken Philips zamrugnął oczami.

– Ten Van Meter od Van Meter Industries?

Norman przytaknął.

– Czy to jakaś różnica?

Philips wybuchnął śmiechem.

– Oczywiście, że to różnica. Henry Van Meter to jeden z najbardziej wpływowych ludzi w tym stanie, do tego absolutnie bezwzględny drań. Jeśli Henry nie chce ci dać praw rodzicielskich, to wyda ci bezpardonową walkę i będziesz miał u niego przesrane do końca życia.

Normanowi zrzęda mina. Wyglądał załóżnie.

– Więc nie zajmie się pan tym?

Philips pokręcił głową.

– Tego nie powiedziałem.

Odchylił się, podpierając dłońmi podbródek. Norman poprawił się nerwowo na krześle. Wreszcie Philips się wyprostował. Przyszedł mu do głowy pomysł, którego nie chciał jeszcze zdradzać swemu młodemu klientowi.

– Muszę się spotkać z twoimi rodzicami – powiedział. – Nic nie zrobię, póki z nimi nie porozmawiam.

Tego się Norm obawiał, ale zorientował się, że to nie do uniknięcia.

– A co z pieniędzmi? Może mi pan powiedzieć, ile to będzie kosztowało?

– Na razie nie martw się o moje honorarium. Nie masz dwudziestu jeden lat, więc bez poparcia twoich rodziców nic się nie da zrobić.

– Chyba rzeczywiście musi pan z nimi porozmawiać.

– No właśnie. I jeszcze jedno muszę zrobić. Nie ruszaj się, idę po aparat.

5.

Anton Brucher przyodziewał swoją chuderlawą, tyczkowatą postać w szyte na miarę jedwabne garnitury. Zapadnięte policzki i koła pod oczami świadczyły dobitnie o zarwanych dla klientów nocach. Brucher był twardym i wypranym z poczucia humoru radcą prawnym. Precyzyjny i wyostrzony umysł siedł u niego w parze z brakiem widocznych oznak jakiegokolwiek moralności. Prawnicy w rodzaju Kena Philipsa, którzy bronili komunistów, Murzynów i tym podobnych, wzbudzali w nim odrazę, ale inteligencji Philipsa nie lekceważył.

Henry Van Meter ze wzdargą mierzył Kena Philipsa wzrokiem z drugiego końca sali konferencyjnej. Van Meter miał kruczoczarne włosy zaczesane do tyłu i wysokie czoło. Agresywne spojrzenie i wyrazisty nos sygnalizowały zatwardziałość charakteru godną głazu oraz światopogląd, w którym nie było miejsca na zmiłowanie. Rozsierdził go już sam pomysł spotkania z Philipsem, lecz ustąpił wobec przestrogi Bruchera, że Philips skutecznie zatruł życie kilku wybitnym osobistościom, którym się wydawało, że mogą go zignorować.

Kancelaria Brucher, Platt i Heinecken mieściła się na dwóch ostatnich piętrach biurowca w sercu Portlandu. Dzisiejsze spotkanie odbywało się w małej salce konferencyjnej na wyższym piętrze, niemal na zapleczu, żeby nie narażać Henry'ego, że ktoś postronny zobaczy go z Philipsem. Kiedy Brucher przedstawił prawnika Normana, Van Meter nie podał mu ręki.

– Więc czego pan chce? – spytał bez zbędnych formalności.

– Pokojowego rozwiązania trudnego problemu.

– Nic mi nie wiadomo, abyśmy mieli z pańskim klientem jakiegokolwiek wspólny problem. Przyszedłem tylko dlatego, że Anton nalegał, bym pana wysłuchał.

Philips się uśmiechnął.

– Cieszę się, że nie ma żadnego problemu pomiędzy panem a Normanem Spencerem. To wspaniały młody człowiek, któremu zależy tylko na tym, żeby postąpić właściwie. Jeśli dojdziemy do porozumienia i załatwimy tę sprawę po przyjacielsku, będzie to z korzyścią i dla Normana, i dla pańskiej rodziny.

– Pan się zgrywa, panie Philips. Proszę do rzeczy.

Philips potaknął energicznie.

– Ma pan rację, panie Van Meter. Proszę mi wybaczyć. Powiem wprost. Norman miał z pana córką, Casey, romans. Pańska córka zaszła w ciążę. Teraz jest w Europie pod pozorem studiów, choć na moje oko raczej w związku z ciążą.

Jest pan katolikiem, więc zapewne aborcja nie była brana pod uwagę. Sądzę, że Casey donosi dziecko i oddaje do adopcji. Jeśli tak się sprawy mają, to Norman chciałby to dziecko wychować. Chce je adoptować. Dlatego tu jestem: żeby to wszystko ustalić.

Z każdym słowem Philipsa twarz Van Metera coraz bardziej tężała. Pod koniec nie posiadał się z furii.

– Pański klient ma szczęście, że jeszcze go nie pozwałem za zniesławienie, co niezwłocznie uczynię, jeśli choć jedno słowo z tych skandalicznych insynuacji wyjdzie poza ściany tego pokoju.

– Pańska córka nie jest w ciąży?

– Prywatne życie córki pana Van Metera to nie twój interes – wtrącił się Brucher.

– Pozwolisz, że się z tobą nie zgodzę, Anton – odparł chłodno Philips. – Jeśli nosi dziecko mojego klienta, to z całą pewnością jest to mój interes. A i sąd się nim zainteresuje, jeśli pan Van Meter nie przestanie obrażać mojej inteligencji i grozić mojemu klientowi.

Philips zwrócił się w stronę Henry'ego Van Metera.

– Jeżeli wystąpimy do sądu o przyznanie praw rodzicielskich, pańska córka będzie na ustach wszystkich plotkarzy i plotkarek w całym stanie. Tego pan chce?

– Ile? – zapytał Brucher.

Philips pokręcił głową z niesmakiem.

– A to już jest ubliżające. Ale puszczę pańskie słowa mimo uszu. Norman nie czyha na pieniądze pana Van Metera. Ten młodzieniec ma bardzo wysokie morale i chce zrobić to, co uważa za słuszne.

– Pański klient został wprowadzony w błąd – odezwał się Henry. – Moja córka wyjechała na zagraniczną uczelnię. Powątpiewam, czy w ogóle zna tę osobę. Nigdy

mi o nim nie wspominała.

Philips wyjął kilka fotografii zmasakrowanej twarzy Normana i rozłożył je na stole.

– Jeśli Casey nie zna Normana i nie jest z nim w ciąży, to czym się kierował pański syn, tłukąc mojego klienta na krwawą miazgę?

– Miles tego nie zrobił – odparł Henry, rzuciwszy pobieżnie okiem na zdjęcia.

– Będzie miał okazję to udowodnić w sądzie – powiedział Philips.

– Teraz pan grozi mojemu synowi?! – zapienił się Van Meter.

– Nikomu nie grożę. Chciałem się tylko upewnić, że zdaje pan sobie sprawę, ilu osobom pan zaszkodzi i przysporzy wstydu, jeśli nadal będzie pan zaprzeczał faktom. Sądziłem, że z radością pozbędzie się pan problemu. W końcu mogłoby panu także zależeć na losie tego dziecka, panie Van Meter. Będzie pan jego dziadkiem.

Philips zamilkł na moment, żeby mieli czas przetrwać jego słowa.

– Zechcesz wyjść na chwilę, bym mógł się naradzić z moim klientem? – spytał Brucher.

– Jasne.

Podczas tej narady Ken palił papierosa w korytarzu. Po dwudziestu minutach zawołali go z powrotem.

– Nie uznajemy słuszności żadnych twoich roszczeń, Ken – oświadczył Brucher – ale rozważając czysto hipotetycznie, gdyby Casey była w ciąży i zgodziła się oddać dziecko do adopcji panu Spencerowi, to czy pan Spencer byłby gotów wyrzec się wszelkich kontaktów z Van Meterami i zgodził się utrzymać w całkowitej tajemnicy tożsamość matki dziecka?

– Pomówię z moim klientem.

Twój ojciec przyjął warunki Van Metera – wyjaśnił Ashley Jerry Philips. – Jego rodzice pomogli mu cię wychować. Norman pracował w dzień, a wieczorami chodził na uczelnię, żeby zrobić dyplom. Tam poznał Terri. Zakochali się w sobie i Norman jej o tobie opowiedział. Dzieciaty chłopak może nie był szczytem jej marzeń, ale kochała Normana i pokochała ciebie.

– Skąd wiesz to wszystko o życiu moich rodziców? – spytała Ashley.

– Mój ojciec trzymał notatki z rozmów z twoim, no i Henry mi sporo opowiedział. Ta uwaga mojego ojca o byciu twoim dziadkiem zapadła mu w serce. Henry był draniem, ale draniem pragnącym przedłużyć swój ród. Zakładał, że Miles lub Casey mogą jeszcze mieć jakieś dzieci, lecz ty byłaś jego pierwszą wnuczką, więc zlecił kancelarii Bruchera, żeby śledziła twoje i Normana losy.

– Szpiegował nas?

Jerry wzruszył ramionami.

– Nie wiem, czy tak to widział. W którymś momencie zorientował się, że żadne z jego dzieci nie zamierza dać mu wnuka w przewidywalnej przyszłości, może wcale. Potem zachorował. Kiedy do niego dotarło, że jesteś jego jedynym potomkiem, obserwował cię jeszcze baczniej.

Ashley odchyliła się na oparcie krzesła. Jej życie okazywało się grą pozorów, inscenizacją pod dyktando jej ojca, Henry'ego Van Metera i ludzi, których w ogóle nie znała. Jak ojciec i Terri mogli ją przez te wszystkie lata okłamywać?

– Czy Miles o tym wie?

– Wiedzieli tylko: Henry, Anton Brucher, mój ojciec, Norman, jego rodzice i Terri. Potem ja się dowiedziałem od Henry'ego.

– Więc dyrektorka nie miała pojęcia, że jestem jej córką?

– O ile mi wiadomo, Casey nigdy się nie dowiedziała, kto adoptował jej dziecko.

– Więc jakim sposobem dostałam stypendium do Oregon Academy? Znając twoje rewelacje, nie wierzę w przypadek.

– To Henry załatwił stypendium po tym, jak twój ojciec został zamordowany. Rozmawiał też z kimś od Bruchera na temat uwzględnienia cię w jego testamencie na krótko przed śmiercią Normana, ale potem miał ten wylew, Casey została ogłuszona i nie zdążył tego przeprowadzić. Prosił mnie o sporządzenie nowego testamentu, gdy mnie wynajął do odszukania ciebie. No i umarł.

– A czemu nagle zaczęłam go obchodzić? Nigdy przedtem nic dla mnie nie zrobił.

– Zmienił się po tym wylewie, który go o mało nie wyprawił na tamten świat. Stał się bardzo pobożny i wyczulony na sprawy społeczne. Kiedy był młodszy, biednymi się nie interesował ani im nie współczuł. Wierzył w system klasowy pod rządami ludzi podobnych do jego ojca, który zaczynał od niczego i dorobił się majątku własnymi siłami. Założył Oregon Academy jako elitarną szkołę dla chłopców. Dziewczynki dopuścił dopiero wtedy, gdy Casey doszła do wieku szkolnego. Ale niedawno zaczął dawać stypendia zdolnym reprezentantom mniejszości narodowych i młodzieży z niezamożnych domów.

– Co za szlachetność! – prychnęła z urazą Ashley. – A teraz próbuje mną zza grobu manipulować, żebym ratowała samolubną sukę, która mnie kompletnie olała, bo byłabym jej zawadą w pieprzeniu się i balowaniu.

– Czy ci się to podoba, czy nie, Casey Van Meter jest twoją matką. Jeśli wyjdzie z tej śpiączki, to kto wie, co się jeszcze może zdarzyć.

– A czemu miałoby mnie to obchodzić? Ja ją głównie obchodziłam.

– Ashley, ja wiem, że to dla ciebie potężny wstrząs. Nie do ogarnięcia od razu. Poczekaj z decyzją. Daj sobie trochę czasu do namysłu. Posiedzenie sądu jest w przyszłym tygodniu. Jeszcze zdążymy.

– Jeśli wrócę, Joshua Maxfield się o tym dowie. Po co miałabym ryzykować? I jakie ona ma szanse wyjść z tej śpiączki?

– Henry zainwestował sporo w firmę biotechnologiczną, która pracuje nad pewnym obiecującym lekiem. Podaje się go Casey w ramach prób klinicznych.

Ashley miała twarz zaciętą w gniewie.

– Ona mnie oddała, Jerry. Nic dla niej nie znaczyłam. Czy kiedykolwiek próbowała się dowiedzieć, co się ze mną stało? Okazała jakiegokolwiek zainteresowanie?

– Nie wiem – odparł łagodnie Jerry. – Słuchaj, masz na pewno rację. Casey była samolubna...

– Jest samolubna. Nie zmieniła się dlatego, że jest nieprzytomna. Jest egoistyczną suką. A ja nie mam zamiaru narażać życia, żeby ją ratować. Nic mnie nie obchodzi, czy ona umrze.

Jerry'emu żadne argumenty nie przychodziły już do głowy, więc umilkł.

– A mój ojciec, Terri... Całe życie mnie okłamywali. Jak oni mogli?

– Robili to z miłości do ciebie. Niech złość cię nie zaślepi, Ashley. Miałaś bardzo dzielnego ojca. Pomyśl. Mógł o tobie zapomnieć. To nie byłoby trudne.

Założę się, że dziewięćdziesięciu dziewięciu facetów na stu w takiej sytuacji odetchnęłoby z wielką ulgą na wieść o tym, że Henry Van Meter zrobi porządek z piwem, którego nawarzyli, do tego nie żądając od nich ani centa. Był biedny, Ashley. Żeby skończyć studia, musiał dzień w dzień pracować i chodzić na zajęcia wieczorami. Zrezygnował ze stypendium, z normalnego życia. Zrobił to dla ciebie. A Terri też stanęła dla ciebie na wysokości zadania. Ile młodych kobiet nie dałoby od razu nogi od faceta, który im mówi, że ma już dziecko? A ona nie. Przyjęła cię jak własną córkę.

Słuchając Jerry'ego, Ashley czuła, jak jej gniew opada. Kiedy zamilkł, ogarnęło ją straszne znużenie.

– Jerry, to jest takie trudne, ciągle się ukrywać, żyć z dnia na dzień. A teraz jeszcze to.

– Wiem. Trudno sobie wyobrazić, co ty musisz przeżywać.

Na widok kelnera z ich kolacją zamilkli. Jerry był tak wygłodniały, że z miejsca rzucił się na jedzenie. Zresztą chciał dać Ashley trochę czasu do namysłu. Dziewczyna dłużyła w talerzu, próbując się w myślach uporać z tym, co usłyszała od Jerry'ego.

– Dobrze było – oznajmił wreszcie Jerry.

Wyrwana z zamyślenia, Ashley spojrzała na jego talerz. Po makaronie nie zostało nawet śladu.

– Chyba rzeczywiście byłeś głodny – powiedziała.

– Mówiłem ci. – Jerry uśmiechnął się zawstydzony. Wytarł usta serwetką i napił się jeszcze wina. – Muszę gdzieś przenocować. Jest tu jakiś hotel, który mogłabyś polecić?

– Mam mieszkanie pod Sieną. To niedaleko. Mógłbyś się zatrzymać u mnie. Jest pokój gościnny.

– Nie chcę ci się narzucać.

– Naprawdę wolałabym, żebyś przenocował u mnie. Nie chcę być dzisiaj sama.

– W takim razie załatwione.

– Jesteś dla mnie bardzo dobry, wiesz o tym?

Jerry się zaczerwienił.

– Robię to tylko po to, żeby sobie nabić godzin nadliczbowych. Muszę z czegoś żyć, wiesz.

Teraz z kolei Ashley wyciągnęła nad stołem rękę i nakryła nią jego dłoń.

– Dziękuję, Jerry – powiedziała.

Do mieszkania Ashley dotarli już po zmroku. Mieściło się nad sklepem

mięsnym, i to od rzeźnika właśnie je wynajmowała. Oprowadziła po nim Jerry'ego. Oprócz małego pokoiku od frontu składało się z jeszcze mniejszej kuchni, łazienki z ciasną kabiną prysznicową, sypialni i dodatkowego pokoiku z rozkładaną sofą i małą komódką.

W mieszkaniu było niewiele mebli, żadnych obrazków czy plakatów na ścianach, żadnych drobiazgów na półkach. Nosiło wszelkie znamiona lokum tymczasowego, z którego można się w każdej chwili wynieść.

Ashley trzymała tylko parę fotografii na swojej szafce nocnej. Jerry'emu wydało się, że zna je z jej pokoju w internacie. Na jednym Terri i Norman Spencerowie uśmiechali się do obiektywu z trawnika przed domem, w którym Norman został zamordowany. Na innym rodzinnym zdjęciu obejmowali z dwóch stron Ashley. Ostatnią fotografię zrobiono po okręgowym finale rozgrywek piłkarskich. Widniała na niej drużyna Liceum Eisenhowera, a w samym środku Ashley dzierżąca puchar mistrzostw. Jerry posmutniał. Usiłował sobie wyobrazić, jak wyglądało życie Ashley po ucieczce do Europy. Samotnie: to pierwsze słowo, jakie mu przyszło na myśl. Dziewczyna nie знаła włoskiego, nie miała znajomych i nikomu nie mogła się zwierzyć, do żadnego miejsca przywiązać. Ale przetrwała. Była twarda.

Ashley znalazła poszewkę i parę prześcieradeł i zaprowadziła Jerry'ego do pokoju z rozkładaną sofą.

– To dla ciebie – powiedziała. – Rozgość się, ja się tymczasem umyję.

Jerry włożył swoje rzeczy do komody i posłał łóżko. Kiedy skończył, przysiadł się do Ashley przy kuchennym stole. Przebrała się w podkoszulek i szorty i siedziała, sącząc wino.

– Chcesz trochę? To dobre miejscowe chianti.

– Nie, dzięki. Jestem wykończony. Padłbym po pierwszym łyku.

– Jestem silna. Zaniósłabym cię do łóżka.

Jerry się roześmiał.

– Od jak dawna tu mieszkasz?

– Od pięciu miesięcy. To i tak mój najdłuższy pobyt w jednym miejscu.

– Zawarłaś jakieś znajomości?

– Parę. Jest tu kobiecy klub piłkarski. Grywam z nimi. Nie znają mojego prawdziwego nazwiska ani nic. Myślą, że jestem na urlopie dziekańskim.

– To dobrze, że masz znajomych.

– Prawie się zadomowiłam, ale trudno żyć kłamstwem. Muszę cały czas utrzymywać fikcję. Choć trzymam się prostej wersji mego życiorysu, i tak muszę

cały czas uważać.

– Gdzie grywasz?

– Mają tu zawodowy męski zespół. Korzystamy z ich stadionu. Jest nawet liga. Mecze są w weekendy. Kibiców mamy nielicznych, lecz bardzo gorących. Jest fajnie.

– Nie straciłaś formy?

– Trochę zapyziałam, ale daję radę.

Przez następną godzinę Ashley relacjonowała Jerry'emu swoje poczynania od wyjazdu ze Stanów. Po jakimś czasie Jerry nie mógł powstrzymać ziewania. Oczywiście się same zamykały.

– Pora spać – stwierdziła Ashley.

– Święta racja. Jestem tak skonany, że chyba zaraz padnę.

Wstał.

– Dobrze zobaczyć znajomą twarz – powiedziała Ashley.

– Ja też się cieszę, że cię widzę.

Stali blisko siebie. Poczuli się skrępowani. Jerry miał ochotę ją pocałować, ale bał się, żeby źle nie odczytała jego intencji. Nagle przypomniał sobie o czymś, co mogło rozluźnić atmosferę.

– Coś ci przywiozłem.

– Co?

– Zaczekaj.

Wrócił do pokoju i zaczął przewracać rzeczy w walizce. Po chwili pojawił się z kartką papieru w ręku.

– Pamiętasz, jak ci mówiłem, że mój ojciec trzymał akta twojego?

Ashley kiwnęła głową.

– Znalazłem w nich to. Mój tata pisał do twojego z okazji otrzymania przez pana Spencera dyplomu. Pomyślałem, że może chciałabyś to mieć.

Ashley wzięła list.

– No, to tyle – rzekł Jerry. – Do zobaczenia jutro.

Wyszedł z kuchni, a Ashley włożyła do zlewu kieliszek po winie i parę talerzy, które zostały z lunchu. Zmywając, rozmyślała o Jerry'ym. Kiedy się poznali, była nastolatką, a on miał koło dwudziestu pięciu lat. Wydawało się, że dzieli ich przepaść. Teraz nie robił już wrażenia dużo starszego.

Słyszała, jak kręci się po pokoju, szykując do spania. Dziwnie się czuła z kimś jeszcze w mieszkaniu, do tego mężczyzną. Od czasu ucieczki z Portlandu nie pozwoliła sobie na żadne związki. Nie żeby miała się zamyślić z Jerry'ym. Był

jej prawnikiem. Do tego ograniczali się w swoich mailach, choć Jerry zawsze ją pytał, jak się miewa, i dodawał jej otuchy. Właściwie niewiele o nim wiedziała. Nie nosił obrączki, ale mógł mieć przecież dziewczynę. No i był wykształcony. Ona nie skończyła nawet liceum.

Ashley otrząsnęła się i poszła do pokoju. Chciała przeczytać list dopiero w łóżku. U góry kartki miał dwie dziurki na metalowe druty w kartotece. List był pisany przez kalkę na maszynie, nie na komputerze. Parę słów się zamazało.

Drogi Normanie!

Chciałem skrobnąć Ci parę słów podziękowania za zaproszenie na uroczystość wręczania dyplomów na uniwersytecie w Portlandzie. Bardzo się wzruszyłem, kiedy podszedłeś po odbiór dyplomu z Ashley na rękach. To musiał być dla Ciebie niesamowity moment i ja też to tak przeżywałem. Prawo to forsowne zajęcie. Ma się znacznie więcej upadków niż wzlotów. Ale ten widok, Ciebie z córką, Terri i dyplomem w garści, zrekompensował mi wiele rozczarowań. Jak wiesz, mam syna, Jerry'ego. Są rodzice, którzy by chcieli, żeby ich syn wyrósł na prezydenta Stanów Zjednoczonych albo napastnika zawodowej drużyny baseballowej. Ja chciałbym, żeby mój syn wyrósł na człowieka takiego jak Ty. Dopingowałeś mnie swoim przykładem. Powodzenia w nowej pracy w szkole od następnego roku. Gratuluję raz jeszcze

Ken

Coś ścisnęło ją w gardle i musiała przełykać łzy, żeby się nie rozplakać. W jednym z rodzinnych albumów widziała parę razy zdjęcie ojca, jak wchodzi na podium po odbiór dyplomu z nią na rękach, ale nigdy nie uświadamiała sobie, iloma wyrzeczeniami okupili to Norman i Terri. A potem jej ojciec złożył ostateczną ofiarę ze swego życia, ratując ją przed Joshua Maxfieldem.

Zamknęła oczy. Przywołała w pamięci ostatnie wspólne chwile z ojcem, o których starała się nie myśleć od jego śmierci. Cierpiał, był konający, a jednak uśmiechał się do niej, bo wiedział, że Ashley ocaleje. Jeśli teraz tu zostanie, będzie bezpieczna, ale ojciec nie poświęcił życia po to, żeby się zestarzała, chowając się przed światem w jakiejś ciemnej dziurze. Wyszła z łóżka i poszła do przedpokoju. Zapukała do drzwi pokoju gościnnego.

– Taaa? – dobiegł ją zaspany głos Jerry'ego.

– Mogę wejść na chwilę?

– Jasne.

Otworzyła drzwi. Jerry leżał pod kocem. Ashley zatrzymała się w progu.

– To nie jest życie, Jerry. Muszę cały czas kłamać. Ciągłe oglądać się za siebie. Nie mogę mieć prawdziwych przyjaciół. Czasami się zastanawiam, czy Joshua Maxfield jeszcze się mną interesuje. A co, jeśli nic go nie obchodzi, a ja tkwię w tej dziurze, trzęsąc się ze strachu przed kimś, kto już dawno o mnie zapomniał? No i ta Casey. To bardzo... skomplikowane. Zaczęłam się przyzwyczajać, że nie mam nikogo, a teraz się okazuje, że mam matkę. – Ashley spuściła wzrok. – Chcę wracać do domu.

– No to cię zabiorę. Możemy ruszać, kiedy będziesz gotowa.

– Jak najszybciej.

– Dobrze. Zabiorę cię do domu.

Spójrz tylko – odezwał się Jerry, kiedy szli przez lotnisko we Florencji.

Stanęli przed sklepem z prasą i książkami. Na jednym regale wyłożono kieszonkowe wydania książek w języku angielskim. Jerry podszedł i wziął do ręki egzemplarz *Śpiącej królowny*. Okładkę zdobiła czarno-biała fotografia uśmiechniętej Casey Van Meter.

– Czytałaś to? – spytał Jerry.

– Nie.

– Miles dobrze się spisał. Jest bardzo wierny faktom. Kupić ci to na podróż?

– Dzięki, Jerry, aleja tego naprawdę nie chcę czytać. Nie chcę wracać do złych wspomnień. Wiem, co się przydarzyło moim rodzicom i Casey.

Ashley urwała. Jeśli wierzyć Jerry'emu, Casey też zaliczała się do jej rodziców. Wciąż trudno jej było wyobrazić sobie dyrektorkę w tej roli. Jak to możliwe, że owa lodowata, elegancka blondynka przez dziewięć miesięcy nosiła ją w swoim brzuchu i w końcu wydała na świat?

Poprzedniego wieczoru Ashley wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze, próbując doszukać się jakiegoś podobieństwa do Casey Van Meter. Obie miały włosy blond, tyle że Casey była wysoka i wiotka, a Ashley bardziej krzepka i muskularna. Miały za to podobną cerę. Po kilku latach we Włoszech opalenizna Ashley dorównywała tej, jaką zapamiętała u Casey.

Dyrektorka była silna i opanowana. Ashley przypomniała sobie, jak potraktowała Randy'ego Colemana, kiedy ją zaczepił na szkolnym basenie. Czy ona, Ashley, też taka była? Na boisku na pewno obejmowała komendę. W liceum dziewczyny zawsze oczekiwały, że nimi pokieruje. Nawet teraz kobiety z drużyny w miasteczku uznały ją, nikomu nieznaną cudzoziemkę, za kapitana.

Jerry odłożył książkę i zasiedli w poczekalni przed bramką. Ashley przyglądała się współpasażerom. Jedni sprawiali wrażenie podekscytowanych, inni zmęczonych lub znudzonych. Przed pięciu laty ona przeżywała swój przyjazd na lotnisko w Portlandzie jak początek wielkiej przygody, miała przecież wylecieć na wolność. Dzisiaj się bała. Łudziła się nadzieją, że Joshua Maxfield już się nią nie interesuje, że Casey Van Meter wyjdzie ze śpiączki przepelniona miłością do dawno utraconej córki, ale wiedziała, że oba te marzenia łatwo mogą się przeobrazić w koszmar.

Z lotniska zamówiony samochód zawiózł ich do mieszkania, które Jerry

wynajął na swoje nazwisko. Kazał czekać kierowcy, póki nie wniesie bagaży Ashley do środka. Wcześniej zadzwonił do swojej sekretarki z prośbą, by zaopatrzyła lodówkę w podstawowe produkty. Sekretarka pewnie pomyślała, że chodzi o jego kochankę. Jerry uśmiechnął się na tę myśl. W jego życiu niewiele się działo na miłosnym polu, odkąd zerwał dwuletnią znajomość z pewną ambitną maklerką. Dziewczyna wpadła w głęboką depresję, gdy straciła pracę wskutek zapaści na rynku, i w końcu przeniosła się do Nowego Jorku, gdzie jej zaproponowano posadę. Z perspektywy czasu Jerry ocenił, że dobrze się stało. Od tamtej pory żadna kobieta z jego nielicznych partnerek nie wzbudziła w nim żywszego zainteresowania.

– Mieszkanie jest znośne? – spytał Ashley, kiedy się już trochę rozejrzała.

– Tak, w porządku.

– Wynająłem je tylko na miesiąc, więc możesz się wyprowadzić, jeśli ci nie odpowiada.

– Nie, podoba mi się.

– Opłaciłem kablówkę – Jerry wskazał telewizor. – Będziesz mogła nadrobić zaległości we wszelkim telewizyjnym chłamie.

Ashley podeszła do swego prawnika i ucałowała go w policzek.

– Byłeś wspaniały, Jerry. Nie dałabym rady bez ciebie.

– Zaraz – Jerry zmieszał się tym przejawem sympatii ze strony Ashley – przecież masz do czynienia z kancelarią zapewniającą pełną obsługę.

Dzieliło ich tylko kilka centymetrów. Zapadło niezręczne milczenie. Potem Jerry cofnął się o krok.

– Posiedzenie sądu o dziesiątej. Przyjadę po ciebie o dziewiątej trzydzieści.

– Będę gotowa.

– Do zobaczenia.

– Okay.

– Śpij dobrze.

Ashley podeszła do okna i patrzyła, jak Jerry wsiada do samochodu. Nie ruszyła się z miejsca, póki tylne światła nie zniknęły jej z oczu. Jerry zachowywał się fantastycznie. Był jak opoka. Czowała się przy nim bezpiecznie. Ale nie na długo. Jutro wszyscy się dowiedzą, że wróciła.

Multnomah County Courthouse, potężny betonowy gmach, zajmujący całą przestrzeń między dwiema przecznicami, wyglądał równie ponuro i złowieszczo jak pięć lat temu, gdy Ashley zeznawała na rozprawie wstępnej Joshuy Maxfielda. Stała teraz z Jerrym Philipsem w krótkiej kolejce do wykrywaczy metalu przy wejściu. Jej radca miał na sobie szary garnitur, białą koszulę i żółtawy krawat. Ashley włożyła na tę okazję czarny kostium, nabyty jeszcze we Florencji przed odlotem.

Po przejściu bramki Jerry od razu poprowadził ją na drugie piętro schodami, od których rozchodziły się cztery marmurowe korytarze. Sędzia Paula Gish urzędowała w nowoczesnej sali w głębi korytarza. Miała czterdzieści parę lat, nieco nadwagi, krótkie brązowe włosy i grube szkła. Kiedy Jerry z Ashley wchodzili, wertowała właśnie plik oświadczeń sądowych, a siwowłosy prawnik ględził coś w związku z nakazem uiszczenia honorarium adwokackiego.

Zajawszy miejsce w ostatnim rzędzie, Ashley rozejrzała się wokół. Wśród nielicznych widzów bez trudu rozpoznała Milesa Van Metera. Siedział w pierwszym rzędzie w towarzystwie łysiejącego, otyłego Afroamerykanina nieustępującego mu elegancją stroju.

Zaskoczył ją natomiast widok Randy'ego Colemana kilka rzędów dalej. Miał na sobie lichy garnitur, w niczym nieprzypominający stylowych ciuchów, w jakich go widziała podczas incydentu przy basenie. Ashley domyśliła się, że musiało mu się kiepsko wieść przez te minione lata. Obok męża Casey siedział niski mężczyzna atletycznej budowy, z czarnymi włosami gładko zaczesanymi do tyłu, a odsłaniającymi zakola. Trzymał się kurczowo swojej teczki, z czego Ashley wywnioskowała, że występuje w roli prawnika Colemana.

W głębi sali siedziała młoda atrakcyjna kobieta z notesem do stenografowania. Trudno się było dziwić obecności reporterki na posiedzeniu w sprawie kurateli, biorąc pod uwagę rozgłos, jaki zyskała *Śpiąca królowna* i sprawa, na której kanwie powstała. Ale zdziwiła Ashley obecność Larry'ego Bircha, inspektora prowadzącego jej śledztwo, który także zasiadł w tylnych rzędach. Zerknął na Ashley, ale zaraz odwrócił wzrok. Zmyliły go chyba jej czarne włosy i ciemne okulary.

Sędzia Gish rozstrzygnęła wniosek o uiszczenie honorarium adwokackiego, a woźny ogłosił posiedzenie w sprawie „Wniosku o następstwo kurateli i opieki

prawnej nad Casey Van Meter". Miles i jego czarny towarzysz podnieśli się i zbliżyli do stolika obrony.

– Za pozwoleniem Wysokiego Sądu, nazywam się Monte Jefferson i reprezentuję tutaj pana Milesa Van Metera, brata Casey Van Meter oraz syna Henry'ego Van Metera, który sprawował kuratelę i opiekę prawną nad Casey do czasu swej niedawnej śmierci.

W tym momencie przerwał mu prawnik Randy'ego Colemana, który zaprowadził swego klienta do drugiego stolika.

– Anthony Botteri, Wysoki Sądzie, w imieniu mego klienta, Randy'ego Colemana, męża Casey Van Meter. Pan Coleman również ubiega się o kuratelę i opiekę prawną nad swoją żoną.

– Wysoki Sądzie, wniosek pana Colemana nie zasługuje na uwzględnienie – oświadczył spokojnie Jefferson – ponieważ w momencie, gdy pani Van Meter została napadnięta, toczyła się już sprawa rozwodowa, którą pani Van Meter wszczęła z powodu brutalności i zdrad, jakich dopuścił się jej mąż. Sąd odrzucił analogiczną prośbę pana Colemana wkrótce po zapadnięciu pani Van Meter w śpiączkę. Pan Coleman jest hazardzistą i oszustem, którego interesują wyłącznie pieniądze pani Van Meter.

Coleman zerwał się, żeby coś powiedzieć, lecz Botteri go przytrzymał twardą ręką.

– Co za szkoda, że prawnik kalibru pana Jeffersona musi uciekać się do tak niskich chwytów – odparł Botteri. – Mój klient prowadzi interesy w Las Vegas, a sam fakt zamieszkiwania w tym mieście nie czyni go jeszcze hazardzistą ani przestępcą.

– Nie można odmówić panu Botteriemu słuszności, jeśli chodzi o te zarzuty, panie Jefferson – orzekła sędzina. – Postarajmy się utrzymać to posiedzenie na cywilizowanym poziomie.

– Proszę o wybaczenie, Wysoki Sądzie – rzekł Jefferson – ale jestem przekonany, że w aktach tej sprawy nie brak dowodów potwierdzających moje zarzuty.

– Panie Botteri – sędzia Gish zwróciła się teraz do adwokata Colemana – nie prowadziłam tej sprawy, ale zapoznałam się z dokumentacją, w której znalazłam orzeczenie sądu rozstrzygające na korzyść pana Henry'ego Van Metera, ojca pani Van Meter, a nie pańskiego klienta. Jest tam też wzmianka o napastowaniu pani Van Meter i byciu notowanym przez policję.

– Sprzed wielu lat, Wysoki Sądzie – odparł Botteri. – Ponadto zaistniały nowe

okoliczności. Pan Van Meter pominął w swoim wniosku pewien bardzo istotny szczegół.

– A mianowicie?

– Ujmując rzecz w miarę możliwości jak najdosadniej, Wysoki Sądzie, Miles Van Meter potrzebuje decyzji Wysokiego Sądu przyznającej mu prawną kuratelę nad Casey Van Meter, żeby móc w majestacie prawa zabić swoją siostrę.

– To oburzające! – wykrzyknął Miles.

– Czy chce pan powiedzieć Wysokiemu Sądowi, że nie zamierza pan odłączyć aparatury podtrzymującej życie pańskiej siostry? – zaatakował Botteri.

– Pański klient nigdy nie kochał mojej siostry. Zależy mu wyłącznie na pieniądzach Casey.

– Panowie! – sędzia Gish musiała stuknąć młotkiem, żeby przywrócić spokój.

– Mam dowody na poparcie naszych twierdzeń – oświadczył Botteri.

Wyciągnął z teczki kilka kartek papieru, wręczył jedną Jeffersonowi, a z resztą podszedł do podium.

– To jest zaprzysiężone oświadczenie doktora Stanleya Linscotta, lekarza prowadzącego Casey Van Meter. Relacjonuje w nim rozmowę z Milesem Van Meterem, podczas której pada pytanie o to, jakie kroki musiałby pan Van Meter podjąć, gdyby chciał odłączyć żonę mego klienta od aparatury podtrzymującej życie.

– Mogę prosić o kopię tego oświadczenia? – odezwał się Jerry Philips.

W czasie kłótni Milesa z Botterim przeszli z Ashley za barierkę oddzielającą publiczność. Miles odwrócił się i spostrzegł Ashley. Przez chwilę mierzył ją wzrokiem, nim szczeka opadła mu ze zdumienia.

– Kim pan jest? – spytała sędzina.

– Jerry Philips, Wysoki Sądzie. Reprezentuję Ashley Spencer, która także ubiega się o kuratelę i opiekę prawną nad panią Van Meter.

– Na jakiej podstawie, panie Philips? – dociekała sędzina.

– Ashley Spencer jest córką Casey Van Meter, jej jedynym dzieckiem.

Oniemiały Miles najpierw nie mógł oderwać oczu od Ashley, po czym wdał się w gorączkową szeptaną naradę ze swoim prawnikiem. Szok odmalował się także na twarzy Randy'ego Colemana.

Jerry Philips wręczył sędzinie i stronom sporu po kilka dokumentów.

– To jest wniosek pani Spencer o ustanowienie jej kuratorem matki. Dołączam zaprzysiężone oświadczenie Henry'ego Van Metera, w którym naświetla on fakty uzasadniające twierdzenie Ashley Spencer o jej pokrewieństwie z panią Van Meter.

W załączeniu jeszcze kilka dokumentów świadczących o tym samym.

Między Colemanem a jego adwokatem również toczyła się ożywiona dyskusja nad tym, co właśnie usłyszeli, i dokumentami, które dostali od Jerry'ego i teraz pospiesznie studiowali. Kiedy skończyli, Botteri zwrócił się do sędziny.

– Mój klient twierdzi, że jego żona nigdy nie miała dzieci. Matką tej kobiety była Terri Spencer. Została zamordowana podczas tej samej napaści, której ofiarą padła również Casey Van Meter.

– Terri Spencer wychowała Ashley jako swą córkę – odrzekł Philips – ale biologiczną matką Ashley jest Casey Van Meter.

– Panie Jefferson, co pan na to? – spytała sędzina.

– Mój klient słyszy o roszczeniach panny Spencer po raz pierwszy.

– Ale nie po raz pierwszy ktoś z pańskiej kancelarii prawniczej dowiadyuje się o tym, że panna Spencer jest córką Casey Van Meter – odparował Jerry i wręczył po jednym egzemplarzu wniosku o odtajnienie sędzinie, Jeffersonowi i Botteriemu. – Pracuje pan z Milesem Van Meterem w kancelarii Bruchera, prawda?

– Tak – odpowiedział Jefferson, rzucając okiem na dokument. – Nasza kancelaria zawsze zajmowała się obsługą prawną firmowych i prywatnych spraw Van Meterów.

– Norman Spencer, ojciec Ashley, miał wakacyjny romans z Casey Van Meter, kiedy oboje studiowali. Pani Van Meter zaszła w ciążę, lecz ukrywała ten fakt przed Normanem. Henry Van Meter podjął kroki, by oddać dziecko do adopcji. Norman się o tym dowiedział i wynajął mego ojca, Kena Philipsa, żeby walczyć o Ashley. Po negocjacjach z Henrym i jego radcą prawnym Norman Spencer uzyskał pozwolenie, by po cichu adoptować Ashley. Zostało to załatwione przez Antona Bruchera i pana kancelarię. Chciałbym przedstawić sądowi akta. Stanowią dowód na to, że Ashley Spencer jest córką Casey.

– Te akta są tak stare, że mogły już ulec zniszczeniu – rzekł Jefferson. – A nawet jeśli jeszcze istnieją, to nie wyrażam zgody na ich okazanie. Obowiązuje mnie tajemnica zawodowa.

– Gdzie by się znajdowały, gdyby nie zostały zniszczone? – spytała sędzina.

– Jest taka firma specjalizująca się w przechowywaniu akt. Mają magazyn. Tam trafiają nasze akta, jeśli sprawa jest już zamknięta.

– Chcę, żeby poszukał pan tych akt i poinformował sąd, czy jeszcze istnieją – zażądała sędzia Gish. – Jeśli tak, a pański klient nie wyrazi zgody na ich przekazanie, proszę o prawne uzasadnienie tej decyzji, na początek.

– Zgoda, Wysoki Sądzie.

– A teraz proszę wszystkich o zajęcie miejsc, dopóki nie przeczytam papierów, które otrzymałam od pana Philipsa i pana Botteriego. Proszę mi nie przerywać.

Strony odczekały w milczeniu, aż sędzina zapoznała się z treścią dokumentów. Po zakończeniu lektury zdjęła okulary i rozmasowała sobie zmęczone powieki.

– A myślałam, że zapowiada się taki nieciekawy dzień.

Sędzina umieściła okulary z powrotem na nosie i spojrzała na uczestników rozprawy.

– To zbyt skomplikowana sprawa, by ją od razu rozstrzygnąć.

– Tak się zastanawiałem, Wysoki Sądzie – odezwał się Botteri. – Test DNA pozwoliłby ustalić, czy panna Spencer jest spokrewniona z Casey Van Meter.

Sędzina zwróciła się do prawnika Ashley.

– Panie Philips, czy pańska klientka zechce się poddać testowi, żeby wyjaśnić tę kwestię?

Po krótkiej wymianie zdań z Ashley Jerry poinformował sąd:

– Panna Spencer nie ma nic przeciwko testowi.

– Dobrze. W takim razie odraczam posiedzenie w celu przeprowadzenia testu DNA i odszukania rzeczonych akt przez pana Jeffersona. Strony uzgodnią między sobą procedurę i wybiorą laboratorium, które przeprowadzi badanie. Proszę mnie zawiadomić, kiedy to nastąpi, żeby można było wyznaczyć datę następnego posiedzenia.

Randy Coleman ze swoim prawnikiem opuścili salę zaraz po oficjalnym odroczeniu rozprawy. Monte Jefferson poszedł w ich ślady, ale Miles został.

– Jerry – kiwnął głową Philipsowi. Potem uśmiechnął się serdecznie do Ashley.

– Dobrze znów cię widzieć.

– Słyszałam o pana ojcu – powiedziała Ashley. – Przykro mi, że umarł. Był dla mnie bardzo dobry.

– Bardzo cię lubił, Ashley. Naprawdę martwił się o ciebie, gdy zniknęłaś. Obaj się martwiliśmy.

– Nie chciałam was zdenerwować. Nie chciałam nikogo martwić. Ja tylko... musiałam wyjechać.

– Rozumiem. Gdzie byłaś?

– Za Atlantykiem – odpowiedziała wymijająco, bo nadal wolała się nikomu nie zwierzać na wypadek, gdyby znów musiała korzystać z kryjówek.

Miles przyjrzał jej się i uśmiechnął.

– No, nie zaszkodziło ci owe pięć lat. Świetnie wyglądasz. Podobają mi się te włosy.

– Dzięki. – Ashley zrewanżowała się uśmiechem.

Miles zerknął na zegarek.

– Muszę wracać do biura na zebranie. – Urwał, jakby nagle przyszedł mu do głowy jakiś pomysł. – Zjadłabyś ze mną dziś kolację? Chciałbym się dowiedzieć, co u ciebie nowego.

– To chyba niezbyt dobry pomysł – wtrącił się Jerry.

– Czemu? – spytała Ashley.

– Nie powinniście spotykać się na gruncie towarzyskim. Występujecie przeciwko sobie w sądzie.

– Ale może jesteśmy także spokrewnieni – odrzekł Miles. – Ten wasz wniosek to dla mnie totalne zaskoczenie. Bardzo bym się cieszył, gdyby to okazało się prawdą.

– Chciałabym porozmawiać z Milesem – odezwała się Ashley. – Chodzi tylko o kolację. Nic mi nie będzie.

Miles wręczył im swoje wizytówki.

– Zastanówcie się nad tym. Nie chcę robić nic niestosownego. Jeśli zechcesz pójść ze mną na tę kolację, po prostu zadzwoń.

Miles ruszył do wyjścia. Jerry patrzył za nim, póki nie znalazł się poza zasięgiem ich głosu. Oboje obrzucili nerwowym spojrzeniem reporterkę i Larry'ego Bircha, którzy zmierzali w ich kierunku.

– Jeśli będziesz rozmawiać z Milesem, pamiętaj, że jesteście po przeciwnych stronach.

– Nie martw się. Miles był dla mnie zawsze miły. Nie sądzę, żeby chciał to wykorzystać.

– Nie masz pojęcia, czego się po nim spodziewać, gdy chodzi o spór sądowy.

– Będę mieć się na baczności, dobra?

Jerry się zaczerwienił.

– Wybacz, skrzywienie zawodowe.

– Jestem zadowolona, że dbasz o moje interesy.

Rozległo się chrząknięcie, które oznaczało, że mają już na karku reporterkę.

– Ashley, nazywam się Rebecca Tilman – przedstawiła się. – Czy mogę zadać ci kilka pytań?

– Panna Spencer nie udziela na razie żadnych wywiadów – oświadczył Jerry. – Jeśli zmieni zdanie, da pani znać.

– Ale to ważna historia – nie dawała się zbyć dziennikarka.

– Może i tak, ale panna Spencer nie udziela teraz wywiadów.

Reporterka miała jeszcze coś na końcu języka, lecz postanowiła się zadowolić dotychczasowym sensacyjnym łupem i także skierowała się do drzwi.

– Witam, inspektorze – powiedziała Ashley.

– Kopę lat – powitał ją Birch. Zabrzmiało to żartobliwie, jednak sądząc z miny Bircha, nie było mu do śmiechu.

– Przykro mi, że wyjechałam w ten sposób.

– Nam też było przykro. Ale nic ci się nie stało, i to się liczy.

– Są jakieś nowe tropy w sprawie Joshuy Maxfielda?

– Nadal jest ścigany listami gończymi, a w innych stanach doszło do co najmniej dwóch zabójstw, które mogą być jego dziełem.

– Gdzie?

– W Ohio i Iowa.

– Więc nie ma go w Oregonie?

– Najwyraźniej, ale kto wie, co będzie, jak się dowie, że wróciłaś.

– Sami się o to martwimy, inspektorze – odezwał się Jerry. – Chcieliśmy się z panem skontaktować w sprawie ochrony dla Ashley.

– To może być dość trudne po tym numerze, jaki nam wykreśliła.

– Uciekła, żeby się ratować, kiedy wasi ludzie nie zdołali jej ustrzec – powiedział Jerry.

– Zginęło przy tym dwóch porządnych ludzi – odparł gniewnie Birch.

– Przepraszam – wycofał się Jerry. – Chyba pan rozumie, dlaczego Ashley uciekła.

Birch odetchnął głęboko i uspokoił się.

– Czuję się podle po tym, co się zdarzyło w szkole, ale uważam, że mimo wszystko nie powinnaś była uciekać. Porozmawiam z komendantem i zobaczymy, co da się zrobić, żeby ci zapewnić bezpieczeństwo.

– Odwieźć cię do mieszkania? – spytał Jerry, kiedy inspektor się pożegnał.

– Nie. Chcę się przejść. We Włoszech przyzwyczałam się do chodzenia. I chcę popatrzeć na miasto. Może nawet połączę po sklepach.

– Okay. Będę w biurze, gdybyś mnie potrzebowała. I dobrze się zastanów, czy przyjąć zaproszenie Milesa.

– Jerry. Jesteś wspaniały. Ale nie musisz mnie niańczyć. Mam dwadzieścia dwa lata i od jakiegoś czasu daję sobie radę sama.

Jerry'emu poróżowił kark.

– Trafiony. Chciałem tylko jak najlepiej dla ciebie.

Miles wybrał ekskluzywną restaurację z mnóstwem szkła i chromu, a na Ashley czekał w zacisznym, narożnym boksie. Miał na sobie beżowy garnitur, niebieską koszulę i krawat w paski. Ashley założyła ten sam czarny kostium, w którym wystąpiła w sądzie, bo żadnych innych wizytowych strojów nie miała.

Na widok wprowadzanej przez kelnera Ashley Miles się podniósł.

– Tak się cieszę, że przyjechałaś moje zaproszenie – powiedział, gdy usiedli. – Chcesz koktajl czy może wino? Mają tu dobrze zaopatrzoną piwniczkę.

– Może być wino.

Miles wydał kelnerowi odpowiednie dyspozycje, a Ashley zajęła się studiowaniem menu. Po odejściu kelnera Miles wlepił w nią wzrok. Pod tym baczny spojrzeniem Ashley poczuła się nieswojo, co nie uszło uwagi Milesa. Uśmiechnął się.

– Wybacz, nie mogę się opanować. To bardzo dziwne wrażenie, że możesz być moją siostrzenicą.

– Nie dziwniejsze niż to, że Casey może być moją matką.

– Tak mi ulżyło, jak cię zobaczyłem dziś w sądzie... że nic ci się nie stało. Na tych różnych spotkaniach autorskich, z którymi wszędzie jeździłem, przyłapywałem się na tym, że czytając, rozglądam się po sali, czy nie ma cię gdzieś w tylnych rzędach. Naprawdę się o ciebie martwiłem.

Ashley ogarnęły wyrzuty sumienia, bo sama prawie wcale nie myślała o Milesie przez te wszystkie lata.

– Gratuluję książki.

– Czytałaś ją? – ożywił się Miles.

– Nie.

Uśmiech Milesa przygasł na moment.

– To byłoby dla mnie zbyt bolesne – dodała, licząc, że złagodzi rozczarowanie autora.

– Rozumiem. Mnie też było bardzo trudno napisać *Śpiącą królowną*, uważałem jednak, że trzeba to zrobić.

Nadszedł kelner po zamówienia.

– Od dawna interesuje cię pisarstwo? – spytała Ashley po jego odejściu.

– Trochę skrobałem sobie na studiach, ale przed *Śpiącą królowną* nigdy nie próbowałem napisać książki.

– Więc czemu się za to wzięłeś?

– Po ucieczce Maxfielda zasypywani byliśmy z ojcem propozycjami od filmowców, producentów telewizyjnych i agentów literackich... Wszyscy chcieli się obłowić na naszej tragedii. Zbywałem ich, lecz z Andream Winsenberg jakoś znalazłem wspólny język. Podsunęła mi pomysł napisania książki, żeby zachować pamięć o Casey. Chciała mi podesłać jednego z pisarzy, których reprezentuje, w roli murzyna. – Miles się uśmiechnął. – Uważała, że mam nie po kolei w głowie, bo sam się na to porywam.

– Odniosłeś ogromny sukces.

– Oddałbym tę sławę i pieniądze za wyzdrowienie Casey.

– Czy są na to jakieś szanse?

– Nie – odparł Miles zachmurzony. – Słuchaj, nie chcę rozmawiać o stanie Casey. Zdecydowanie wolałbym posłuchać, co porabiałaś. Ale musimy się najpierw z tym uporać. Nie wiem, czy naprawdę jesteś córką Casey...

– Ale wiedziałeś, że Casey zaszła w ciążę tego lata, kiedy mój ojciec z nią chodził – przerwała mu Ashley.

– Tak – odparł ostrożnie Miles.

– Wiem, że z dwoma innymi facetami pobiłeś za to mego tatę.

Miles spuścił wzrok na obrus.

– Każdemu się zdarza zrobić coś, co mu nie przynosi chluby. Byłem bardzo młody, jak napadłem na Normana. Zawsze tego żałowałem. – Miles znowu podniósł oczy na Ashley. – Zrobiłem to dla Casey. Kocham ją, Ashley. Jeśli naprawdę chcesz jej pomóc, powinnaś pozwolić jej odejść.

– Czyli wycofać się i dać ci odłączyć ją od aparatury?

– Tak. Rozumiem, czemu chcesz ją utrzymać przy życiu. Boże, przecież myślałaś, że straciłaś matkę. A potem to się na ciebie zważyło. Ale utrzymywanie Casey przy życiu nie jest słuszne. Sama to pojmiesz, jak ją zobaczysz. – Miles urwał. Wziął głęboki oddech. – Jesteśmy sobie bardzo bliscy, Casey i ja. Bardzo ją kocham, lecz musiałem pogodzić się z faktem, że właściwie zginęła tam, na przystani, razem z Terri. – Pokręcił głową. – To, co zobaczysz w domu opieki, jeśli się tam wybierzesz, to już nie jest Casey. To powłoka, żywy trup, który był kiedyś kobietą pełną życia. Nie ma już jej ducha. Umarło wszystko, co czyniło ją człowiekiem.

– Twój ojciec nie tracił nadziei.

– Mój ojciec nie odpuszczał w żadnej sprawie. Nigdy go nie było, kiedy dorastaliśmy z Casey, ale mimo to usiłował kontrolować nasze życie pod każdym

względem.

– Mówisz to z goryczą.

– Bo czuję gorycz. Nie masz pojęcia, co to dla nas znaczyło.

– A wasza matka...?

– Nasza matka piła. Jeśli tylko próbowała się choć trochę stawiać, ojciec wybijał jej to z głowy, dosłownie. Miała szczęście umrzeć młodo.

Ashley była wyraźnie zaszokowana. Miles to zauważył.

– Znałaś Henry'ego już po tym, jak odnalazł Boga, w tym dobrodusznym wydaniu. Człowiek, którego my z Casey znaleźliśmy, przypominał raczej gniewnego Boga Starego Testamentu. Nigdy się nie mylił i zawsze uważał, że zdobędzie wszystko, czego chce, samą siłą woli. Wmówił sobie, że Casey obudzi się ze śpiączki jak Śpiąca Królowa. Ale to bajka, tak jak i jego marzenie. – Miles zamilkł na chwilę. – Nie mogę patrzeć, jak ona marnieje, Ashley – odezwał się znowu. Chce, żeby umarła z jakimś minimum godności. Chce, żeby spoczywała w pokoju.

– Rozumiem, jakie to dla ciebie bolesne, Miles, ale ja sądziłam, że straciłam całą rodzinę. Teraz, parę dni temu, pokazał się Jerry Philips, by mi powiedzieć, że moja prawdziwa matka wciąż żyje. Nie mogę po prostu skazać jej na śmierć. A co z tym nowym lekiem? Czy nie próbują na Casey nowej terapii?

– Ten lek nic nie pomoże. Nawet jeśli ją wybudzi, to i tak nie ma żadnych gwarancji, że odzyska pełnię władz umysłowych. Prawdopodobnie będzie wegetować jak warzywko. – Miles odetchnął głęboko. – Nie chciałem tego wyciągać, ale czuję, że trzeba. To nie będzie dla ciebie przyjemne, lecz taka jest prawda. Casey nie zasługuje na twoją lojalność. Nigdy cię nie chciała. Wiesz, jak się dowiedziałem, że jest w ciąży?

– Nie.

– Chciała ją usunąć, a wiedziała, że jeden mój kolega z bractwa studenckiego załatwiał to dla swojej dziewczyny. A potem dowiedział się Henry. Chyba ktoś ze służby się wygadał. Zostaliśmy wezwani na rodzicielski dywanik. Casey się wykręcała, póki Henry jej nie zagroził wydziedziczeniem. Wtedy nam powiedziała, że to Norman jest ojcem.

Miles łyknął haust wina. Potem spojrzał nad stołem na Ashley.

– Casey zależało na pieniądzach Henry'ego, a na tobie nie. Tak wygląda prawda. Nic jej nie jesteś winna.

– A co... co czuła do mego ojca? – Ashley ledwie mogła coś wykrztusić.

– Zwyczajnie się szlajała. Kiedy się nim znudziła, rzuciła go bez żadnych

skrupułów. Widzisz, Ashley, ja kocham swoją siostrę, to moja krew, ale Casey zawsze była niemiłą osobą, skoncentrowaną wyłącznie na sobie, a zarazem autodestrukcyjną. Byłaby okropną matką. Słyszałaś ojej ślubie z Colemanem?

Ashley kiwnęła głową.

– To typowy przykład tego, co robiła ze swoim życiem. Od czasu jak ojciec mianował ją dyrektorką szkoły, trochę bardziej się pilnowała, aż do tej katastrofy. Zawsze była rozwiązła i niestabilna emocjonalnie. Sięgała po narkotyki. Próbowwała nawet popełnić samobójstwo.

– Nie.

– Była nieodpowiedzialna, Ashley. Przeskakiwała z pomysłu na pomysł. Rzuciła się w coś z głową, bez opamiętania, ^a potem puszczała to w trąbę, jak tylko się znudziła. Tak postąpiła z twoim ojcem.

– W szkole chyba dobrze sobie radziła – Ashley chciała znaleźć coś na obronę Casey, choć uświadomiła sobie nagle, że nie zna żadnych faktów, na które mogłaby się powołać. Casey ją może i urodziła, lecz Ashley jej kompletnie nie знаła.

– Typowe. Ze strony ojca to był taki rozpaczliwy rzut na taśmę. Dał jej tę funkcję, żeby wreszcie coś ze sobą zrobiła. I muszę przyznać, że świetnie się z początku spisywała. Była bardzo bystra i miała znakomite wykształcenie, ale mocno powątpiewałem, czy przy tym wytrwa. A jednak wytrzymała. Lubiła wyzwania i trudy odpowiedzialnego stanowiska. Henry przywiązywał wielką wagę do szkoły, więc Casey wiedziała, że okazał jej tym ogromne zaufanie. Nieczęsto mu się to zdarzało. A potem pojechała na zjazd do Las Vegas i ni stąd, ni zowąd wyszła za tego śmiecia. – Miles spojrział gdzieś w dół, kręcąc w zadziwieniu głową. – Masz pojęcie, jakie szkody może wyrządzić szkole takiej jak ta najlżejsze podejrzenie skandalu? Jej ślub z tym tanim krętaczem mógł się zakończyć katastrofą.

Miles zdał sobie chyba sprawę, że mówi z narastającą złością, bo przerwał, żeby wziąć głębszy oddech i odzyskać panowanie nad sobą.

– Utrzymywanie Casey przy życiu nic nie da – podjął. – Ty jej nie obchodziłaś, nikt jej nic nie obchodził oprócz niej samej i mnie. Mnie rzeczywiście kochała. Teraz muszę odwdzińczyć się za tę miłość, kładąc kres jej śmierci za życia.

Ashley pokręciła głową.

– Nie mogę wyrzec się możliwości, że ona wróci. Przykro mi.

Twarz Milesa złagodniała.

– Ashley, słuchaj, dość masz zmartwień, żeby brać na siebie jeszcze ten dodatkowy ciężar przejmowania się Casey. Musiało ci być ciężko przez te ostatnie

lata. Pewnie nie mogłaś za bardzo pracować, no i nie masz nawet ukończonego liceum, prawda?

– Nie.

– Powinnaś wrócić do swojego życia. Powinnaś pójść do szkoły. Mógłbym ci pomóc. Załatwiłbym ci pracę w Van Meter Industries, póki byś nie zrobiła zaocznie matury. A potem mógłbym pomóc z chesnym na studia. Jesteśmy rodziną. Nie powinniśmy stać po przeciwnych stronach barykady. Powinniśmy sobie pomagać.

Ashley nie wiedziała, jak rozumieć propozycję Milesa. Miała nadzieję, że to nie próba przekupstwa.

– Pomożesz mi, nawet jeśli pozostanę po drugiej stronie barykady? – spytała.

Miles wyglądał na zasmuconego.

– Nie proponuję ci łapówki, Ashley. Próbuję ci tylko uświadomić, że Casey do nas nie wróci. Chciałbym dla was obu jak najlepiej, a ty powinnaś teraz nadrabiać stracony czas.

– Dziękuję, Miles. Daj mi trochę czasu do namysłu. Jutro pójde odwiedzić Casey. Może jej widok pomoże mi podjąć decyzję.

Miles dostrzegł nadciągającego z ich kolacją kelnera.

– Nie mam nic przeciwko temu – powiedział. – Już ani słowa o tej sprawie, przyrzekam.

Podczas kolacji Miles opowiedział jej kilka zajmujących historyjek ze swoich spotkań z czytelnikami. Przy jego relacji z dość kuriozalnych pertraktacji, jakie toczył z parą bezwzględnych producentów filmowych twierdzących, że zwerbowali już Jenifer Lopez i Toma Cruise'a do ról Casey i Joshuy Maxfielda, Ashley ku własnemu zdumieniu zaśmiewała się do łez.

Miles pytał ją o lata spędzone za granicą. Opowiedziała mu o swoich podróżach, choć zachowała dość trzeźwości umysłu, by nie zdradzać żadnych istotnych szczegółów. Pod koniec posiłku zapomniała już o poważnej rozmowie na początku spotkania.

Miles poczekał z Ashley przed drzwiami, póki parkingowy nie przyprowadził ich samochodów. Przy pożegnaniu uścisnął ją i po bratersku ucałował w policzek. Lekka mżawka dawała przedsmak zapowiadanych na następny dzień obfitszych opadów. Ashley włączyła wycieraczki i skupiła się na prowadzeniu. Rzucając od czasu do czasu okiem we wsteczne lusterko, widziała parę reflektorów. Nie zwracała na nie uwagi, pochłonięta rozmyślaniami nad tym, co usłyszała dziś od Milesa.

Czy Casey Van Meter rzeczywiście była taka zimna, wyrachowana i nieczuła, jak twierdził jej brat? Czy Norman tak mało dla niej znaczył? Czy pozbycie się własnego dziecka tak mało dla niej znaczyło? Skoro jest kompletnie wyzuta z uczuć, to jak zareaguje na córkę, jeśli nawet wyjdzie ze śpiączki?

Ashley wiedziała, że Terri kochała ją bezwarunkowo. Nigdy i ani przez chwilę nie wątpiła w tę miłość. Więc kogo ma uważać za matkę? Czy urodzenie dziecka wystarczy, żeby stać się matką w jakimkolwiek sensie poza czysto technicznym? Czy Terri, która ją wychowała, kochała i troszczyła się o nią, była w mniejszym stopniu jej matką tylko dlatego, że jej nie urodziła?

Skręciła w boczną ulicę i zauważyła, że nadal ma w tylnym lusterku czyjeś światła. Myśli o Casey pierzchły. Ashley, spłoszona, postanowiła pokręcić się trochę, żeby sprawdzić, czy ten samochód będzie się jej nadal trzymał. Tak się stało. Próbowwała sobie wmówić, że nikt jej nie śledzi, ale trudno byłoby przypadkowo jechać tą samą, wybraną na chybił trafił trasą, co ona. Wykonała nagły zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Opony jej wozu zapiszczały na mokrym asfalcie. Mijając z przeciwnego kierunku tamten samochód, usiłowała zajrzeć do środka, lecz przez zalane deszczem szyby nie dojrzała w mroku twarzy kierowcy.

Pognała szybko, póki się nie upewniła, że zgubiła ogon. Potem pospiesznie wróciła do swego mieszkania. Walące serce uspokoiło się dopiero, gdy zatrzasnęła za sobą drzwi. Podbiegła do okna, nie zapalając światła, żeby wypatrywać na ulicy jakichś podejrzanych osób czy samochodów. Na deszczu nie było nikogo.

Szykując się do snu, Ashley odtwarzała w pamięci wszystkie szczegóły tej jazdy powrotnej. Zasypiając, niemal już uwierzyła, że jadący za nią samochód był wytworem jej wyobraźni.

Rano, gdy Ashley się obudziła, ciągle padało. W dresie, ciemnych okularach i wiatrówce z kapturem poszła do kafejki dwie przecznice dalej. Po śniadaniu planowała odwiedzić Casey Van Meter w zakładzie opieki Sunny Rest.

W kafejce sprzedawali „Oregonian”. Ashley wzięła gazetę i wsunęła się do boksu ze stolikiem. Powiedziała kelnerce, co chce, i otworzyła gazetę. Z pierwszej strony spoglądała na nią jej własna twarz. To było stare zdjęcie jeszcze z liceum. Rozejrzała się ukradkiem wokół, ale nikt się nie gapił. Najwyraźniej trudno się było dopatrzeć podobieństwa między blond sportsmenką a ciemnowłosą kobietą w kacie.

„Zaginiony świadek powraca, by walczyć o czterdzieści milionów «śpiącej królowy»” – walił po oczach tytuł. Ashley zamruła i jeszcze raz przeczytała sumę. Pod tekstem podpisała się kobieta, która próbowała przeprowadzić z nią wywiad w sądzie. Z treści artykułu, zawierającego relację z wczorajszego posiedzenia, przypomnienie procesu Maxfielda oraz kariery literackiej Milesa, wynikało, że osoba, której sąd powierzy kuratelę i opiekę prawną nad Casey, będzie dysponować fortuną ocenianą na czterdzieści milionów dolarów. Jerry Philips nawet się o tym drobnym szczególe nie zająknął. Czterdzieści milionów! Ashley nie była w stanie wyobrazić sobie takich pieniędzy. Pomieszkiwała w tanich lokalach do wynajęcia i żywiła się bagietkami, serem i tanim winem. Czterdzieści milionów to kawior, luksusowe apartamenty i jachty.

Ashley pochłonęła śniadanie i popędziła z powrotem do mieszkania. Biorąc prysznic i wkładając inne ubranie, zastanawiała się, co też by jej pozwolili zrobić z pieniędzmi Casey, gdyby została jej opiekunem. Jerry mówił, że mogłaby z pieniędzy matki opłacać jej pobyt w domu opieki, ale nic nie wspominał o innych uprawnieniach opiekuna. Czy musiałyby decydować o tym, jak inwestować te pieniądze? Czy mogłaby korzystać z nich na swoje własne potrzeby? Ashley uznała, że musi poznać odpowiedzi na te wszystkie pytania. I musi poznać jeszcze jedną odpowiedź. Jeśli jest córką Casey, a Casey umrze, czy odziedziczy część jej majątku? Jeśli miałyby odziedziczyć miliony, to jak może decydować o jej życiu lub śmierci?

W ulewnym deszczu Ashley jechała przez przedmieścia Portlandu w stronę zakładu opiekuńczego Sunny Rest. Otaczały go osiedla mieszkaniowe i centra

handlowe. Rozległy teren zakładu przecinała droga. Po jednej stronie znajdowały się kwatery emerytów na tyle sprawnych, by dawać sobie samodzielnie radę. Duży parterowy kompleks zajmowali pensjonariusze wymagający szczególnej opieki.

Ashley znalazła miejsce w głębi sporego parkingu. Przemoczona deszczem dopadła drzwi frontowych. Woda ściekała jej z wiatrówki, spodnie zamokły. Kiedy wreszcie przestała się otrząsać i rozejrzała wokół, poczuła nieprzyjemne mrowienie w żołądku. Niewątpliwie przyczynia! się do tego specyficzny szpitalny zapach, ale najbardziej wytrąciły ją z równowagi spojrzenia starych ludzi w holu. Niektórzy posuwali przed sobą chodziki, inni siedzieli na wózkach inwalidzkich. Wszyscy wyglądali krucho, mieli białe, rzadkie włosy, bladą jak papier i cienką jak pergamin skórę, pod którą przeświecały niebieskawe żyłki. Niektórzy przypatrywali się Ashley bardzo badawczo. Odniosła niesamowite wrażenie, że w ich bezbarwnym życiu nawet jej wizyta może uchodzić za wielkie wydarzenie. Kilku pensjonariuszy chyba pograżyło się bez reszty we własnym świecie, kiwając głowami w takt tylko przez nich słyszanych głosów lub konwersując bełkotliwie z sobą tylko wiadomymi rozmówcami.

W połowie drogi do recepcji do Ashley podjechała na wózku promiennie uśmiechnięta kobieta.

– Witaj! – zawołała z podnieceniem. – Jesteś Carmen? Przyszłaś mnie odwiedzić?

Podbiegła pielęgniarka, żeby z przepaszającym uśmiechem pod adresem Ashley ująć poręcz wózka.

– Betty, ta młoda dama to nie Carmen. Carmen przychodzi w soboty.

Okręciła wózek tak, żeby staruszka nie widziała Ashley. Paplała uspokajająco do swojej podopiecznej, odtaczając ją w bezpieczne miejsce. Recepcjonistka wskazała Ashley drogę do skrzydła, w którym leżała Casey. Po drodze musiała znów minąć Betty. Staruszka uniosła oczy i uśmiechnęła się.

– Jesteś Carmen? Przyszłaś mnie odwiedzić?

Ashley starała się nie wzdygać, idąc korytarzem i mijając kolejnych pensjonariuszy na wózkach. Dokuczał jej silny zapach środków dezynfekcyjnych, a na dziwaczne zachowanie niektórych pacjentów reagowała nerwowo. Wiedziała, że sama będzie kiedyś stara, ale miała nadzieję, że nie skończy w takim miejscu.

Na końcu korytarza dyżurowała młoda siostra. Ashley się przedstawiła i poprosiła o rozmowę z doktorem Stanleyem Linscottem, lekarzem prowadzącym Casey.

– Doktora Linscotta dzisiaj nie ma – odpowiedziała pielęgniarka.

– A jest ktoś, z kim mogłabym porozmawiać o pani Van Meter?

Wyraźnie wzbudziła czujność siostry.

– Musi pani pomówić z Ann Rostow. To kierowniczka. Zawołam ją.

Ashley usiadła na miejscu pielęgniarki. Po paru minutach na końcu korytarza pojawiła się smukła, krótko ostrzyżona kobieta z siwymi włosami. Miała na sobie jasnobrązowe spodnium i beżową bluzkę. Szła energicznym krokiem, robiąc wrażenie osoby zorganizowanej i rzeczowej.

Ashley wstała. Kobieta zatrzymała się i przedstawiła.

– Jestem Ann Rostow. Jak rozumiem, ma pani jakieś Pytania dotyczące Casey Van Meter.

– Tak. Chciałam ją zobaczyć i dowiedzieć się czegoś o jej stanie.

– Dlaczego?

– Być może jestem jej córką.

– Pani się nazywa Ashley Spencer?

– Tak.

– Przypuszczałam, że pani przyjdzie.

Ashley zmarszczyła pytająco czoło.

– Czytałam dzisiejszy artykuł w gazecie – wyjaśniła Rostow. – Pisali, że pani utrzymuje, iż jest córką pani Van Meter. Mogę zobaczyć jakiś pani dokument?

Ashley wręczyła jej swoje prawo jazdy. Kierowniczka oddała je dopiero po starannym przestudiowaniu.

– Musimy uważać z panią Van Meter – powiedziała. – Dziennikarze ciągle starają się zdobyć jakieś informacje na jej temat. Dzisiaj też już były telefony. Kiedy do nas trafiła, ekipa telewizyjna jednego z tych goniących za sensacją programów usiłowała wślizgnąć się przez kuchnię.

– Proszę pani, czy mogę ją zobaczyć? Tylko na chwilę. Jeśli jest moją matką... znałam ją przelotnie, pięć lat temu. Chciałam tylko...

– To musi być dla pani bardzo trudne.

– Owszem. I bardzo niejasne. Zrobią badania DNA, żeby ustalić, co jest z tym pokrewieństwem, ale z tego, co wiem, ona prawdopodobnie jest moją matką. Chcę ją tylko zobaczyć.

– Chce pani tylko spojrzeć?

– Tak. To dla mnie ważne.

– W porządku. Proszę za mną.

Ann Rostow poprowadziła Ashley przez metalowe, wahadłowe drzwi na następny korytarz. Zatrzymała się w jego połowie i otworzyła drzwi do jednego z

pokoju. Ashley zawahała się, przekraczając próg. Ściany zostały pomalowane na nijaki płowy kolor i nie było na nich żadnych obrazków. Tylko nad umywalką wisiało lustro. Naprzeciw niego stało szpitalne łóżko z podniesionymi bocznymi poręczami. Ashley z trudem zdobyła się na to, żeby spojrzeć na leżącą na nim kobietę. Miała podłączoną do przedramienia kroplówkę. Z drugiej strony łóżka spod koca wystawał koniec sondy podłączonej cło pompy, którą uruchamiano, żeby nakarmić Casey.

Ashley spodziewała się skurczonego, wynędzniałego truposza, który przestał przypominać istotę ludzką. Zobaczyła coś mniej przerażającego, choć może jeszcze smutniejszego. Casey schudła nie więcej niż pięć kilo, bo była przez cały czas regularnie żywiona i nawadniana. Gdyby Ashley weszła do tego pokoju przez pomyłkę, mogłaby pomyśleć, że dyrektorka po prostu śpi. Ale przyjrząwszy jej się bliżej, Ashley zrozumiała, czemu Miles stracił nadzieję. Pamiętała ożywioną, pełną werwy kobietę, która oprowadzała je z matką po terenie szkoły. Tyle w niej było energii, tyle wigoru. Teraz z Casey Van Meter zostało tylko ciało, powłoka pozbawiona życia, bezduszna maska. Jej blada skóra miała niezdrowy odcień, straciła sprężystość, mięśnie rąk sflaczały. Dotkliwie się postarzała, a wspaniałe blond włosy posiwiwały. Zniknął błysk w oczach.

Dziewczyna miała przemożną chęć wypaść pędem z tego pokoju. Powstrzymała się, a nawet podeszła bliżej łóżka. Wpatrywała się, zachmurzona, w swoją matkę. Nie miała najmniejszej ochoty jej dotykać. Casey Van Meter nie budziła w niej żadnych cieplejszych uczuć. Ashley czuła się tylko nieswojo.

Uznawszy, że spędziła w pokoju tyle czasu, ile wypadało, odwróciła się w stronę Ann Rostow.

– Dziękuję. Chyba już pójdę.

– Za pierwszym razem widok kogoś w takim stanie bardzo wytrąca z równowagi, zwłaszcza jeśli to ktoś bliski.

– Nie była kimś bliskim. Po urodzeniu oddała mnie bez namysłu. Znałam ją jako dyrektorkę Oregon Academy, kiedy tam chodziłam do szkoły, i tyle.

– Ale i tak może być pani matką – powiedziała łagodnie Rostow.

Ashley przytaknęła.

– Może pani przyjść ją odwiedzić, kiedy pani będzie chciała.

– Dziękuję. Mówiłam o tym teście DNA. Gdybyśmy potrzebowali próbki jej krwi...

– Muszę mieć nakaz sądowy, ale nie powinno z tym być żadnych problemów.

– Jeszcze jedno, proszę pani. Czy zdaniem lekarzy ona z tego wyjdzie?

– Bywałam na spotkaniach z panem Van Meterem, który zadawał to samo pytanie. Doktor Linscott zawsze odpowiadał, że na pełne wyzdrowienie pani Van Meter szanse są bardzo nikłe.

Ann Rostow odprowadziła Ashley do wyjścia. Na dworze widać było tylko ścianę lejącej się z nieba i rozpryskującej o asfalt wody. Ashley naciągnęła kaptur wiatrówki, skuliła się i popędziła w stronę parkingu, nie odrywając oczu od chodnika, a myśli od swojej krótkiej wizyty u nieprzytomnej dyrektorki. Rozumiała, co Miles chciał jej powiedzieć. Casey przestała być silną, stanowczą kobietą, która potrafiła postawić się Randy'emu Colemanowi przy basenie. Teraz zaliczała się do żywych trupów. Jeśli nawet jakiś cud boski czy naukowy przywróciłby ją rzeczywistości, to bez żadnej gwarancji, że nie dołączy do tych żalonych i bezradnych stworzeń snujących się po korytarzach Sunny Rest. Na logikę Ashley powinna się wycofać i pozwolić Casey spocząć w pokoju, ale kołatała w niej jakaś uporczywa nadzieja, że Casey się nie poddała, że można ją uratować.

Odnalazła wzrokiem swoje wypożyczone auto. Wyłowiła z kieszeni kluczyki i dała nura w jego stronę. Deszcz tańczył po dachu i przedniej szybie. Ashley się pochyliła, żeby otworzyć drzwiczki, i dostrzegła odbicie mężczyzny. Strugi deszczu spływające po szybie zniekształcały jego twarz, schowaną zresztą częściowo pod kapturem, ale za to nóż w jego dłoni widać było wyraźnie.

Ashley obróciła się z takim wymachem, jakby się składała do potężnego strzału na bramkę. Mężczyzna stał bokiem, więc trafiła go w udo. Stęknął i zrobił parę kroków wstecz na uginających się kolanach. Ashley pognąła przed siebie. Słyszała za plecami tupot. Kątem oka dostrzegła ciemną, zamazaną postać wyskakującą pomiędzy samochodów. Potem dobiegł ją łomot walących się na asfalt ciał. Nim się zdążyła obejrzeć, zmaterializował się przed nią jakiś kształt. Wymierzyła cios w czarny płaszcz przeciwdeszczowy z kapturem i trafiła. Zjawa się zachwiała. Ashley zamachnęła się raz jeszcze, lecz nagle znalazła się w mocnym uścisku.

– Jestem policjantem, panno Spencer! – krzyknął męski głos. – Mamy go.

Ashley zamarła i spojrzała na człowieka, który ją przytrzymał. Teraz dojrzała fragment munduru pod płaszczem. Za plecami, w deszczu rozległy się okrzyki: – Stać, policja!

– Wracajmy – odezwał się gliniarz.

Ashley się zawahała.

– Wszystko w porządku. Jest pani bezpieczna. Leży jak długi. Widzę tam kupę

ludzi, i to naszych.

Policjant poprowadził Ashley między rzędami samochodów w stronę grupki funkcjonariuszy po cywilnemu. Otaczali dwóch ubranych na ciemno mężczyzn rozciągniętych na chodniku twarzami do ziemi i rękami splecionymi na karkach. Na nasiąkniętej wodą ziemi leżał między nimi nóż. Ashley podeszła w momencie, gdy jeden z policjantów schylał się po niego z przezroczystą foliową torebką służącą do zabezpieczania dowodów.

Do Ashley podszedł Larry Birch. Twarz miał zalaną deszczem, ale rozpromienioną uśmiechem.

– Dobrze, że jednak wzięliśmy cię pod obserwację – powiedział.

Ashley dygotała, i to nie z powodu deszczu.

– Kto to jest? – spytała ze wzrokiem utkwionym w więźniach.

– Zaraz się dowiemy. – Birch machnął na jednego z funkcjonariuszy. – Załóż im kajdanki i postaw na nogi.

Kilku policjantów wciąż trzymało pojmanych na muszce, podczas gdy paru innych zatrzasnęło im kajdanki na rękach i pomogło wstać. Ashley nie odrywała od nich oczu. Kaptury opadły, odsłaniając twarze.

– Ashley! – zawołał Randy Coleman – powiedz tym glinom, żeby mnie puścili. Właśnie uratowałem ci życie.

Drugi nie odezwał się ani słowem. Patrzył tylko na Ashley. Odwzajemniła to spojrzenie, póki nie dotarło do niej, że zna tego człowieka. Szybko odwróciła wzrok, cofając się o krok.

Strugi deszczu spływały po jego ogolonej głowie i gęstej, kruczoczarnej brodzie. Zmienił nawet kolor oczu, pewnie za pomocą soczewek. Ale i tak nie było wątpliwości, że w ręce policji wpadł Joshua Maxfield.

Larry Birch zaprowadził Ashley do biura Ann Rostow, gdzie dostała kubek gorącej herbaty i ręcznik do wytarcia włosów.

– Opowiedz, co zaszło na parkingu – poprosił ją, kiedy uznał, że jest gotowa podjąć temat napaści.

– Schyliłam się, żeby włożyć kluczyk w drzwiczki, i zobaczyłam odbicie w szybie.

– Maxfielda?

– Nie wiem. Przez te chmury było strasznie ciemno. Widzi pan, jak leje. A po szybie też spływała woda. Wszystko było zamazane. A on miał kaptur.

– Więc nie możesz stwierdzić, czy to Maxfield, czy Coleman cię zaatakował?

Ashley wlepiła oczy w inspektora. Wyczuła, że to poważne pytanie.

– To musiał być Maxfield – odparła. – Chyba pan nie myśli, że napadł mnie Coleman?

– Nie mogę niczego wykluczyć.

– A co on mówi?

– Coleman podniósł piekielny raban. Przypisuje sobie całą zasługę za uratowanie ci życia i pojmanie Maxfielda. Twierdzi, że przyszedł odwiedzić żonę i przypadkiem znalazł się w odpowiednim miejscu i czasie.

– To brzmi logicznie.

– Problem w tym, że wjechał na parking po tobie, ale w ogóle nie wszedł do zakładu.

– A co on na to?

– Mówi, że nie widział pani Van Meter od czasu, gdy zapadła w śpiączkę, i uznał, że musi przekonać się na własne oczy, w jakim jest stanie.

– Założę się, że to prawnik kazał mu tam pójść, żeby zrobić dobre wrażenie w sądzie.

Birch wzruszył ramionami.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

– Więc czemu nie wszedł?

– Twierdzi, że po zaparkowaniu ogarnęły go wątpliwości, czy widok pani Van Meter w stanie takiej bezradności nie będzie ponad jego siły. Jeśli wierzyć jego słowom, bił się właśnie z myślami, gdy zobaczył, jak wychodzisz. Chciał podejść, żeby porozmawiać, kiedy pojawił się Maxfield, więc rzucił ci się na ratunek.

– Czy śledzący mnie policjanci to potwierdzają?

– Niestety, nie było dobrze widać. Stałaś między samochodami, a napastnik też się krył na parkingu. Nawet nie spostrzeżliśmy, że coś się dzieje, póki nie rzuciłaś się do ucieczki. Wtedy ktoś wyskoczył pomiędzy dwóch samochodów, ale pod tym kątem i wśród tylu aut nie dało się ich rozróżnić. Obaj byli podobnie ubrani.

– Czy Maxfield mówi, że ratował mnie przed Colemanem?

– Maxfield nic nie mówi.

– Już mnie próbował zabić.

– No tak, próbował. No i chyba oskarżymy go o kolejną napaść.

Policjant wetknął głowę w drzwi.

– Jest tu jakiś Jerry Philips. Mówi, że jest radcą prawnym panny Spencer i że pan po niego dzwonił.

– Wpuść go – przykazał Birch.

Jerry od razu podszedł do Ashley.

– Nic ci nie jest?

Ashley pokręciła głową.

– Co się stało? – spytał Jerry.

– Joshua Maxfield znów mnie próbował zabić – odpowiedziała Ashley.

– Został zatrzymany – dorzucił Birch.

– Dzięki Bogu – skomentował Philips.

– Randy Coleman mnie ocalił.

– Coleman? A co on tu robi?

– Mówi, że przyszedł w odwiedziny do żony i mimowolnie stał się świadkiem ataku Maxfielda na pannę Spencer – wyjaśnił Birch. – Kiedy rzuciła się do ucieczki, Coleman skoczył na Maxfielda.

– Jesteś ranna?

– Nie, wszystko w porządku.

– Ashley nie straciła głowy – powiedział Birch. – Odparła atak. Była bardzo dzielna.

– Musiał cię śmiertelnie wystraszyć – rzekł Jerry.

– To prawda, ale teraz już mi lepiej.

Jerry spojrział na Bircha.

– Skończył pan? Mogę ją zabrać do domu?

– Taaa. Potrzebne mi jej pisemne zeznanie, ale to można załatwić jutro. Odwiezie pan ją do domu? Musimy sprawdzić jej samochód i nie zdążymy dzisiaj go oddać.

– Nic nie szkodzi. Jest wynajęty. Możecie go odesłać do agencji, jak już skończycie.

– To wspaniałe wieści – powiedział Jerry, jak tylko ruszyli w drogę. – Maxfield wreszcie trafi do więzienia. Już się go nie musisz bać.

– Już raz go aresztowali i uciekł.

– To się nie powtórzy. Będą go teraz pilnować jak sępy.

Ashley nie odpowiedziała. Zamknęła oczy i odchyliła głowę na oparcie. Jerry chyba uznał, że śpi, bo nie odzywał się przez resztę drogi.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział, zaparkowawszy przed jej budynkiem.

Ashley wysiadła bez słowa. Jerry poszedł za nią do mieszkania. Na widok zegara w pokoju Ashley przeżyła szok. Dopiero minęła pierwsza po południu, a jej się wydawało, że jest na nogach od paru dni.

– Zrobić ci coś do picia? – spytał Jerry. – Może jesteś głodna?

– W lodówce niewiele zostało.

– Pozwól mi pogrzebać. Poza tym mogę wyskoczyć do sklepu.

Ashley opadła ciężko na kuchenny stół.

– Masz ochotę się zwierzyć, co cię gryzie? – spytał Jerry, robiąc kanapki z szynką i serem.

– Myślisz, że to możliwe, iż to Randy Coleman mnie napadł?

Zaskoczyła go tym pytaniem.

– Myślałem, że on cię ratował.

– Prawdopodobnie. Ale ta napaść była taka jakaś... nie wiem... niezdarna. Widziałam raz Maxfielda w akcji. Przy basenie w szkole. Coleman napastował dyrektorkę, zrobił się agresywny. Wtedy pojawił się Maxfield. Poradził sobie z Colemanem bez trudu. Zupełnie jak w kinie, jakby to było wyreżyserowane, tak gładko, raz-dwa i po wszystkim. Maxfield się nawet nie zasapał.

Krew odpłynęła jej z twarzy. Spuściła oczy i przełknęła ślinę.

– Co się stało? – zaniepokoił się Jerry.

– Przypomniałam sobie, jak... jak mnie wtedy zaatakował. W domu. Też mnie tak łatwo obezwładnił. Maxfield jest taki sprawny. A ten z parkingu...

Potrząsnęła głową.

– Twoja reakcja była błyskawiczna. Stracił równowagę. Może się tego nie spodziewał.

– No może.

Jerry przyniósł kanapki i dwie szklanki napoju i usiadł przy stole.

– Czy masz jakieś powody, żeby wątpić w to, że to Joshua Maxfield zamordował twoich rodziców i napadł na ciebie w internacie?

Ashley odpowiedziała po chwili namysłu.

– Nigdy nie widziałam jego twarzy, ani w domu, ani w internacie, ale na pewno widziałam go na przystani. No i napisał tę powieść o zabójcy podjadającym sobie przed zamordowaniem nastolatki. Skąd mógłby wiedzieć, co się wtedy wydarzyło w moim domu?

– No widzisz. Jeśli parę razy próbował cię zabić, to czemu miałby nagle ratować ci dzisiaj życie?

Pod wpływem nagłego skojarzenia Ashley znieruchomiła z uniesioną do ust kanapką.

– Czy Coleman skorzystałby na mojej śmierci? – spytała.

Jerry się zastanowił.

– Po wyeliminowaniu ciebie miałby o jednego przeciwnika mniej w wyścigu o kuratelę nad Casey.

– Nadal miałby przeciw sobie Milesa.

– Tak, tylko że oni obaj chcą tego samego, nawet jeśli Randy temu zaprzecza.

– Czyli?

– Obaj chcą odłączyć Casey od aparatury podtrzymującej życie.

– Przecież adwokat Colemana powiedział...

– Wiem, co powiedział, ale w to nie wierzę. Casey nie spisała testamentu, a ma duży majątek. Jeśli umrze bez testamentu, Coleman sporo dostanie, bo nadal są małżeństwem. On może twierdzić, że chce ją utrzymać przy życiu, ale założę się, że zmieni śpiewkę, jak tylko zostanie mianowany kuratorem i opiekunem Casey. Ty jedna jesteś gotowa zachować ją przy życiu.

Ashley patrzyła na Jerry'ego nad stołem, wystraszona.

– Powiedziałeś, że Coleman „sporo” dostanie z jej majątku. Czy to znaczy, że nie dostanie wszystkiego, mimo braku testamentu?

Jerry się zaczerwienił.

– Nie będzie jedynym spadkobiercą.

– Ja też coś dostanę z pieniędzy Casey w razie jej śmierci?

Zadając to pytanie, Ashley nie odrywała baczno spojrzenia od Jerry'ego. Ten się zawahał. Wyraźnie wolałby się wykręcić od odpowiedzi.

– Czy ja po niej dziedziczę, Jerry?

– Jesteś jej jedynym potomkiem, a Coleman nie jest twoim ojcem. Według prawa przysługuje ci połowa jej majątku.

Ashley wybałuszyła oczy.

– Czyli dwadzieścia milionów dolarów.

– Coś koło tego.

– A w razie mojej śmierci wszystko przypadnie Colemanowi?

– Tak.

– O Boże! – Ashley zerwała się z miejsca. – Czemu mi nie powiedziałaś?

– Nie wiem – odparł nerwowo. – Chyba chodziło o to, żeby ją zachować przy życiu, po to mnie Henry wynajął, więc nie pomyślałem o tym, żeby ci powiedzieć, co będzie po jej śmierci.

– Nie powinieneś tego przede mną ukrywać. To wszystko zmienia. Wszyscy myślą, że chodzi mi o jej pieniądze. Tak napisali w gazecie, że walczę o czterdzieści milionów.

– Walczysz o utrzymanie matki przy życiu.

– To za wielka odpowiedzialność. Nie mogę tego zrobić.

Jerry obszedł stół i stanął tuż przed Ashley. Położył jej ręce na ramionach.

– Musisz, Ashley. Miles i Coleman zrobią wszystko, co ^w ich mocy, żeby odłączyć Casey od aparatury.

Ashley nagle ogarnął gniew.

– A czemu sądzisz, że ja nie chcę jej śmierci, skoro już wiem, ile odziedziczę? Czy nie dlatego nic mi nie mówiłeś o pieniądzach?

Jerry spojrzał jej prosto w oczy.

– Wierzę, że jesteś dobrym, prawym człowiekiem. Gdybym sądził, że pozwolisz Casey umrzeć, żeby odziedziczyć jej pieniądze, to bym się nie zgodził ciebie szukać.

Ashley spuściła wzrok, zakłopotana.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie powinnam tego mówić. Byłeś dla mnie zawsze taki dobry.

– Przeżyłaś piekło. Zaslugujesz na to, żeby traktować cię z szacunkiem.

Ashley uniosła na niego oczy. Jerry odwzajemnił to spojrzenie. Tak przyzwyczajony się zachowywał. Był dla niej opoką. Nim zdążył się odezwać, Ashley go pocałowała. Zesztywniał. Potem próbował coś powiedzieć.

– Nie – przerwała mu i pocałowała go raz jeszcze, obejmując kurczowo, jak rozbitek trzymający się tratwy. Jerry wziął ją w ramiona i przytulił równie mocno.

– Tak nie można – rzekł, choć jego czyny zaprzeczały słowom. – Jestem twoim prawnikiem. Mam nad tobą przewagę.

– Mam dwadzieścia dwa lata, Jerry. Jestem dziewicą.

Speszyła go tym wyznaniem, ale w jej głosie nie było zażenowania.

– Tak się bałam przez te wszystkie lata, że nie odważyłam się zbliżyć do kogokolwiek. Teraz chcę znowu żyć po ludzku.

– Jestem niewłaściwą osobą, Ashley. Zaczęłaś się ode mnie uzależniać. To nie miłość.

– Czy dajesz mi do zrozumienia, że mnie nie chcesz?

Jerry spuścił wzrok i przełknął ślinę.

– To nie ma znaczenia, co ja czuję. Jestem twoim doradcą.

– Dla mnie ma znaczenie, co czujesz. Powiedz, że ci na mnie nie zależy, i skończymy z tym.

– Zależy mi na tobie. Jesteś silna i bystra, jesteś dobrym człowiekiem i jesteś piękna. Ale to bez znaczenia. Są pewne zasady etyczne, które zabraniają prawnikowi... wykorzystywać sytuację, żeby...

– Nie wykorzystujesz mnie, a jeśli gryziesz się tymi zasadami, to mam proste rozwiązanie. Zwalniam cię.

Jerry wytrzeszczył na nią oczy.

– Co?

– Słyszałeś.

Wybuchnął śmiechem, kręcąc głową.

– Ale z ciebie numer.

– No więc jak?

– To mi się zdarzało, ale jeszcze nigdy nie zostałem wylany dlatego, że klientka chciała się ze mną przespać.

– Nie chcę się z tobą przespać. Chcę się z tobą kochać.

Mimo delikatności i czułości Jerry'ego i tak ją bolało za pierwszym razem. Spięła się, kiedy wchodził w nią po raz drugi, bo bała się tego samego, lecz ku jej uldze tym razem czekała ją sama przyjemność. Za trzecim razem było po prostu cudownie. Po dojściu do szczytu trzymali się jeszcze przez chwilę w objęciach. Potem Jerry ucałował ją w czoło i wyciągnął się obok, oddychając głęboko.

Wyczerpaną i zlaną potem Ashley ogarnął całkowity spokój. Jerry wziął ją za rękę, splatając palce z jej palcami. Obróciła głowę i w nikłym świetle sączącym się przez żaluzje sypialni przyglądała się, jak oddycha. Miał gładką klatkę piersiową, ani nie otłuszczoną, ani zbyt umięśnioną. Nie przypominał męskich modeli eksponujących swoje ciała na kolorowych zdjęciach w magazynach. Ale okazało się, że te całe mięśnie nie są takie ważne przy uprawianiu miłości.

Powiew chłodnego powietrza na skórze uświadomił jej, że leży nago obok nagiego mężczyzny. Nie dokuczało jej zakłopotanie ani wstyd. Czuła się lekka, wyzwolona. Uśmiechnęła się. Więc tak to wygląda z tym seksem. Zastanawiała się, czy byłoby inaczej z kimś, kogo się nie kocha.

Kochać! Zatrzymała się nad tym słowem. Miłość to wielka sprawa, bardzo poważna. Czy naprawdę kochała Jerry'ego, czy tylko, szukając oparcia, uczepiła się miłego mężczyzny, który okazał jej sympatię? Nie, tak nie można. Jerry okazał jej znacznie więcej niż sympatię. Troszczył się o nią. Wyczuła to przy pierwszym pocałunku. Todd Franklin, jej chłopak z liceum, całował łapczywie i żarłocznie. Mówił, że ją kocha, bo liczył na to, że się z nim prześpi. A Jerry, podpowiadało Ashley serce, zadowoliliby się samym przytuleniem, bo bycie razem było ważniejsze od seksu.

Czuła się taka szczęśliwa, a przecież od tak dawna jej się to nie przydarzyło. Może Jerry ma rację. Może ma już ten koszmar za sobą. Może już nie musi się bać Maxfielda.

Na myśl o nim znów mimo woli stanęła jej przed oczami scena na parkingu. Uśmiech Ashley zgasł. Jerry musiał coś wyczuć, bo odwrócił się w jej stronę.

– Nic ci nie jest?

Ścisnęła mu dłoń.

– Czuję się świetnie, Jerry. Dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Mówię serio.

– Jak się spisałam? – spytała niepewnie, w obawie, że Jerry'emu nie było tak dobrze jak jej.

– Bez wątpienia niesamowita z ciebie dupcia.

– A z ciebie świntuch! – zawołała, wymierzając mu żartobliwego klapsa.

– Świntuch, któremu naprawdę bardzo się chce siusiu.

Cmoknął ją w policzek i wstał z łóżka. Patrzyła za nim, jak idzie do łazienki. Drzwi się zamknęły. Wbrew sobie znów wróciła myślą do napaści na parkingu. Na zdrowy rozum wszystko wskazywało logicznie, że Joshua Maxfield próbował ją zabić, a Randy Coleman ocalił jej życie, coś jednak nadal nie dawało jej spokoju.

O Colemanie mówiono, że to drobny oszust, który ożenił się z Casey Van Meter dla pieniędzy. Czy ktoś taki narażałby życie, żeby ratować ją, Ashley? No, ale chyba tak musiało być. Nie znajdowała innego sensownego wytłumaczenia. Gdyby napadł ją Coleman, toby znaczyło, że Maxfield pospieszył jej z pomocą. Coleman miał wprawdzie dwudziestomilionowy motyw, żeby ją zabić, lecz z jakiego niby powodu miałby ją ratować Joshua Maxfield?

Absurdalny pomysł przyszedł Ashley do głowy. A jeśli to nie Maxfield zamordował jej rodziców i nie on usiłował zabić ją w internacie? Jeśli mordercą był Coleman? Nie, to nie miało sensu. Zamordowanie jej rodziców i próby zabicia jej samej z pewnością się ze sobą wiązały, z czego wynikało, że zabójca miał motyw, żeby zgładzić wszystkich członków jej rodziny. Przed rozprawą Coleman nie wiedział, że Ashley jest córką Casey, a od śmierci jej rodziców minęło już pięć lat.

No i przecież była przystań. I żadnego zgadywania. Słyszała krzyki. Widziała ciała. To nie Coleman stał tam w ciemności z nożem w ręku, to był Joshua Maxfield.

Jerry wyszedł z łazienki i zbliżył się do łóżka.

– Jadę do siebie wziąć prysznic i się przebrać. A potem zabieram cię do dowolnej restauracji, żeby uczcić aresztowanie Maxfielda i utratę twego dziewictwa. Co ty na to?

Ashley obróciła się na bok i dotknęła jego uda.

– Jesteś pewien, że chcesz już iść?

Jerry się roześmiał.

– Boże, ty rozpustnico. Tylko seks ci w głowie.

Ashley już miała odpowiedzieć, gdy zadzwonił telefon. Chciała go zignorować, ale przypomniała sobie, że podała swój numer tylko paru osobom. Jedną z nich był Larry Birch i Ashley złękła się, że dzwoni z wiadomością, że Maxfield znowu uciekł. Przetoczyła się na drugą stronę łóżka i podniosła słuchawkę.

– Ashley? – zapytała jakaś kobieta.

– Tak.

– Tak się cieszę, że cię zastałam. Mówi Ann Rostow z domu Sunny Rest.

– Tak?

– Jak się czujesz?

Ashley pomyślała o tym, jak spędziła ostatnie dwie godziny, i nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Dziękuję, że pani pyta. Całkiem już doszłam do siebie.

– To dobrze. Czy miałabyś jakieś problemy z przyjechaniem jutro do nas?

– Nie, a czemu?

– Wydarzyło się coś nowego.

– Co takiego?

– Casey odzyskała świadomość.

– Co?

– Obudziła się.

– O Boże!

Ashley poderwała się, a Jerry bezgłośnie złożył wargi w pytanie: „Co jest?”. Uniosła rękę, żeby go uciszyć.

– Doktor Linscott chciałby się spotkać z zainteresowanymi o dziewiątej rano – powiedziała Rostow. – Dasz radę?

– Oczywiście. Może mi pani powiedzieć, jak ona... Czy może mówić, czy...?

– Wolałabym, żeby lekarz zreferował państwu jej stan. Do zobaczenia jutro.

Ashley odwiesiła słuchawkę, wpatrując się w osłupieniu w przestrzeń.

– Kto to był? – spytał Jerry.

– Ta kobieta z Sunny Rest. Casey Van Meter obudziła się ze śpiączki.

Jerry przysiadł na brzegu łóżka.

– To całkowicie zmienia sytuację.

Kiedy Ashley z Jerrym przybyli do Sunny Rest następnego ranka, Miles Van Meter i jego prawnik Monte Jefferson, czekali już w okolicach biura Ann Rostow. Larry Birch, Tony Marx i zastępczyni prokuratora okręgowego Delilah Wallace także chcieli wysłuchać doktora Linscotta. Randy Coleman z Anthonym Botterim usiedli najdalej, jak się dało, od reszty. Coleman nie wyglądał na zachwyconego. Po odzyskaniu przytomności żona będzie mogła wznowić procedurę rozwodową, w związku z czym szanse Colemana na choćby część jej fortuny mały w oczach.

Na widok wchodzącej Ashley Delilah podźwignęła się z kanapy. Uśmiechała się od ucha do ucha.

– Jak się miewasz, dziewczyno? Zamartwiałam się o ciebie jak diabli.

– Przepraszam, że...

– Żadnych przeproszań. Rada jestem, że nic ci się nie stało. – Delilah rozpostarła ramiona. – Niech cię uściskam.

Ashley utonęła w jej objęciach, straciła dech przyciśnięta do obfitego łona, po czym odzyskała wolność.

– Żadnych numerów z ucieczkami, słowo?

– Nie ruszam się stąd.

– Tak jak i pan Maxfield. Czeka go tylko jedna podróż, do celi śmierci. Masz moje słowo. Będzie pod strażą dwadzieścia cztery godziny na dobę, a przy każdym wyjściu z celi kajdany. Koniec z wolnością dla pana Maxfielda, raz na zawsze.

Miles obserwował tę wymianę zdań nieporuszony, ale gdy tylko Ashley zwróciła się w jego stronę, powitał ją uśmiechem.

– To dla ciebie wspaniały dzień – powiedziała.

– Powinienem mieć więcej wiary.

– Tego nie można było przewidzieć.

Na prawo od recepcji pokazała się w drzwiach Ann Rostow. Za nią wynurzył się niski okularnik w szarych spodniach i brązowej, sportowej marynarce. Ceglasty koloryt cery obejmował również łysinę na czubku głowy, zaczesaną kilkoma ocalałymi pasemkami. W obecności tylu osób wyraźnie czuł się nieswojo.

– Cieszę się, że mogli państwo przybyć – powitała ich Rostow. – To doktor Stanley Linscott, który leczy panią Van Meter. Przejdźmy do sali konferencyjnej, żeby wysłuchać bieżących informacji na temat stanu jej zdrowia. Doktor chętnie odpowie na państwa pytania. Potem pójdziemy do pokoju pacjentki.

Długi stół zajmował większą część pokoju. Wszyscy zajęli przy nim miejsca, z wyjątkiem Larry'ego Bircha i Tony'ego Marksa, którzy stanęli pod ścianami. Ann Rostow i doktor Linscott zasiedli u szczytu stołu, w pobliżu drzwi.

– Proszę, doktorze – powiedziała Ann Rostow.

– Tak, no tak, mogę państwa zapewnić, że mocno się wczoraj zdziwiłem, kiedy siostra dyżurna do mnie zadzwoniła. Mówiła mi, że zajmowała się właśnie sondą pokarmową w pokoju pani Van Meter, gdy powieki pacjentki zadrżały, a ona sama wymamrotała coś, czego pielęgniarka nie zrozumiała. Potem pani Van Meter otworzyła oczy i rozejrzała się po pokoju. Była zaskoczona i nie wiedziała, gdzie się znajduje, ale pamiętała, jak się nazywa. Siostra nie chciała jej przestraszyć, więc wyjaśniła pani Van Meter, że wskutek wypadku trafiła do szpitala. Potem zatelefonowała do mnie. Natychmiast przyjechałem do Sunny Rest i zbadałem pacjentkę.

– Doktorze, na ile ona jest przytomna? – spytała Delilah Wallace.

– Zdaje sobie sprawę, kim jest, i jest w stanie rozmawiać przez chwilę. Szybko się męczy.

– Czy wie, jak długo była nieprzytomna? – spytał Miles.

– Tak. Dziś rano jej powiedziałem. Bardzo się tym przejęła, ale trudno się dziwić.

– Ile pamięta z tego zdarzenia, gdy została ogłuszona? – dążyła Delilah.

– Nie rozmawiałem z nią jeszcze na ten temat. Na obecnym etapie rekonwalescencji mogłoby to okazać się zbyt silnym przeżyciem.

– Czy sama o tym wspomniała? – spytał Miles.

– Nie.

– Kiedy będziemy mogli z nią porozmawiać o tym, co stało się na przystani? – chciał wiedzieć inspektor Birch.

– Trudno mi dziś określić termin. Wszystko zależy od tempa rekonwalescencji.

– Czy istnieje możliwość, że to stan chwilowy i że Casey z powrotem zapadnie w śpiączkę? – zainteresował się Randy Coleman.

– Może nastąpić pogorszenie? – zaniepokoił się Miles.

– Na te pytania nie znam odpowiedzi. Jak wiecie, pani Van Meter poddawana była eksperymentalnej terapii w ramach badań klinicznych nad nowym lekiem opracowanym specjalnie w tym celu. Najwyraźniej zadziałał, niestety, nie mam pojęcia, czy nie wywoła jakichś skutków ubocznych i czy obecna poprawa stanu zdrowia pacjentki okaże się trwała. Możemy się tylko modlić, żebyśmy pani Van Meter znowu nie stracili.

– Jeśli istnieje groźba nawrotu, powinniśmy ją jak najszybciej przesłuchać – odezwała się Delilah. – Jest jedynym żyjącym świadkiem, który wie o wszystkim, co się wydarzyło na przystani.

– Rozumiem państwa obawy – rzekł doktor Linscott – ale moim obowiązkiem jest troska o pacjenta. Nie mam zamiaru narażać jej na żaden stres, jak na przykład przypominanie sobie tej napaści, który mógłby jej zaszkodzić.

– W związku z czym – wtrąciła się Ann Rostow – będą nas dzisiaj obowiązywać następujące zasady. Uznaliśmy z doktorem Linscottem, że do pokoju pani Van Meter mogą wejść tylko jej mąż, brat i córka. Mają państwo piętnaście minut i proszę nie zadawać jej żadnych pytań na temat zamordowania Terri Spencer czy ataku, którego sama padła ofiarą. – Rostow zmierzyła wzrokiem Milesa Van Metera, Ashley i Randy'ego Colemana. – Czy to jasne?

– Jeśli chcecie oszczędzić jej przykrych przeżyć, to nie powinniście wpuszczać Colemana – powiedział Miles. – Casey wystąpiła o rozwód, ponieważ ją bił.

– Słuchaj no, Van Meter... – zerwał się Coleman.

– Dosyć! – ucięła Rostow. – Bo w ogóle nie dopuścimy do żadnych odwiedzin.

– Ale... – nie ustępował Miles.

– Panie Van Meter, rozumiem pańskie obawy, ale pan Coleman jest legalnie poślubionym mężem pani Van Meter. Ma większe prawo do odwiedzin niż pan.

Miles zacisnął szczęki z bardzo niezadowoloną miną.

– Pani Rostow – odezwała się Ashley – sądzi pani, że to rozsądne, żeby wpuszczać mnie do dyrektorki?

Ashley wciąż nie mogło przejść przez gardło nazywanie Casey matką. – Ona nie wie, że jestem jej córką. Moja obecność może ją speszyć albo przypomnieć moją matkę... Terri... i całe zdarzenie na przystani.

– Słuszna uwaga – odparła Rostow. – Doktorze Linscott, jak rozumiem, pani Van Meter oddała Ashley do adopcji zaraz po urodzeniu i nigdy się nie dowiedziała, kto ją adoptował. Przed zapadnięciem w śpiączkę nie wiedziała, że Ashley jest jej córką. Ashley też dopiero niedawno się dowiedziała, kto jest jej biologiczną matką.

– Czy chce pani zobaczyć matkę, panno Spencer? – spytał wyraźnie zbity z tropu Linscott.

– Tak, jeżeli to możliwe. Jeśli nie wiadomo, czy obudziła się na dobre, to mogę nie mieć więcej okazji do rozmowy z nią. Ale nie chcę jej zaszkodzić.

– Może zrobmy tak – zaproponował Linscott – wpuszczę tam panią, ale nie będziemy na razie mówić pani Van Meter, że jest pani jej córką.

– A co mam powiedzieć, jeśli mnie zapyta, kim jestem?

– Niech pani powie, że chodziła do jej szkoły i przyjaźni się pani z jej bratem.

– No to chodźmy do pokoju pani Van Meter – zarządziła Rostow, otwierając drzwi sali konferencyjnej.

Opuścili ją gęsiego. Delilah znalazła się u boku Ashley.

– Masz pewnie niezłego stracha – odezwała się zastępczyni prokuratora.

– Trochę. Myślę, że to bardziej rozterka niż strach – odparła Ashley.

– Jak sądzisz, dogadacie się z panią Van Meter?

– Nie wiem. Warto spróbować.

– Coś w rodzaju jeszcze jednej szansy od losu?

– Coś w tym rodzaju.

– To tak jak ze mną i złapaniem Maxfielda. Taka niezłałatwiona sprawa. Zaliczyłam sporo nieprzespanych nocy, odkąd nam prysnął.

Doktor Linscott i Ann Rostow zatrzymali się przy dyżurce pielęgniarki.

– Proszę wszystkich oprócz pana Colemana, pana Van Metera i panny Spencer o pozostanie tutaj.

Doktor otworzył drzwi do pokoju Casey. Siedziała na łóżku, oglądając telewizję. Nieopodal pielęgniarka czytała gazetę.

– Dzień dobry pani – powiedział doktor Linscott.

Casey niechętnie oderwała się od odbiornika, żeby rzucić przelotnie okiem na lekarza, po czym wróciła do swego programu. Na nikogo innego nie spojrzała.

– Przyprowadziłem pani gości. Poznaje pani kogoś?

Casey nie odpowiedziała.

– Ogląda bez przerwy, od kiedy go podłączyli – poinformowała doktora siostra.

Linscott pstryknął palcami i siostra wyłączyła telewizor pilotem. Casey to się wyraźnie nie spodobało.

– Będzie jeszcze pani miała dużo czasu na telewizję – stwierdził doktor. – Przyszliśmy tylko na chwilę.

Casey wlepiła wzrok w intruzów. Zmarszczyła brwi. Potem skupiła uwagę na bracie, otwierając szeroko oczy.

– Miles?

Miles podszedł do łóżka. Miał łzy w oczach. Chciał chyba uściskać siostrę, lecz się powstrzymał.

– To ja, Casey. Jak to dobrze, że do nas wróciłaś.

Casey opadła na poduszki. Wyglądała na wstrząśniętą.

– Tak się zmieniłeś – powiedziała.

– Przybyło mi pięć lat. Długo spałaś.

– Kochanie – Randy Coleman postąpił o krok w stronę łóżka.

Casey zrobiła w pierwszej chwili niepewną, a zaraz potem zdenerwowaną minę. Linscott ostrzegawczo położył Colemanowi rękę na ramieniu. Coleman zeszywniał, ale posłusznie się zatrzymał.

– To Randy Coleman, pani mąż – poinformował Casey doktor.

Ręce chorej na kocu poszły w ruch. Zaciskając go w dłoniach, cofnęła się do wezglówka.

– Może by pan jednak wyszedł, panie Coleman – rzekł doktor.

Coleman chciał zaprotestować.

– Proszę – przerwał mu stanowczo Linscott.

Naburmuszony Coleman wyszedł.

– Ja też pójdę – odezwała się Ashley.

Casey wlepiała z kolei w nią oczy.

– A kto ty jesteś?

– Znajoma pana Van Metera – odparła Ashley.

Casey uniosła rękę do czoła.

– Nie, coś... – nie dokończyła, jakby załęknioma, zdezorientowana. Jej oddech stał się głośniejszy.

Doktor Linscott się zaniepokoił.

– To może za wiele, za wcześnie... Myślę, że powinniście państwo wyjść.

– Do widzenia, Casey – powiedział Miles. – Wrócę, jak tylko lekarz pozwoli.

Dołączyli z Ashley do Randy'ego Colemana czekającego na korytarzu. Po paru minutach wyszedł i doktor Linscott.

– Co się stało? – spytała Delilah.

– Być może pospieszyłem się trochę z dopuszczeniem do niej gości – odrzekł doktor.

– Ale nic jej nie jest? – zatroskała się o swego cennego świadka prokuratorka.

– Nie, nie. Miała tylko za dużo wrażeń.

– Jak pan myśli, kiedy będę mógł znowu z nią porozmawiać? – spytał Miles.

– To będzie zależało od tempa odzyskiwania sił i jej kondycji psychicznej. Ale to dobry znak, że pana rozpoznała.

Po krótkiej rozmowie na temat stanu zdrowia Casey doktor i Ann Rostow zostawili ich samych. Delilah spojrzała na Ashley.

– Wracam do biura i biorę się za akt oskarżenia. Wkrótce się do ciebie odezwę. Wytrzymasz to jeszcze raz?

– Wolałabym tego nie robić, ale Maxfield musi ponieść karę. Nie chcę, żeby wyszedł z więzienia.

– Dobra – wyszczerzyła wszystkie zęby Delilah. – To już jest nas dwie.

– Czy on zaczął mówić? – spytał Jerry. – Przyznał się do zabicia Terri Spencer?

– Pan Maxfield poprosił o adwokata natychmiast po aresztowaniu i od tej chwili nie powiedział ani słowa. To zbrodniarz, ale nie idiota. – Delilah wzięła rękę Ashley w swoje i poklepała jej dłoń. – Co i tak niczego nie zmienia. Mam ciebie za świadka. Pani Van Meter to już na okrasę.

Dotarli do holu wejściowego i policjanci wyszli razem z prokuratorka.

– Muszę wracać do pracy – odezwał się Miles do Jeffersona. – Jedziesz?

– Zaraz cię dogonię. Zamienię słówko z Jerrym Philipsem.

– Zaczekam w samochodzie. Do widzenia, Ashley.

Miles wyszedł, a Jefferson zwrócił się do Jerry'ego.

– Skoro pani Van Meter się obudziła, czy nadal potrzebujesz tych akt na temat adopcji panny Spencer?

– Wolałbym podtrzymać ten wniosek. Jeśli nastąpi pogorszenie, znowu trafimy do sądu.

Jefferson się zasepił.

– Jakiś problem? – spytał Jerry.

– Niewykłuczone. Trzymamy nasze zamknięte akta w magazynie firmy Elite Storage. Mają je w kartotece, niestety, nie mogą ich znaleźć. Widocznie zostały gdzieś przełożone.

– Nie chcę wycofywać wniosku, ale nie musicie teraz szukać. Jeśli pani Van Meter na stałe odzyskała przytomność, to nie będzie takiej potrzeby. Jak tylko doktor Linscott wyda jej świadectwo pełnego powrotu do zdrowia, wniosek i tak automatycznie upadnie.

Podczas tej wymiany zdań Ashley zauważyła w kącie Randy'ego Colemana zajętego rozmową ze swoim prawnikiem. Złościł się. Adwokat wzruszył ramionami i uniósł ręce gestem wyrażającym bezradność. Coleman zaklął i ruszył w stronę wyjścia. Ashley postanowiła go zagadnąć.

– Panie Coleman, można?

Coleman okręcił się na pięcie i przeszył ją wściekłym spojrzeniem.

– Czego pani chce?

– Nie miałam wczoraj okazji podziękować panu za uratowanie mi życia.

Coleman odprężył się i zdobył na wymuszony uśmiech.

– Dobrze, że się tam akurat znalazłem.

– Ja też się cieszę. Już bym nie żyła, gdyby nie pan. Był pan bardzo odważny. Coleman wzruszył ramionami.

– Nie zastanawiałem się nad tym. Zobaczyłem, że ma pani problem, i zareagowałem.

– Miałam szczęście.

Coleman cofnął się o krok i zlustrował Ashley wzrokiem. Aż się zmieszała.

– Nie widzę – powiedział, kręcąc głową.

– Czego?

– Podobieństwa. No i na pewno nie masz jej charakterku. Wydajesz się miła. A Casey to patentowana suka.

Ashley krew napłynęła do twarzy. Nawet jeśli nie znała matki zbyt dobrze, to nie sprawiało jej przyjemności słuchanie takich epitetów pod jej adresem.

– Dla mnie była miła – powiedziała odruchowo w obronie Casey.

– Ach, ona to potrafi. Dla mnie też była supermiła z początku. A potem jej się znudziło i przestała być miła.

– Co pan ma na myśli?

– Na pewno chcesz wiedzieć?

– Tak – odparła Ashley, chociaż wcale nie miała pewności, czy chce znać mroczne strony osobowości swojej matki. Miles już jej o tym szczerze mówił. Czy mąż może dodać coś jeszcze gorszego?

– Nie wiem, jak ta śpiączka na nią wpłynęła. Może będziesz miała szczęście i Casey się zmieni. Lecz ta Casey, którą ja znałem, była samolubną, wredną suką.

Coleman podciągnął rękaw, żeby pokazać Ashley wiele bladych, okrągłych blizn.

– Ślady po przypalaniu papierosami – wyjaśnił w odpowiedzi na niezadane pytanie. – Skąd je mam? Pokłóciliśmy się któreś nocy. Nawet nie pamiętam, o co. Piliśmy i pewnie nagadaliśmy sobie nawzajem bredni. Film mi się urwał. Kiedy oprzytomniałem, leżałem goły i przykuty kajdankami do łóżka. – Wskazał palcem blizny. – To nie wszystkie. Mam je na całym ciele. Kurewsko bolą. Twoja mamusia oświadczyła, że to ma mnie nauczyć grzeczności. A wiesz, co zrobiła, jak jej się znudziło słuchanie moich wrzasków?

Ashley potrząsnęła głową.

Coleman wykrzywił usta w mało radosnym uśmiechu.

– Wyszła z domu, zostawiając mnie przykutego do łóżka. Z początku myślałem, że zaraz wróci i się pogodzimy. Żarliśmy się już przedtem i tak to się zawsze kończyło. Ale ona mnie zostawiła, żebym zdechł.

Ashley wytrzeszczyła z niedowierzaniem oczy.

– Leżałem przez półtorej doby, bez jedzenia, bez wody, we własnych sikach. Jestem tu dzisiaj tylko dlatego, że jeden mój znajomy wpadł mi powiedzieć, że szef się wścieka, bo nie przyszedłem do roboty. Usłyszał krzyk i wlaźł przez okno. Gdyby nie to, już bym nie żył.

Ashley zrobiło się niedobrze i straszno. Miała nadzieję, że Coleman przesadza. Nie mogła uwierzyć, że matka jest zdolna do takiego okrucieństwa. Kusiło ją też, żeby mu rzucić w twarz pytanie, czemu w takim razie pojechał za Casey do Portlandu, skoro była taka okropna. Tyle że знаła odpowiedź. Zależało mu na jej pieniądzach. I nie postawiła Colemanowi tego pytania, bo zawdzięczała mu życie.

– To brzmi strasznie – tyle tylko powiedziała.

– Nigdy nie przeżyłem nic koszmarniejszego – dodał Coleman.

Coś w jego nieobecny spojrzeniu i dziwnym zabarwieniu głosu podpowiadało Ashley, że chyba mówi prawdę.

– No dobra, mała, życzę ci szczęścia. Będzie ci potrzebne z taką gadziną za matkę.

– Ten to dopiero ma żal do świata – zauważyła Ashley, kiedy znalazła się poza zasięgiem uszu Colemana.

– Też byś miała, gdyby parę milionów dolarów właśnie ci przeszło koło nosa – rzekł Jerry.

– No przecież przeszło – odparła Ashley – a nie mam do nikogo żalu.

Jerry odrzucił głowę do tyłu, wybuchając śmiechem.

– Ty to jesteś niesamowita.

Po drodze do parkingu Jerry sprawiał wrażenie pogrążonego w myślach. Zapięli pasy, ale nie od razu uruchomił silnik.

– Co się stało? – spytała Ashley.

– Nic się nie stało. Tylko się zastanawiałem. Musisz płacić za wynajem tego mieszkania, które jest w porządku, ale w końcu nic nadzwyczajnego. A ja mam dom... za duży jak na jedną osobę.

Ashley gapiła się na niego przez chwilę. Potem ściągnęła brwi.

– Zapraszasz mnie, żebym się do ciebie przeprowadziła?

– No, taaa. Do tego właśnie zmierzałem.

– Jak na prawnika niezbyt jasno się czasem wyrażasz.

– Czyli?

Ashley przechyliła się, żeby ucałować swego radcę.

– Z wielką przyjemnością z tobą zamieszkać, Jerry.

Dwóch strażników wprowadziło zakutego w ciężkie kajdany Joshuę Maxfielda do pokoju wizyt. Mniejszy ze strażników zupełnie niepotrzebnie ponaglił więźnia szturchnięciem pałki pod żebra. Drugi z eskortujących nie zareagował. Maxfield zachował stoickie milczenie, świadom, że nie ma sensu protestować.

Erie Swoboda, nowy adwokat Maxfielda, wstał z plastikowego krzesła, rozprostowując się na całą swą, godną koszykarza, wysokość. Oprócz wzrostu miał jeszcze kark ciężarowca i klatkę baseballisty z pierwszej linii obrony. Wielka głowa i szczeka jak wyciosana w skale dopełniały obrazu. Poznali się podczas oficjalnego postawienia Maxfielda w stan oskarżenia w związku z jego ucieczką i napaścią na Barry'ego Wellera. Zważywszy na to, co spotkało jego poprzedniego obrońcę, Maxfield podejrzewał, że przy wyborze następcy sędzieja prowadzący kierował się głównie posturą Swobody. Joshua liczył na to, że wielkolud dysponuje umysłem na miarę swojej postaci.

Strażnicy wyszli z pokoju, ale inny wartownik i tak obserwował to spotkanie prawnika z klientem przez okienko. Swoboda chciał zacząć od powitalnego uścisku dłoni, jednak zrezygnował, zorientowawszy się, że Maxfield ma ręce praktycznie unieruchomione kajdankami.

– Zdaje się, że związali pana jak baleron – odezwał się prawnik.

– Byłbym wdzięczny, gdyby pan zdołał nakłonić sąd do złagodzenia niektórych obostrzeń – odparł Maxfield wyważonym tonem.

– Spróbuję, lecz proszę nie liczyć na cuda. Pańskie nazwisko działa na wszystkich jak płachta na byka.

Maxfield spuścił oczy ze wstydliwym uśmiechem.

– Chyba mogę mieć o to pretensję tylko do siebie.

– A, zanim zapomnę – powiedział Swoboda. – czytałem *Turystę w Babilonie*.

Maxfield uniósł z nadzieją wzrok.

– Rzadko czytuję powieści, ale ta mi się podobała.

– Ludziom przeważnie się podobała – rzekł Maxfield z uśmiechem ulgi.

– Słyszałem, że dostał pan za nią dużo nagród.

– Tak, kilka – odparł dumnie Maxfield. – No i to był ogólnokrajowy bestseller.

– I napisał pan jeszcze jedną książkę, prawda? – ciągnął dalej Swoboda.

– *Studnię życzeń* – uśmiech Maxfielda przygasł.

– Podobno miała gorsze notowania niż pierwsza.

Po uśmiechu nie było już śladu.

– Krytycy przez własną głupotę jej nie zrozumieli, więc ją schlastali – odparł z goryczą Maxfield. – Ta zgraja zawsze się stara podciąć skrzydła komuś, kto wzniósł się za wysoko i za szybko.

– Czemu tak długo pan zwlekał z napisaniem następnej książki?

Maxfield poróżowił.

– Pisanie nie da się przyspieszać. Zajmuję się ambitną prozą. Nie tłukę chałtury. Nie jestem byle pismakiem.

– Prokuratura dołączyła egzemplarz pańskiej nowej powieści do materiału dowodowego. Czytałem kawałek. Temat nie wydał mi się zbyt ambitny.

– Trzeba zrozumieć, o co w niej chodzi. To studium szaleństwa. Jak naprawdę działa ludzki umysł? Jak to możliwe, że w na pozór zwyczajnym człowieku, mężu i ojcu dzieciom, wyglądającym i zachowującym się równie normalnie jak pan czyja, może kryć się demon, który pcha go do czynów niewyobrażalnych? To właśnie zgłębiam, otchłań ludzkiej duszy.

– No tak, tyle że Delilah Wallace uważa, że opisuje pan morderstwa, które sam popełnił.

Maxfield zacisnął pięści.

– Jestem artystą. Artyści używają swojej wyobraźni, by stworzyć na papierze świat równie realny, jak otaczająca nas rzeczywistość. Jeśli uwierzyła, że piszę o rzeczywistych wydarzeniach, to odniosłem sukces jako artysta. Ale te zbrodnie z mojej powieści są wytworem mojej wyobraźni. Gdybym naprawdę zabijał tych ludzi, byłaby to zdrada mojej sztuki. Moje pisarstwo byłoby równie mało twórcze, jak reporterska relacja z wypadku drogowego. Czy pan nie rozumie, że nie mógłbym czegoś takiego zrobić? Sprzeniewierzyłbym się mojemu rzemiosłu. Nie jestem winien tych morderstw.

– Rozmawiałem z Barrym Wellerem. Twierdzi, że głosił pan swoją niewinność do chwili, gdy go pan ogłuszył i rąbnął jego ubranie.

Maxfield się zaczerwienił.

– Jak się miewa Barry? Mam nadzieję, że już się na mnie nie wścieka.

– Próżna nadzieja. Na każdą wzmiankę o panu musiałem wysłuchiwać wiązańki przekleństw, o których nie przypuszczałem, że da się je połączyć w jedno zdanie.

– Przykro mi, że mu zrobiłem krzywdę, ale byłem przekonany, że mnie skaza, jeśli dojdzie do procesu. Potrzebowałem czasu, żeby zdobyć dowody mojej niewinności.

– I znalazł pan?

- Wiem, kto zamordował Terri Spencer i próbował zabić Casey.
- Chętnie posłucham – powiedział Swoboda, starając się ukryć sarkazm.
- Randy Coleman. To mąż Casey. Jeśli ona umrze przed orzeczeniem rozwodu, Coleman odziedziczy miliony. Dlatego próbował też zabić Ashley Spencer. Skoro ta dziewczyna jest jej córką, przypadnie jej znaczna część majątku Casey. Bez niej Coleman dostanie całość.

- Coleman twierdzi, że przeszkodził panu zabić pannę Spencer.
- Kłamie. Było odwrotnie.

– A jak pan sądzi, komu uwierzy ława przysięgłych, Colemanowi czy człowiekowi, którego Ashley Spencer widziała nad nieprzytomną Casey Van Meter z zakrwawionym nożem w ręku?

Maxfield miał odpowiedź na końcu języka, ale zdał sobie sprawę, jak mizernie zabrzmi wszystko, co może powiedzieć. Przygarbił się i skurczył na krześle.

– I po co miałyby pan ratować Ashley Spencer? – spytał Swoboda. – Przez jej zeznania może pan wylądować na krześle elektrycznym.

- Dopóki Casey leży w śpiączce, potrzebuję żywej Ashley.
- A to czemu?

– Miles chce siostrę odłączyć i Coleman też pragnie jej śmierci, żeby odziedziczyć fortunę. Tylko jedna Ashley chce ją utrzymać przy życiu.

– Czemu utrzymanie Casey przy życiu ma dla pana znaczenie?

– Ona jedna wie, co się naprawdę zdarzyło na przystani. Jest jedynym świadkiem, który może mnie oczyścić. Zobacz pan, o ile się kiedyś przebudzi.

Swoboda się uśmiechnął.

– Zrobiła to. Dlatego tu jestem.

Maxfield oniemiał.

– Casey Van Meter wczoraj wyszła ze śpiączki. Delilah Wallace do mnie dzwoniła z tą wiadomością. Była dziś rano w tym zakładzie.

– Powiedziała im już, że tego nie zrobiłem?

– Jak na razie pani Van Meter niewiele mówi. Jest chyba mocno otumaniona.

– Kiedy będą ją pytać o przystań?

– Nie wiem. Zawiadomią mnie, jeśli to nastąpi.

– To wspaniale. Powie im, że ja nie zabiłem Terri Spencer.

– Mam nadzieję. Bo szczerze mówiąc, nie widzę innej możliwości wygrania pana sprawy.

Z wyjątkiem Erica Swobody skład grupy gości, którzy odwiedzili Sunny Rest w dniu odzyskania przez Casey Van Meter świadomości, nie uległ zmianie.

– Tak jak poprzednio, podczas odwiedzin u pani Van Meter, obowiązują pewne podstawowe zasady – oznajmił doktor Linscott. – Wpuszczę do pacjentki tylko kilka osób. Nie może czuć się przytłoczona, zwłaszcza że ma odpowiadać na pytania dotyczące bardzo traumatycznego przeżycia. Pani Wallace reprezentuje oskarżycieli, a pan Swoboda oskarżonego. Pani Wallace prosiła o dopuszczenie jednego z oficerów śledczych, zatem pozwolę również wejść inspektorowi Birchowi. To wszystko.

– Pan Coleman jest mężem pani Van Meter – odezwał się Anthony Botteri. – Powinien mieć prawo towarzyszyć żonie w tak trudnej chwili.

– Nie prowadzimy przesłuchań świadków w sprawach o zabójstwo w obecności rodziny – odparła Delilah.

– Ale pozwoliliście na odwiedziny Milesa Van Metera i...

Doktor Linscott uniósł rękę.

– Panie Botteri, moja pacjentka poprosiła o spotkanie z bratem. Natomiast na widok pana klienta zareagowała bardzo negatywnie i wyraźnie zażądała, by go do jej pokoju nie wpuszczać.

– Jest zdezorientowana, doktorze – powiedział Randy Coleman. – Przecież dopiero co obudziła się z pięcioletniej śpiączki.

– I nie doszła jeszcze w pełni do siebie. Dlatego nie wpuszczę nikogo oprócz wymienionych osób.

Doktor Linscott spojrział na inspektora, obrońcę i prokuratorkę.

– Najmniejszy sygnał, że coś jest nie w porządku, i kładę kres temu przesłuchaniu. Czy to jasne?

Delilah, Erie Swoboda i Larry Birch kiwnęli głowami i ruszyli gęsiego za doktorem Linscottem.

Telewizor był nadal włączony, a Casey leżała w łóżku, ale od razu odwróciła głowę w stronę otwieranych drzwi. Cerę miała już lepszą i wydawała się przytomniejsza.

– Dzień dobry, Casey – odezwał się doktor.

– Dzień dobry – odpowiedziała.

– Przeprowadziłem parę osób, które chcą z tobą porozmawiać. Czy czujesz się na siłach, żeby przyjmować gości?

Casey wyłączyła odbiornik.

– Cieszę się z gości. Znużyło mnie oglądanie w kółko telewizji.

– To Delilah Wallace, zastępczyni prokuratora okręgowego hrabstwa Multnomah – przedstawił doktor Linscott. – To Larry Birch, inspektor policji, który współpracuje z panią prokurator. A to Erie Swoboda. Jest adwokatem i reprezentuje jedną z osób zamieszanych w tę sprawę.

– Chodzi o to, jak się tu znalazłam? – spytała Casey.

Delilah z zadowoleniem odnotowała, że Casey w lot pojęta, jaki jest cel ich wizyty. Ta kobieta myślała szybko i robiła wrażenie osoby w pełni władz umysłowych. Trudno będzie Swobodzie powoływać się na zaburzenia pamięci spowodowane śpiączką.

– Zgadza się, pani Van Meter – odrzekła. – Jestem tu w sprawie napaści, którą przypłaciła pani śpiączką. Czy czuje się pani na siłach odpowiedzieć na moje pytania?

Z Casey jakby nagle uszła cała energia. Zamknęła oczy i oparła głowę o poduszkę.

– Pani Van Meter? – zaniepokoiła się tą nagłą zmianą Delilah.

Powieki Casey się uniosły.

– Lepiej mieć to już za sobą – powiedziała tonem osoby pogodzonej z koniecznością.

– Na pewno? – upewniała się Delilah. – Nie chcemy pani zaszkodzić.

Casey popatrzyła na nią twardo.

– Proszę o pytania – ucięła.

W odczuciu Delilah z jej głosu przebijała wewnętrzna siła, co dobrze wróżyło, gdyby Casey musiała zeznawać w sądzie.

– Myślę, że najlepiej będzie, jeśli pani spróbuje sobie przypomnieć wszystko na temat tamtego wieczoru, kiedy została pani ogłuszona.

Casey już otwierała usta, lecz nagle zamarła, zbladła i zakryła twarz dłońmi.

– Casey? – spytał doktor Linscott.

Pokręciła głową, jakby starała się otrząsnąć z koszmarne snu, i odetchnęła głęboko.

– Wszystko w porządku – zapewniła lekarza.

– Czy Terri Spencer żyje? – zapytała z kolei prokuratorkę.

– Nie, proszę pani – odpowiedziała zapytana, tłumiąc podniecenie. Van Meter

najwyraźniej wszystko pamiętała, więc wspólnymi siłami ukręca solidny stryczek na szyję Joshuy Maxfielda.

Casey zaczerpnęła duży haust powietrza.

– Miałam nadzieję... ale w głębi serca wiedziałam, że tego nie przeżyje. To moja wina. Gdybym jej tam nie ściągnęła na spotkanie, nie zginęłaby.

Puls Delilah przyspieszył.

– Kto zabił Terri Spencer, pani Van Meter?

Casey spojrzała na nią, jakby zaskoczona.

– Przecież to Joshua Maxfield, oczywiście. Nie wiedzieliście?

Wrażenie *deja vu* dopadło Ashley, ledwie wjechała w bramę Oregon Academy. Niewiele się tu w tym czasie zmieniło. Rozgadani uczniowie i uczennice snuli się grupkami lub koczowali na trawie, jak dzieci nieświadome grozy mordy, który odebrał Ashley osobę nadal uważaną przez nią za matkę. Dziewczynie zrobiło się smutno. Sama była kiedyś dzieckiem, póki Joshua Maxfield nie wtoczył jej w przyspieszoną dorosłość w ciągu jednego przerażającego wieczoru.

Przed nią ukazała się rezydencja Van Meterów. Ashley nie sądziła, że będzie wyglądać tak samo, bo od śmierci Henry'ego Van Meta nikt tu nie mieszkał, ale Henry zdążył ustanowić solidny fundusz powierniczy dla szkoły, z którego pokrywano także koszty utrzymania rezydencji. Henry do ostatniej chwili liczył, że Casey wyzdrowieje, i chciał zapewnić córce możliwość zamieszkania w rodzinnym domu po takim powstaniu niemal z martwych. W zeszłym tygodniu doktor Linscott uznał, że stan Casey jest na tyle dobry, by mogła się tam przenieść.

Ashley zaparkowała na półkolistym podjeździe przed wejściem, ale nie wysiadła z samochodu. Kręciło się jej trochę w głowie i ścisnęło w żołądku ze zdenerwowania przed spotkaniem z matką. Czy Casey ją odtrąci? Czy okaże choć trochę uczucia dla dziecka, które przed laty porzuciła? Jerry gotów był towarzyszyć Ashley, lecz oświadczyła, że tę sprawę musi załatwić sama.

Zmobilizowała się wreszcie i wysiadła z samochodu. Włożyła dziś tradycyjny kostium, specjalnie na tę okazję kupiony. Dłonie jej zwilgotniały i serce waliło, gdy naciskała dzwonek. Otworzyła jej przysadzista, krótko ostrzyżona Koreanka o lśniących, kruczoczarnych włosach.

– Pani to Ashley?

– Tak.

– Jestem Nan Kim, pielęgniarka pani Van Meter.

– Czy doktor Linscott rozmawiał z moją... z panią Van Meter o...?

– Długo o pani rozmawiali. Wszystko jej wyjaśnił i ona chce się z panią zobaczyć. Czeka w swoim pokoju. Prosiła, żeby pani zaproponować coś do picia.

– Nie, dziękuję.

I tak by nic nie przelknęła.

– W takim razie chodźmy na górę – powiedziała siostra.

Casey czekała na Ashley w dużym, przestronnym pokoju z wysokim sklepieniem. Przesunięto jej łóżko pod okno, żeby mogła patrzeć na ogród i basen.

Siedziała oparta na poduszkach. Odzyskała już prawie normalną wagę i normalne kolory. Farba przywróciła jej włosom barwę blond, jak przed śpiączką. W kącie stał wózek inwalidzki i chodzik, a wygodny fotel przy łóżku.

– Dziękuję za zaproszenie – zaczęła Ashley, gdy pielęgniarka wyszła z pokoju.

– To ja dziękuję, że chciałaś mnie odwiedzić. Wariuję z nudów. Przez większość dnia leżę w łóżku. Wstaję tylko na ćwiczenia z fizykoterapeutą albo na posiłki.

– Jak samopoczucie?

Zabrzmiało to niezręcznie, bo obie wiedziały, że Ashley stara się odwlec moment, kiedy trzeba będzie zacząć zadawać owe trudne pytania, z którymi tu przyszła.

– Takie zmartwychwstanie wymaga trochę czasu, żeby się z tym oswoić. Wypadło mi pięć lat i mam różne problemy zdrowotne.

Casey urwała. Przyglądała się gościowi. To badawcze spojrzenie zmieszało Ashley.

– No i jesteś ty – uśmiechnęła się Casey – A jak się będziemy do siebie zwracać? Nie wiem, czy „mamo” tu pasuje.

Ashley spuściła oczy.

– Nie chcę cię obrazić, ale jedyna mama, jaką znałam, to Terri.

– Ja to świetnie rozumiem i wcale ci nie mam tego za złe. Mówiłaś mi „pani dyrektorko”, ale po pierwsze, już nią nie jestem, a po drugie, zbyt to oficjalne jak na nasze pokrewieństwo. No więc może mówmy sobie po prostu po imieniu? Casey i Ashley? Co ty na to?

– W porządku.

– Jak się dowiedziałas o mnie i swoim ojcu?

– Twój ojciec powiedział Jerry'emu Philipsowi, mojemu radcy, o adopcji. Jerry powiedział mnie.

– A czemu Henry ujawnił nasze pokrewieństwo po tylu latach?

Ashley uznała, że lepiej nie mówić Casey o tym, że Henry potrzebował Ashley, bo Miles chciał odłączyć siostrę od aparatury podtrzymującej życie.

– Chyba chciał, żebym się dowiedziała, że mam jakąś rodzinę.

– Nienawidziłaś mnie za to, że cię porzuciłam? – spytała Casey.

Obcesowość tego pytania zaskoczyła Ashley. Zorientowała się, że dyrektorskie nawyki znów dały znać o sobie. Casey Van Meter brała sprawy w swoje ręce.

Postanowiła odpowiedzieć równie obcesowo.

– Tak, z początku.

– A teraz?

– Teraz sama nie wiem, ale już chyba cię nie nienawidzę. Staralam się wczuć w twoje położenie, wyobrazić sobie, co to znaczy być w ciąży z kimś... kogo się nie kocha.

Ashley spuściła wzrok.

– Masz rację, Ashley. Nie kochałam twojego ojca. Małżeństwo źle by się dla nas obojga skończyło. Nie przetrwałoby. A ja byłam za młoda na macierzyństwo. To nie miało nic wspólnego z tobą, kiedy cię oddawałam do adopcji. To nie była twoja wina. Nawet cię nie widziałam. Zabrali cię natychmiast po urodzeniu. Ja byłam na środnach uspokajających. Nie pamiętam dokładnie samego porodu. Ale to ci wyszło na dobre, prawda? Norman był dobrym ojcem?

– Najlepszym z możliwych.

– I kochałaś Terri?

– Bardzo.

Ashley urwała, żeby zebrać odwagę na następne pytanie.

– Czy kiedykolwiek żałowałaś, że mnie oddałaś?

– Czasami zastanawiałam się, co się z tobą stało. Cieszę się, że miałaś kochających rodziców. To wspaniale, że jesteś silną, pewną siebie kobietą, nawet jeśli w żaden sposób nie mogę sobie przypisać za to zasługi.

– Próbowалаś mnie kiedyś odszukać?

– Nie, nigdy.

– Czemu?

– Mogę być brutalnie szczerą?

– Proszę – potwierdziła Ashley, sprężając się wewnętrznie.

– Nigdy nie byłaś dla mnie kimś rzeczywistym. Byłaś jak sen. Nigdy cię nie dotykałam, nigdy cię nie widziałam. Skąd niby miała się wziąć miłość do ciebie czy jakaś tęsknota? I na co by się to zdało, gdybym się nagle objawiła jak grom z jasnego nieba i zniszczyła twój spokój ducha? Spójrz tylko, ile przeszłaś, od kiedy się dowiedziałaś, że jestem twoją matką.

Ashley przełknęła ślinę przez zaciśnięte gardło w obawie, że się rozplacze. Następne pytanie zadała dość oficjalnym tonem, żeby nabrać dystansu do targających nią uczuć.

– A co teraz? Czy chcesz poznać mnie bliżej, czy wolałabyś, żebyśmy nie utrzymywały żadnych kontaktów?

Casey uniosła brew i kąciki ust w cierpkim uśmiechu.

– Co za niemądre pytanie. Oczywiście, że chcę cię poznać. Polubiłam cię od

pierwszej chwili. Pamiętasz, jak pokazywałam wam campus? Od razu się na tobie poznałam, że jesteś dobrym człowiekiem. Podziwiałam, jak sobie radzisz z koszmarną sytuacją, twoją dzielność, zimną krew. Gdybyśmy byli w tym samym wieku, chciałabym, żebyś została moją przyjaciółką. Nadal dzieli nas różnica wieku, ale to z upływem lat ma coraz mniejsze znaczenie. Więc proponuję, żebyśmy od tego zaczęły: od przyjaźni. Możemy się od czasu do czasu widywać. Nic na siłę. Zobaczymy, jak to się uda. Czy to dla ciebie do przyjęcia?

– W porządku.

– To dobrze. No, ty wiesz, co ja porabiałam przez ostatnie pięć lat. Myślę, że wypadałoby, żebym i ja się dowiedziała, jak spędzałaś czas, kiedy ja spałam.

Jerry musiał pracować do późna, więc umówili się z Ashley w Tajfunie, tajskiej restauracji na Broadwayu, o parę ulic od jego biura. Hostessa poprowadziła Ashley przez zatłoczony lokal do stolika, przy którym czekał już Jerry.

– Jak ci poszła wizyta u Casey? – spytał, gdy tylko usiadła.

– Lepiej, niż się spodziewałam.

– Nie takie to dziwne. Casey ci się spodobała, kiedy byłaś w jej szkole, prawda?

– Tak, ale widziałam ją wszystkiego parę razy. Mówiliśmy sobie tylko dzień dobry w przelocie, poza tym jednym razem, gdy oprowadzała nas z mamą. Bardzo powierzchowna znajomość. No i nie wiedziałam przecież, że mnie porzuciła po urodzeniu, ani nie słyszałam tych złych rzeczy na jej temat.

– Jakich złych?

– Sam mi mówiłeś, jakie szaleństwa wyprawiała, kiedy poznała mego tatę. Miles wszystko w zasadzie potwierdził. Trafiała na odwyk. Puszczala się. Jeśli wierzyć Randy'emu Colemanowi, była zdolna do przemocy i sadyzmu.

Ashley streściła opowieść Colemana o przykuciu do łóżka i przypalaniu go papierosami. Jerry słuchał ze zgrozą.

– Ale zapadnięcie w śpiączkę, a potem to przebudzenie mogło ją odmienić – dodała Ashley. – Dzisiaj naprawdę złapałyśmy kontakt. Chciałabym ją lepiej poznać.

Jerry wyciągnął ręce, by ująć dłonie Ashley.

– To dobrze, Ashley. To ci naprawdę pomoże. Teraz, gdy Maxfield siedzi i pojawiła się możliwość dogadania z Casey, masz szansę zacząć od nowa. Będiesz wreszcie mogła żyć swoim życiem.

– O czymś zapomniałeś.

– O czym?

Ashley uścisnęła Jerry'emu rękę.

– O sobie, Jerry. Jeśli ktoś przywrócił mnie do życia, to byłeś nim właśnie ty.

WIECZÓR AUTORSKI

Chwila obecna

Czy Ashley zaprzyjaźniła się z pana siostrą? – to pytanie zadała Milesowi Van Meterowi młoda kobieta z tylnego rzędu.

– Tak, Ashley zaczęła regularnie bywać w Glenn Oaks. Kiedy Casey mogła już chodzić, dotrzymywała jej towarzystwa podczas spacerów po terenach należących do szkoły. Nadal się przyjaźnią.

Z drugiego rzędu powędrowała w górę ręka. Miles uśmiechnął się do ubranej w kostium bizneswoman w średnim wieku.

– *Śpiącą królowną* czyta się jak kryminał – powiedziała. – Próbował pan kiedyś fikcji literackiej?

– Miałem na studiach zajęcia z pisarstwa. Szło mi nieźle. No i, rzecz jasna, nie brakuje prawników piszących te sądowe thrillery. Gdy zaczęła się na to moda, myślałem o spróbowaniu swoich sił, ale zajmuję się prawem biznesowym, które jest zbyt nudne na dobrą fabułę.

– A napisze pan jeszcze dokumentalną książkę o jakiejś zbrodni?

– Nie. Wystarczy mi napisanie książki o zbrodni popełnionej na mojej siostrze.

– A co z powieścią?

Miles uśmiechnął się wstydliwie.

– No, rzeczywiście, mam pomysł na thriller. Pracuję nad szkicem wstępnym. Jeśli spodoba się mojemu wydawcy, to pewnie zaryzykuję.

Potężny mężczyzna z pierwszego rzędu także podniósł rękę. Miles kiwnął głową.

– Czyj to był pomysł z nowym wydaniem *Śpiącej królowny*?

– Właściwie to mój wydawca wpadł na to po aresztowaniu Maxfielda. Spytał mnie, czy nie miałbym ochoty dopisać kilku rozdziałów z relacją z procesu do nowego wydania książki. Zgodziłem się. Uznałem, że są one potrzebne, żeby doprowadzić tę historię do końca. I mnie też pozwoliły ją zamknąć.

Kobieta między regałami w głębi sali uniosła rękę. Miles wskazał ją gestem.

– Czy pana siostra czytała *Śpiącą królowną*, a jeśli tak, to jak ją oceniła?

– Czytała. Chyba wymagało to od niej sporego hartu ducha, ale Casey to twarda sztuka.

Rozległy się oklaski.

– A co do drugiej części pani pytania, to Casey powiedziała, że książka jej się podobała, choć nie wiem, czy przyznałaby mi się, gdyby uważała ją za okropną. W końcu się kochamy. Dlatego też, nawiasem mówiąc, nie należy nigdy dawać matce swoich prac do oceny.

Miles odczekał, aż śmiech ucichnie, nim wskazał siwowłosego pana w drucianych okularach o wyglądzie naukowca, który miał na sobie tweedową sportową marynarkę ze skórzanymi łatami na łokciach.

– Czy trudno było panu wytrzymać na procesie Joshuy Maxfielda?

– I tak, i nie. Trudno było słuchać o jego okropnych czynach, ale z wielką ulgą patrzyłem, jak wreszcie staje przed obliczem sprawiedliwości. Myślę, że Ashley znosiła to znacznie gorzej.

CZEŚĆ III

Z OSKARŻENIA PUBLICZNEGO PRZECIW JOSHUI MAXFIELDOWI

Rok wcześniej

Woźny sądowy zastukał młotkiem na znak, że rozpoczął się czwarty dzień procesu Joshuy Maxfielda. Delilah Wallace uśmiechnęła się na myśl, co ten dzień przyniesie. Skład ławy przysięgłych wybranej w ciągu dwóch pierwszych dni wielce ją radował. Udało się zebrać twardych, konkretnych ludzi. Na pewno nie dadzą się nabrać na jakieś sztuczki obrony i nie będą mieli oporów przed uznaniem śmierci za odpowiednią karę, jeśli orzekną winę człowieka oskarżonego o morderstwo ze szczególnym okrucieństwem.

Równie zadowolona była pani prokurator z pierwszych wystąpień oskarżenia i obrony. Swoje stanowisko uzasadniła szczegółowo i bez emocji. Omówiła w kolejności chronologicznej materiał dowodowy i przedstawiła świadków, których przysięgli będą mieli okazję wysłuchać. Pod koniec swojej mowy zauważyła, że co najmniej kilku z nich odruchowo jej przytakuje, kiedy wysuwa kolejny argument. No i uśmiechali się, gdy wprowadzała trochę humoru do obrad. Delilah nie miała trudności ze zjednywaniem sobie przyjaciół, a teraz czuła, że zyskała dwunastu nowych.

Jej zdaniem Erie Swoboda wygłosił nudną i mętną mowę wstępną. Mówił o pojęciu uzasadnionych wątpliwości, ale nie przytoczył ani jednego powodu, który miałby je wzbudzić u przysięgłych w trakcie procesu. Wyrażał się niejasno o własnej linii obrony. Wszystko to było bardzo teoretyczne, nieoparte żadnymi faktami. Zresztą Delilah wiedziała, dlaczego. Obrona nie miała żadnych argumentów na odparcie oskarżenia. Żadnych dowodów mogących zasiał choć cień jakichkolwiek wątpliwości, nie mówiąc o uzasadnionych. Joshua Maxfield był winien, winien, winien, a prokurator Wallace spokojna, że dysponuje środkami, by doprowadzić do jego ukarania.

Proces przeciwko Joshui Maxfieldowi miał się toczyć pod przewodnictwem sędziego Andrew Shimazu. Shimazu był niskim, pyzaty i jowialnym Amerykaninem japońskiego pochodzenia. Miał gęstą, szpeciniastą czuprynę. Po zrobieniu dyplomu inżyniera na Uniwersytecie Hawajskim Shimazu skończył prawo na uczelni w Portlandzie i już tu pozostał. Po kilku latach stażu w dużej kancelarii i dwóch kadencjach w legislaturze stanowej dostał nominację na sędziego sądu obwodowego hrabstwa Multnomah. Pełnił tę funkcję już szósty rok. Dzięki swej inteligencji i sędziowskiemu temperamentowi cieszył się dużą popularnością.

– Proszę wezwać swojego pierwszego świadka, pani Wallace – zarządził teraz.

Delilah postanowiła rozpocząć swą batalię od najbardziej ujmującego i śmiertelnie skutecznego świadka oskarżenia. Pani prokurator chciała z miejsca przekonać przysięgłych o winie podsądnego. Jak już ulegną pierwszemu wrażeniu, to obrońcy, mecenasowi Swobodzie, będzie bardzo trudno odrobić straty.

– Oskarżenie wzywa na świadka Ashley Spencer.

Idąc przejściem między ławkami w stronę boksu dla świadków, Ashley przypominała sobie, z jakim przerażeniem zeznawała przeciw Joshui Maxfieldowi na rozprawie wstępnej. Dziś tamten strach zastąpiły skupienie i gniew. Mijając stół obrony, posłała Maxfieldowi piorunujące spojrzenie. Ku jej wielkiej satysfakcji nie wytrzymał jej nieustępliwego wzroku. Podeszła do miejsca dla świadków i stanęła przed nim, unosząc w górę prawą rękę na czas odczytywania tekstu przysięgi.

Potem zajęła swoje miejsce, czekając na pytania Delilah. Jerry siedział wśród publiczności w pierwszym rzędzie, tuż za stołem prokuratury. Kiedy ich oczy się spotkały, uśmiechnął się do niej, żeby dodać jej odwagi. Zgodnie z instrukcjami Delilah Ashley nie odpowiedziała uśmiechem. Wiedziała, że należy zachować całkowitą powagę od momentu zajęcia miejsca dla świadków aż do końca zeznań.

Obok Jerry'ego siedział Miles Van Meter. Nie figurował na liście świadków. Przyszedł podtrzymywać na duchu zeznającą siostrę oraz ze względu na swoją książkę, której uaktualnione wydanie szykował do druku.

Delilah przystąpiła do dzieła delikatnie, wiodąc świadka bezpiecznymi ścieżkami szczęśliwego życia rodzinnego i kariery sportowej w szkole. W mowie wstępnej zapowiedziała, czego się spodziewa po zeznaniach Ashley, a teraz przysięgli z sympatią słuchali tego, co świadek ma do powiedzenia.

Przygotowawszy grunt, Delilah podjęła temat nocy, w której zginęli Tania Jones i Norman Spencer. Ashley opowiedziała przysięgłym, jak zostały napadnięte i skrepowane i jak na jej oczach mężczyzna, który wtargnął do jej domu, zawlókł Tanię do sąsiedniego pokoju. W trakcie opowieści o zgwałceniu i zamordowaniu Tani nerwy odmówiły jej chwilowo posłuszeństwa i musiała przerwać na chwilę i napić się wody, żeby ochłoniąć.

– Możemy kontynuować, panno Spencer? – spytał sędzieja Shimazu. – Mogę zarządzić przerwę.

Ashley odetchnęła głęboko i popatrzyła przez salę na Joshuę Maxfielda. Raz jeszcze uciekł wzrokiem przed jej spojrzeniem. To dodało jej sił.

– Chciałabym kontynuować, Wysoki Sądzie. Nic mi nie jest.

– Proszę, pani Wallace.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie. Ashley, słyszałaś stłumione krzyki Tani Jones. Jaki pierwszy odgłos wydany przez tego mężczyznę dobiegł twoich uszu z drugiego pokoju, do którego zaciągnął Tanie Jones?

– To był... było sapnięcie.

– Co mógł oznaczać tego rodzaju dźwięk?

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie – wtrącił się Erie Swoboda. – Domysły.

– Wysoki Sądzie, przedstawię dowody, że Tania Jones była dziewicą i została zgwałcona. Na poparcie spostrzeżeń panny Spencer znajdzie się mnóstwo dowodów rzeczowych.

– Panie Swoboda, pozwalam panie Spencer odpowiedzieć.

– Ashley? – podjęła Delilah.

– To zabrzmiało jakby on... jak uprawianie seksu – zaczerwieniła się Ashley. – A potem miał orgazm.

– Co usłyszałaś później?

– Tania cicho szlochała. Potem usłyszałam... Jakby jakieś zwierzę. To nie był ludzki odgłos. A potem takie chrapliwe stęknienia i Tania przestała krzyczeć.

– Czy to chrapliwe stękanie ustało, kiedy Tania ucichła?

– Nie. To jeszcze trwało i trwało. A potem drzwi do tamtego pokoju otworzyły się z trzaskiem.

– Czego się wtedy spodziewałaś?

– Myślałam... myślałam, że teraz zgwałci i zabije mnie, tak jak Tanie. Tak samo.

– A co się tymczasem wydarzyło?

– Stał w drzwiach i popatrzył na mnie. Wydawało mi się, że to trwało strasznie długo. Ale nie wszedł. Poszedł na dół.

– Doszły cię z dołu jakieś odgłosy?

– Słyszałam, jak otworzył drzwi lodówki.

– Zaraz wrócimy do tego, co wydarzyło się w kuchni. Najpierw chciałabym, żebyś opowiedziała przysięgłym, jak udało ci się uciec.

Ashley wyprostowała się i obróciła twarzą do ławy przysięgłych. Przez moment było jak w drugiej klasie, kiedy rozgrywała mecz, czując obecność ojca. Norman znów tu wrócił i znów dodał jej siły. Podniósł ją na duchu i umocnił.

– Ojciec ocalił mi życie – powiedziała przysięgłym. – Mój ojciec poświęcił życie, żeby mnie ratować. Nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie mój ojciec. Norman Spencer.

Odpowiadając na zadane pytania Delilah, Ashley odtworzyła szczegółowo przebieg swojej ucieczki, a potem opowiedziała o tym, jak trafiła do szkoły Oregon Academy. Mówiła o kontaktach z Joshua Maxfieldem i uczestnictwie matki w warsztatach pisarskich. Nadeszła pora na relację z przystani.

– Ashley – spytała Delilah – podchodziłaś bardzo poważnie do swojej kariery piłkarskiej, prawda?

– Tak.

– Czy poza treningami zespołowymi dbałaś jeszcze jakoś inaczej o kondycję?

– No, ćwiczyłam dodatkowo.

– Czy w związku z tym lubiłaś wieczorami biegać po lesie na terenach należących do szkoły, żeby wzmocnić nogi i płuca?

– Tak.

– Czy wybrałaś się na taką przebieżkę tego wieczoru, kiedy zginęła Terri Spencer?

Ashley zbladła. Spuściła oczy i potwierdziła tak cicho, że stenotypistka musiała ją prosić o powtórzenie.

– Czy w trakcie biegania widziałaś kogoś?

– Tak.

– Kogo?

Wzrok Ashley powędrował w stronę Joshuy Maxfielda.

– Jego widziałam, oskarżonego – wskazała.

– Co robił?

– Szedł brzegiem rzeki.

– Czy zauważyłaś coś niezwykłego w jego zachowaniu?

– Nie. W ogóle się nad tym nie zastanawiałam, bo wiedziałam, że ma domek niedaleko przystani.

– Czy szedł w kierunku przystani, czy oddalał się od niej?

– W kierunku przystani.

– Czy wkrótce potem zdarzyło się coś niezwykłego?

– Tak, usłyszałam krzyk kobiety. A potem drugi.

– Czy krzyki nastąpiły szybko jeden po drugim?

– Tak, dość szybko, trudno mi powiedzieć dokładnie.

– Skąd dobiegały te krzyki?

– Od strony przystani.

– Co zrobiłaś po tym, jak usłyszałaś te krzyki?

– Bałam się. Po pierwszym zmartwiałam. Potem pomyślałam, że może ktoś jest

ranny, więc pobiegłam na przelaj przez las aż pod ścianę szopy na łodzie na przystani.

– Widziałaś jeszcze kogoś po drodze do przystani?

– Nie.

– Co było dalej?

– Usłyszałam, że jakaś kobieta coś mówi.

– Co powiedziała?

– Nie wiem. Słyszałam tylko dźwięk głosu, stłumiony, zza ściany.

– Skąd wiesz, że to była kobieta?

– To był wysoki głos.

– Co zrobiłaś potem?

– Zajrzałam przez okno do środka.

– Co zobaczyłaś?

Ashley wskazała Maxfielda.

– Jego. I dwie kobiety leżące na podłodze. A on trzymał nóż. Zakrwawiony. – Ashley miała kłopoty z oddychaniem, ale przemogła się, żeby dokończyć zeznanie.

– Zobaczył mnie i próbował mnie zabić. Zabił moją matkę i gonił mnie, i próbował mnie zabić.

– Kto zabił twoją matkę, Ashley? – pytała Delilah. – Kto próbował zabić ciebie?

– On. Joshua Maxfield. Próbował mnie zabić. Zabił moją matkę.

Ashley się rozplakała.

Po przerwie Delilah wypytywała Ashley o to, jak dochodziła do siebie w internacie i o napaść, której omal nie padła tam ofiarą po ucieczce Maxfielda z aresztu. Erie Swoboda na szczęście nie miał wielu pytań i Ashley była wolna tuż przed piątą. Sędzia Shimazu zawiesił rozprawę do następnego dnia. Delilah, Jerry Philips, Larry Birch i Tony Marx opiekuńczo wzięli Ashley w kółeczko i przeprowadzili przez tłum kłębiący się pod drzwiami sali. Prokurator Wallace stanęła przed windami twarzą do kamer i mikrofonów. Własnym ciałem zasłoniła Ashley przed blaskiem reflektorów i pytaniami wykrzykiwanymi przez dziennikarzy.

– Panna Spencer nie będzie odpowiadać na żadne pytania. Jest wyczerpana. Miała mnóstwo strasznych przeżyć w ciągu ostatnich pięciu lat, i dlatego domagam się poszanowania jej prywatności. Wykazała się dzisiaj wielką odwagą. Należy jej się trochę spokoju.

Kilku reporterów rzuciło się z pytaniami do Delilah. W czasie, gdy na nie

odpowiadała, Jerry z policjantami i Ashley umknęli windą.

– Byłaś fantastyczna – powiedział Jerry, kiedy drzwi windy się za nimi zamknęły.

– Nie czuję się fantastycznie – odparła.

– No, już po wszystkim, a Swoboda nawet cię nie drasnął.

– Nie patrzę na to w kategoriach pojedynku, Jerry.

– Nie, nie. Chodzi mi o to, że twoje zeznania są niepodważalne. Delilah nie mogła lepiej sobie tego wymarzyć. To przede wszystkim dzięki tobie Maxfield zostanie skazany. Nie był ci nawet w stanie spojrzeć w oczy. Widzieli to przysięgli.

Zamiast uniesienia Ashley ogarnęło znużenie, choć także i spokój, bo jej rola w procesie dobiegła końca.

Winda stanęła i towarzyszący jej mężczyźni poprowadzili ją do biura Delilah. Po paru minutach nadciągnęła i jego gospodyni, uśmiechając się od ucha do ucha.

– Chodźże, dziewczyno! – zawołała, tuląc Ashley w niedźwiedzim uścisku. Po chwili cofnęła się o krok, podziwiając swego świadka na wyciągnięcie rąk. – Możesz być z siebie dumna jak diabli, młoda damo. Sama jedna doprowadziłaś do tego, że okropnego mordercę czeka sprawiedliwa kara. Wiem, że jeszcze długa droga przed nami, ale patrzyłam na twarze tych dwunastu ludzi i oni są już nasi. Chyba sam Wszechmogący musiałby się wmieszać, żeby Joshua Maxfield został uniewinniony, a jak na razie ma po swojej stronie tylko szatana i Erica Swobodę.

Wylewne pochwały Delilah przyprawiły Ashley o rumieniec.

– Jak się czujesz? – spytała. – Wreszcie ulga?

Ashley kiwnęła głową.

– Będiesz dziś dobrze spać, dziecko, bo dobrze się spisałaś. Pomściłaś swoich rodziców. Są z ciebie dumni.

– Tak się cieszę, że nie będę już musiała iść do sądu.

Uśmiech prokuratorki znikł.

– Wiem, że chciałabyś trzymać się od tego z daleka i zapomnieć, ale musisz być co dzień w sądzie, aż do samego końca.

Ashley wyglądała na zdruzgotaną. Delilah nie spuszczała z niej oczu. Przemówiła tonem stanowczym.

– Ze względu na swoich rodziców musisz być w sądzie twarzą w twarz z ich zabójcą. Reprezentujesz Normana i Terri Spencerów i Tanie Jones. To ważne. Przysięgli muszą cię widzieć dzień w dzień. Muszą wiedzieć, że patrzysz im na ręce, a oni przed tobą odpowiadają.

– Dobrze.

Delilah ścisnęła lekko jej ramiona.

– Już wkrótce czeka cię zasłużony odpoczynek, ale najpierw musisz spełnić swoją powinność, żeby Joshua Maxfield nigdy już nie zaznał spokoju.

Następnego dnia Jerry nie mógł towarzyszyć Ashley do sądu, bo sam miał prowadzić sprawę rozwodową w hrabstwie Washington. Zaproponował nawet, że spróbuje ją przełożyć, ale Ashley nie chciała o tym słyszeć. Kiedy weszła na salę, Miles Van Meter siedział już na swoim miejscu w pierwszym rzędzie.

– Nie miałem okazji wczoraj z tobą porozmawiać – powiedział. – Znakomicie zeznawałaś. Patrzyłem na przysięgłych. Nie uronili chyba ani słówka. Mam nadzieję, że Casey też stanie na wysokości zadania.

– Na pewno. To bardzo silna kobieta.

– Jestem ci wdzięczny, że spędzasz z nią tyle czasu. Dzięki temu tak szybko odzyskuje zdrowie.

– To moja matka – odparła Ashley. Łatwiej jej już było myśleć o Casey jako o swojej matce.

– Biorąc pod uwagę, jak cię potraktowała, to nic jej nie jesteś winna. Tym bardziej cię podziwiam.

– Poznawanie Casey mnie też pomogło. Jakbym znowu zaczynała tworzyć rodzinę.

Zanim Miles zdążył jej odpowiedzieć, woźny przywołał zebranych do porządku, stukając młotkiem.

Na początek Delilah wezwała troje kursantów z warsztatów pisarskich prowadzonych przez Joshuę Maxfielda. Opowiedzieli przysięgłym o zdenerwowaniu Terri Spencer podczas lektury fragmentu powieści o seryjnym mordercy. Kolejnym świadkiem oskarżenia była sekretarka dyrektorki, która potwierdziła, że Terri widziała się z panią Van Meter w dniu swojej śmierci. Po sekretarce Delilah wezwała pracownika firmy telekomunikacyjnej na dowód, że dyrektorka dzwoniła do matki Ashley w niecałą godzinę po spotkaniu.

Kiedy z ust przesłuchiwanym świadków padało jakieś istotniejsze stwierdzenie, Ashley popatrywała na Maxfielda. Nigdy nie odwzajemnił jej spojrzenia. Siedział przygarbiony ze wzrokiem wbitym w stół. Wyglądało na to, że się poddał.

Z kolei zeznawała doktor Sally Grace, patolog sądowy. Opisywanie przyczyn śmierci Tani Jones oraz rodziców Ashley zajęło jej resztę przedpołudnia. W uzupełnieniu pokazano przysięgłym fotografie. Na szczęście dla Ashley widzowie nie mogli oglądać zdjęć z miejsc zbrodni ani z sekcji zwłok. Słuchanie o obrażeniach rodziców i przyjaciółki było dla niej wystarczająco koszmarnym

przeżyciem. Nawet uprzedzona wcześniej przez Delilah o tym, co dziś usłyszy, Ashley i tak musiała bardzo walczyć ze sobą, żeby nie wyjść z sali.

Po przerwie na lunch prokurator Wallace zaprosiła na miejsce dla świadków Tony'ego Marksa, żeby przedstawił dowody rzeczowe zabezpieczone na przystani i w domku Maxfielda. Potem inspektor Birch omówił dowody zebrane na miejscu zbrodni w domu Spencerów. Po jakiejś godzinie Delilah zmieniła temat.

– Na pewnym etapie śledztwa doszedł pan do wniosku, że sprawca owej zbrodni popełnił kilka morderstw w innych stanach, prawda?

– Tak – odrzekł Birch.

– Jakie kroki pan podjął, by to sprawdzić?

– Posłaliśmy informacje o tej sprawie do FBI.

– Dlaczego?

– Bo w Federalnym Biurze Śledczym jest wydział do ścigania seryjnych morderców.

Delilah zwróciła się do sędziego Shimazu.

– Nie mam na razie więcej pytań do inspektora Bircha, ale zamierzam wezwać go raz jeszcze na późniejszym etapie, Wysoki Sądzie.

– Świadek do pańskiej dyspozycji, panie Swoboda.

– Czy mogę zachować prawo do przesłuchania świadka po drugiej części jego zeznań?

– Ma pani coś przeciwko temu, pani prokurator?

– Nie, Wysoki Sądzie.

– Proszę wezwać następnego świadka, pani Wallace.

– Oskarżenie wzywa Bridget Booth, Wysoki Sądzie.

Po chwili w przejściu między rzędami pojawiła się krótko ostrzyżona siwowłosa kobieta o jasnej cerze. Miała wojskową postawę, a na sobie szary kostium, białą bluzkę i praktyczne półbuty.

– Czym się pani zajmuje, pani Booth? – spytała Delilah, jak tylko świadek został zaprzysiężony.

– Jestem agentem FBI, Federalnego Biura Śledczego.

– Gdzie mieści się pani jednostka?

– W Quantico w Wirginii.

– Może pani poinformować przysięgłych, jakie ma pani wykształcenie?

– Otrzymałam licencjat z psychologii i tytuł magistra psychologii społecznej na Uniwersytecie Missouri.

– Gdzie pani pracowała po studiach?

– W policji. Przez siedem lat byłam inspektorem w wydziale zabójstw w St. Louis w Missouri. Właściwie to dyplom obroniłam już w trakcie pracy. Po prawie siedmiu latach złożyłam podanie do FBI i zostałam przyjęta. Przeszłam podstawowe szkolenie w Quantico i przez cztery lata służyłam jako agentka specjalna w jednostce w Seattle. Potem ubiegałam się o przyjęcie do VICAP-u, gdzie służę od trzynastu lat.

– Co to jest VICAP?

– To skrót oznaczający program zwalczania zbrodni, zapoczątkowany w pewnym sensie w latach pięćdziesiątych przez Pierce'a Brooksa, nieżyjącego już inspektora policji z Los Angeles. Brooks prowadził śledztwo w związku z zamordowaniem dwóch mieszanek Los Angeles, których ciała, skrupowane liną, znaleziono na pustyni. Obie odpowiedziały na ogłoszenie o poszukiwaniu fotogenicznych modelek. Inspektor Brooks był przekonany, że to robota mordercy, który zabijał już przedtem i zabijać nie przestanie, więc w wolnym czasie szukał w gazetach z innych miast wzmianek o podobnych morderstwach. Udało mu się, dzięki czemu sprawca został aresztowany i skazany.

Inspektor Brooks doszedł do wniosku, że umieszczenie informacji o prowadzonych sprawach o zabójstwo w komputerze umożliwi funkcjonariuszom organów ścigania z całego kraju poszukiwanie sprawców zbrodni popełnionych według jednego schematu. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku powstał Państwowy Ośrodek Analiz Kryminalnych pod egidą centrum szkoleniowego FBI w Quantico. VICAP stanowi jego część. Ma na celu zbieranie, porównywanie i analizowanie wszelkich danych w śledztwach dotyczących wielokrotnych morderstw popełnianych w podobny sposób na terenie całego kraju.

– Czy mniej więcej pięć lat temu zatelefonował do pani inspektor Larry Birch z policji w Portlandzie w sprawie zbrodni popełnionej w Oregonie? – spytała Delilah.

– Tak.

– Dlaczego się z panią skontaktował?

– Morderstwo miało niezwykły charakter, więc inspektor chciał wiedzieć, czy dotarły do nas informacje o podobnych przypadkach. Chodziło także o nieopublikowaną powieść...

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie – odezwał się Swoboda. – Sprzeciwiamy się jakimkolwiek powoływaniu się na tę książkę. To fikcja literacka.

– Rozstrzygnięcie w tej sprawie zapadło na posiedzeniu wstępnym –

przypomniał mu sędzia Shimazu. – Postanowiłem, że powoływanie się na tę książkę uznaję za dopuszczalne w pewnym ściśle ograniczonym zakresie. Więc teraz oddalam pana sprzeciw, ale pan może go zgłaszać w innych przypadkach. Proszę dalej, pani Wallace.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie.

Delilah wróciła do swego świadka.

– Agentko Booth, zostawmy na razie tę powieść w spokoju. Czy natrafiła pani w waszych rejestrach na jeszcze inne zbrodnie przypominające te, którymi zajmował się inspektor Birch?

Booth zwróciła się w kierunku ławy przysięgłych.

– Sporządziliśmy listę morderstw popełnionych w ciągu kilku ostatnich lat w Iowa, Connecticut, Massachusetts, Rhode Island, Ohio, Michigan, Arizonie, Montanie i Idaho, które mogły być dziełem tego samego seryjnego mordercy.

– Skąd to przypuszczenie?

– W każdym przypadku zabójca włamał się nad ranem do domu, w którym znajdowali się rodzice z nastoletnią córką. Skrępował ofiary taśmą samoprzylepną i torturował rodziców aż do ich śmierci, praktycznie tnąc ich powoli na kawałki.

Kilku przysięgłych wzdrygnęło się.

– Potem, przed zadżganiem córki, gwałcił ją.

– Czy jeszcze coś łączyło te zbrodnie?

– Tak. W kilku przypadkach sprawca zjadł coś w rodzaju przekąski. W domu w Connecticut, na przykład, kawałek placka. Batonik w Montanie. Podczas zbrodni w domu Spencerów, o której tu mowa, zjadł kawałek tortu i napił się mleka. Jeszcze jeden wspólny element to ta taśma samoprzylepna. Pochodziła od tego samego producenta, a kawałki użyte w Michigan i Arizonie nawet z tej samej rolki.

– Czy FBI opracowało portret psychologiczny osoby odpowiedzialnej za te czyny?

– Sprzeciw – powiedział Swoboda. – Byłoby to oparte na czystych spekulacjach.

– Skłonny byłbym przyznać rację panu Swobodzie – orzekł sędzia Shimazu. – Policja może wykorzystywać w śledztwie różne środki, jak na przykład wykrywacz kłamstw, których nie uznano za wystarczająco wiarygodne, aby mogły stanowić materiał dowodowy w sądzie. O ile nie poda pani uzasadnienia naukowej wiarygodności portretów psychologicznych w kryminalistyce, podtrzymam sprzeciw obrony.

– Dobrze, Wysoki Sądzie. Agentko Booth, czy czytała pani dwie wersje

powieści, nad którą oskarżony pracował w czasie, gdy został aresztowany?

– Tak.

– Czy bohaterem książki jest fikcyjny seryjny zabójca?

– Tak.

– Czy zaistniały jakieś szczególne podobieństwa między zbrodniami popełnionymi przez literacką postać a materiałem dowodowym zebrany na miejscach rzeczywistych morderstw popełnionych przez sprawcę, którego portret psychologiczny pani sporządziła?

– Tak.

– Czy wśród tych zbieżności między treścią powieści a rzeczywistością znalazły się szczegóły rzeczywistych zbrodni, których policja nigdy nie ujawniła mediom?

– Tak.

– Proszę opisać te zbieżności.

– W powieści zabójca włamuje się do domów nad ranem i morduje rodziców nastolatki. Zamierza zgwałcić i zabić dziewczynę, ale najpierw zjada coś słodkiego na miejscu zbrodni, w kuchni. Jak już zeznałam, wszystkie morderstwa popełniono w rzeczywistości nad ranem, a ich ofiarą padły małżeństwa z jedną nastoletnią córką. Ponadto w Montanie i Connecticut zabójca przegryzł coś na miejscu zbrodni, a człowiek, który zamordował Normana Spencera i Tanie Jones, zjadł kawałek tortu i napił się mleka w kuchni Spencerów.

– Czy siły policyjne w Montanie, Connecticut i Oregonie podały do publicznej wiadomości informacje o tym podjadaniu na miejscu zbrodni?

– Nie.

– Czemu nie ujawniono tych szczegółów?

– Prowadzący śledztwo zachowują nietypowe szczegóły w tajemnicy, żeby zabezpieczyć się przed fałszywymi przyznaniami się do winy. Chcą mieć pewność, że aresztują właściwą osobę. Ktoś, kto zna nieujawnione szczegóły zbrodni, jest prawdopodobnie jej sprawcą.

– Sprzeciw – wtrącił Swoboda.

– Na jakiejś nowej podstawie? – spytał sędzia.

– Nie, Wysoki Sądzie.

– Oddalam. Skoro pisany panu nieustający sprzeciw wobec wszelkich podobnych materiałów, nie musi pan go zgłaszać za każdym razem, gdy mowa o tej powieści. Proszę dalej, pani prokurator.

Kiedy pani Booth skończyła wyliczać inne analogiczne sceny z książki Joshuy

Maxfielda odpowiadające rzeczywistym zbrodniom, Delilah przekazała swego świadka obronie.

– Agentko Booth, zeznała pani, że siły policyjne prowadzące śledztwo w związku ze zbrodniami popełnionymi w Montanie, Connecticut i Oregonie trzymały pewne informacje w tajemnicy.

– Tak.

– W skład tych sił wchodzi wielu policjantów, prawda?

– Tak.

– Czy nigdy nie słyszała pani o informacjach, które miały być przez duże zespoły policyjne zachowane w tajemnicy, a mimo to przedostały się na zewnątrz?

– Słyszałam.

– Na miejscu zbrodni pracowało wiele osób, które mogły dowiedzieć się o przerwie na przekąskę, jaką zrobił sobie w trakcie zbrodni zabójca, prawda?

– To możliwe.

– Każda z tych osób mogła ujawnić tę informację?

– Tak.

– Agentko Booth, czy znane są pani jeszcze inne zbrodnie, oprócz tych przez panią opisanych, w których sprawca użył taśmy samoprzylepnej do krępowania ofiary?

– Tak.

– Czy przestępcy nie stosują często taśmy samoprzylepnej do krępowania swoich ofiar?

– Taśma samoprzylepna bywa wykorzystywana do celów przestępczych.

– Czy w ramach swoich obowiązków służbowych lub dla przyjemności czytuje pani książki o wymyślonych seryjnych zabójcach?

– Tak.

– Czy czytała pani kiedyś powieść, której fabuła odpowiadała rzeczywistej sprawie?

– Tak.

– I powstaje też wiele opartych na faktach powieści o prawdziwych seryjnych mordercach, prawda?

– Tak.

– I w tych opartych na faktach kryminałach autorzy bardzo szczegółowo opisują sposób działania zbrodniarzy?

– Tak.

– Pisarze żyją z pracy swojej wyobraźni, prawda?

– Tak.

– I gromadzą też materiały? Czytają o prawdziwych zbrodniarzach, żeby bohaterowie ich powieści jak najbardziej przypominali żywych ludzi?

– Zapewne.

– A wyobrażenia pisarza podejmującego temat seryjnego mordercy, dotyczące ewentualnych sposobów zabicia kogoś lub zachowań mordercy mogą okazać się bardzo zbliżone do faktycznych poczynań zbrodniarza?

– Zapewne.

– Czy zna pani jakieś powieści, w których seryjny morderca używa taśmy samoprzylepnej do krępowania swoich fikcyjnych ofiar?

– Tak.

– Agentko Booth, przyznała pani, że pisarze często zbierają dokumentację prawdziwych zbrodni, żeby uwiarygodnić swoje zmyślane historie, prawda?

– Tak.

– Czy jakikolwiek pisarz zwrócił się kiedyś do VICAP-u z prośbą o materiały, które mogłyby mu posłużyć za podstawę opowieści o seryjnym mordercy?

– Tak.

– Czy wiadomo pani o tym, aby pan Maxfield rozmawiał kiedyś z jakimś pracownikiem VICAP-u czy też z agentem FBI w innej jednostce lub z policjantem czy inspektorem na temat seryjnych morderców?

– Ze mną nie rozmawiał.

– Nie o to pytałem.

– Nic mi nie wiadomo na ten temat, czy oskarżony rozmawiał, czy nie rozmawiał z kimś z FBI lub z innych organów ścigania o swojej książce.

– Z pani zeznań wynika, że we wszystkich przypadkach użyto taśmy samoprzylepnej tego samego wytwórcy.

– Tak.

– Ile rolek takiej taśmy produkuje on rocznie?

– Nie mam przy sobie dokładnych danych.

– Czy można spokojnie założyć, że ów wytwórca produkuje dużo taśmy samoprzylepnej?

– Tak.

– Tysiące rolek?

– Prawdopodobnie.

– I rozprowadza je po całym kraju?

– Tak.

– Więc to całkiem możliwe, że jakiś morderca z Michigan i inny, zupełnie z nim niezwiązany morderca z Arizony nabyli rolki tego samego producenta?

Przed odpowiedzią agentka Booth zerknęła na Delilah, która posłała jej przelotny uśmiech. Świadek skierował wzrok z powrotem na Swobodę.

– Zgadza się.

– Na początku swoich zeznań powiedziała pani, że FBI sporządziło listę zabójstw popełnionych w kilku stanach, które, tu cytuję: „mogły być dziełem tego samego seryjnego mordercy”, koniec cytatu. Zgadza się, prawda?

– Chyba tak.

– Dlaczego użyła pani określenia „mogły być dziełem”? Skąd ten brak pewności?

– Sądząc z materiału dowodowego, zbrodnie popełniła ta sama osoba, ale nie możemy tego stwierdzić na sto procent, dopóki sprawca się nie przyzna.

– Czy są między tymi morderstwami jakieś różnice?

Agentka Booth znów popatrzyła na Delilah, lecz z jej wyrazu twarzy nie można było nic wyczytać.

– Czy zrozumiała pani pytanie?

– W sprawach z Connecticut i Montany pewne poszlaki sugerowały obecność więcej niż jednej osoby podczas popełniania zbrodni.

– Dwóch morderców? – spytał Swoboda ze źle skrywanym zdumieniem.

– Sprawca tych dwóch zbrodni mógł mieć współnika, choć to też nie jest pewne. Pod wszelkimi innymi względami sposób popełnienia zbrodni we wszystkich wspomnianych przeze mnie sprawach jednoznacznie wskazywał na jednego i tego samego sprawcę.

– No tak, ale skoro w dwie zbrodnie zamieszanych było po dwóch zabójców, a w pozostałe tylko jeden, to możemy mieć do czynienia ze zbrodniami niepowiązаныmi ze sobą, prawda?

– Istnieje i taka możliwość.

– Gdyby to była prawda, okazałoby się, że ktoś niezależnie popełnił zbrodnię niemal identyczną ze zbrodnią popełnioną przez jakieś dwie inne osoby, tak?

– Tak.

– Czyli z coraz mniejszym zdziwieniem przyjęlibyśmy do wiadomości, że trzecia osoba, na przykład jakiś pisarz, wymyśliła fikcyjną intrygę opisującą podobną zbrodnię, prawda?

– Chyba tak – odparła niechętnie Booth.

– Dziękuję pani – powiedział Swoboda z triumfalnym uśmiechem. – Nie mam

więcej pytań.

– A pani prokurator? – spytał z kolei sędzieja.

– Tak, Wysoki Sądzie. Agentko Booth, pan Swoboda przedstawił jako możliwą taką wersję wydarzeń, w której dwóch różnych zabójców, jeden w Arizonie, a drugi w Michigan, kupili przed popełnieniem zbrodni dwie różne rolki taśmy pochodzącej z tej samej wytwórni, wywołując mylne wrażenie, że między tymi zbrodniami istnieje jakiś związek.

– Tak.

– Czy FBI zdołało ustalić taki związek między taśmą użytą w Arizonie i taśmą użytą w Michigan, który wykluczałby zbieg okoliczności?

– Tak. W Arizonie i w Michigan użyto taśmy z tej samej rolki.

– Skąd ta pewność?

– W naszym laboratorium sprawdzono końce taśmy z obu tych spraw i okazało się, że kawałek, którym miała związane ręce jedna z ofiar w Arizonie, idealnie pasuje do kawałka z Michigan, jak fragmenty układanki. W stu procentach.

Nazajutrz rano Ashley już razem z Jerrym Philipsem patrzyła, jak Randy Coleman sunie nonszalancko przejściem dla świadków, tocząc wokół okiem niczym bokser wkraczający na ring, by rozegrać ważny pojedynek. Miał na sobie nowy garnitur, ogolił się i ostrzygł. Ashley domyślała się, że Coleman nie miał w życiu zbyt wielu okazji, by zabłysnąć, więc starał się wykorzystać do maksimum ów kwadrans sławy, jaki mu teraz przypadł.

– Panie Coleman, jest pan mężem Casey Van Meter, jednej z poszkodowanych w tej sprawie? – spytała swego świadka Delilah.

– Tak, proszę pani.

– Kiedy się państwo pobrali?

– Sześć lat temu.

– W dwa miesiące po ślubie pani Van Meter wystąpiła o rozwód, czy tak?

– Tak, ale prawie już sobie z tym poradziliśmy, zanim Maxfield próbował ją zabić.

– Sprzeciw. Bez związku z pytaniem – zareagował Swoboda. – Wnoszę o wykreślenie z protokołu.

– Podtrzymuję. Przysięgli, proszę zignorować całość wypowiedzi świadka oprócz potwierdzenia, że trwało postępowanie rozwodowe.

– Panie Coleman – podjęła prokurator Wallace – czy może pan opowiedzieć przysięgłym o spotkaniu z oskarżonym w pobliżu szkolnego basenu w Oregon Academy?

Delilah przecwicyła z Colemanem pytania, które zamierzała mu zadać na procesie. Tłumaczyła mu, że może się spokojnie przyznać do kłótni z Casey, ale Coleman reagował bardzo nerwowo, tak że modliła się teraz w duchu, żeby jej nie zawalił sprawy.

– Taaa, jasne. Przyjechałem do szkoły, żeby pogadać z Casey. Wiedziałem, że tak naprawdę nie chce rozstania i że poradzimy sobie z tym wszystkim, jeśli tylko szczerze porozmawiamy o naszych problemach. Casey lubiła pływać w tym basenie, no i tam ją zastałem. Ledwie zaczęliśmy gadać, kiedy Maxfield mnie z tyłu zaatakował. Byłem bez szans. Gdyby mnie tak podstępnie nie podszedł to...

– Panie Coleman – przerwała mu Delilah – czy podczas tej sprzeczki oskarżony panu groził?

– No tak. Groził, że mnie zabije. Powiedział, że mi podłoży bombę w

samochodzie albo w mieszkaniu.

– Zmieniając temat, czy był pan obecny w zakładzie opiekuńczym Sunny Rest, gdy doszło do aresztowania oskarżonego?

– Tak, proszę pani. – Coleman wypiął dumnie pierś, uśmiechając się do przysięgłych. – Złapałem go i uratowałem Ashley Spencer.

– Proszę opowiedzieć przysięgłym, co wtedy zaszło.

– Casey leżała już w tej śpiączce od lat. Na początku miałem naprawdę strasznego doła. Próbowałem sobie wmówić, że ona się lada dzień obudzi. Myślałem, że nie ma co jej odwiedzać. Lekarz powiedział mi, że Casey mnie nie usłyszy ani nic nie powie, no i bałem się, że będę za bardzo roztrzęsiony, kiedy zobaczę ją jak takie warzywko. W dodatku jej ojciec naprawdę mnie nie znosił. Podejrzewam, że to on ją namówił do rozwodu. Bardzo wszystkimi dyrygował.

– Sprzeciw – zgłosił Swoboda. – Świadek nie odpowiada na pytanie.

– Tak, panie Coleman – powiedział sędzia – poniosło pana daleko od tematu.

– Przepraszam, panie sędzio.

– Niech pan opowie ławie przysięgłych, co się wydarzyło podczas pana wizyty w zakładzie opiekuńczym Sunny Rest w dniu aresztowania oskarżonego – wtrąciła się Delilah, zanosząc w myślach błagalne modły, żeby Coleman znowu nie zбочzył z tematu.

– Jasne. Byłem w mieście w związku z rozprawą o kuratelę i postanowiłem odwiedzić Casey. Lało wtedy naprawdę potężnie. Zaparkowałem wóz, lecz nie wysiadłem. Najpierw chciałem zobaczyć Casey, ale potem zacząłem się denerwować, jak ona wygląda. No, leżała przecież nieprzytomna od pięciu lat. No więc siedziałem w samochodzie i zastanawiałem się, co zrobić, i wtedy zobaczyłem Ashley Spencer, jak wychodzi z zakładu. Zorientowałem się, że była odwiedzić Casey i że mogę ją zapytać, co z nią.

Ashley przeniosła wzrok na Maxfielda. Wyprostował się i świdrował oczami Colemana. Po raz pierwszy od dość dawna dał jakieś oznaki życia.

– Miała szczęście, że chciałem pogadać – ciągnął Coleman. – Jak wysiadałem z samochodu, ona już biegła w stronę swojego. Pochyliłem głowę z powodu deszczu i ruszyłem za nią. Kiedy podniosłem wzrok, ktoś zamierzał się na nią nożem.

– Widział pan twarz napastnika? – spytała Delilah.

– Nie, miał kaptur.

– Co było dalej?

– Ashley go kopnęła i uciekła. On pobiegł za nią. Wiedziałem, że facet ma nóż, ale ja nie z tych, żeby mnie to powstrzymało. Więc go dopadłem i zwałem na

ziemię. A potem pojawili się gliniarze.

– Czy koniec końców zobaczył pan twarz tego człowieka, który próbował zabić Ashley Spencer?

– Tak, zobaczyłem.

– Kto to był?

Coleman zrobił efektowną pauzę, po czym wskazał Joshuę Maxfielda. Maxfield nie odrywał od niego palącego spojrzenia.

– Tym człowiekiem, który próbował zadźgać na śmierć Ashley Spencer, jest Joshua Maxfield, oskarżony – oznajmił Coleman, podnosząc dramatycznie głos.

– Nie mam więcej pytań.

Eric Swoboda przeszedł ze swego miejsca aż do samego boksu dla świadków.

– Panie Coleman, zwróciłem uwagę, że pani prokurator nie pytała, jak pan zarabia na życie. Czy to po to, żeby przysięgli się nie dowiedzieli, że pracuje pan dla mafii w Las Vegas?

– To kłamstwo. Jestem biznesmenem. Czy każdy, kto mieszka w Las Vegas, musi być od razu gangsterem?

– Dla jakiej firmy pan pracuje?

– American Investments.

– Czy American Investments nie wytoczono czasem przed wielką ławą przysięgłych ogólnopanstwowego procesu w związku z praniem brudnych pieniędzy?

– To była pomyłka. Nic z tego nie wyszło.

– A czy nie dlatego, że Myron Lemke, koronny rządowy świadek, został zamordowany, nim zdążył złożyć zeznania?

– Sprzeciw – odezwała się prokurator Wallace. – Pogłoski nieistotne dla sprawy i naruszające podstawowe zasady niedopuszczalności aluzji do minionych wykroczeń.

– Podtrzymam ten sprzeciw. Proszę dalej, panie Swoboda.

– Czy był pan kiedyś karany?

– No, taaa, wiele lat temu.

– Za co?

– Napaść.

– A czy kiedyś miał pan wyrok za kradzież?

– To była pomyłka. Myślałem, że mam pieniądze na koncie i...

– Ale ława przysięgłych jakoś w to nie uwierzyła, prawda? – drążył Swoboda.

– Nie – mruknął Coleman.

– Panie Coleman, zeznał pan, że Maxfield zaatakował pana przy szkolnym basenie?

– No tak, od tyłu.

– W momencie, gdy ścisnął pan Casey Van Meter za nadgarstek, nazywając ją suką?

– Nie pamiętam.

– Nie pamięta pan, jak rzucił się na panią Van Meter?

– Nie. Myśmy rozmawiali.

Delilah westchnęła w duchu, ale nie zdradziła się ze swymi uczuciami przed przysięgłymi. Coleman był jej potrzebny, żeby dowieść, że Maxfield zaatakował Ashley nożem w Sunny Rest, i ten cel osiągnęła. Na szczęście świadek nie musi się przysięgłym podobać, żeby mu uwierzyli.

– Mówi pan, że Maxfield na oczach ludzi zaatakował pana od tyłu bez żadnego powodu?

– Ten facet to psychol. Po co mu powód?

– Panie Coleman, pańska żona też będzie zeznawać na tej sali. Czy nadal pan twierdzi, że pan się z nią nie szarpał, gdy Maxfield pospieszył jej na ratunek?

– Ona miała poważne obrażenia głowy. Z jej pamięcią nie jest chyba najlepiej.

– Możemy wezwać kilkoro byłych uczniów szkoły, którzy znajdowali się wówczas na basenie. Czy nadal ma pan zamiar upierać się przy tej fikcji?

– Wzywajcie sobie, kogo chcecie. Nie wiem, co powiedzą. Mogliśmy się kłócić. Casey się denerwowała o byle co.

– O co się kłóciliście?

– O rozwód. Usiłowałem przemówić jej do rozumu.

– Dlatego, że pani Van Meter jest bogata, a pan nie mógłby dobrać się do jej pieniędzy, gdybyście się rozwiedli?

– Nie. Nic mnie nie obchodziły jej pieniądze. Kocham ją.

– To dlatego ani razu jej pan nie odwiedził, kiedy dogorywała w zakładzie?

– Już mówiłem. Nie mogłem znieść jej widoku w takim stanie.

– Tak, wszyscy widzimy, jaki wrażliwy z pana facet – zakpił Swoboda.

– Sprzeciw – powiedziała Delilah.

– Podtrzymany – orzekł sędzia.

Swoboda odwrócił się plecami do Colemana i postąpił parę kroków wzdłuż ławy przysięgłych.

– Więc to z miłości do pani Van Meter, a nie do jej pieniędzy ubiegał się pan o to, by sąd powierzył panu kuratelę nad jej czterdziestoma milionami dolarów?

Na kilku przysięgłych ta suma wyraźnie zrobiła wrażenie. Coleman nie odpowiedział. Swoboda stanął do niego twarzą.

– Jak długo znaliście się z panią Van Meter przed ślubem?

– Trzy dni – mruknął Coleman.

– Nie słyszę, panie Coleman – chciał się upewnić Swoboda.

– Trzy dni.

– Rany, to zaiste musiała być miłość od pierwszego wejrzenia.

– No, tak.

– A gdzie się poznaliście?

– W kasynie Mirage.

– A w jakim kościele się pobraliście?

– To nie było w kościele.

– Aha. No to gdzie się ochajtnęliście?

– W, ehem, Kaplicy Prawdziwej Miłości.

– Aha. O jakiej porze dnia czy nocy to nastąpiło?

– Chyba o czwartej nad ranem.

– Panie Coleman, gdyby Casey Van Meter zmarła, nie odzyskawszy przytomności, odziedziczyłby pan miliony, prawda?

– Nie znam dokładnej sumy.

– Właściwie to skoro do niedawna nikt nie wiedział, że Ashley Spencer jest córką pani Van Meter, to odziedziczyłby pan cały majątek żony, bo pan był jej mężem, a ona nie zostawiła testamentu.

– Czy to pytanie? – spytał Coleman.

– Czy pytanie? Dobrze, znajdzie się i pytanie. Miał pan solidne powody, żeby życzyć Casey Van Meter śmierci, prawda?

– Nie. Kocham ją.

– Bardziej niż czterdzieści milionów dolarów?

– Sprzeciw. Pytanie i odpowiedź już padły – odezwała się Delilah.

– Oddalam – powiedział sędzia. – Czy rozumie pan pytanie, panie Coleman?

– Nie.

– Miles Van Meter ubiegał się o powierzenie mu opieki prawnej nad panią Van Meter, prawda? – spytał Swoboda.

– Tak.

– Dawał jasno do zrozumienia, że chce położyć kres cierpieniom siostry, prawda?

– Coś o tym słyszałem.

– Dzięki czemu pan by odziedziczył jej pieniądze, prawda?

– Pewnie tak.

– Wiedział pan, że Ashley Spencer też się ubiega o kuratelę nad panią Van Meter, prawda?

– Tak.

– I chce zachować matkę przy życiu, prawda?

– Tak.

– Skutkiem czego pan by pieniędzy nie dostał.

– No i?

– W razie śmierci Ashley kuratorem zostałyby mianowany albo pan, albo Miles Van Meter, zgadza się?

– Tak.

– Tak czy siak, pani Van Meter zostałyby odłączona od aparatury podtrzymującej życie i pan by odziedziczył miliony dolarów. Na drodze do tej fortuny stała tylko Ashley. To chyba niezły motyw, żeby ją zadźgać na parkingu zakładu opiekuńczego, prawda?

– Już mówiłem, to on ją próbował zabić – odparł Coleman, wskazując Maxfielda.

– Wysoki Sądzie, chciałbym pokazać plan zakładu opiekuńczego Sunny Rest na pulpicie.

– Proszę bardzo, panie Swoboda.

Adwokat Maxfielda umieścił duży karton na pulpicie obok boksu dla świadków. Na białawym prostokącie widniał szkic parkingu. Główny budynek zaznaczono u góry rysunku. Poniżej biegły dwie równoległe linie oznaczające jezdnię między gmachem a parkingiem. Miejsca parkingowe pokolorowano na niebiesko. U dołu dwie linie równoległe sygnalizowały inną drogę. Swoboda wskazał czerwonym zakreślaczem drugie miejsce od lewej w drugim rzędzie, licząc od budynku.

– Tu pan zaparkował, prawda? – spytał.

– Chyba tak – odpowiedział Coleman.

Swoboda zapisał COLEMAN na niebieskim kwadraciku. Potem przesunął zakreślacz o dwa rzędy w dół, do drugiego miejsca od prawej.

– A tu zaparkowała panna Spencer?

– Taaa.

Swoboda napisał SPENCER.

– Zeznał pan, że zobaczył pannę Spencer, jak wychodziła z Sunny Rest i szła do

swego samochodu?

– Raczej biegła.

– Dobrze. Gdzie była, kiedy wysiadał pan z samochodu?

– O jakiś jeden rząd od swego wozu.

– Którędy pan poszedł w jej stronę?

– Hm, prosto do jej rzędu i w bok.

– Więc szedł pan od lewej do prawej?

– No tak.

– Czy samochód panny Spencer stał między dwoma innymi?

– Nie pamiętam.

Swoboda podszedł do stołu obrony i podniósł fotografię. Wręczył ją Colemanowi.

– To zdjęcie zrobione przez policję wkrótce po ataku na pannę Spencer. Widać jej samochód?

– No taa.

– I widać furgonetkę od pańskiej strony i inny samochód z drugiej strony wozu panny Spencer?

– Tak.

– Wnoszę o dołączenie dowodu numer siedemdziesiąt dziewięć do akt, Wysoki Sądzie – powiedział Erie Swoboda.

– Nie mam nic przeciwko temu – uznała Delilah.

– Panie Coleman, zeznał pan, że biegł pan z pochyloną głową z powodu ulewy. Potem pan podniósł głowę i ujrzał napastnika zamierzającego się na pannę Spencer.

– Zgadza się.

– Był pan w tym rzędzie między samochodami, mając samochód panny Spencer po prawej?

– No tak.

– Jak daleko od samochodu panny Spencer?

– O parę miejsc.

– Więc jest pan w rzędzie przed jej samochodem, ma pan napastnika przed sobą, a panna Spencer znajduje się między samochodami naprzeciw napastnika?

– No tak.

Swoboda zaznaczył krzyżykami pozycje Colemana, napastnika i Ashley. Potem się cofnął, żeby nie zasłaniać rysunku przysięgłym.

– Jakim sposobem widział pan, jak panna Spencer kopnęła napastnika, panie

Coleman? Kopie się nogą. Będąc o trzy samochody dalej, miałby pan widok całkowicie zasłonięty tą furgonetką stojącą obok samochodu panny Spencer, prawda?

– Ja... ja to widziałem – upierał się Coleman.

– Tak, ponieważ to pan został kopnięty podczas napaści na Ashley Spencer na tym parkingu. A mój klient ruszył jej na ratunek.

– Gówno prawda!

Sędzia Shimazu zastukał młotkiem.

– Jesteśmy w sądzie, panie Coleman. Proszę się tak nie wyrażać.

– Przepraszam, panie sędzio – spokorniał Coleman – ale ten facet kłamie.

– Żadnych przekleństw, panie Coleman – upomniał świadka sędzia. – Proszę się ograniczyć do odpowiedzi na pytania pana Swobody bez żadnych wulgaryzmów.

– W porządku.

– Panie Swoboda, proszę dalej.

– Miał pan powód wart czterdzieści milionów, żeby pragnąć śmierci Casey Van Meter, prawda?

– To... to nieprawda.

– Tak? Wiedział pan, że Casey Van Meter jest osobą majątną, zanim pan ją poślubił?

– No taaa. I co z tego?

– Potem ona wytrzeźwiała, oprzytomniała i postanowiła pana rzucić?

– Już mówiłem, czasem się nam nie układało. Ale gdybyśmy poszli do jakiejś poradni...

– Wściekł się pan na myśl, że zwiną panu całą tę forszę sprzed nosa, prawda?

– Nie! – Coleman znów podniósł głos.

– Więc się pan nie złościł, łapiąc przy basenie Casey Van Meter za rękę i nazywając ją suką?

– Mogłem być trochę zły – burknął Coleman – ale nigdy nie próbowałem jej zabić.

– I pewnie pan zaprzeczy, że zamordował pan Terri Spencer.

– Co?! – Coleman niemal zerwał się na nogi.

– Czy nie jest prawdą, że poszedł pan za Casey Van Meter do przystani tego wieczoru, kiedy została zaatakowana?

– Nie.

– Czy nie jest prawdą, że zastał ją pan w towarzystwie świadka, Terri Spencer,

którą pan zamordował, żeby nie mogła świadczyć przeciw panu?

– Nie!

– Że rzucił się pan na panią Van Meter, ale nadejście Joshuy Maxfielda spłoszyło pana i zmusiło do ucieczki?

Delilah miała ochotę zaprotestować, lecz powstrzymała się, by tym sprzeciwem nie przydać większej wiarygodności oburzającym oskarżeniom Swobody.

– Miał pan czterdzieści milionów powodów, żeby pragnąć śmierci Casey Van Meter przed przeprowadzeniem rozwodu i miał pan motyw, żeby zabić Ashley Spencer, zanim pani Van Meter obudzi się ze śpiączki.

– Czy ja muszę tu siedzieć i to znosić? – spytał sędziego Coleman.

– Nie mam więcej pytań – oznajmił Swoboda, porzucając Colemana, który niemal zerwał się z krzesła, wychylając w stronę sędziego.

– To było coś – odezwał się Jerry do Milesa Van Metera, gdy tylko sąd zarządził przerwę, a Randy Coleman wypadł z sali.

– Bardzo wydumane – odparł Miles. – I, mam nadzieję, mało skuteczne.

Ashley sposepniała. Delilah zbierała właśnie dokumenty, z których korzystała przy przesłuchaniu Colemana. Ashley przechyliła się przez barierkę, żeby dotknąć jej ramienia. Zastępczyni prokuratora okręgowego odwróciła się.

– Jak sądzisz, przysięgli się chyba na to nie nabiorą, prawda? – spytała Ashley, usiłując trzymać na wodzy swoje zdenerwowanie. Nie wyobrażała sobie, co by mogła zrobić, gdyby Joshua Maxfield został uniewinniony.

– Nie martw się o te popisy pana Swobody odgrywającego Perry'ego Masona – uspokoiła ją Delilah. – Może i zabił paru przysięgłym ćwieka, ale Casey ich jasno ustawi w kwestii, kto ją ogłuszył na przystani.

Zaraz po wznowieniu posiedzenia sądu Delilah Wallace za pośrednictwem doktora Ralpa Karpińskiego urządziła przysięgłym mały wykład na temat śpiączek. Doktor wyraził także opinię, że śpiączka Casey spowodowana została uderzeniem tyłem głowy o jedną z belek podpierających strop szopy na łodzie na przystani po ciosie w twarz. Potem doktor Stanley Linscott zapoznał zebranych z medyczną oceną obecnego stanu zdrowia Casey Van Meter pod względem fizycznym i umysłowym.

Po zeznaniach lekarzy Delilah wezwała na świadka oskarżenia samą Casey Van Meter. Cała sala nie odrywała oczu od „Śpiącej Królowy”, kuśtykającej o lasce przejściem dla świadków. Wciąż dość wychudzona, Casey wyglądała trochę jak zjawa, ale ta jej eteryczna uroda i tak robiła piorunujące wrażenie. Czarny strój rozjaśniały jedynie perły na szyi. Przypominała Lauren Bacall z jednego z tych starych filmów, które Ashley oglądała z Terri.

– Pani Van Meter, czym się pani zajmowała w Oregon Academy w czasie, gdy doszło do tragedii na przystani? – spytała Delilah po kilku pytaniach wprowadzających.

– Byłam dyrektorką tej szkoły.

– Do pani należała zatem decyzja o zatrudnieniu oskarżonego?

– Tak.

– Proszę nam opowiedzieć, jak do tego doszło.

– To była niełatwa decyzja. Z jednej strony szansa na stworzenie naszym uczniom okazji do pobierania nauk od cieszącego się światową sławą pisarza. Z drugiej, pan Maxfield musiał zrezygnować ze swojej poprzedniej pracy na uczelni z powodu niestosownych propozycji, jakie poczynił pewnej studentce. Zdawaliśmy też sobie sprawę, że pan Maxfield miał na tejże uczelni problemy z alkoholem. Jednak na podstawie świadectwa ostatniego pracodawcy pana Maxfielda, dyrekcji liceum w Idaho, oraz jego własnej szczerości podczas rozmów kwalifikacyjnych doszliśmy w końcu do wniosku, że warto zaryzykować.

– Jak oskarżony wywiązywał się ze swoich obowiązków?

– Był doskonałym nauczycielem.

– W jakiś czas po przyjęciu go do pracy zostaliście kochankami?

Casey zarumieniła się i spuściła wzrok.

– Tak.

Ashley osłupiała. Nie miała wstępu na salę sądową przed swoim zeznaniem, więc nie słyszała mowy wstępnej Delilah, w której prokuratorka wspomniała o tym fakcie. Ashley spojrzała na Maxfielda, szukając potwierdzenia, lecz bez powodzenia, bo ten, zaabsorbowany całkowicie świadkiem, odwrócił się twarzą w kierunku dyrektorki.

– Kiedy to się stało?

– Na parę miesięcy przed tym, jak na mnie napadł.

– Sprzeciw! – krzyknął Swoboda. – Odpowiedź rozmija się z pytaniem. Proszę o wykreślenie z protokołu.

Delilah otworzyła usta, ale sędzia powstrzymał ją gestem dłoni uniesionej w jej stronę.

– Oddalam.

– W jakich okolicznościach doszło do tego związku?

– W kilka miesięcy po moim ślubie.

– Z Randym Colemanem?

– Tak.

– Proszę dalej.

– Wkrótce po ślubie dowiedziałam się, że mój mąż jest kryminalistą. Do tego znieważał mnie fizycznie i werbalnie. Wystąpiłam o rozwód i wynajęłam adwokata, żeby sprawdzić, czy nie da się anulować tego małżeństwa. Przechodziłam bardzo trudne chwile. Ten ślub okazał się straszną pomyłką, a ja żyłam w wielkim napięciu ze względu na moją sytuację. Pan Maxfield okazał mi dużo zrozumienia. – Casey wzruszyła ramionami. – I tak to się zaczęło.

– Przejdźmy do dnia śmierci Terri Spencer i napaści na panią. Kiedy widziała się pani z Terri Spencer po raz pierwszy?

– Przyszła do mnie do biura późnym popołudniem.

– Co ją do tego skłoniło?

– Powiedziała mi, że próbuje dociec, czy to nie Joshua Maxfield zamordował jej męża. Prosiła mnie o sprawdzenie jego teczki personalnej na okoliczność, czy nie ma w niej jakichś danych, które by potwierdzały tę teorię.

– Znalazła pani coś w tych aktach, co świadczyłoby o słuszności jej podejrzeń?

– Tak.

– Co takiego?

– Terri mi mówiła, że jej mąż mógł paść ofiarą seryjnego mordercy, który popełnił podobne zbrodnie w innych stanach. W danych Maxfielda były wzmianki o tym, że uczył w college[^] w jednym ze stanów Nowej Anglii, w którym doszło do

takiego mordu. I uczył w liceum w Idaho, a o tym stanie Terri też wspominała.

– Co pani zrobiła po dokonaniu tego odkrycia?

– Zadzwoiłam do Terri i poprosiłam ją, żebyśmy się spotkały na przystani.

– Proszę opowiedzieć, co zaszło w szopie na przystani – powiedziała Delilah.

Casey wzięła głęboki oddech.

– Rozmawiałam z Terri, gdy wszedł. Miał nóż... On... przebił ją tym nożem. – Casey zamknęła oczy, ale nie przestawała mówić. – Terri krzyczała. On ją nadal dźgał. – Dyrektorka zakryła rękami twarz. – I dalej już nic nie pamiętam.

– Kim był ten człowiek, który zadźgał Terri Spencer?

– Joshua Maxfield.

Delilah odczekała chwilę, żeby przysięgli mieli czas przetrawić słowa Casey.

– Czy tego dnia widziała pani na przystani swego męża, Randy'ego Colemana?

Casey wyglądała na zaskoczoną.

– Nie.

– Jest pani pewna, że to nie Randy Coleman zabił nożem Terri Spencer?

– Jestem pewna. – Casey wskazała Joshuę Maxfielda. – On to zrobił.

– Oskarżenie nie ma więcej świadków – oznajmiła Delilah po krótkim i mało skutecznym przesłuchaniu Casey Van Meter przez Erica Swobodę.

– Dobrze – orzekł sędzia Shimazu. – Zarządzam przerwę do pierwszej po południu. Jeśli obrona ma jakieś wnioski, proszę zgłosić je teraz.

Woźny walnął młotkiem. Casey wyszła z boksu dla świadków, a Ashley dołączyła do niej przy furtce w niskiej barierce oddzielającej publiczność od właściwej części sądu.

– Dobrze się czujesz? – spytała Ashley.

To pytanie chyba zdziwiło Casey. Uśmiechnęła się. Nie widać po niej było ani śladu emocji, jakim dawała wyraz, podczas przesłuchania.

– Oczywiście – odparła. – Czemu miałabym się źle czuć? Po moich zeznaniach Joshua Maxfield może się już pożegnać z jakąkolwiek nadzieją na uniewinnienie. Obie zrobiłyśmy swoje, żeby pomścić Terri.

Ashley nie wiedziała, dlaczego zamiast radości ogarnęło ją jakieś dziwne wrażenie. Casey miała rację. We dwie przypieczętowały los Maxfielda, ale jakoś jej to nie cieszyło.

– Prawdopodobnie czeka go śmierć – odezwała się.

Casey zacisnęła usta, a oczy jej się zwężyły.

– Ten drań zasługuje na śmierć. Przez niego straciłam tyle lat życia w tej

śpiączce. Żałuję tylko, że czeka go zastrzyk z trucizną zamiast jakiegoś bardziej bolesnego umierania.

Te słowa zaszokowały Ashley.

– Wiem, że Maxfield jest strasznym człowiekiem. – Pamiętała przecież grozę, jaką czuła przygnieciona jego ciężarem, i swoją rozpacz po śmierci Normana i Terri. – Tylko że... nie wiem. Ma za swoje, lecz mnie się nie zrobiło przez to lepiej.

Ashley urwała. Chciała się komuś zwierzyć z kłębiących się w niej uczuć, a Casey powinna najlepiej zrozumieć, co ją gryzie.

– Masz trochę czasu? Chciałabym z tobą porozmawiać o tym procesie. Pójdziemy na lunch?

– Wybacz, kochana – odpowiedziała Casey. – Byłoby cudownie, niestety, mam spotkanie towarzystwa symfonicznego. Ale zadzwoń. Niedługo się zobaczymy.

Ashley patrzyła za odchodzącą Casey, wstrząśnięta takim potraktowaniem. Terri nigdy by jej nie zbyła w takich okolicznościach. Córka była dla niej zawsze najważniejsza.

Ashley miała ochotę się rozplakać, jednak postanowiła do tego nie dopuścić. Usiłowała zadzierzgnąć jakąś więź ze swoją matką, ale nie wychodziło. Dyrektorka nadal traktowała ją jak kandydatkę na uczennicę, którą trzeba zachęcić do zapisania się do Oregon Academy. Mimo wszelkich wysiłków z jej strony nie dało się nawiązać głębszego uczuciowego kontaktu z kobietą, która wydała ją na świat.

Zaraz po przesłuchaniu Casey Van Meter Joshua Maxfield zażądał rozmowy ze swoim obrońcą. W kwadrans po rozpoczęciu przerwy w rozprawie Erie Swoboda siedział w ciasnej przegródce przeznaczonej na widzenia w areszcie sądowym. Od klienta oddzielała go stalowa siatka.

– Chcę zeznawać – oznajmił Joshua.

– Już o tym mówiliśmy. Jako świadek staniesz się łatwym łupem dla Delilah.

Maxfield skrzywił się ironicznie.

– Lepiej jej nie lekceważ – ostrzegł Swoboda. – Wiem, że jesteś bystry, ale przesłuchiwanie ludzi to jej zawód i robi to bardzo dobrze. A myśmy sporo zyskali po moim przesłuchaniu Colemana. Mogę się teraz powoływać...

– Casey powiedziała, że nie widziała Colemana na przystani. Oświadczyła, że widziała mnie. Tak samo jak Ashley. Muszę wyjaśnić, co zaszło.

– A cóż ty możesz powiedzieć?

– O to się nie martw. Powołaj mnie tylko na świadka.

– Nie wiesz, w co się pakujesz. Prokuratorka pożre cię żywcem.

– Jak?

Swoboda zastanowił się chwilę.

– Ta powieść, Joshua. Delilah będzie pytać o powieść. Zapyta, jakim cudem tak dokładnie opisałeś morderstwa, o których rzekomo nic nie wiedziałeś.

Joshua zacisnął powieki i ścisnął sobie skronie czubkami palców. Wyglądał, jakby głowa mu miała zaraz eksplodować, a on ją próbował powstrzymać.

– Ta kurewska książka – wymamrotał. Otworzył oczy i przeszył wzrokiem Swobodę. – Powiem, że jej nie napisałem, że to czyjaś rzecz. Powiem, że ściągnąłem czyjeś pomysły.

Swoboda pokręcił z wolna głową, jakby szukając odpowiednich słów, żeby taktownie zwrócić klientowi uwagę, że się pogrąża.

– Nikt w to nie uwierzy. Wydrukowałeś swoje nazwisko na każdej stronie. Czy nie rozumiesz, że to samobójstwo zeznawać w twojej sytuacji?

– Nie – odparł Joshua, kołysząc głową z boku na bok. – To moja jedyna szansa. Będzie widać, że mówię prawdę. Muszą mi uwierzyć.

– Jednak uważam...

Maxfield spojrział swojemu obrońcy prosto w oczy. Teraz w jego głosie odezwała się twarda nuta.

– Nie obchodzi mnie, co uważasz – rzekł. – Jesteś moim prawnikiem i zrobisz, jak ci każę.

– Obrona wzywa na świadka Joshuę Maxfielda – powiedział Erie Swoboda zaraz po wznowieniu rozprawy. Delilah nie posiadała się ze zdumienia i zachwytu. Ślinka napłynęła jej do ust jak za świątecznym stołem w oczekiwaniu wielkiego, soczystego indyka prosto z pieca.

Joshua obciągnął marynarkę i pewnym krokiem wyszedł na środek, żeby złożyć przysięgę.

– Panie Maxfield – zagaił Swoboda, gdy jego klient zajął miejsce dla świadków – czym się pan zajmuje zawodowo?

– Jestem pisarzem – oświadczył dumnie Maxfield.

– Odnosi pan sukcesy na tym polu?

– Tak sędzę.

– Proszę przybliżyć przysięgłym swoją karierę.

– Oczywiście. Swoją pierwszą powieść, *Turystę w Babilonie*, wydałem wkrótce po studiach. Zyskała międzynarodowe uznanie. Otrzymała i była nominowana do wielu nagród literackich również poza granicami Stanów Zjednoczonych, w Europie. Miała wspaniałe recenzje i szybko stała się bestsellerem.

– Wydał pan jeszcze jakąś powieść?

– Tak, *Studnię życzeń*.

– Czy również zdobyła popularność?

– Tak.

– Oprócz pisania, czy uczy pan także twórczego pisarstwa?

– Tak, uczyłem w Eton College w Massachusetts i w liceach. Ostatnio w Oregon Academy.

– Czy mógłby pan opowiedzieć przysięgłym, skąd bierze pan pomysły na powieści?

Maxfield uśmiechnął się do przysięgłych. Miał mnóstwo uroku i mimo zarzutów, jakie na nim ciążyły, kilku przysięgłych odwzajemniło uśmiech.

– Pomysł może pojawić się znikąd i w najmniej oczekiwanym momencie. Pomysł tej powieści, nad którą pracowałem w Oregon Academy, narodził się, kiedy jeszcze byłem zatrudniony w Massachusetts i przeczytałem w gazecie o zabójcy, który wdarł się do czyjegoś domu, by zamordować rodziców młodej dziewczyny i ją samą. Zastanawiałem się, jakiego rodzaju człowiek mógłby popełnić taką zbrodnię.

Całkiem przypadkowo rok później dowiedziałem się o innym, podobnym mordzie. Pochłonęły mnie bez reszty rozważania nad pojęciami dobra i zła, zupełnie jak Roberta Louisa Stevensona, kiedy pisał opowiadanie *Doktor Jekyll i pan Hyde*. Postanowiłem napisać książkę z punktu widzenia naprawdę wypaczonego umysłu. Poszedłem do biblioteki, żeby przeczytać wszystkie prasowe relacje z tych dwóch prawdziwych zbrodni. Czytałem książki o seryjnych mordercach i psychologiczne rozprawy o socjopatach, żeby pojąć, na czym polega ich mentalność i jak funkcjonują, żeby nadać mojej książce posmak autentyzmu.

– Oskarżenie twierdzi, że jest pan winien, bo opisał pan morderstwo noszące pewne cechy podobieństwa ze zbrodnią w domu Spencerów.

– To mnie najbardziej boli. Nie mogę uwierzyć, że potępia się mnie za bujną wyobraźnię.

– A co z tym podjadaniem? Jak może pan wyjaśnić fakt, że prawdziwy zabójca poczęstował się deserem podczas popełniania zbrodni w Montanie, Connecticut i w domu Spencerów, a pański fikcyjny zbrodniarz także sięga po słodczyce między mordami?

– Pisarz stara się wciągnąć czytelnika i stara się stworzyć postacie z krwi i kości. Chciałem, żeby mój bohater wzbudzał grozę w czytelniku. Ale kardynalna zasada dobrego pisarstwa głosi, że trzeba pokazywać, a nie nazywać. Zamiast napisać: „mój złoczyńca jest strasznym człowiekiem”, usiłowałem wymyślić mu jakiś postępek, którym można by oddać głębię jego wynaturzenia. Rozważałem różne opcje, jak zamordowanie przez mego bohatera niemowlęcia lub domowego zwierzaka, lecz akty tak odrażające odstręczyłyby czytelników. Chciałem czytelnika o czymś przekonać, a nie przyprawić go o mdłości. Więc napisałem scenę, w której mój morderca podjada coś w trakcie popełniania kilku koszmarnych mordów. Dawałem do zrozumienia, że mój narrator jest istotą bez serca, całkowicie wypraną z wszelkich uczuć. Uznałem, że w ten sposób wspaniale to zilustruję. To takie pozbawione przemocy, a zarazem upiornie wymowne niedomówienie.

A czy z zaskoczeniem przyjąłem fakt, że życie naśladuje sztukę? Nie. Sprawca tych straszliwych mordów w Montanie, Connecticut i tutaj musi przypominać mojego wymyślonego zabójcę, okrutnego i bezdusznego. Wcale mnie to nie zaszokowało, że zrobił coś tak niesamowitego. No i pomyślcie państwo jeszcze. Czy włączyłbym taką scenę do swojej powieści, gdybym sam popełnił te morderstwa? Czy przeczytałbym w obecności Terri Spencer opis sceny żywcem przypominającej to, co wydarzyło się w jej domu? Musiałbym postradać zmysły.

Pierwsza rzecz, jaką powinna zrobić, to pójść na policję. Czemu miałbym popełniać takie samobójstwo?

– Przejdźmy do morderstwa i napaści na przystani w Oregon Academy. Proszę powiedzieć przysięgłym, co tam zaszło – wtrącił Swoboda.

– Mieszkałem na terenie należącym do szkoły, w domku, który mi przydzielono w ramach wynagrodzenia za moją pracę. To piękne tereny, więc często wczesnym wieczorem chodziłem na spacer. Wtedy też wędrowałem po lesie, rozmyślając nad jakimś problemem związanym z moją książką, kiedy nagle od strony przystani dobiegł mnie krzyk. Chwilę później drugi. Biegając w tamtym kierunku, zobaczyłem uciekającego mężczyznę.

– Czy rozpoznał go pan?

– Nie, poza tym, że robi! wrażenie człowieka przeciętnej lub dość silnej budowy. Nie był gruby ani niski.

– Czy mógłby to być Randy Coleman?

– To możliwe, ale nie mógłbym przysiąc.

– Co nastąpiło potem?

– Wbiegłem do szopy na łodzie, żeby zobaczyć, czy komuś się coś nie stało. W środku było ciemno, nie licząc smugi światła od leżącej na ziemi latarki. Dopiero po chwili wzrok przyzwyczaiał mi się do mroku. I wtedy ujrzałem te dwie kobiety i nóż. Casey Van Meter leżała na ziemi oparta o drewnianą podporę dachu. Terri Spencer była cała zakrwawiona. Spanikowałem i złapałem nóż, żeby mieć czym się bronić. I wtedy dostrzegłem w oknie Ashley. Uciekła, a ja pobiegłem za nią, żeby jej wytłumaczyć, że nic nie zrobiłem, lecz nie zdołałem jej dogonić.

– Dlaczego nie poszedł pan za nią do internatu i tam nie zaczekał na policję?

Joshua spuścił głowę.

– Trzeba było. Ale nigdy w życiu nie widziałem czegoś tak okropnego. Wszystko we krwi i ta biedna Terri...

Maxfield przymknął na moment oczy i odetchnął głęboko. Kiedy odezwał się ponownie, mówił głosem człowieka roztrzęsionego i nie podnosił wzroku.

– Wstyd mi, że tak się zachowałem, ale z przerażenia nie mogłem pozbierać myśli. Więc uciekłem.

Podniósł głowę i popatrzył kilku przysięgłym w oczy.

– Nie mam najmniejszej pretensji do Ashley Spencer, że powiedziała to, co powiedziała. To bardzo miła młoda osoba, która zeznała, co naprawdę widziała. Miałem w ręku nóż. Byłem tam. Ale nikomu nic nie zrobiłem.

– A po aresztowaniu, czemu pan uciekł? – spytał Swoboda.

– Adwokat powiedział mi, że policja potraktuje moją powieść jak przyznanie się do winy, a Ashley zezna, że zabiłem jej matkę i ogłuszyłem Casey. Wydawało mi się, że nie uniknę wyroku skazującego, więc postanowiłem uciec, żeby znaleźć dowody swojej niewinności.

– I udało się panu?

– Tak sędzę. Od początku podejrzewałem Randy'ego Colemana. Byłem za daleko od mężczyzny, który uciekał z przystani, żeby go rozpoznać, ale to mógł być Coleman. Wiedziałem, że miał wielomilionowy motyw morderstwa, a później odkryłem, że trafił już do więzienia za napaść. Przekonałem się zresztą na własne oczy, że jest skłonny do stosowania przemocy. Widziałem, jak zamierzył się na Casey Van Meter na basenie.

– Do jakich wniosków pan doszedł, jeśli chodzi o to, co zaszło na przystani?

– Jestem przeświadczony, że jego celem była Casey, a Terri miała po prostu strasznego pecha, że się tam wtedy znalazła.

– Czy wydarzyło się coś jeszcze, co umocniło pana w przekonaniu, że to Randy Coleman zamordował Terri Spencer i ogłuszył swoją żonę?

– Tak. Henry Van Meter zmarł i trzeba było mianować nowego opiekuna prawnego Casey. Ubiegał się o to Miles Van Meter. Dotarło do mnie, że zamierza odłączyć siostrę od aparatury podtrzymującej życie ze względów humanitarnych. Zgłosił się też Coleman. Przypuszczam, że zrobiłby to samo. Tak czy inaczej Casey by umarła. Z braku testamentu cały jej majątek przypadłby Colemanowi, który w świetle prawa wciąż był jej mężem.

No i wtedy Ashley Spencer wróciła do Portlandu, żeby również wystąpić o opiekę prawną nad Casey. Gdyby to Ashley została mianowana jej kuratorem, utrzymałaby ją przy życiu, co by oznaczało, że Coleman nic nie odziedziczy. Rozeszła się też wiadomość, że Ashley jest córką Casey. Zgodnie z prawem w razie śmierci Casey Ashley przypadłaby połowa jej majątku. Czyli tak czy siak Coleman straciłby miliony.

Doszedłem do wniosku, że Coleman będzie próbował zabić Ashley, żeby tylko nie została mianowana kuratorem matki i żeby cała fortuna Casey dostała się mężowi. Zacząłem chodzić za nią, żeby ją chronić i przyłapać Colemana na próbie morderstwa.

– Co się wydarzyło na parkingu Sunny Rest w dniu pana aresztowania?

– Śledziłem Ashley i zauważyłem, że jechał za nią jeszcze jeden samochód. Zaparkowałem w bocznej uliczce parę przecznic od zakładu. Potem się schowałem na parkingu. Lało tak mocno, że nie zauważyłem policyjnej obstawy, oni zresztą

też mnie nie widzieli. Samochód, który jechał za Ashley, zaparkował w chwilę po niej. Prowadził Randy Coleman. Czekał, aż Ashley wyjdzie z zakładu. Potem ją zaatakował z nożem. Ashley się wyrwała. Ja rzuciłem się na niego. Kiedy policjanci nadbiegli, tarzaliśmy się po ziemi i żaden z nas nie miał w ręku noża. Policja nie była w stanie stwierdzić, który zaatakował Ashley. Naturalnie ich podejrzenia padły na mnie.

– Panie Maxfield, czy pan zamordował Terri i Normana Spencerów oraz Tanie Jones?

– Nie.

– Czy ogłuszył pan Casey Van Meter?

– Nie. Ratowałem ją przed Colemanem na basenie.

– Czy zaatakował pan Ashley Spencer w jej domu, w internacie i na parkingu zakładu opiekuńczego Sunny Rest?

– Nie, nigdy.

– Nie mam więcej pytań.

Prokurator Wallace obdarzyła swoją zwierzynę uśmiechem. Była w świetnym humorze.

– Czytałam pańską pierwszą powieść, panie Maxfield. Podobała mi się.

– Dziękuję.

– Zrobiła naprawdę wielką furorę.

– Tak.

– Ale z tą drugą pana książką, *Studnią życzeń*, nie poszło tak dobrze, prawda?

– Nieźle się sprzedawała – najeżył się lekko Maxfield.

– Jednak daleko jej było do *Turysty w Babilonie*.

– Tak, a mimo to trafiła na listę bestsellerów „New York Timesa”.

– Już pan o tym wspominał. Ale proszę mi powiedzieć, czy *Turysta w Babilonie* był na tej liście przez dwadzieścia dwa tygodnie?

– Tak.

– A pana druga książka tylko przez dwa, bo się ludziom nie spodobała, zgadza się?

– Nie wiem nic na temat upodobań „ludzi” – odparł wyniośle Maxfield. – Nie piszę pod gust przeciętnego czytelnika.

– No, ale krytykom też się nie spodobała, prawda?

– Miałem parę dobrych recenzji.

– Doprawdy? Kazałam mojej asystentce ściągnąć cały komplet z Internetu.

Możemy je tu wszystkie odczytać przysięgłym, jeśli pan chce. Według moich obliczeń trzech recenzentów wyrażało się o pana książce dość dobrze, a dwudziestu ośmiu źle, z tego kilku naprawdę paskudnie. Najwyraźniej pana nie oszczędzali.

Maxfieldowi w trakcie przemowy Delilah poczerwieniały policzki.

– Krytycy zazdrościli mi sukcesu. To niewyżyci pisarze, którzy nie mogą znieść, że jakiemś dwudziestoparolatki udaje się coś, o czym oni mogą tylko marzyć.

– Więc te recenzje to skutek spisku?

– Tego nie powiedziałem – burknął Maxfield.

– Sądzi pan, że ci recenzenci uczestniczyli w spisku, którego celem było wrobienie pana w te wszystkie morderstwa?

– Sprzeciw – odezwał się Swoboda.

– Podtrzymany – orzekł sędzia Shimazu.

– Panie Maxfield – ciągnęła Delilah – nie napisał pan żadnej książki od dziesięciu lat, prawda?

– Zgadza się.

– Czy zaczął pan uczyć w Eton, ponieważ nie mógł pan już zarobić na życie pisaniem?

– Nie, nie tak to wyglądało. Literatury nie produkuje się z taśmy jak odkurzaczy. Prowadzenie zajęć z twórczego pisarstwa sprawiało mi przyjemność, a ponadto dzięki tej posadzie miałem czas na swoje pisanie.

– A czy pana wydawca nie dał panu zaliczki na poczet następnej książki i nie zażądał jej zwrotu, ponieważ pan się nie wywiązał z umowy?

– To były nieporozumienia na gruncie artystycznym.

– Rozumiem. I to dlatego wydawca groził panu podaniem do sądu?

– Sprzeciw – powiedział Swoboda.

– Podtrzymany.

– Po osiągnięciu sukcesu w tak młodym wieku tym trudniej panu pogodzić się z pisarskim wypaleniem.

– Wcale się nie wypaliłem.

– Nie miał pan kłopotu z wymyśleniem pomysłu na nową książkę?

– Miałem ich kilka. Szukałem tego najlepszego.

– Zbierając informacje?

– Tak.

– Troszcząc się o autentyczność wszystkich drobnych szczegółów, żeby pańskie opisy przemawiały realizmem do czytelnika?

– Tak.

– Popelniając straszliwe zbrodnie, żeby umieć odtworzyć scenę rzeczywistych tortur?

– Nie. Nikogo nie zabiłem.

– Porozmawiajmy o szopie na przystani, panie Maxfield. Możemy?

– Tak.

– Chciałabym się upewnić, czy wszystko dobrze zrozumiałam. Spacerował pan po lesie i usłyszał krzyk?

– Tak.

– A potem kolejny?

– Tak.

– Postanowił pan sprawdzić, co się dzieje?

– Tak.

– I wtedy zobaczył pan biegnącego mężczyznę?

– Tak.

– To bardzo ważna informacja, prawda? O tym człowieku uciekającym z miejsca zbrodni?

– Tak.

– Wydaje mi się, że powinno panu zależeć na zawiadomieniu o tym policji, zwłaszcza że to pana oskarżono o to morderstwo i okaleczenie.

Maxfield nie odpowiedział.

– No, jak pan sądzi, było to ważne czy nie?

– Tak, było.

– Po swojej ucieczce pierwszy raz zetknął się pan z policją w Nebrasce, kiedy pana przyskrzynili, prawda?

– Tak.

– Czy tym, którzy pana aresztowali, wspomniął pan o człowieku, który zmykał z przystani?

– Nie, byłem przerażony. Celowali do mnie z broni, krzyczeli.

– A jak już się pan uspokoił?

– Nie zadawali mi żadnych pytań. Wsadzili mnie po prostu do celi.

– Zna pan inspektorów Bircha i Marksa, prawda? Zeznawali niedawno.

Pytanie wyraźnie zmartwiło Maxfielda.

– Tak.

– Czy to Marx i Birch eskortowali pana w drodze z Nebraski do Oregonu?

– Tak.

– Ale najpierw przesłuchiwali pana w więzieniu w Nebrasce, prawda?

– Tak.

– Zeznał pan, że po aresztowaniu miał dużo czasu na rozmyślania o tym, co się wydarzyło?

– Tak.

– Czy pan pamięta, co pan powiedział tym inspektorom o wydarzeniach na przystani?

– Nie co do słowa.

Obok stołu prokuratury stał na podłodze duży magnetofon. Delilah go podniosła.

– Wysoki Sądzie, czy mogę prosić o pozwolenie na odtworzenie z taśmy krótkiego przesłuchania, jakiemu poddali oskarżonego inspektorzy Marx i Birch, żeby odświeżyć je w pamięci pana Maxfielda?

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie. Brak jakichkolwiek podstaw – zareagował Swoboda w obawie przed włączeniem nagrania do materiału dowodowego. Wiedział, co zawiera, i próbował ostrzec przed tym Maxfielda, ale ten nie chciał go słuchać.

– Zgadzam się z obroną, Wysoki Sądzie – odrzekła Delilah. – Czy mogę wezwać ponownie inspektora Bircha?

Sędzia nakazał Maxfieldowi powrót na miejsce przy stole obrony, a w boksie dla świadków zasiadł Larry Birch.

– Panie inspektorze, nadal obowiązuje pana przysięga – przypomniał sędzia. – Pani Wallace, proszę kontynuować.

– Inspektorze, czy oskarżony po swoim aresztowaniu w Nebrasce zrzekł się procedury ekstradycyjnej?

– Tak.

– W jaki sposób wrócił tutaj?

– Poleciliśmy z moim partnerem, Tonym Marksem, do Nebraski, a tamtejsze władze przekazały nam oskarżonego. Potem razem z oskarżonym wróciliśmy samolotem do Oregonu.

– Czy przed powrotem przesłuchiwaliście oskarżonego?

– Tak.

– Gdzie się to odbyło?

– W pokoju przesłuchań w areszcie, w którym przebywał oskarżony.

– W jakim był stanie?

– Wyglądał na wypoczętego. Spytaliśmy go, czy chce coś do picia lub jedzenia.

Poprosił o kanapkę i napój. Dostarczyliśmy mu je.

– Przeczytaliście oskarżonemu ostrzeżenie „Miranda” o przysługujących mu prawach?

– Tak.

– Czy nagrywaliście to przesłuchanie?

– Tak.

Delilah wstała. Trzymała plastikową torebkę, w jakich umieszcza się dowody rzeczowe, z kasetą w środku.

– Inspektorze Birch, nagrał pan to przesłuchanie na tej kasecie?

– Tak.

– Czy to jest właśnie nagranie przesłuchania, które odbyło się w Nebrasce?

– Tak.

– Wysoki Sądzie, wnoszę o dopuszczenie tej kasety magnetofonowej z przesłuchania przeprowadzonego przez inspektora Bircha do materiału dowodowego – powiedziała Delilah.

– Panie Swoboda? – spytał sędziego Shimazu.

Obrońca Maxfielda nie miał pomysłu, w jaki sposób można by nie dopuścić do odtworzenia tego nagrania. Wobec braku sprzeciwu sędziego pozwolił Delilah na wykorzystanie nagrania. Włożyła kasetę do magnetofonu i przycisnęła „play”. Przysięgli wysłuchali, jak Birch przedstawia siebie i swego partnera i odczytuje Maxfieldowi jego prawa. Później nastąpiła krótka wymiana zdań na temat jedzenia. Potem Birch spytał Maxfielda, czy ma coś przeciwko nagrywaniu ich rozmowy.

– *A jakie to ma znaczenie, czego ja chcę? To wy zrobicie, co chcecie. Tego się tu nauczyłem. Jestem więźniem. Nie mam żadnych praw.*

– *Zaraz, Josh...*

– *Joshua.*

– *Przyjmuję poprawkę. Masz prawa. Jesteśmy w Ameryce. Przecież właśnie odczytałem listę gwarantowanych ci przez konstytucję praw.*

– *Tylko po to, żeby mnie skłonić do mówienia.*

– *No, to prawda. Ale nie musisz ze mną rozmawiać, jeśli nie chcesz, a ja nie nagram tej rozmowy bez twojej zgody. Nagrywam dla twojego dobra. W ten sposób, jeśli przeinaczę później twoje słowa, będziesz miał to nagranie, żeby mi tego dowieść.*

– *Okay. Nagrywajcie sobie.*

– *Poszalałeś sobie, Joshua.*

Brak odpowiedzi.

– Czemu wybrałeś akurat Nebraskę?

Brak odpowiedzi.

– Musisz odpowiedzieć, bo wzruszenia ramionami nie słychać na taśmie.

– Po prostu jechałem przed siebie.

– Nieźle się za tobą naganialiśmy, to muszę ci przyznać. Ale tego można się było w zasadzie spodziewać po kimś z twoją wyobraźnią. Czytałem twoją książkę.

– Tak?

– Hej, nie wszyscy gliniarze są tępi. Czytałem Turystę w Babilonie, jak tylko się ukazał. Wszyscy to wtedy czytali. Uważałem, że jest świetna. Moja żona też. To dla nas bardzo przykre, że się w to wszystko wpakowałeś.

– W nic się nie wpakowałem. Nic nie zrobiłem tym kobietom.

– Mamy świadka, który twierdzi, że zrobiłeś.

– Ashley Spencer, prawda? Biedne dziecko. Musi być załamana. Najpierw ojciec. Teraz matka.

– Mówi, że to ty zabiłeś jej matkę i ogłuszyłeś Casey Van Meter.

– Na pewno jest o tym przekonana, ale to nieprawda.

– Jeśli to nie ty napadłeś na te kobiety, to kto?

– Nie wiem.

– No i sam widzisz. Ashley mówi, że widziała cię z nożem w ręku.

– Tak, ale nikogo nim nie zabiłem. Podniosłem go, żeby się bronić. Wszedłem do tej szopy na łodzie już po napaści na obie kobiety. Myślałem, że zabójca jeszcze się gdzieś tam czai. Zobaczyłem nóż i go podniosłem, żeby mieć się czym bronić. Jakiż na litość boską mógłbym mieć powód, żeby krzywdzić Casey czy Terri?!

– Chodziły plotki, że jesteście z panią Van Meter bardzo blisko. Ze z nią sypiałeś.

– Nie miała wtedy lekko. Ledwo po ślubie, a tu się dowiaduje, że jej mąż to mały rzezimieszek. Bił ją. Szukała u mnie pociechy. No i stało się. Wiecie, jak to jest.

– Słyszeliśmy, jak jej przyszedłeś z pomocą na basenie. To wymagało odwagi, skoro sądziłeś, że facet pracuje dla mafii.

– Chyba się nad tym nie zastanawiałem. Widziałem tylko, że Casey jest w opałach. Przecież właśnie dlatego ta cała sytuacja jest śmieszna. Czemu miałbym ratować Casey po to, żeby ją potem zabijać?

– Może przestało wam się układać.

– Nie. Spędziła u mnie poprzednią noc, przed tą napaścią. Wciąż byliśmy przyjaciółmi. Zabijanie jej nie miało żadnego sensu.

– Miało, po przeczytaniu pana powieści. Tak na marginesie, uważam, że jest

naprawdę dobrze napisana.

– *A co Turysta w Babilonie ma wspólnego z tym, co się zdarzyło na przystani?*

– *Me Turysta, a twoja nowa powieść.*

– *Moja...?*

– *Książka, której fragment czytałeś Terri i innym uczestnikom warsztatów pisarskich.*

– *Nie rozumiem.*

– *Słuchaj, Joshua, dobrze nam się do tej pory rozmawiało, a to da ci też fory u sędziego. Więc...*

– *O czym ty mówisz?*

– *Przeczytałem tę powieść, Joshua. Scena, którą odczytałeś na zajęciach, bardzo przypomina to, co zaszło w domu Spencerów owej nocy, kiedy zginęli ojciec Ashley i jej nastoletnia przyjaciółka. Opis wydał się Terri tak realistyczny, że poszła do dyrektorki Van Meter, by jej powiedzieć, iż podejrzewa cię o zabicie swojego męża. Jak się dowiedziałeś, że się zorientowała?*

– *Wymyśliłem to. Jestem pisarzem. Biorę takie opisy z wyobraźni.*

– *Całkiem bystry z ciebie facet, Joshua. Wystawiłeś mnie z Tonym do wiatru. To dla nas zagadka, jak się dowiedziałeś, że Terri i Casey cię rozpracowują. Może Casey się z czymś zdradziła?*

– *Nie wiedziałem o tym. Ja...*

– *Tak?*

– *Chcę adwokata. To wariactwo. Boże, jak to się mogło stać? Jak to... ? O, nie.*

– *Co chciałeś powiedzieć, Joshua?*

– *Chcę adwokata. Nie powiem już ani słowa.*

Delilah wyłączyła magnetofon.

– *Czy to koniec nagrania, inspektorze?*

– *Tak.*

– *Dziękuję. Nie mam więcej pytań do inspektora Bircha.*

– *Panie Swoboda? – spytał sędziego Shimazu.*

– *Nie.*

– *Panie Maxfield, proszę zająć miejsce dla świadków – polecił sędzia.*

– *Panie Maxfield – podjęła Delilah – co się stało z człowiekiem, który uciekł? Z prawdziwym zabójcą? Jak to możliwe, że nie wspomniał pan o nim inspektorom?*

– *Nie wiem. Byłem zdenerwowany. Siedziałem w więzieniu. Nie myślałem jasno.*

– Aha. No to spytam o coś innego. Wszedł pan do szopy na łodzi, zobaczył dwie kobiety, nieprzytomne lub martwe, podniósł pan nóż i zobaczył Ashley w oknie?

– Tak.

– Był pan w szopie zaledwie kilka sekund, nim pan zobaczył Ashley?

– Tak.

– A obie kobiety leżały bezwładnie?

– Już mówiłem.

Delilah coś zanotowała. Gdy ponownie podniosła wzrok na świadka, na jej twarzy widniał uśmiech.

– Więc kto wołał, panie Maxfield?

– Co?

– Był pan tutaj, kiedy zeznawała Ashley Spencer, prawda?

– Tak.

– Słyszał pan, jak powiedziała, że słyszała dwa krzyki i pobiegła przez las do przystani?

– Tak.

– A potem słyszał pan także, jak mówiła, że usłyszała kobiecy głos tuż przed tym, jak zajrzała w okno i zobaczyła pana z zakrwawionym nożem w ręku nad Casey Van Meter?

Maxfielda zamurowało.

– Jeśli Terri Spencer nie żyła, a Casey Van Meter leżała cały czas nieprzytomna, gdy pan przebywał w szopie, to jakim sposobem któraś z nich się odezwała?

– Ja...

– A może jednak było inaczej? Może te kobiety jeszcze żyły, kiedy pan wchodził do szopy?

– Nie.

– A pan dźgnął nożem Terri Spencer, która dwa razy krzyknęła. A potem rzucił się pan na Casey Van Meter, która coś zawołała.

– Nie – powtórzył Maxfield, ale zabrzmiało to fałszywie, a z jego miny przysięgli mogli wyczytać, że kłamie.

Prokurator Wallace nie miała już więcej pytań do Joshuy Maxfielda, a Erie Swoboda nie miał pojęcia, jak naprawić szkody wyrządzone jej przesłuchaniem. Wezwał jeszcze paru świadków obrony i na tym zakończył. Delilah uznała, że nie

ma potrzeby kontrować obrony ponownym wzywaniem któregokolwiek ze świadków. Jej zdaniem wyrok skazujący był sprawą przesądzoną.

Sędzia Shimazu przykazał stronom przygotować wystąpienia końcowe i zawiesił rozprawę do jutra. Zaraz po wyjściu przysięgłych i wyprowadzeniu Maxfielda Delilah okręciła się na swoim krześle obrotowym twarzą do Ashley.

– Już po nim. Swoim zeznaniem wykończyłaś pana Maxfielda.

– Ja nie...

Delilah się roześmiała.

– Po co ta skromność, dziewczyno. Słyszałaś kobiecy głos na chwilę przed tym, jak zobaczyłaś go z nożem. Czyli jedna z nich musiała być jeszcze przytomna, gdy wchodził do szopy. Kiedy powiedział, że obie leżały bez życia, wiedziałam, że kłamie, a ty tego dowiodłaś.

Wyraźnie spodziewała się, że Ashley okaże więcej radości.

– Co jest? – spytała pani prokurator. – Wyglądasz, jakby cię coś gryzło.

– Ja tylko... – Ashley pokręciła głową.

– No, co? Powiedz.

– To żadne zwycięstwo. Nawet jeśli Maxfield zginie, to i tak Tania i moi rodzice nie będą żyć.

Delilah spoważniała.

– Masz rację – powiedziała. – Nie ma się co tak radować. Czasami tak mnie wciąga walka, że zapominam o cierpieniu, którego żaden wyrok nie zmieni. Ale musisz myśleć o tym, Ashley, że chociaż skazanie Maxfielda nie wróci życia twoim rodzicom i Tani Jones, to swoim zeznaniem ocaliłaś innych. Nie wiemy, komu, lecz można być pewnym, że żyją gdzieś jacyś ludzie, którzy by już zginęli, gdyby Joshua Maxfield pozostał na wolności.

– Co się teraz będzie działo? – spytała Ashley.

– Rano wygłosimy mowy. Następnie sędzia pouczy ławę przysięgłych, co prawo mówi na ten temat. Potem przysięgli się naradzą i orzekną o winie. Myślę, że do wieczora będzie po wszystkim. Jeśli uznają Maxfielda za winnego morderstwa ze szczególnym okrucieństwem, ława przysięgłych zbierze się ponownie i dojdzie do drugiej rozprawy decydującej o wysokości kary.

Ashley wyciągnęła rękę, żeby dotknąć pani prokurator.

– Dziękuję ci, Delilah, za to, że tak bardzo ci zależało. Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

Uśmiech od ucha do ucha rozpromienił twarz Wallace.

– Jak się słyszy coś takiego, to człowiek wie, że warto było.

WIECZÓR AUTORSKI

Chwila obecna

Spotkanie z Milesem Van Meterem trwało już ponad pół godziny, gdy drzwi do księgarni „Zabawa z Morderstwem” otworzyły się, a potem zamknęły. Opiekująca się Milesem Claire Rolvag zerknęła w tamtą stronę. Zza półek z książkami niewiele było widać, ale Claire się wydawało, że wie, kto wszedł. Skoncentrowała się z powrotem na autorze, który właśnie odpowiadał na pytanie o swoje pisarskie zwyczaje.

– Pisząc *Śpiącą królową*, pracowałem jednocześnie w pełnym wymiarze jako prawnik, musiałem zatem wykradać czas na pisanie. Czasami udawało mi się zyskać godzinkę czy dwie przez nastawienie budzika na czwartą trzydzieści. W weekendy starałem się wyrwać przynajmniej po cztery godziny i w sobotę, i w niedzielę. Co daje osiem godzin, czyli normalny dzień pracy. To zadziwiające, ile można w tydzień napisać, jeśli człowiek narzuci sobie odpowiednią dyscyplinę.

Rękę podniosła teraz myszowata kobietka w grubych okularach i podkoszulku ze zjazdu miłośników sensacji. Miles wskazał ją gestem. Sądząc po głosie, wyraźnie się denerwowała, więc Miles dodał jej odwagi serdecznym uśmiechem.

– Panie Van Meter, przeczytałam i stare, i to specjalne wydanie *Śpiącej królowy* i uważam, że to najlepsza dokumentalna powieść kryminalna, jaką czytałam.

– Dziękuję za te miłe słowa. Czy ma pani jakieś pytanie?

– Tak, mam. Tyle w pańskiej książce realizmu, zwłaszcza gdy pan pisze z punktu widzenia Ashley, ale słyszałam, że nigdy pan nie przeprowadzał z nią wywiadu. Czy to prawda? Jeśli tak, to jakim sposobem uzyskał pan taki realizm?

– Znałem, oczywiście, Ashley i rozmawiałem z nią kilka razy przed rozpoczęciem pisania. Mieszkała jakiś czas w naszej szkole. Niemniej nigdy nie poruszałem z nią tego tematu przed jej wyjazdem do Europy. Byłoby to grubiaństwo. Podczas jej pobytu w internacie staraliśmy się z ojcem odciągnąć jej uwagę od tej tragedii.

Naturalnie nie miałem okazji przeprowadzać z nią żadnych rozmów, kiedy pisałem pierwsze wydanie *Śpiącej królowy*, bo wtedy Ashley ukrywała się w Europie. Miałem jednak dostęp do zapisu rozprawy wstępnej oraz policyjnych raportów z przesłuchań Ashley przeprowadzonych przez Larry'ego Bircha.

Rozmawiałem też z jej znajomymi, nauczycielami i takimi ludźmi jak jej radca prawny, Jerry Philips. Bardzo mi pomógł mój ojciec. Spędził z Ashley sporo czasu, gdy mieszkała w internacie.

– A po jej powrocie do Stanów? Przeprowadził pan z nią rozmowę na potrzeby nowego wydania książki?

– Nie. Zanim jeszcze podjąłem decyzję o opracowaniu nowego wydania, wysłuchałem jej zeznań na procesie Maxfielda i te mi zupełnie wystarczyły.

– Więc rozdział pierwszy, w którym pan opisuje, co się wydarzyło w domu Spencerów, oraz ten, w którym mowa o napaści w internacie po ucieczce Maxfielda, napisał pan na podstawie zebranych informacji bez rozmowy z Ashley?

– Tak.

– To zdumiewające, bo brzmią tak prawdziwie.

Miles się zarumienił.

– Dziękuję za uznanie. Dla uszu pisarza to najpiękniejsza pochwała, że udało mu się tchnąć życie w swój temat. Rzecz jasna, nie było mi tak bardzo trudno odtworzyć osobowość Ashley, ponieważ ją znałem. A wiedząc, jaki kto ma charakter, można z dużym prawdopodobieństwem odgadnąć, jak zareaguje w konkretnej sytuacji. Ashley to dzielna kobieta i ma dużo wewnętrznej siły.

Zgłosił się mężczyzna ze sporą nadwagą i gęstą brodą. Miles wskazał go ręką.

– Panie Van Meter, czy myślał pan kiedyś o tym, żeby zaoferować FBI swoją pomoc w ściganiu seryjnych morderców? Z pana wyobraźnią i intuicją byłby pan dla nich nieocenionym nabytkiem.

– Nie, z kilku powodów. Po pierwsze, FBI ma do tego wyszkolonych ludzi. Daleko mi do ich kwalifikacji. Po drugie, i ważniejsze, jedno spotkanie bliskiego stopnia z seryjnym zabójcą to, jeśli o mnie chodzi, i tak o jedno za dużo. Nie mają państwo pojęcia, jakim emocjonalnym obciążeniem jest dla mnie fakt zaistnienia Joshuy Maxfielda w moim życiu. Nie mam najmniejszej ochoty dobrowolnie stawiać się w sytuacji, w której doświadczałbym cierpień innych rodzin. Szczerze mówiąc, nie wiem, jak FBI i policja radzą sobie z emocjonalnymi kosztami zajmowania się takimi potwornościami * dzień w dzień.

W górę powędrowała ręka młodej kobiety w kostiumie.

– Będzie pan zadowolony, kiedy Joshua Maxfield zostanie stracony? – spytała.

Miles potrzebował chwili namysłu, żeby ubrać w słowa swoją odpowiedź.

– Społeczeństwo na tym zyska. Jestem głęboko przekonany, że Maxfielda nie da się uleczyć. I na pewno zabiłby znowu, gdyby wyszedł na wolność. Ale zadowolenie... Chyba nikogo nie cieszy śmierć innej ludzkiej istoty.

– Więc pan go uważa za istotę ludzką? – spytała kobieta.

– No cóż, sporo przeciwko temu przemawia, jednak zostawiam tego typu rozważania teologom i filozofom. Ja jestem po prostu szczęśliwy, że odzyskałem siostrę.

Kilka osób podniosło rękę. Gdy Miles wybierał kolejnego pytającego, Claire Rolvag spojrzała znowu w stronę wejścia do księgarni. Przy końcu regału z klasycznymi opowieściami detektywistycznymi o Sherlocku Holmesie czy Hercule Poirot między dwoma mężczyznami stała kobieta. Odwracając się z powrotem do głównego bohatera wieczoru, Claire wsunęła rękę pod zakiet i namacała kolbę pistoletu Glock kaliber czterdzieści.

CZEŚĆ IV

WYDANIE SPECJALNE

Trzy i pół tygodnia wcześniej

Jerry Philips podjechał na parking z obsługą i studencik w białej koszuli i czarnych portkach wydał mu kwit na odbiór samochodu. Jerry wziął Ashley za rękę i ruszyli w stronę rezydencji, którą Casey Van Meter odziedziczyła po ojcu. Wydawca Milesa Van Meta postanowił zorganizować autorskie tournee z okazji specjalnego wydania *Śpiącej królowy* dokładnie w rok po skazaniu Joshuy Maxfielda na śmierć, a Casey otworzyła podwoje Glen Oaks dla gości zaproszonych na przyjęcie z tej okazji.

W domu paliły się wszystkie światła, a z okolic basenu za domem dobiegały śmiechy i muzyka na żywo. Ludzie kręcili się po trawniku od frontu, kelnerzy roznosili na srebrnych tacach zakąski, a Jerry musiał się wręcz przepychać przez hałaśliwy tłum w holu, żeby dotrzeć do baru. Ashley śledziła paradę najmodniejszych kreacji i biżuterii, kiedy ktoś zawołał ją po imieniu. Odwróciła się i znalazła w uścisku Delilah Wallace, która po chwili wypuściła ją z objęć, żeby zlustrować swego byłego świadka koronnego od stóp do głów.

– Wyglądasz o niebo lepiej niż ostatnim razem – oświadczyła. Nie widziały się z Ashley od czasu wyroku.

– Ty też dobrze wyglądasz, Delilah.

– E tam. Jestem gruba, jak byłam, ale na pewno szczęśliwa, bo przyszłam tu w nadziei, że cię znajdę, no i jesteś. Opowiadaj, co tam u ciebie.

– Zaręczyłam się – powiedziała Ashley, pokazując prokuratorce pierścioneek.

Delilah złapała ją za rękę i przyjrzała się kamieniowi.

– Śliczny. Znam tego szczęściarza?

– Merlot dla szanownej pani – odezwał się Jerry Philips, wręczając Ashley kieliszek czerwonego wina. – Cześć, Delilah.

– Właśnie składałam gratulacje Ashley. Kiedy ślub?

– Pewnie dopiero po egzaminach Ashley – odrzekł Jerry. – Mamy teraz oboje za dużo zajęć, żeby jechać na miesiąc miodowy.

– Chodzę na uniwersytet w Portlandzie. Jestem na kursie przygotowawczym przed medycyną i tam naprawdę dają nam do wiwatu.

– Trudno ci było wdrożyć się do szkolnej rutyny po takiej długiej przerwie?

– Na początku bardzo ciężko. Denerwowałam się.

– Jedzie na samych piątkach – wtrącił dumnie Jerry.

Ashley się zaczerwieniła.

– A co u ciebie, Delilah?

– Po staremu, po staremu. Mordy i inne jatki.

Ashley miała właśnie powiedzieć prokuratorce, że czytała ojej najświeższym procesie, gdy do holu wkroczyła Casey Van Meter. Jej wzrok padł na Ashley. Pani Glen Oaks wyglądała promiennie. Oprócz ledwie dostrzegalnego utykania w ciągu roku zatarły się wszelkie ślady tej śmierci za życia, której doświadczyła. W niepamięć poszedł i Randy Coleman, z którym się wreszcie rozwiodła. Casey nie wróciła na stanowisko dyrektorki, pozostawiając na nim zdolną następczynię, zatrudnioną przez Henry'ego, kiedy ona leżała jeszcze w śpiączce. Zajął się natomiast działalnością publiczną, a ze względu na swoją inteligencję i zamożność cieszyła się dużym wzięciem, jeśli chodzi o uczestnictwo w rozlicznych radach i komitetach.

Casey przywitała się z Delilah Wallace. Jerry pozdrowił ją, unosząc kieliszek. Ashley, od kiedy poszła na studia, znacznie rzadziej widywała się z matką. Z powodu przeładowanego programu kursów zostawało jej bardzo mało czasu na spotkania towarzyskie. Jeśli już miała czas, spędzała go z Jerrym, który wcale nie żałował, że Ashley zredukowała wizyty u matki. Dzięki pokrewieństwu z Casey i poczuciu posiadania jakiejś rodziny Ashley łatwiej było przebrnąć przez proces Maxfielda, ale Jerry wyczuwał w Casey Van Meter jakiś chłód i sztuczność. Naturalnie nic na ten temat nie mówił Ashley.

– Miles o ciebie pytał – oznajmiła Casey. – Podpisuje książki w salonie. Chodź, zajrzemy do niego.

Ashley obiecała Delilah, że później z nią porozmawia, i dała się matce wziąć pod rękę i poprowadzić przez tłum. Jerry ruszył za tymi dwiema. Ludzie się za nimi oglądali, rozlegały się szepty. Za sprawą Milesa i mediów stały się sławne. Ashley nigdy nie sprawiało to przyjemności i z ulgą przyjęła spadek zainteresowania prasy po zakończeniu procesu. Toteż kolejna fala popularności z okazji promocji specjalnego wydania *Śpiącej królowny* nie wzbudziła jej zachwyty.

Miles, zwrócony plecami do okazałego kamiennego kominka, siedział przy stole, na którym piętrzyły się stosy książek.

– Przyprowadziłam ci kogoś – powiedziała Casey.

Miles z pochyłoną głową składał swój autograf na egzemplarzu książki dla jakiejś pary. Podniósł wzrok i rozpromienił się.

– Ashley – rzekł, wstając. – Tak się cieszę, że przyszedłaś. Cześć, Jerry.

Miles odwrócił się do niskiego, siwowłosego mężczyzny, który mu asystował przy podpisywaniu książek.

– Jack, to Ashley Spencer i jej narzeczony, Jerry Philips. A to Jack Dunlop, mój wydawca.

Dunlop z uśmiechem wyciągnął dłoń do Ashley.

– Jestem bardzo rad, że wreszcie cię poznałem. Po pracy nad *Śpiącą królowną* i kolejnych paru miesiącach nad nowym wydaniem mam wrażenie, że dobrze cię znam.

Ashley z wymuszonym uśmiechem modliła się tylko, żeby jej nie zapytał, co sądzi o książce, której nie czytała. Chciała przeżyty z powodu Joshuy Maxfielda koszmar zostawić jak najdalej za sobą. Za każdym razem na sam widok książki Milesa czuła, jak stare rany się otwierają.

– Mam coś dla ciebie – rzekł Miles, biorąc do ręki leżący osobno egzemplarz *Śpiącej królowny*. Otworzył książkę, żeby pokazać Ashley dedykację na stronie tytułowej.

Dla Ashley Spencer, osoby niezwyklej, której odwaga była dla mnie natchnieniem. Miles Van Meter.

– Dziękuję, Miles – odpowiedziała Ashley.

– Napisałem to szczerze – zwrócił się znowu do Jacka Dunlopa. – To najdzielniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek znałem.

Ashley wyszła z Jerryem koło północy, choć goście bawili się jeszcze w najlepsze. Rozmowa z Delilah sprawiła jej przyjemność, ale źle znosiła zaciekawienie, jakie towarzyszyło jej na każdym kroku, więc wymówili się, gdy tylko dało się to zrobić bez naruszenia zasad grzeczności. Z Jerryem za kierownicą pojechali do piętrowego wiktoriańskiego domu na wschodnim brzegu rzeki, w którym mieszkali razem od zakończenia procesu. Za domem mieli ogródek okolony wysokim żywopłotem, a od frontu werandę. Oprócz telewizora, odtwarzaczy CD i DVD oraz wysokiej klasy aparatury nagłaśniającej w salonie umeblowanie składało się głównie z antyków, stosownie do zabytkowego charakteru domostwa.

Jerry poszedł do kuchni po szklankę wody, Ashley tymczasem zaniósła prezent od Milesa do salonu i umieściła go na półce z książkami. Jerry zaszedł ją od tyłu i położył rękę na jej ramieniu.

– Masz zamiar to przeczytać? – spytał.

Przykryła jego dłoń swoją.

– Może kiedyś, jeśli będę już pewna, że nie zaboli zbyt mocno.

Jerry pochylił się i pocałował ją w kark.

– Chodźmy do łóżka.

Ashley wyłączyła światła i poszli na górę.

W dwa tygodnie po przyjęciu u Van Meterów Ashley zwinięta w kłębek kończyła na kanapie pracę domową z chemii organicznej przy cichym akompaniamencie Staną Getza. Po zapisaniu wyniku ostatniego zadania zamknęła podręcznik. Chemia organiczna przyprawiała ją o ból mózgu, ale udało jej się z tym uporać, co napawało ją dumą. Wyprostowała się i podeszła do okna. Jednostajny szum padającego za szybami deszczu i łagodne brzmienie jazzu działały usypiająco.

Poszła do kuchni zrobić sobie kawy rozpuszczalnej. Czekając, aż woda się zagotuje, zamyśliła się nad swoim nowym życiem. Denerwowała się przed ponownym pójściem do szkoły po tak długiej przerwie, ale też i ekscytowało ją to, że wreszcie będzie mogła prowadzić normalne życie. Ze znużeniem myślała o latach spędzonych na wygnaniu.

Woda zawrzała i Ashley nasypała sobie kawy do kubka. Upiła trochę i wróciła do salonu. Jerry od paru godzin męczył się w biurze nad wyciągami z akt. Na myśl o nim Ashley się uśmiechnęła. Była taka szczęśliwa, od kiedy się tu wprowadziła. Dzięki miłości Jerry'ego i wyrokowi zamykającemu sprawę Maxfielda zdołała wreszcie przezwyciężyć żalobę i rozpacz, które ją przytłaczały od śmierci rodziców. Jerry przywrócił ją do życia i zapewnił przyszłość.

Na Jerry'ego nie było jeszcze sensu czekać, a z domowymi obowiązkami uporała się w przerwach w odrabianiu zadanych ćwiczeń. Nie mając ochoty na oglądanie telewizji, zaczęła przeglądać książki w poszukiwaniu czegoś do czytania. Drgnęła na widok jednej z nich. Zawahała się przed wyciągnięciem *Śpiącej królowej* z półki. Już samo dotknięcie okładki wytrąciło ją z równowagi. Zniosła jednak książkę Milesa Van Meta na kanapę. Trzymała ją oburącz. Ze strachem myślała o jej otwarciu. W środku było o zamordowaniu jej ojca i matki. I zduszone krzyki Tani Jones, i to, jak ona sama ocierała się o śmierć. Zebrała się w sobie i przystąpiła do lektury wstępu.

Ashley czytała kiedyś relację pacjenta, który w stanie śmierci klinicznej miał wrażenie, że unosi się nad swoim ciałem i przygląda z góry wysiłkom lekarzy przywracających go do życia na stole operacyjnym. Czytanie o własnym życiu przedstawionym z cudzego punktu widzenia trochę jej to przypominało. Przy niektórych opisach trzęsła się lub zlewała potem, ale dzięki słowu drukowanemu

nabierała jednak dystansu do koszmaru tych lat po śmierci rodziców, a przed wyrokiem skazującym Maxfielda.

Tyle rzeczy działo się w jej sprawie, o których nie miała żadnego pojęcia. Nie mogła się oderwać od opisu polowania na Maxfielda po jego ucieczce z sądu okręgowego. Miles rozmawiał z agentami FBI i Interpolu, żeby szczegółowo odtworzyć kroki, które wówczas podjęto. A sama ucieczka okazała się fascynująca. Wymagała takiej pomysłowości i wyobraźni, że mimo woli wprawiała Ashley w podziw. Joshua Maxfield miał błyskotliwy umysł i Ashley uświadomiła sobie nagle, jaka z niej szczęściara, że jeszcze żyje.

Kilka rozdziałów dotyczyło Casey i wszystkich zabiegów, którym ją poddawano, kiedy leżała pogrążona w śpiączce. Zasmucił Ashley los Henry'ego. Ojciec Casey robił dobrą minę do złej gry podczas ich wspólnych posiłków. Nigdy nie zdradził się przed Ashley, jak głęboki żal nosi w sercu. Ashley nie miała wątpliwości, że poczucie własnej bezradności wobec córki za życia skazanej na powolną śmierć przyspieszyło zgon Henry'ego.

Po godzinnej lekturze dotarła do rozdziału o swojej ucieczce z internatu. Oczy ją bolały od czytania. Zamknęła książkę. Dochodziło południe. Poczowała głód. Odłożyła *Śpiącą królową* na stół i zaniósła kubek do kuchni, żeby dolać sobie kawy. Szykując kanapkę, zastanawiała się nad oceną książki Milesa. Znakomicie wywiązał się z zadania reportera opowiadającego o tym, co przydarzyło się rodzinie Spencerów, ale nie udało mu się odzwierciedlić grozy jej przeżyć. Trudno go było za to winić. Tylko ktoś, kto sam przeżył gwałt czy atak zabójcy, wiedział, jakie to uczucie. Nie sposób sobie wyobrazić tej rozpacz, zagubienia i czystej grozy ani tego, jak wtedy wali człowiekowi serce.

Ashley miała właśnie posmarować kromkę ryżowego chleba musztardą, gdy nagle znieruchomiała. Coś się nie zgadzało. Marszcząc czoło, odłożyła nóż. Po chwili wertowała już książkę w salonie. Gdy znalazła fragment, którego szukała, przebiegła go raz jeszcze wzrokiem i straciła apetyt.

– Nie – powiedziała na głos. – To niemożliwe.

Tyle czasu już minęło. Z pewnością to вина jej pamięci. Musi być jakieś logiczne wytłumaczenie. Tylko na razie go nie widać. Przeczytała ponownie ten sam akapit. Pod koniec dostała niemal mdłości, a w jej głowie panował mętlik. Jeśli ma rację... ale to niemożliwe. To bez sensu. Przecież widziała Maxfielda na przystani z nożem, od którego zginęła Terri.

Przeczytała ten fragment po raz ostatni. Ani słowa, ani ich znaczenie nie wyparowały z kartki. Co powinna zrobić? Mogła porozmawiać z Jerrym, lecz nie

chciała go martwić. I nie miała jeszcze dosyć danych. Żeby zyskać pewność, musi przejrzeć policyjne raporty i stenogram rozprawy. Skąd je wziąć? Od Delilah, rzecz jasna. Któż zresztą lepiej nadawałby się do rozmowy o tym, co ją gnębi.

Delilah odebrała po trzech sygnałach.

– Cześć, mówi Ashley.

– Co za miła niespodzianka! Doszłaś do siebie po balandze u Van Meterów? Nigdy nie widziałam tylu VIP-ów naraz.

– Casey umie urządzać przyjęcia – przyznała Ashley. Potem zamilkła, nie wiedząc, jak zacząć.

– Co jest? – pomogła jej Delilah.

– Muszę z tobą o czymś pomówić.

– Więc mów. Słucham.

– Masz akta sprawy Maxfielda?

– Są w biurze.

– Czy jest w nich stenogram procesu i rozprawy wstępnej, i policyjne raporty z moich przesłuchań?

– Jasne. A o co chodzi?

Ashley znów się zawahała. Im bardziej o tym myślała, tym większej nabierała pewności, że się pomyliła.

– Jesteś tam jeszcze, kochana? – spytała Delilah.

– Czytałam *Śpiącą królową*. Pierwszy raz.

– Myślałam, że chcesz się już od tego wszystkiego odciąć.

– Tak było, ale miałam tę książkę i chciałam coś poczytać i... Tak czy owak Miles napisał o różnych sprawach, o których nic nie wiedziałam. Zaciekawilo mnie to. Zastanawiałam się, czy mogłabym zajrzeć do tych akt dzisiaj albo jutro?

– Chcesz mnie ściągnąć do biura w wolny dzień?

– To ważne.

– Jak ważne?

Ashley milczała. Bała się, że odpowiedź zabrzmiała głupio.

– Co ty kombinujesz, Ashley? O co naprawdę chodzi?

– Coś się chyba nie zgadza.

– Jak to nie zgadza?

– Wolałabym nie mówić, póki nie przeczytam tych akt. Pewnie celuję kulą w płot. Nie chcę zawracać ci głowy, jeśli tak jest.

– Nic nie kumam. Z czym się coś nie zgadza?

– A co by było, gdyby się okazało, że się wszyscy myliliśmy co do Joshuy

Maxfielda?

Delilah się roześmiała.

– Joshua Maxfield to zły człowiek, Ashley. Nie oszukuj się. Siedzi w celi śmierci, bo na to zasłużył.

– Wiem, ale...

– Słuchaj, ten facet zostanie stracony, a ty rzeczywiście miałaś w tym swój udział. Normalnych ludzi to zawsze gryzie, że przyczynili się jakoś do czyjejś śmierci, nawet jeśli chodzi o śmierć potwora. Dlatego ty nie jesteś seryjnym zabójcą, bo współodczuwasz z ludźmi. Nie daj się zwieść tym skrupułom.

– Delilah, ja muszę zobaczyć te akta. Proszę. Na pewno coś kompletnie pokręciłam, ale jeśli nie sprawdzę...

– Dobrze, złotko, wal, w czym rzecz. Wytocz wszystkie argumenty. Jeśli mnie przekonasz, za godzinę będziemy w biurze.

Kiedy Delilah wprowadzała Ashley do biura prokuratora okręgowego, kilku prokuratorów pracowało za swoimi przepierzeniami, ale większość opustoszałych pomieszczeń pogrążona była w mroku. Delilah wpuściła Ashley do pustego pokoju z dużym stołem i po piętnastu minutach wróciła z wózkiem załadowanym kartonami akt. Ashley pomogła jej ustawić te pudełka na stole, po czym wzięły się do ich otwierania. Jedno zawierało akta oskarżyciela, łącznie z kompletem policyjnych raportów. W dwóch dużych pudłach mieściły się stenogramy z procesu Maxfielda, którego apelację rozpatrywał teraz Sąd Najwyższy. Do kilku pudełek zapakowano dowody rzeczowe okazywane na rozprawie. W jednym znajdowały się materiały, z których Delilah zrezygnowała. Kiedy Ashley rozpakowywała ostatnie pudełko, Delilah zniknęła, by powrócić po chwili z kubkiem i termosem kawy.

– Pomyślałam, że ci się przyda. Czeka cię kupa roboty. I nie obawiaj się. To nie żadna biurowa lura, tylko specjalna kofeinowa mieszanka, według mojej tajnej receptury, którą doskonaliłam przez lata przesiadywania do późna i wstawania za wcześnie.

Delilah poszła, a Ashley zabrała się do dzieła. Najpierw rzuciła się na stenogram procesu. Ponieważ wiedziała, czego szukać, więc nie musiała wszystkiego czytać. Przewertowała mowy wstępne i końcowe obu stron, własne zeznanie oraz zeznania Larry'ego Bircha i Tony'ego Marksa. Uporawszy się ze stenogramem, zabrała się za raporty policji, zwłaszcza z przesłuchań, które prowadził z nią samą Larry Birch, ale przeczytała także raport stanowiący

podsumowanie śledztwa. Po dwóch godzinach nadal nie znajdowała tego, czego szukała, i to ją śmiertelnie przeraziło.

Nawet jeśli miała rację w jednej sprawie, to i tak pozostało jeszcze wiele pytań bez odpowiedzi. Wyciągnęła z pudła z dowodami brudnopis niedokończonej powieści Maxfielda w nadziei, że znajdzie w nim przynajmniej jedną. Delilah nie włączyła do materiału dowodowego całego maszynopisu. W sądzie przedstawiono tylko fragmenty zawierające detale odpowiadające danym zgromadzonym na miejscach zbrodni, a niedostępny opinii publicznej. W lewym górnym rogu każdej strony widniał napis *Joshua Maxfield*. Przejrzała sto siedemdziesiąt parę kartek, ale na żadnej nie znalazła odpowiedzi na nurtujące ją pytania.

Z lektury policyjnego raportu na temat rewizji przeprowadzonej w domku Maxfielda Ashley wiedziała, że w pokoju, w którym pracował, na stoliku odkryto wcześniejszy brudnopis osławionej powieści. Natrafiła na niego po paru minutach. Nie był podpisany nazwiskiem Maxfielda i w ogóle znacznie odbiegał od późniejszej wersji. Nim dojechała do końca, było już dla niej jasne, co zaszło, ale musiała zrobić coś jeszcze, żeby się upewnić. Wyszła na korytarz i zapukała do drzwi.

– Delilah – odezwała się, gdy zastępczyni prokuratora podniosła na nią oczy. – Muszę porozmawiać z Joshua Max fieldem.

Stanowe więzienie w Oregonie mieści się przy autostradzie 1-5 w Salem, stolicy stanu. O dziesiątej rano w poniedziałek Ashley zaparkowała na parkingu dla odwiedzających. Wzdłuż białych domków przeznaczonych na biura personelu więzienia biegł w cieniu drzew chodnik. Na końcu, za asfaltowym placikiem wznosiły się żółte mury zwieńczone drutem kolczastym, których strzegły wieżyczki strzelnicze.

Ashley zameldowała się w biurze przepustek i zajęła miejsce w poczekalni. O mało się nie rozmyśliła, czekając, aż strażnik ją wywoła po nazwisku. Tak bardzo bała się Joshuy Maxfielda. Delilah załatwiła jej to widzenie i zgłosiła gotowość towarzyszenia Ashley. To samo zresztą zrobił Jerry, gdy wszelkie jego próby wyperswadowania jej tego spotkania spełzyły na niczym. Odrzuciła obie propozycje, bo była przeświadczona, że samej łatwiej jej będzie skłonić lokatora celi śmierci do mówienia.

Strażnik wezwał Ashley do wykrywacza metali. Kiedy udało jej się przejść bez uruchamiania alarmu, podprowadził ją przez krótką rampę pod dwie ruchome kraty, za którymi znajdował się już teren zamknięty. W środku siedziało kilku innych członków personelu. Jeden z nich nacisnął guzik. Z głośnym buczeniem odsunęła się pierwsza krata. Ashley znalazła się w punkcie kontrolnym i wsunęła swoje prawo jazdy przez szparę w szybie pancерnej, podczas gdy za jej plecami krata zasuwiała się z powrotem. Skoro tylko jej tożsamość została potwierdzona, przyciśnięcie kolejnego guzika uruchomiło drugą kratę, za którą znalazła się w wąskim korytarzyku prowadzącym w głąb więzienia. Ashley miała wrażenie, że ściany korytarza na nią napierają, a szcęk zamykającej się kraty przypominał jej, że jest teraz zamknięta w więzieniu.

Po chwili jej przewodnik zatrzymał się przed grubymi metalowymi drzwiami z małym okienkiem w górnej części. Ashley musiała się cofnąć, kiedy odblokowywał zamki i otwierał odrzwia, żeby ją wpuścić do pomieszczenia przeznaczonego na odwiedziny. Po prawej rozciągała się duża sala z kanapami miejscowego wyrobu i niskimi drewnianymi stołami. W głębi pod ścianą stało kilka automatów z napojami i słodyczami. Od strony wejścia cały pokój lustrował z podwyższenia strażnik. Ten, który ją tu przyprowadził, zameldował jej przybycie i wrócił do poczekalni.

Ashley rozglądała się nerwowo po sali, podczas gdy strażnik telefonował do

kolegów, żeby przyprowadzili z celi śmierci Joshuę Maxfielda. Ashley nigdy przedtem nie była w więzieniu. Spodziewała się niemalże wytatuowanych osiłeków i obleśnych wyrostków z gangów motocyklowych mierzących ją zimno wzrokiem, w którym czai się gwałt. Zamiast tego miała przed sobą pokój pełen niewyróżniających się niczym szczególnym mężczyzn w niebieskich drelichach, toczących ciche rozmowy ze swoimi krewnymi i przyjaciółmi. Jakiś brzuchaty wąsacz w średnim wieku bawił się na podłodze z dziewczynką, której wiek Ashley oceniła na cztery lata. Nieśmiały mężczyzna pod trzydziestkę trzymał się za ręce z wyraźnie przemęczoną młodą kobietą w bardzo zaawansowanej ciąży. W głębi pokoju niski, czarny chudzielec śmiał się z czegoś, co mu mówiła starsza, równie czarna kobieta.

Po kwadransie do sali wszedł nowy strażnik i skierował się do dyżurnego na podwyższeniu. Po paru chwilach zaprowadził Ashley do innego pomieszczenia dla odwiedzających, wyposażonego jedynie w twarde metalowe krzesła ustawione po dwóch stronach grubych szyb. Za tymi szybami w ciasnych betonowych pokoikach siedzieli więźniowie uznani za zbyt niebezpiecznych lub zbyt skłonnych do ucieczki, by ich wypuszczać do ogólnej sali odwiedzin. Strażnik wskazał Ashley dwoje drzwi w głębi pomieszczenia. Otworzył jedno z nich i dziewczyna znalazła się w malutkiej kabine. Naprzeciw grubej szyby stało tylko metalowe krzesło. Spod szyby wystawała mała metalowa półka. Przez szparę między nią a szybą można było przesuwac kartki papieru. Nad szparą równie wąska metalowa kratka umożliwiała porozumiewanie się.

– Sprowadzają już Maxfielda. Będzie siedział tam – strażnik pokazał identyczną kabinę po drugiej stronie szyby. – Tylko tutaj wolno rozmawiać z więźniami z cel śmierci. Kiedy pani skończy, proszę wrócić do dyżurnego i ktoś po panią przyjdzie.

Ashley została sama. Było duszno i zaczynała odczuwać klaustrofobię. Delilah zapewniała ją, że Maxfield nie będzie mógł jej zaatakować, ale Ashley od tak dawna się go bała, że musiała zmobilizować cały swój zdrowy rozsądek, żeby uwierzyć, że więzień nie dysponuje jakąś nadprzyrodzoną mocą, która pozwoli mu sforsować grube szkło i beton.

Drzwi do przeciwległej kabiny otworzyły się z metalicznym szczęknięciem i za szybą pojawił się, ponaglany przez strażnika, Joshua Maxfield. Częściowo osiwiiał, a jego cera nabrała ziemistego odcienia z braku kontaktu ze słońcem. Ashley pamiętała, jak tryskał energią, kiedy się spotkali obok sali gimnastycznej. Teraz skóra mu zwiotczała. Nie zmieniły się tylko oczy, których z niej nie spuszczał

podczas procedury odpinania kajdan z nóg i rąk.

– Co za miła niespodzianka – odezwał się, gdy tylko drzwi się zamknęły za strażnikiem, lecz ton jego głosu przeczył słowom.

– Dziękuję, że zechciał się pan ze mną zobaczyć, panie Maxfield.

– Proszę to przypisać ciekawości. Oprócz mojego adwokata nie miałem żadnych gości od czasu wyroku. I nigdy bym nie przypuścił, że ty będziesz pierwsza.

– Czy dobrze tu pana traktują? – spytała Ashley, starając się za wszelką cenę ukryć swoje zdenerwowanie. Ledwie wypowiedziała te słowa, a zdała sobie sprawę, jak niedorzecznie zabrzmiały, Maxfield jednak potraktował pytanie poważnie.

– Cela śmierci nie bardzo przypomina Ritza, ale podejrzewam, że traktują mnie na tyle dobrze, na ile to możliwe, zważywszy na okoliczności. Strażnicy pozwalają mi pisać, a nawet zaopatrują mnie w papier i długopisy. Pewnie myślą, że będę posłuszniejszy, jak się czymś zajmę.

Uśmiechnął się, ale napięcie nie ustąpiło z jego twarzy.

– Może cię zainteresuje, że pracuję nad powieścią o niewinnym człowieku, który trafia do więzienia. Posłałem próbkę z paru rozdziałów mojemu byłemu wydawcy z Nowego Jorku. Wzbudziły jego duże zainteresowanie, mimo to nie chce podpisywać umowy. Boi się, że nie zdążę skończyć książki przed egzekucją. Ale dość na mój temat. Co cię tu sprowadza?

– Chciałam pana o coś zapytać. Jeśli powie mi pan prawdę, postaram się panu pomóc.

– Pomóc w czym?

– W wydostaniu się stąd.

Maxfield przekrzywił głowę, patrząc na Ashley z żywszym zainteresowaniem.

– Czemu właśnie ty miałabyś mi pomagać?

– Bo... bo mam pewne wątpliwości co do werdyktu.

– Trochę się z tym spóźniłaś, nie sądzisz? – zaśmiał się z goryczą Maxfield. – To dzięki tobie i Casey jestem już trupem.

– Zapomniał pan, że ktoś jeszcze się do tego przyczynił.

– O, a któż to taki?

– Pan, panie Maxfield. Skłamał pan w sprawie kluczowego dowodu. Wszystko się mogło potoczyć inaczej, gdyby pan wtedy powiedział prawdę.

– O czym ty mówisz? – spytał ostrożnie Maxfield.

– Skłamał pan na temat tego, co zaszło w szopie na przystani. To po pierwsze.

Nie wiem czemu, ale fakt pozostaje faktem. I kłamał pan co do swojej powieści.

Maxfield się zaczerwienił i poruszył niespokojnie na krześle.

– Powieści? – powtórzył.

Ashley zebrała wszystkie siły i spojrzała mu prosto w oczy.

– Pan jej nie napisał. To był plagiat. To ten seryjny morderca ją napisał.

– Kto ci to powiedział? – zezłościł się Maxfield.

– Nikt. Sama do tego doszłam. Zawsze męczyła mnie jedna rzecz. Jest pan inteligentny. Wszyscy to mówią. Musi pan być, żeby tak dobrze pisać. Moja matka mogła w kółko dyskutować o pana książkach. Dlatego poszła na ten pański kurs. A ja nie mogłam pojąć, dlaczego ktoś tak bystry mógł zrobić coś równie głupiego, jak przeczytanie tego fragmentu swojej książki, w którym zabójca częstuje się ciastem, w obecności jednej z paru osób na świecie, które wiedziały, co ta informacja znaczy. Gdyby jednak przyjąć, że to nie pan opisał tę scenę, wszystko zaczyna pasować. Pan nie miał pojęcia, że człowiek, który zabił mojego ojca, podjadał w naszej kuchni.

Ashley przerwała, czekając na reakcję Maxfielda, ale on, sztywno wyprostowany, z niczym się nie zdradzał.

– Przeczytałam obie wersje, panie Maxfield, i czytałam też pańskie książki. To pan jest autorem tego maszynopisu podpisanego pańskim nazwiskiem. Z łatwością daje się rozpoznać ten sam styl, co w *Turyście w Babilonie* i *Studni życzeń*. Ale pierwszą wersję napisał człowiek, który zabił mojego ojca i Tanie Jones. Tak bardzo różni się ona od pańskiego tekstu, że musi być dziełem innej osoby.

Maxfield milczał, ale i nie protestował.

– Byłam w sądzie, kiedy Delilah Wallace puściła to nagranie z przesłuchania w areszcie w Omaha. Pan był wstrząśnięty, gdy Larry Birch powiedział panu, że scena, którą pan przeczytał w obecności mojej matki, tak bardzo przypominała to, co się zdarzyło u mnie w domu. Pan o tym nie wiedział. Mógł pan wtedy wyjaśnić Birchowi, że to nie pańska książka, ale cokolwiek by o tym sądzić, pan chyba wolałby umrzeć, niż się przyznać, że już pan nie jest w stanie pisać.

– To śmieszne.

– Tak? Nic się panu w życiu nie udawało, póki pan nie napisał *Turysty*. Na sukcesie tej książki zasadzała się od tej pory cała pana osobowość. Z wiecznego popaprańca stał się pan podziwianym, szanowanym, zamożnym i sławnym na cały świat pisarzem. A po kłapie ze *Studnią życzeń* nie mógł pan już wykrzesać z siebie kolejnej książki. Miał pan swój moment chwały i chciał pan, by to wróciło. W powieści tego seryjnego mordercy dostrzegł pan szansę powrotu na szczyty. Kto

jest autorem pierwszej wersji, panie Maxfield?

– Uważasz, że się skończyłem jako pisarz? Oskarżasz mnie o... kradzież czyjegoś dzieła?

– Wiem, że pan to zrobił i zataił ten fakt z dumy. Wszyscy uważaliśmy pana za superinteligentnego geniusza pióra, ale tak naprawdę jest pan chyba autorem jednej genialnej książki, choć wolałby pan skonać, niż się przyznać, że ukradł pan czyjś pomysł na książkę, bo sam się pan wyprztykał.

Maxfield spuścił wzrok. Wyglądał na zdruzgotanego.

– Recenzje, te pierwsze recenzje... Pisali, że jestem nowym Hemingwayem, nowym Salingerem, głosem swego pokolenia. Wszyscy tak mówili. To wszystko przyszło tak szybko, tyle tych pieniędzy. – Maxfield zupełnie zmarkotniał. – I równie szybko poszło. Kiedy *Studnia życzeń* zrobiła klapę, wydawca powiedział mi, że to takie typowe przekleństwo genialnego debiutu, że za bardzo się starałem utrzymać poziom. Kazał mi się nie spieszyć z następną książką, bo na pewno wkrótce się odkuję. Tylko że następnej książki w ogóle nie było. Kompletnie nic nie mogłem wymyślić. Za każdym podejściem fiasko. Potem pieniądze się skończyły i pozwali mnie do sądu. Po wyrzuceniu z Eton nie mogłem znaleźć porządnej pracy. Wszyscy już wiedzieli o picciu, naciąganyh życiorysie i o tym incydencie ze studentką. Wylądowałem w liceum, na rany boskie. Tylko nowa książka mogła mnie uratować.

– Kto panu przysłał powieść o seryjnym mordercy?

– Nie wiem. Oceniałem teksty dla pieniędzy. Nawet z pensją z Academy ledwo dawałem sobie radę. Ten tekst dostałem pocztą anonimowo razem z opłatą w gotówce. Jako adres zwrotny podano skrytkę pocztową. Od razu dostrzegłem zawarty w nim potencjał. Przy całej toporności stylu tekst przemawiał z wielką siłą. Teraz wiem, dlaczego. To było wzięte z rzeczywistości: ta groza, reakcje ofiar i zabójcy, autor sam to przeżył.

– Na pewno przeczytałby pańską książkę. Nie myślał pan o tym, że rozpoznałby swój tekst?

– Nic mnie to nie obchodziło. Sięgnąłem dna. I wykombinowałem sobie, że wygram w każdym sądzie. Miałem zamiar zniszczyć jego wersję po zakończeniu pracy, a poza tym byłem przecież sławnym pisarzem. Sądziłem, że mam do czynienia z kimś zupełnie nieznanym.

– Czemu po aresztowaniu nikomu pan nie powiedział, że to nie pan napisał tę książkę?

– Raz próbowałem. Tuż przed tym, jak miałem zeznawać jako świadek,

wyjawilem mojemu obrońcy, że ukradłem pomysł na tę powieść. Ale adwokat na to, że nikt mi nie uwierzy. Miał rację. Tekst leżał obok mojego komputera, z mnóstwem moich odręcznych notatek. Na każdej stronie moje nazwisko.

– Co się wydarzyło na przystani? – spytała cicho Ashley.

Maxfield nie odrywał wzroku od podłogi. Milczał.

– Czemu tak panu na tym zależy? – spytała Ashley. – Został pan skazany na śmierć. Nic gorszego już panu nie grozi.

– Masz rację. Zupełną rację. – Maxfield przetarł sobie ręką twarz. – Nie zabiłem twojej matki. Terri już nie żyła, kiedy tam wszedłem.

– Niech pan mówi.

– Byłem tuż przy przystani, gdy usłyszałem pierwszy krzyk. Zamarłem. Ten krzyk był straszny. Stałem jak sparaliżowany.

Ashley dobrze wiedziała, co miał na myśli.

– Potem krzyk się powtórzył, a ja ruszyłem do szopy.

– Widział pan uciekającego Randy'ego Colemana?

Maxfield pokręcił głową.

– Zmyśliłem to.

Ashley patrzyła ze zgrozą.

– Gdyby policja panu uwierzyła, Coleman zostałby oskarżony o morderstwo.

Twarz Maxfielda przybrała zacięty wyraz.

– Zasłużył na to. Próbował cię zabić na parkingu w Sunny Rest. Tu mówiłem prawdę. I zamordował Terri, próbując zabić swoją żonę.

– Ale nie widział go pan na przystani?

– Nie. Pewnie ukrył się w szopie i uciekł, gdy ja pobiegłem za tobą.

– Więc co się tam naprawdę stało?

– Kiedy wszedłem do środka, Casey klęczała nad Terri. Obok na podłodze leżał nóż. Złapała go i zerwała się na równe nogi. Potem zawołała „morderca!” i rzuciła się na mnie. Wyglądała na przerażoną. Myślała, że to ja zabiłem Terri. Próbowwała mnie dźgnąć. To działo się tak szybko, że nie zdążyłem pomyśleć. Walnąłem ją w szczękę. Poleciała do tyłu i trzasnęła głową o tę dębową belkę. To był makabryczny dźwięk. Wiedziałem, że źle z nią, jak tylko go usłyszałem. Chciałem do niej podejść, ale mi zaświtało, że zabójca Terri może się wciąż znajdować w szopie. Między tym drugim krzykiem a moim wejściem do środka nie upłynęło zbyt dużo czasu, a nikogo przecież nie widziałem wychodzącego. Casey upuściła nóż, kiedy ją uderzyłem. Podniosłem go, żeby się bronić. I prawie w tej samej chwili zobaczyłem ciebie w oknie. Chciałem ci powiedzieć, że jestem niewinny,

lecz uciekłaś, nim się zdążyłem odezwać. – Maxfield znów odwrócił oczy. – Wtedy zdałem sobie sprawę, że powiesz policji, że to ja zabiłem Terri i ogłuszyłem Casey. Spanikowałem i uciekłem.

– Dlaczego później nie powiedział pan nikomu, co się stało?

– A kto by mi uwierzył po tym, co ty opowiedziałaś policji i po mojej ucieczce?

Ashley uśmiechnęła się spokojnie.

– Ja panu wierzę, panie Maxfield, i zamierzam przekonać innych. Wiem już, kto zabił moich rodziców.

Z Salem do Portlandu jedzie się czterdzieści pięć minut i Ashley przez całą drogę rozmyślała. Joshua Maxfield uzupełnił większość luk, ale wciąż dręczyło ją jeszcze jedno pytanie. Nim zjechała z autostrady, miała już pomysł, jak znaleźć na nie odpowiedź.

Jerry czekał na nią w ciemnym zakątku w restauracji Hubera, gdzie się umówili na późny lunch.

– No i? – spytał, jak tylko usiadła.

– On ich nie zabił – odparła Ashley. – A ja wiem, kto to zrobił.

Wyjaśnianie własnej teorii na ten temat zajęło Ashley resztę lunchu. Jerry wcielił się w rolę adwokata diabła, ale zbijała wszystkie jego argumenty. Kiedy skończyła, odchylił się na oparcie kanapki i głęboko zamyślił. Ashley patrzyła na niego wyczekująco. Wreszcie lekko potrząsnął głową.

– Boże mój, Ashley. Chyba masz rację.

Ashley wypuściła długo wstrzymywany oddech. Martwiła się, że Jerry się z nią nie zgodzi albo znajdzie jakiś błąd w jej rozumowaniu. To tyle dla niej znaczyło – mieć go po swojej stronie.

– Jedno mnie jeszcze niepokoi – ciągnął Jerry. – Jeśli masz rację, to zabójstwa w twoim domu nie były sprawą przypadku. Skąd on mógł wiedzieć, że jesteś córką Casey? To się rozniosło dopiero przy okazji sprawy o kuratelę.

Najwyraźniej Ashley przejęła się tym pytaniem.

– Pamiętasz, jak byliśmy na tym posiedzeniu sądu w tydzień po moim przyjeździe do Portlandu?

– Jasne.

– Domagałeś się dokumentów związanych z moją adopcją od tej firmy reprezentującej Henry'ego Van Metera. I co?

– Monte Jefferson nie mógł ich znaleźć.

– Jak to?

– Twierdził, że ktoś je przełożył albo przez pomyłkę wyrzucił. Mają ponad dwadzieścia lat. To się zdarza.

– A jeśli te akta nie zaginęły? Jeśli je ukradziono?

Oszołomiony Jerry aż pobladał, gdy zdał sobie sprawę z głębszego sensu tego pytania i pojął, skąd się wzięło zdenerwowanie Ashley. Grymas wykrzywił mu twarz.

– Jeśli zdobył te akta, to znał nazwiska wszystkich osób, które wiedziały, że jesteście córką Casey, łącznie z moim ojcem.

Ashley wyciągnęła ręce nad stołem i ścisnęła dłonie Jerry'ego.

– Nie ujdzie mu to płazem. Dostaniemy go. Zapłaci za to. Ale potrzebujemy dowodów. No więc mów, gdzie oni trzymali te moje akta.

Firma Elitę Storage dysponowała magazynem o powierzchni ponad sześciu tysięcy metrów kwadratowych na terenach fabrycznych w północnym Portlandzie. Szerokie, metalowe wrota otwierały się na rampy załadunkowe, rozmieszczone w równych odstępach wokół budynku. Jerry i Ashley minęli szereg zaparkowanych przy nich ciężarówek. Biuro znajdowało się w północno-wschodnim narożniku magazynów. Zastali w nim zajętego papierkową robotą łysiejącego mężczyznę w średnim wieku, ubranego w kraciastą koszulę i spodnie khaki. Sądząc z tabliczki na jego biurku, nazywał się Raymond Wehrman.

– Pomóc? – spytał.

– Jestem Jerry Philips, panie Wehrman. Ken Philips był moim ojcem. Przechowujecie stare akta naszej kancelarii.

– Skoro pan tak twierdzi. Obsługujemy siedemdziesiąt procent kancelarii w tym mieście.

– Nie dziwię się, że nie kojarzy pan tego nazwiska. Mój ojciec nie żyje, a ja pracuję teraz sam. Ale macie akta Bruchera, Platta i Heineckena, prawda?

– O, tak. To wielka firma. Te nazwiska pamiętam.

– A to jest Ashley Spencer. Firma Bruchera zajmowała się jej adopcją przed dwudziestoma czterema laty. Reprezentuję ją w sprawie spadkowej i chcielibyśmy obejrzeć te akta.

Jerry wręczył mężczyźnie podpisany przez sędziego Gisha nakaz wydania akt Ashley radcy z kancelarii Milesa. Po przeczytaniu dokumentu Wehrman podniósł wzrok.

– A po co wy tu przyszliście? Przecież to prawnik z tej kancelarii miał wam wręczyć akta?

– Tak, ale powiedział nam, że akta zaginęły.

– Z naszego magazynu?

– Tak. Zastanawialiśmy się, czy nie mógłby pan spróbować ich odnaleźć. To bardzo ważne.

– Nawet jeśli je znajdę, to ich nie dostaniecie. Mogę je wydać tylko prawnikowi z kancelarii Bruchera.

– W porządku – wtrąciła się Ashley. – Chcemy się tylko dowiedzieć, czy się znalazły.

Wehrman spojrział na zegarek i na stos papierów piętrzący się przed nim na biurku. Potem wstał.

– Zobaczmy, co się da zrobić. Siedziałem tu cały boży dzień, przyda mi się przerwa.

Poprowadził Jerry'ego i Ashley do części wynajętej przez kancelarię Bruchera między ciągnącymi się w nieskończoność rzędami regałów czterometrowej wysokości tonących od góry w blasku jarzeniówek. Wehrman przyciągnął sobie drabinkę i wspiął się na półkę, na której powinny znajdować się akta Ashley. Po kilku minutach przesunął drabinę do innej sekcji. W końcu zrezygnował i zszedł na dół.

– Nie ma ich – powiedział.

– A co się mogło z nimi stać? – spytał Jerry.

Wehrman wzruszył ramionami.

– Różne rzeczy. Akta mogą wciąż leżeć w kancelarii. Wie pan, myśleli, że je przesłali, ale mają tam bałagan. Albo myśmy mogli je źle włożyć, co nie zdarza się często, ale czasami może. Albo ktoś je wypożyczył i zapomniał zwrócić.

– A jeśli ktoś je brał, to macie to gdzieś odnotowane? – spytała Ashley.

– Tak, wszystko mamy teraz w komputerze, nawet te stare rzeczy. Kosztowało to majątek.

Po powrocie do biura Wehrman wpisał do komputera hasło „Brucher, Platt i Heinecken”, a potem tytuł akt.

– Z tego wynika, że te akta przyszły do nas siedem lat temu. – Stuknął jeszcze parę razy w klawisze. – Zabawne.

– Co? – spytała Ashley.

– Nikt ich nigdy nie wypożyczał. Powinny być na miejscu.

– Jeśli podam panu nazwisko i rok, to czy jest pan w stanie sprawdzić, czy ta osoba coś wypożyczała?

– Jasne, włączę wyszukiwanie.

Ashley podała rok śmierci Kena Philipa, jej ojca, Terri i Tani Jones oraz nazwisko. Po chwili Wehrman miał już odpowiedź.

– Miles Van Meter wypożyczył! jakieś akta w tamtym roku, ale to nie były akta pani.

– Wcale nie przypuszczałam, że moje – odpowiedziała Ashley.

WIECZÓR AUTORSKI

Chwila obecna

Spotkanie Milesa z czytelnikami trwało już od godziny, gdy Jill Lane, właścicielka „Zabawy z Morderstwem”, postanowiła przyjść mu z odsieczą, wkraczając na podium.

– Proszę państwa, zostało nam czasu na jedno, dwa pytania. Potem pan Van Meter będzie podpisywał książki.

Mężczyzna w średnim wieku, siedzący w pierwszym rzędzie, podniósł rękę. Miles wskazał go dłonią.

– Panie Van Meter, sprawdziłem w Internecie trasę pańskiego autorskiego tournée po ukazaniu się pierwszego wydania *Śpiącej królowej*. Wiedział pan, że w dwóch miastach z tej listy, a mianowicie w Cleveland w Ohio i Ames w Iowa, zdarzyły się niewyjaśnione morderstwa w stylu Maxfielda?

– Nie, nie wiedziałem, ale spotykałem się z czytelnikami w dwudziestu sześciu miastach, więc nic dziwnego, że w którymś zdarzyły się jakieś morderstwa.

– Ale te były bardzo podobne. Myśli pan, że jakiś psychopata naśladowca podąża pana tropem?

– Mam nadzieję, że nie – Miles uśmiechnął się, składając ręce jak do modlitwy.

– Proszę, tylko nie róbcie ze mnie Jessiki Fletcher z tego starego telewizyjnego serialu *Morderstwo jej autorstwa*. Zauważyliście? Wszędzie, gdzie się pojawiła, zaraz dochodziło do morderstwa. Zawsze się zastanawiałem, czemu gliniarze nie zaczęli jej podejrzewać o to, że jest seryjnym zabójcą.

Publiczność się roześmiała, a Miles pokazał zęby w uśmiechu.

– Ostatnie pytanie – ogłosiła Jill Lane.

Zza regału z książkami w głębi księgarni wyłoniła się kobieta z podniesioną ręką.

– Miles – powiedziała, zbliżając się do bohatera spotkania.

Zdumienie na twarzy Van Meta ustąpiło miejsca szerokiemu uśmiechowi.

– Nie do wiary – zwrócił się do publiczności. – Proszę państwa, mamy wyjątkowego gościa. Ashley Spencer. Ashley, co też ty porabiasz w Seattle?

Pojawienie się Ashley wywołało spore poruszenie wśród publiczności. Niektórzy poznawali ją z fotografii z książki czy telewizji. Zerwały się oklaski.

Ashley zatrzymała się o kilka rzędów krzeseł od Milesa i uniosła jego książkę.

– Wreszcie przeczytałam *Śpiącą królową*, którą od ciebie dostałam z dedykacją. Jest naprawdę dobra.

– Pochwała z twoich ust bardzo wiele znaczy.

– Ale mam pytanie – dodała Ashley.

– Pytaj.

– Przez delikatność nigdy mnie nie wypytywałeś o to, co zdarzyło się w moim domu tej nocy, kiedy mój ojciec i Tania Jones zostali zamordowani.

– Wiedziałem, że wracanie do tego byłoby dla ciebie bardzo przykre.

– Więc wszystkie twoje informacje na ten temat pochodzą z policyjnych raportów i zeznań w sądzie?

– Zgadza się. Ktoś już chyba dziś o to pytał.

Ashley otworzyła swój egzemplarz *Śpiącej królowy*.

– Oto moje pytanie. W rozdziale pierwszym napisałeś: *Ashley leżała na łóżku, czekając na śmierć. Potem drzwi do pokoju gościnnego się zamknęły, a ubrany na czarno i zamaskowany Maxfield stanął w drzwiach sypialni Ashley. Dziewczyna była przekonana, że przyszedł ją zgwałcić i zamordować. Tymczasem napastnik wyszeptał tylko: „Na razie”, i zszedł na dół. Po chwili Ashley usłyszała dźwięk otwieranej lodówki.*

Ashley zamknęła książkę i spojrzała na Milesa.

– Skąd wiedziałeś, że człowiek, który włamał się do mojego domu, powiedział „na razie” przed zejściem do kuchni?

Miles wzruszył ramionami.

– Gdzieś to musiało być, w raportach policji albo ty to opowiedziałeś w sądzie.

Uśmiech, z którym Ashley wkroczyła na tę salę, zniknął. Z jej twarzy biła teraz lodowata nienawiść.

– Nie, Miles. Nigdy nikomu nie powiedziałam, że ten człowiek, który zabił mojego ojca, w ogóle się do mnie odezwał przed zejściem do kuchni. To było tak traumatyczne przeżycie, że wyparłam to z pamięci. Pod wpływem szoku w zasadzie w ogóle o tym zapomniałam, aż do momentu kiedy przeczytałam twoją książkę po raz pierwszy, w tym tygodniu.

Uśmiech nie schodził z ust Milesa.

– No, komuś jednak musiało o tym powiedzieć.

– Też tak na początku pomyślałam, że komuś powiedziałam i o tym zapomniałam, więc przeczytałam wszystkie policyjne raporty, w których była jakakolwiek o mnie wzmianka, oraz stenogram rozprawy wstępnej i moich zeznań na procesie. A potem rozmawiałam z Delilah Wallace i Larrym Birchem. Żadne z

nich nie przypomina sobie, bym kiedykolwiek im mówiła, że morderca się do mnie odezwał.

Ashley urwała, nie odrywając od Milesa przeszywającego wzroku.

– Tylko ja i mężczyzna, który wtargnął do mojego domu, wiedzieliśmy, co zostało powiedziane w mojej sypialni.

Wśród zebranych rozszedł się szmer, a fani Milesa zaczęli oglądać się na siebie. Miles uniósł rękę do góry.

– Hola, Ashley, uspokój się! Nie wiem, co w ciebie wstąpiło, ale to Joshua Maxfield zamordował twojego ojca i Tanie Jones. To wyrok ławy przysięgłych.

– Mówi ci coś nazwisko Ken Philips?

Miles wyglądał na zaskoczonego pytaniem.

– Nie, a powinno? – odparł.

– To prawnik, który zajmował się sprawą mojej adopcji. Twoja kolejna ofiara. Zabiłeś go na krótko przed wtargnięciem do mojego domu.

W tłumie rozległy się stłumione okrzyki.

– Czemu rzucasz te szaleńcze oskarżenia? – spytał Miles.

– Po co odwiedziłeś magazyn Elitę Storage tuż przed zamordowaniem Kena Philipsa?

Na twarzy Milesa malowała się udręka.

– To było wieki temu, Ashley. Skąd mam to pamiętać? W ogóle nie jestem pewien, czy tam byłem.

– W kartotece jest zapis, że wypożyczyłeś akta wkrótce po tym, jak twój ojciec zwrócił się do jednego z prawników w twojej kancelarii w sprawie uwzględnienia mnie w testamencie. To było zaledwie na kilka tygodni przed napadem, którego ofiarą padł Ken Philips, oraz przed włamaniem do mojego domu.

Miles uśmiechnął się do Ashley protekcyjnie.

– Skoro tak twierdzisz... ale i tak nie wiem, do czego zmierzasz, jak chyba zresztą nikt z tu obecnych.

Zwrócił się do widowni po wsparcie, lecz powitało go jedynie milczenie i zdeorientowane lub wrogie spojrzenia.

– Dowiedziałeś się, że twój ojciec chce zmienić testament – powiedziała Ashley. – Prawdopodobnie grzebałeś w papierach kolegi z kancelarii, który sporządzał nowy testament... pewnie jak wszyscy wyszli z biura. Dowiedziałeś się, że jakiejś Ashley Spencer dostanie się część fortuny Henry'ego. Nie miałaś pojęcia, kim jest ta Ashley Spencer, więc zaczęłaś szperać we wszystkich prywatnych aktach Henry'ego. Ponieważ nic nie znalazłaś, udałaś się do firmy magazynowej

pod pretekstem wypożyczenia starych akt. Wiedziałaś, że twoja siostra zaszła w ciążę z moim ojcem i urodziła dziecko w Europie, ale nigdy ci nie powiedziano, co się z nim stało. Akta adopcyjne znajdowały się w magazynie. Poszedłeś tam rzekomo po jakieś inne dokumenty. To musiał być dla ciebie szok, że mój ojciec mnie adoptował i że mieszkamy w Portlandzie. Ale dowiedziałeś się również, że moja adopcja była trzymana w tajemnicy i wiedziało o niej tylko parę osób. Anton Brucher już zmarł, żyli natomiast moi rodzice i Ken Philips.

Henry był bezdusznym tyranem za swoich młodszych lat, lecz charakter mu się zmienił po pierwszym wylewie, którego omal nie przyplacił życiem. Bałeś się, że ustanowi mnie dziedziczką albo że ja sama zacznę dochodzić swoich praw do majątku, jeśli się dowiem, że Casey jest moją matką. A może odżyła w tobie dawna nienawiść do mojego ojca za to, że kochał się z twoją siostrą. Z tego czy innego powodu postanowiłeś zabić mnie i wszystkich, którzy wiedzieli, że jestem wnuczką Henry'ego Van Metera. Próbowaleś mnie zabić w domu i w internacie po ucieczce Maxfielda. Wiedziałaś, że wszystkie podejrzenia padną na niego.

– To jakiś obłąd, Ashley. Czemu to robisz?

– Ponieważ jesteś bezwzględnym mordercą.

– Zapominasz o książce Joshuy Maxfielda. Jeśli to ja wtargnąłem do twego domu, to skąd on wiedział, że po zgwałceniu Tani Jones jadłem coś w kuchni?

– Jest na to bardzo łatwa odpowiedź. Nic nie publikowałeś oprócz *Śpiącej królowej*, choć piszesz już od jakiegoś czasu. Byłeś dumny z popełnianych mordów. Chciałeś się nimi chlępić, ale wyłudowałbyś wtedy w celi śmierci, więc wybrałeś coś niemal równie dobrego: napisałeś powieść o swoich zbrodniach i posłałeś ją Joshui Maxfieldowi do oceny. Z oczywistych powodów nie podpisałeś się pod tekstem. Podałeś tylko skrytkę pocztową jako adres zwrotny. Nie wiedziałaś wtedy, że Maxfield cierpi na niemoc twórczą i rozpaczliwie szuka pomysłu na fabułę. Popełnił plagiat twojej powieści i zamierzał sprzedać jej przerobioną wersję jako własne dzieło.

– Ashley, wiem, że wiele przeszłaś. Miałem nadzieję, że wyrok na Maxfielda pomoże ci zamknąć ten tragiczny rozdział twego życia. Ten dzisiejszy wybuch dowodzi jednak, że wciąż potrzebujesz profesjonalnej opieki, żeby uporać się ze swymi problemami.

– To znaczy, że uważasz mnie za wariatkę? – spytała Ashley.

Miles ze smutkiem potrząsnął głową.

– Wiem najlepiej, co przeżywasz. Pamiętaj, niemal straciłem Casey. Tego typu doświadczenia wyczyniają z człowiekiem dziwne rzeczy.

– To prawda, Miles, ale czy z tego powodu twoje odciski palców mogły pojawić się w różnych dziwnych miejscach, na przykład na pierwszej wersji książki Joshuy Maxfielda?

Miles oniemiał.

– Uczestnikom swego kursu Maxfield czytał mocno już przerobioną wersję twego tekstu. Do niedawna wszyscy myśleli, że napisał obie wersje, lecz kiedy wpadłam na to, że ty mogłeś być autorem tej pierwszej, Delilah Wallace kazała sprawdzić każdą kartkę pod kątem odcisków palców. – Ashley wskazała gestem publiczność. – Zechcesz państwu wyjaśnić, skąd na kilkunastu kartkach wzięły się twoje odciski palców?

Wszystkie oczy zwróciły się na Milesa, on zaś nie mógł oderwać wzroku od Ashley.

– Po znalezieniu tych odcisków FBI dostało nakaz przeszukania twojego domu – ciągnęła. – W biurku znaleźli ocenę twego dzieła przysланą przez Maxfielda. Bardzo zniechęcająca. Chciał, żebyś dał sobie spokój z próbami wydania tej książki, bo to by mu ułatwiło kradzież pomysłu.

Miles odwrócił się szybko i zrobił krok w kierunku zaplecza, ale drogę zastąpiło mu dwóch ludzi w niebieskich wiatrówkach z napisem FBI na plecach.

– Proszę się nie ruszać, panie Van Meter – odezwała się Claire Rolvag. Przewodniczka stała tuż obok swego podopiecznego. – Jestem agentką FBI, a pan jest aresztowany.

Jednocześnie kilku widzów, którzy zadawali pytania, przemieściło się do przodu, otaczając Van Metera. Gapił się na nich osłupiały, potem wbił wściekły wzrok w Ashley.

– To pułapka. Wrobiłaś mnie – powiedział, z niedowierzaniem patrząc na kajdanki, które mu zakładano.

Ashley podeszła do Van Metera, przesywając go wzrokiem.

– Tak, wrobiłam cię, łajdaku.

Miles odwzajemnił jej spojrzenie. Z jego oczu nie można było nic wyczytać.

– Jestem całkowicie niewinny, Ashley – rzekł wypranym z emocji głosem, w którym czaiło się więcej groźby, niż gdyby wrzeszczał. – Kiedy zostanę oczyszczony z zarzutów, będziemy sobie musieli uciąć na osobności długą rozmowę o twojej pomyłce.

– Myślisz, że mnie przestraszysz, co?

Miles popełnił ten błąd, że pozwolił sobie na ironiczny uśmiezek. Ashley cofnęła się o krok i wymierzyła mu kopniaka w krocze. Zgiął się wpół i

zwymiotował, a Ashley rąbnęła go twardą okładką *Śpiącej królowny* w szczękę. Claire ją odciągnęła.

Publiczność zatkało, potem wszyscy zaczęli mówić jednocześnie.

– Niezbyt mądrze – Claire zganiła Ashley, gdy Miles został już ze swoją .obstawą wyprowadzony z księgarni.

– Może i nie – odrzekła Ashley – ale zrobiłabym to jeszcze raz, gdybym tylko miała okazję.

Jill Lane miała otwarte usta i trzymała się za serce.

– O mój Boże – wykrztusiła w końcu. – Nie mogę w to wszystko uwierzyć.

– Wybacz, nie mogliśmy cię wtajemniczyć – powiedziała Claire. – Miles musiał być przekonany, że to kolejne spotkanie z czytelnikami, by udało się wymusić na nim przyznanie, iż nie usłyszał o tym „na razie” od Ashley. Oprócz Barbary Bridger nikt nie wiedział, co jest grane.

– Nie przepraszaaj – odparła Jill. – Nie było tu takiej sensacji od czasu naszego wielkiego otwarcia. A księgarnię pokażą w ogólnokrajowej telewizji. Będziemy sławni.

CZEŚĆ V

MÓJ BRAT, MÓJ RYWAL

Dwie godziny później

Agent FBI odwiózł Ashley na lotnisko Sea-Tac, skąd, odrzutowcem FBI wróciła do domu. Na lotnisku w Portlandzie czekali już na nią z samochodem Delilah Wallace i Larry Birch. Po drodze Delilah opowiedziała Ashley o zatrzymaniu Randy'ego Colemana w związku z napaścią w zakładzie Sunny Rest. Ashley trudno się było skupić na szczegółach jego aresztowania i w ogóle słyszała najwyżej połowę z tego, co do niej mówiono. Opadła z sił po konfrontacji z Milesem Van Meterem, czuła się psychicznie i fizycznie wypompowana. Marzyła jedynie, żeby zwinąć się w kłębek obok Jerry'ego w ich wielkim, wygodnym łóżku i spać aż do rana, ale trzeba było załatwić jeszcze jedną sprawę.

Tuż przed północą Larry Birch zaparkował swój nieoznakowany samochód przed wejściem do rezydencji Van Meterów. Po drugim dzwonku rozbrzły światła i po chwili w drzwiach pojawiła się zaspana służąca w nocnej koszuli i szlafroku. Birch mignął jej przed oczami swoją odznaką, wprawiając dziewczynę w zakłopotanie.

– Musimy porozmawiać z panią Van Meter – wyjaśnił.

– Ona śpi.

– Kto to, Angelo? – ze szczytu schodów dobiegł ich głos Casey. Narzuciła błękitny jedwabny szlafroczek na nocną koszulę.

Delilah przepchnęła się obok służącej i stanęła przy zbroi strzegącej wejścia na schody.

– To ja, Delilah Wallace. Ashley też tu jest.

– Co się dzieje? – spytała Casey. – Jest dwunasta w nocy.

– Wiem i bardzo nam przykro, że panią niepokoimy, ale Milesa spotkało coś strasznego i chcieliśmy zawiadomić panią o tym osobiście. Możemy gdzieś usiąść i porozmawiać?

– Powiedźcie, co się stało – zażądała Casey, kiedy usiedli wszyscy w bibliotece, w której przed laty Delilah poznała Milesa i Henry'ego Van Meterów. Casey wybrała sofę, a Ashley usadowiła się obok niej. Prokuratorka i Larry Birch zajęli miejsca naprzeciwko w wygodnych, głębokich fotelach.

– Pozwól, Delilah, że ja to zrobię – odezwała się Ashley. – To ja powinnam jej powiedzieć. Jestem jej córką, a Miles jest moim wujem.

– Co mi powiedzieć? – spytała Casey, przenosząc wzrok z Ashley na Delilah i z

powrotem. Córka obróciła się na sofie w jej stronę. Siedziały o kilka centymetrów od siebie.

– Miles został aresztowany. Joshua Maxfield nie zabił mojego ojca ani Tani Jones. To był Miles.

Casey pokręciła głową z niedowierzaniem.

– To absurd.

– Wiem, że ci trudno w to uwierzyć – włączyła się Wallace – ale twój brat jest seryjnym mordercą.

Casey się roześmiała.

– Nie wiem, kto wam to powiedział, lecz... to niedorzeczne. Miles nikogo nie zabił.

– Próżność go zgubiła – powiedziała Ashley. – Pamiętasz tę książkę, którą pisał Maxfield?

Casey przytaknęła.

– W jego domku była pierwsza wersja. Okazało się, że napisał ją Miles, nie Joshua. Gdyby mu ją opublikowali, mógłby się niejako publicznie chełpić swoimi zbrodniami, nie ryzykując aresztowania, więc posłał ją Maxfieldowi do oceny. Ale Joshua się pisarsko zablokował i rozpaczliwie szuka! jakiegoś pomysłu. Przerobił książkę Milesa. Popęłnił plagiat.

Casey z dłońmi splecionymi ciasno na kolanach i wyprostowanymi plecami nawet nie drgnęła.

– Nie wierzę w ani jedno słowo.

Ashley pochyliła się, kładąc Casey rękę na kolanie.

– Ale to prawda. Znaleźli mnóstwo odcisków palców Milesa na tym maszynopisie. Przeszukali jego dom. Miał list od Maxfielda, w którym ten starał się go zniechęcić do poszukiwania wydawcy. – Ashley spuściła wzrok. – Znaleźli też drobiazgi, które Miles zabierał ofiarom na pamiątkę. Tani... majtki Tani Jones...

Ashley zabrakło tchu i musiała przerwać. Usta Casey bezwiednie się rozchyliły. Znow potrzęsnęła głową.

– Jak to możliwe? Wiedziałabym o czymś takim.

– Nie gryź się tym, Casey – powiedziała Delilah. – Miles nas wszystkich wykołował.

– Ale to mój brat. – Casey oddychała ciężko, próbując utrzymać swoje emocje na wodzy.

– Został nam jeden problem – odezwał się Larry Birch. – I mieliśmy nadzieję, że pani pomoże nam go rozwikłać.

Casey zwróciła się w stronę inspektora.

– Wiemy, że Joshua Maxfield nie zabił ojca Ashley ani Tani Jones – wyjaśniła prokurator. – A zabić Terri Spencer mógłby tylko z jednego powodu, czyli żeby powstrzymać ją przed poinformowaniem policji o owej książce, lecz skoro jej nie napisał, to nie miał motywu, żeby zabić Terri.

– Wiemy też, że gdy zostałyście z Terri napadnięte, Miles znajdował się o trzy tysiące mil stąd – ciągnął dalej Birch. – Rozmawialiśmy z dwoma prawnikami od Bruchera, którzy byli razem z nim w Nowym Jorku. Mamy absolutną pewność, że Milesa nie było w Oregonie, kiedy zginęła pani Spencer.

– I to nasz problem – dodała Delilah. – Skoro nie zabił jej ani Miles, ani Joshua Maxfield, to kto?

Casey zeszytywniała na moment. Potem wyrzuciła w górę rękę.

– To musiał być Joshua. Stał tam.

– Ale nie widziałas, jak pchnął nożem Terri Spencer, prawda? – spytała łagodnie prokurator.

Casey się zawahała. Pokręciła z wolna głową, jakby skonsternowana.

– Nie, nie widziałam. Po prostu tam był. Przyjęłam, że... O mój Boże! Czuję się potwornie.

– Teraz, kiedy wiemy, że Joshua Maxfield jest niewinny, aresztowaliśmy Randy'ego Colemana za napaść na Ashley na parkingu w Sunny Rest – kontynuowała Delilah. – Joshua zeznał, że widział mężczyznę przypominającego Randy'ego Colemana uciekającego z szopy na przystani. Uważasz, że Coleman mógł zabić Terri Spencer? Maxfield sądził, że chodziło mu o ciebie, a Terri po prostu miała pecha, że się tam znalazła. Co o tym myślisz?

Casey wyglądała, jakby się chciała zapaść pod ziemię. Załamała rękę.

– Zrobiłam coś okropnego – szepnęła.

– Co takiego zrobiłaś, mamó? – spytała Ashley.

To nazwanie jej „mamą” jakby wytrąciło Casey z równowagi.

– Musicie zrozumieć, byłam pewna, że to Joshua zabił Terri i ojca Ashley. Wiedziałam, że uderzył mnie. A Miles powiedział...

– Co powiedział, Casey? – dopingowała ją Delilah.

Casey przełknęła ślinę. Przykro było na nią patrzeć.

– Wiecie, że poprosiłam doktora Linscotta o wpuszczenie do mnie Milesa po moim wyjściu ze śpiączki? Był moim pierwszym gościem.

Wallace kiwnęła głową.

– Miles opowiedział mi, co się działo, kiedy leżałam nieprzytomna. Powiedział,

że wszyscy wiedzą, że to Joshua zabił Normana i tę dziewczynkę w domu Ashley. I że jeszcze dwa razy próbował zabić Ashley. Miles stwierdził, że to Joshua zabił Terri. Wtedy powiedziałam mu o Randym, ale on uznał, że na pewno mi się pomyliło i że muszę zeznać, że to Joshua zamordował Terri.

– A co mu powiedziałaś o Randym Colemanie? – spytała Delilah.

Casey spojrzała na nią, jakby się zaraz miała rozplakać.

– Nie chciałam kłamać. Miles mówił, że muszę zeznać, że był tam Joshua, bo inaczej go zwolnią. Ale ja widziałam tam wtedy Randy'ego. Widziałam, jak wychodził z szopy tuż przed moim wejściem.

– Jest pani tego pewna? – spytał Larry Birch.

Casey przytaknęła.

– Wiem, że powinnam była o tym powiedzieć, ale on był moim mężem i Miles...

Znowu spuściła oczy.

– Więc widziałaś Randy'ego Colemana wychodzącego z szopy na przystani, zanim tam weszłaś i odkryłaś ciało Terri Spencer? – upewniła się Delilah.

– Tak.

– A ponieważ był twoim mężem i nie był ci całkiem obojętny, więc postanowiłaś go kryć?

Casey przytaknęła.

– No, to mamy teraz całkiem inny problem – sapnęła Delilah. – Widzisz, Joshua Maxfield mówi, że zmyślił tę całą historię. Mówi, że po tych krzykach nikogo nie widział. Nikogo tam nie było... oprócz ciebie.

Casey wybałuszyła na nią oczy. Potoczyła nimi od Delilah przez Bircha do Ashley. Wszędzie napotkała uważne spojrzenia.

– Jeszcze jedno, pani Van Meter – odezwał się inspektor. – Po aresztowaniu Milesa ucieliśmy sobie z nim małą pogawędkę. Wie pani, co nam powiedział?

Casey wlepiała w niego wzrok.

– Powiedział nam, że to pani zabiła Terri Spencer.

– Nie, nie. Miles nigdy by się przeciw mnie nie zwrócił – obruszyła się Casey.

Delilah uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Bardzo kochasz swego brata, prawda?

Casey milczała.

– Żal mi ciebie. Niesłusznie, bo jesteś bezwzględna morderczynią, a jednak żal. Ja też miałam brata. Nie żyje, ale kochałam go całym sercem. Nadal go Kocham. Ludzie robią dziwne rzeczy z miłości – skonstatowała Delilah.

Casey zacięła się. Z jej twarzy nic już nie dało się wyczytać.

– Założę się, że serce wali ci jak młotem, jak wtedy, kiedy Terri zwierzyła się ze swoich podejrzeń co do Joshuy Maxfielda – ciągnęła Delilah. – Wiedziałaś, że brat pisze powieść o swoich zbrodniach. Zrozumiałaś, że trzeba działać szybko, że musisz uciszyć Terri, zanim pójdzie na policję. W przeciwnym razie policja dowie się od Maxfielda, że ściągnął ten tekst z książki twego brata. Gdybyś zdążyła porozmawiać z Milesem, powiedziałby ci, że posłał ten tekst anonimowo, ale nie zdołałaś się z nim skontaktować. Wpadłaś w panikę. Zwabiłaś Terri do szopy na przystani i zabiłaś ją.

– Czy nie tak to było, mamó? – spytała chłodno Ashley.

– To czysty wymysł – odparła Casey. – Nic takiego nie miało miejsca.

– Potem wszedł Maxfield, zastając cię klęczącą nad panią Spencer – kontynuowała niezbita z tropu Delilah. – Chwyciłaś ponownie nóż. Żeby go zmylić, krzyknęłaś „morderca!”. To właśnie słyszała Ashley zza ściany, prawda proszę pani?

– To wasza historia, nie moja – odparła Casey.

– Liczyłaś na to, że Maxfield, oszołomiony widokiem trupa Terri i twoim wrzaskiem, też da się zabić. Ale on trenował sztuki walki i zareagował odruchowo. Zablockował twój cios nożem i posłał cię na deski. Biedny Joshua. W ogóle nie podejrzewał, że to ty zabiłaś Terri Spencer. Miał takie wyrzuty sumienia po tym, co ci zrobił, że nawet mu przez myśl nie przeszło, że to ty jesteś mordercą. Rany, wzbudzałaś powszechne współczucie, leżąc w tej śpiączce. Wszystkich nas wykołowałaś. Wszyscy myśleliśmy, że padłaś ofiarą mordercy.

– Bo padłam. Nie zabiłam Terri Spencer.

Delilah westchnęła.

– To już chyba ława przysięgłych będzie musiała osądzić. Rzecz jasna, mogłabyś uniknąć procesu i poprawić swoją sytuację, zeznając przeciwko Milesowi.

Rysy Casey stężały. Spojrzała prokuratorce prosto w twarz.

– Do tego nigdy nie dojdzie.

– No to będzie ci ciężko. Znasz ów tekst, z którego Maxfield przepisywał, tę powieść twego brata? Jest tam taki rozdział, gdzie dziewczyna zabójcy pomaga mu torturować i zabić autostopowiczkę. Wtedy pierwszy raz zasmakowała krwi. Jest jeszcze jeden, w którym dwoje kochanków włamuje się do domku, morduje całą rodzinę i uprawia seks wśród trupów. W Connecticut na miejscu zbrodni ekipa sądowni znalazła włosy łonowe w łóżku w pokoju gościnnym. Uznali, że należały

do jednej z ofiar. Ciekawe, co wykazałyby testy DNA?

Na Casey to nie podziałało. Zresztą Delilah na to nie liczyła.

– Henry był kiedyś człowiekiem bezwzględnym – podjęła. – Myślę, że tak nienaturalnie zżyliście się z bratem, broniąc się przed okrucieństwem ojca. Stąd ta furia, z jaką Miles skatował Normana Spencera, gdy się dowiedział, że zaszłaś z nim w ciążę, i te wszystkie nastolatki, które gwałcił i mordował. Myślisz, że w ten sposób realizował swoje fantazje na temat sypiania z tobą?

– To odrażające – powiedziała Casey. Spiorunowała Delilah wzrokiem.

Ashley odniosła wrażenie, że Casey zabiłaby prokuratorkę, gdyby miała czym.

Delilah wzruszyła ramionami.

– Ja studiowałam prawo, nie psychologię, ale założę się, że Freud miałby z tobą i twoim bratem niezłe używanie. Taka pokręcona miłość rodzi niezwykłą więź. Tłumaczy, dlaczego masz opory przed mówieniem o Milesie. Ciekawe, że jemu to nie przeszkadzało, gdy cię próbował odłączyć od aparatury podtrzymującej życie, kiedy leżałaś w śpiączce.

Na ułamek sekundy coś pękło w twarzy Casey.

– Henry go powstrzymywał, dopóki żył – dodała Ashley – a po jego śmierci Miles wystąpił o przyznanie mu prawnej kurateli nad tobą. Nie ukrywał, że zamierza cię odłączyć od aparatury, gdy tylko uzyska odpowiednie uprawnienia. Coleman też sobie życzył twojej śmierci. Tylko ja cię chciałam zachować przy życiu.

– Nie wierzę w to.

– Ale to prawda – odparła Ashley. – Miles musiał się ciebie pozbyć. Tylko ty wiedziałaś, że to on zabijał. Nie miał pewności, co powiesz po wyjściu ze śpiączki. Nie mógł ryzykować, że zaczniesz mówić.

Ashley wyprostowała się w ramionach i przygwoździła wzrokiem Casey Van Meter.

– Nie zależało mu na tobie, tak jak i mnie teraz.

EPILOG

WIECZÓR AUTORSKI

Rok później

Nic mnie to nie obchodzi, Howard! – wrzasnął do swojej komórki Joshua Maxfield. – W umowie mam zastrzeżony najlepszy apartament w każdym hotelu, w którym się zatrzymuję. To nie jest najlepszy apartament. Widok jest do dupy, a Tadż Mahal ma nie tylko najlepszy widok, ale i jest większy.

– Nie wiem, co powiedzieć, Joshua – rzekł Howard Martin, szef wydawnictwa Scribe. – Margo sprawdzała. W hotelu zapewniali ją, że apartament prezydencki jest najlepszy i największy. Na pewno jest najdroższy.

– A w pokoju czekała na mnie piętnastoletnia szkocka – ciągnął Maxfield, ignorując swojego wydawcę.

– Przecież chciałeś? Marka się nie zgadzała? – spytał Martin.

– Marka się zgadzała, ale butelka miała piętnaście lat. Specjalnie prosiłem tego idiotę, żeby mi na pewno dostarczono dwudziestopięcioletnią szkocką. Nie stać cię na to, żeby zatrudnić ludzi, którzy mają pojęcie o swojej robocie?

– Jesteśmy, panie Maxfield – odezwała się Barbara Bridger z przedniego siedzenia limuzyny. Maxfield uciszył ją, unosząc palec i nie przerywając swojej tyrady. Szofer otworzył sobie drzwiczki i czekał spokojnie, aż Maxfield się rozłączy. Joshua wysiadł, wciąż mruczając pod nosem coś o niekompetentnych rzecznikach.

Tylne drzwi księgarni „Zabawa z Morderstwem” otwały się na oścież i Jill Lane wybiegła na powitanie pisarza.

– Panie Maxfield, nie ma pan pojęcia, jaki to dla mnie zaszczyt gościć tu pana. Uwielbiam pana książki.

Joshua poczęstował ją przećwiczonym na takie okazje uśmiechem i ujął jej dłonie w swoje.

– To ja jestem zaszczycony. Spotkanie w pani księgarni to punkt kulminacyjny całej mojej trasy.

Ani Jill Lane, ani Joshua Maxfield nie zauważyli podniesionych do nieba oczu Barbary Bridger. Nie mogła się doczekać końca tej imprezy i rozstania z tym dupkiem cierpiącym na maniackalny przerost ego. Zastanawiała się, czy nie

opowiedzieć Jill, jak to Maxfield sierdził się i pieklił z powodu uwłaczającego dla artysty jego formatu występu w księgarni specjalizującej się w kryminałach.

– Nie ma gdzie szpilki wetknąć, a i prasa się zjawiała. Nikt nie przyciągnął takich tłumów od czasu... no, od czasu Milesa Van Metera.

– Pozostaje mi mieć nadzieję, że nie zostanę aresztowany – zażartował Maxfield.

Jill się roześmiała i zaprowadziła Joshuę i Barbarę do środka. Na widok autora natychmiast zerwały się oklaski. Maxfield uklonił się skromnie. Jill podeszła do mikrofonu.

– Ponad rok temu Miles Van Meter, jeden z najbardziej diabolicznych seryjnych morderców w dziejach ludzkości, został aresztowany dokładnie w tym miejscu po spotkaniu autorskim poświęconym jego bestsellerowej powieści dokumentalnej *Śpiąca królowna*. Rzekomo wierna faktom, *Śpiąca królowna* okazała się fikcją przypisującą naszemu dzisiejszemu gościowi potworne zbrodnie popełnione przez Milesa i jego siostrę, Casey. Na szczęście Van Meterowie trafili wreszcie tam, gdzie powinni, czyli za kratki. Casey została w Oregonie skazana na dożywocie bez prawa do ubiegania się o przedterminowe zwolnienie w zamian za złożenie zeznań obciążających brata. Miles Van Meter został w Oregonie skazany na śmierć za zamordowanie Normana Spencera i Tani Jones, a dodatkowo za próbę zabicia Ashley Spencer. Naturalnie Milesa i jego siostrę czekają jeszcze procesy w innych stanach, z których kilka przewiduje karę śmierci.

Nasz dzisiejszy gość, Joshua Maxfield, przyplacił fałszywe oskarżenia więzieniem, umiał jednak przekuć swoje cierpienia w sztukę. Siedząc w celi śmierci, napisał *Zapuzzkowanego*, opowieść o mękach niewinnego człowieka skazanego za zbrodnię, której nie popełnił. Książka ukazała się w dwa miesiące po uwolnieniu pana Maxfielda ze stanowego więzienia i nadal nie schodzi z listy bestsellerów „New York Timesa”, mimo że od jej wydania minął już ponad rok.

Ale pan Maxfield przyjął moje zaproszenie nie z powodu *Zapuzzkowanego*. Opowie nam dzisiaj o swoim pamiętniku zatytułowanym *Wrobiony*, a stanowiącym zapis sprawy Van Meterów oraz więziennych przeżyć autora. *Wrobiony* pojawił się na półkach księgarskich w tym tygodniu i właśnie dotarła do nas wiadomość, że na dobry początek trafił na pierwsze miejsce listy bestsellerów „New York Timesa”. A teraz bez dalszych wstępów oddaję państwu Joshuę Maxfielda.

Raz jeszcze rozległy się brawa, a Joshua Maxfield napawał się zachwytem publiczności. Oklaski mogłyby nie milknąć. Brzmiały tak fantastycznie. Po tylu latach milczenia jego geniusz został wreszcie doceniony. Bo przecież był

geniuszem. Genialnym pisarzem, którego dzieło będzie żyć wiecznie. Nie miał co do tego wątpliwości. Owe lata między *Studnią życzeń* a *Zapuszkowanym* to zwykłe potknięcie na drodze wiodącej ku szczytom literackiej kariery. Wydawca domaga się następnej książki, a zatem zaraz po zakończeniu tego tournée musi się wziąć do pracy. Na razie, rzecz jasna, zbyt wiele się działo, żeby się zastanawiać, o czym będzie pisać. W zasadzie to w ogóle nie miał pojęcia.

Podziękowania

Chciałbym podziękować za pomoc w zbieraniu materiałów, dzięki którym *Śpiąca królowna* zyskała, mam nadzieję, na wiarygodności. A przyczynili się do tego: Steve Lesser, Brian Ostrum, dr Nathan Selden, dr Howard Weinstein, Ashley Berman, Bridget Grosso, Mary Joan O'Connell i Christine Brown. Dzięki redakcyjnym poprawkom Dana Conawaya lektura tej książki stała się zdecydowanie przyjemniejsza. Wiele zawdzięcza także pomocy nieustrudzonej asystentki Dana, Jill Schwartzman.

Dziękuję także niezliczonym księgarzom, recepcjonistom, organizatorom i przewodniczkom, z których uprzejmości i wsparcia korzystałem podczas wielu moich spotkań autorskich. Założę się, że nie podejrzewaliście, iż bezwiednie pomagacie mi w zbieraniu materiałów do *Śpiącej królowny*. Dziękuję również Marie Elenie Martinez i Elly Weisenberg, które zajmowały się organizacją moich spotkań z czytelnikami i nigdy niczego nie poplątały.

Chciałbym złożyć podziękowanie wszystkim pracownikom wydawnictwa Harper Collins oraz Agencji Literackiej Jean V Naggar za to, że nieustrudzenie użyczyli mi swego wsparcia.

I na koniec, choć nie w hierarchii ważności, chcę podziękować mojej rodzinie, czyli Doreen, Ami, Danielowi i Chrisowi, za to, że ze mną wytrzymują.